



TRZY SIOSTRY

Autorka
bestsellerów

NORA ROBERTS
LEGENDA

NORA ROBERTS

LEGENDA

Nieczyli opowieść o rodzinie i wielkiej miłości
Wojny

Wydawnictwo
Książki

NORA ROBERTS

Legenda

*Jak cień przelotne, kruche jak marzenie,
Nikłe, jak w czarnej nocy błyskawica,
Co w jednym mgnieniu niebo z ziemią olśni
I zanim człowiek zawoła: - Popatrzcie!
- Paszcza ciemności już pożarła światło,
Tak szybko znika wszystko to, co świeci.*

William Szekspir Sen nocy letniej przekład Konstanty Ildefons
Gałczyński

PROLOG

Wyspa Trzech Sióstr, wrzesień 1699

Wzywała sztorm. Porywy wichury, błyskawice, szalejące morze - jednocześnie bezpieczna przestrzeń i więzienie. Wzywała moce, które żyły w niej, i te, które istniały na zewnątrz. Jasność i mrok.

Smukła, w płaszczu rozwianym na kształt ptasich skrzydeł, stała samotnie na plaży smaganej uderzeniami wiatru. Był z nią tylko gniew i żal. I moc - to ona wypełniła ją teraz, napłynęła nagle dzikimi, gwałtownymi falami. Jak oszalały kochanek.

I może właśnie tak było.

Opuściła męża i dzieci, by przybyć tutaj, uspiła ich zaklęciem, które da im ukojenie i pozbawi świadomości tego, co się stało.

Kiedy wykona swe postanowienie, nigdy do nich nie wróci. Nigdy już nie ujmie w swe dłonie ich ukochanych twarzy.

Mąż pograży się w bólu, dzieci będą ją opłakiwać. Ale nie może do nich wrócić. Nie może cofnąć się z drogi, którą wybrała. Nie zrobi tego.

Nadeszła pora zapłaty. Sprawiedliwość, chociaż surowa, w końcu zatriumfuje.

Wyrzuciła ramiona w nawałnicę, którą przy wołała. Jej rozpuszczone włosy jak batem przecinały noc ciemnymi wstęgami.

- Nie wolno ci! Obok niej pojawiła się kobieta. Jej sylwetka płonęła w burzy jasno jak ogień, którego imię nosiła. Twarz miała bladą, w pociemniałych oczach czaiło się coś, jakby strach.

- Już się zaczęło.

- Zatrzymaj to. Zatrzymaj to, siostrze, póki nie jest za późno. Nie masz prawa.

- Prawa? - Ta, którą zwano Ziemią, odwróciła się z roziskrzonym wzrokiem. - Kto ma większe prawo? Kiedy mordowano niewinnych w Salem, kiedy ich prześladowano, ścigano i wieszano, nie zrobiliśmy nic, by to powstrzymać.

- Jeśli powstrzymasz jedną powódź, wywołasz inną. Wiesz o tym. Stworzyliśmy to miejsce. - Siostra Ogień rozpostarła ramiona, jakby chciała objąć wyspę. - Dla naszego bezpieczeństwa i żeby przeżyć. Dla naszej Sztuki.

- Bezpieczeństwo? Potrafisz teraz mówić o bezpieczeństwie, o przeżyciu? Nasza siostra nie żyje.

- I oplakuję ją tak samo jak ty. - Błagalnym ruchem skrzyżowała ręce na piersiach. - Cierpię na równi z tobą. Jej dzieci są teraz pod naszą opieką. Czy porzucisz je tak jak i własne?

Ogarniało ją szaleństwo, wdzierało się do serca niczym wiatr, który wplątywał się w jej włosy. Zdawała sobie z tego sprawę, ale nie mogła go pokonać. Nie ujdzie karze. Nie będzie żył, skoro ona nie żyje.

- Jeśli zadasz ból, złamiesz przysięgi. Zniszczysz swoją moc, a to, co rzucisz przed siebie, wróci do ciebie po trzykroć.

- Sprawiedliwość ma swoją cenę.

- Nie taką. Nigdy. Twój mąż stracił żonę, a dzieci matkę. A ja drugą ukochaną siostrę. A co najważniejsze, zniszczysz też wiarę w to, czym jesteśmy. Ona by tego nie chciała. Jej odpowiedź byłaby

inna.

- A jednak umarła, nie broniąc się. Umarła, bo była tym, kim była. Jak my. Nasza siostra wyparła się swojej mocy dla tego, co nazywała miłością. I to ją zabiło.

- Dokonała takiego wyboru. - Gorzkiego, nieprzemijająco gorzkiego. - Jednak nikogo nie skrzywdziła. Jeśli zrobisz to, co zamierzasz, jeśli użyjesz swojego daru dla tak mrocznego celu, wydasz na siebie wyrok. Wydasz wyrok na nas wszystkich.

- Nie mogę żyć tu w ukryciu. - W oczach miała łzy, które w świetle błyskawic płonęły czerwienią jak krew. - Nie mogę zawrócić. To mój wybór. Moje przeznaczenie. Jego życie za jej życie i niech będzie przeklęty na wieki.

Z okrzykiem zemsty, wyrzuconym jak jasna, śmiertelna strzała z łuku, ta, którą zwano Ziemią, poświęciła swoją duszę.

ROZDZIAŁ 1

Wyspa Trzech Sióstr, styczeń 2002

Zmarznięty, zlodowaciały piach trzeszczał pod stopami, gdy biegła (po zataczającej łuk plaży. Fale pozostawiały na gładkiej, zaskorupiałej powierzchni poszarpaną koronkę piany. Wysoko na niebie niezłomnie krzyczały mewy.

Jej mięśnie rozgrzały się i teraz, na trzecim kilometrze porannego dystansu poruszała się płynnie jak dobrze naoliwiona maszyna. Krok miała szybki i miarowy; z ust równomiernie wydobywały się białe chmurki oddechu. W tym samym rytmie wciągała do płuc ostre, mroźne powietrze.

Czuła się fantastycznie.

Na plaży widniały tylko jej własne ślady, nakładające się na siebie, kiedy pokonywała tam i z powrotem łagodny łuk brzegu.

Gdyby chciała przebiec swoje codzienne pięć kilometrów w linii prostej. mogłaby przeciąć Wyspę Trzech Sióstr z jednego krańca na drugi w jej najszerszym miejscu. Ta myśl zawsze sprawiała jej przyjemność.

Ten mały skrawek ziemi u wybrzeża Massachusetts należał do niej. Każdy pagórek, każda ulica, urwista skarpa i zatoczka. Zastępca szeryfa Ripley Todd czuła coś więcej niż przywiązanie do Wyspy Trzech Sióstr. Czuła się za nią odpowiedzialna, za nią. za swoje miasteczko i jego mieszkańców.

Mogła już dostrzec promienie wschodzącego słońca odbijające się w oknach wystawowych sklepów na High Street. Za parę godzin

lokale zostaną otwarte, a na ulice wylegną ludzie, by załatwić swoje codzienne sprawy.

W styczniu ruch turystyczny jest niewielki, tylko trochę gości przyplynie promem ze stałego lądu, żeby pozaglądać do sklepów, wjechać wysoko na klify, kupić świeże ryby na przystani. Zima jest tu przede wszystkim dla miejscowych.

Zimę kochała najbardziej.

Tuż pod miasteczkiem, tam gdzie plaża dochodzi do falochronu, zawróciła i ruszyła z powrotem przez piach. Kutry rybackie sunęły po morzu, które przybrało teraz kolor jasnoblękitnego lodu. Zmieni się, kiedy w pełni wstanie dzień i ściemnieje niebo. Zawsze fascynowały ją niezliczone barwy wody.

Zobaczyła łódź Carla Maceya i przy sterze malutką jak zabawka figurkę z uniesioną ręką. Zasalutowała w odpowiedzi, nie przerywając biegu. Wyspa liczyła niespełna trzy tysiące stałych mieszkańców, wszyscy się więc znali.

Zwolniła nieco kroku, nie tylko żeby ochłonać, ale i przedłużyć chwile samotności. Często biegała rano z Lucy, psem brata, ale tego ranka wymknęła się sama.

Sama. Tak bardzo lubiła samotność.

Poza tym chciała trochę rozjaśnić umysł. Nad wieloma sprawami powinna się zastanowić. O niektórych wołała w tej chwili nie myśleć, na razie więc część kłopotów i problemów odsunęła na bok.

Właściwie to, z czym musi sobie poradzić, nie było problemem. Nie można nazwać problemem czegoś, co daje człowiekowi szczęście.

Jej brat wrócił właśnie z podróży poślubnej i nic nie sprawiało jej większej przyjemności niż widok młodej pary, która za swoje szczęście omal nie zapłaciła najwyższej ceny. Po wszystkim, co przeszli, Ripley z radością patrzyła, jak czulą się do siebie w domu, w którym ona i Zack wychowywali się od dzieciństwa.

W ciągu minionych miesięcy, od lata, kiedy gnana strachem Nell przybyła na Wyspę Trzech Sióstr i wreszcie przestała uciekać, połączyła je prawdziwa przyjaźń. Przyjemnie było patrzeć, jak Nell rozkwita - i staje się coraz twardsza.

Pomijając jednak te sentymentalne głupoty, myślała Rip, w tej idylli jest jedno ale: ona, Ripley Karen Todd.

Nowożeńcy niekoniecznie chcą dzielić swoje miłosne gniazdko z siostrą pana młodego.

Ani przez chwilę nie myślała o tym przed ślubem; nie zdawała sobie sprawy z sytuacji nawet później, kiedy żegnali się z nią, wyjeżdżając na tydzień na Bermudy.

Dopiero gdy wrócili, rozkochani, w aurze miodowego miesiąca, jasno to sobie uświadomiła.

Młode małżeństwo potrzebuje prywatności. Trudno uprawiać gorący, ostry seks na podłodze salonu, skoro ona, Ripley, może wparować do domu o każdej porze dnia i nocy.

Oczywiście żadne z nich nie poruszało tego tematu. Nigdy by tego nie zrobili. Mogą nosić na piersiach order za takt i dobre maniery. W przeciwieństwie do niej. Jej koszuli, pomyślała, coś takiego nie grozi.

Zatrzymała się, podparła na sterczącej skale i powtórzyła kilka ćwiczeń rozciągających mięśnie i ścięgna nóg.

Jej ciało było smukłe i harmonijne jak ciało młodej tygrysicy. Była z niego dumna. I panowała nad nim doskonale - drugi powód do dumy. Kiedy wykonała głęboki skłon do przodu, narciarska czapeczka, którą wcisnęła na głowę, spadła na piasek i ciemne lśniąco włosy rozsypały się swobodnie.

Wolała taką fryzurę, bo nie wymagała regularnego strzyżenia ani układania. A to też pozwalało jej w pewien sposób panować nad sytuacją.

Oczy koloru butelkowej zieleni patrzyły przenikliwe. Gdy przychodziła jej ochota, sięgała po tusz i kredki. Długo się zastanawiała i w końcu doszła do wniosku, że w twarzy o nieregularnych, kanciastych rysach te oczy mogą się podobać.

Miała lekką wadę zgryzu, bo nie chciała nosić aparatu ortodontycznego, i szerokie czoło z niemal poziomą linią brwi odziedziczoną po Ripleyach.

Nie dało się o niej powiedzieć, że jest ładna. To słowo było zbyt łagodne, mogłaby je nawet uznać za obraźliwe. Wolała myśleć, że jej twarz wyraża siłę i zmysłowość. To, co może być atrakcyjne dla mężczyzny. Oczywiście wtedy, kiedy ona ma na to ochotę.

A to nie zdarzyło się. Jak stwierdziła po namyśle, już od paru miesięcy.

Częściowo dlatego, że trwały przygotowania do ślubu i do wyjazdu, że dużo czasu poświęciła Zackowi i Nell, bo trzeba im było

pomóc w skomplikowanej prawnie sytuacji, by mogli się pobrać. Ale Ripley musiała przyznać, że jest jeszcze inna przyczyna: irytacja i niepokój - czuła je od Halloween, kiedy pozwoliła sobie uchylić pewne wewnętrzne zapory, które z pełną świadomością zamknęła przed wieloma laty.

Nic na to nie poradzę, myślała teraz. Zrobiła, co należało. I nie ma zamiaru powtarzać tego przedstawienia. Bez względu na to, ile chłodnych, wymuszonych uśmiechów pośle jej Mia Devlin.

Wspomnienie o Mii sprawiło, że Ripley wróciła myślami do nurtującego ją problemu.

Mia ma pusty domek. Wynajmowała go Nell, która wyprowadziła się stamtąd po ślubie z Zackiem. Niezależnie od tego, jak bardzo Ripley wzdragała się przed jakimikolwiek kontaktami z Mią - nawet tylko w interesach - żółty domek wydawał się najlepszym wyjściem.

Był mały, ustronny, zwyczajny.

Dobry pomysł, stwierdziła Ripley i ruszyła w górę po wydeptanych drewnianych stopniach, które zakosami prowadziły z plaży do domu. Rozwiązanie wprawdzie irytujące, ale praktyczne. Chyba jednak nie zaszkodzi rozpuszczać przez kilka dni wiadomość, że szuka domu do wynajęcia. Być może coś - coś, co nie należy do Mii - spadnie jej z nieba.

Zadowolona z tego, co wymyśliła, Ripley popędziła po schodach i wbiegła na tylną werandę.

Nell na pewno już coś piecze, a w kuchni unoszą się niebiańskie

zapachy. To największa korzyść z nowej sytuacji - ona, Ripley, nie musi już się zastanawiać, co zrobić na śniadanie. Śniadanie będzie po prostu stało na swoim miejscu. Przepyszne, fantastyczne, gotowe.

Sięgała do klamki, gdy przez szybę spostrzegła Zacka i Nell. Owijają się wokół siebie jak bluszcz wokół masztu, pomyślała. Świat dla nich nie istnieje.

- O rany.

Z lekkim syknięciem zawróciła, po czym wkroczyła na werandę, głośno gwizdząc i hałasując. To da im czas, by się od siebie odkleili - taką przynajmniej miała nadzieję.

Nie rozwiązywało to jednak zasadniczego problemu. Trzeba będzie w końcu jakoś dogadać się z Mią.

Zamierzała zrobić to niby przypadkiem. Sądziła, że gdyby Mia zorientowała się, jak bardzo zależy jej na żółtym domku, na pewno by odmówiła.

Ta kobieta jest diabelnie przekorna.

Oczywiście najlepiej byłoby poprosić Nell o pomoc. Mia ma do niej słabość. Ale pomysł wykorzystywania kogoś, by sobie ułatwić życie, zirytował Ripley. Zajrzy po prostu do księgarni Mii, tak jak niemal co dzień od czasu, gdy Nell zajęła się prowadzeniem kuchni w połączonej ze sklepem kawiarni.

W ten sposób za jednym zamachem strzeli sobie porządny lunch i załatwi chatę.

Szła po High Street energicznym i spieszonym krokiem, raczej dlatego, że chciała mieć już sprawę z głowy, niż z powodu

porywistego wiatru. Szarpał jej długie proste włosy związane w koński ogon, który zwykle wypuszczała przez otwór z tyłu czapki.

Stała dopiero pod szyldem „Kawiarnia i Książki” i zacisnęła wargi.

Mia zmieniła dekorację na wystawie. Mały podnózek ozdobiony frędzlami, miękko udrapowana tkanina w głębokiej czerwieni, grube, czerwone świece w wysokich lichtarzach - i kilka z pozoru przypadkowo położonych książek. Wiedząc, że Mia nigdy niczego nie robi przypadkowo, Ripley musiała przyznać, że całość tchnie ciepłem domowego zacisza. I roztacza niesłychanie delikatną, ledwie wyczuwalną aurę seksu.

Na dworze jest zimno, mówiła kompozycja w oknie. Wejź, kup książkę i zabierz ją do przytulnego domu.

Co by powiedzieć o Mii - a Ripley mogła powiedzieć wiele - ta kobieta znała się na swoim biznesie.

Weszła do środka, w ciepłym wnętrzu odruchowo odwijając szal. Ciemnoniebieskie regały wypełnione były książkami, elegancko jak w salonie. Za szkłem stały śliczne bibeloty, w kominku migotał złocisty płomień, a kolejna, tym razem błękitna tkanina zdobiła jeden z głębokich, wygodnych foteli.

Tak. pomyślała Ripley, Mia zna się na rzeczy.

Na półkach stały świece rozmaitych kształtów i wielkości. Głębokie wazy wypełnione były wypolerowanymi kamykami i kryształami. Tu i ówdzie porozstawiano kolorowe pudła z kartami do tarota i jakieś runiczne napisy.

Subtelna jak zawsze, z przekąsem zauważyła Ripley. Mia nie rozgłaszała, że to miejsce jest własnością czarownicy, ale też tego nie ukrywała, budząc zainteresowanie zarówno turystów, jak i stałych mieszkańców. Ripley potrafiła sobie wyobrazić, jak to wpływa na zyski firmy.

Nie jej sprawa.

Za dużym, rzeźbionym kontuarem, przy kasie, Lulu, prawa ręka Mii, wystukała wpłatę od klienta, po czym przyjrzała się Ripley znad lekko opuszczonych okularów w srebrnej oprawce.

- Szukasz dziś czegoś dla ducha i dla ciała?

- Nie, mój duch i tak żyje już zbyt intensywnie.

- Kto dużo czyta, dużo wie.

- Ja wiem wszystko. - Ripley wyszczerzyła zęby.

- Nigdy w to nie wątpiłam. Przyszła nowość w dostawie w tym tygodniu, coś w twoim guście. Sto jeden sposobów podrywania, uniseks.

- Lu. - Ripley uniosła brwi, podchodząc do schodów na piętro. - Ja to już przerabiałam.

Lulu zachichotała.

- Nie widziałam cię w żadnym towarzystwie ostatnio - zawołała.

- Nie miałam ochoty na żadne towarzystwo ostatnio. Na piętrze było jeszcze więcej książek i więcej szperających w nich klientów. Ale tu przyciągała ludzi przede wszystkim kawiarnia. Ripley czuła już aromat zupy - intensywny i korzenny.

Poranny tłum, który pożerał babeczki, rożki i cokolwiek jeszcze

przygotowała Nell, ustępował teraz miejsca amatorom lunchu. W takie dni jak dzisiaj, myślała Ripley, ludzie szukają najpierw czegoś konkretnego i ciepłego, a dopiero potem mogą połakomić się na jakiś kuszący deser.

Uważnie obejrzała zawartość gabloty i westchnęła. Pysie z kremem. Nikt przy zdrowych zmysłach nie przepuści ptysiom z kremem, nawet gdyby ślinka mu ciekła na ekierki, tarty, kruche ciasteczka i ciasto składające się z wielu warstw czegoś, co niechybnie jest słodkie i rozkoszne jak grzech.

Za gablotą pełną pokus stała artystka, czekając na zamówienia. Miała oczy w odcieniu głębokiego, czystego błękitu i krótkie jasne włosy wokół twarzy promieniującej zdrowiem i dobrym samopoczuciem. Na jej policzkach pojawiły się miłe dołeczki, kiedy roześmiała się i wskazała klientowi miejsce przy stoliku pod oknem.

Małżeństwo dobrze niektórym służy, pomyślała Ripley. A najwyraźniej dobrze służy Nell Channing Todd.

- Wyglądasz super - powiedziała.

- I tak też się czuję. Wydaje mi się, że czas biegnie szybciej.

Dziś jest zupa minestrone, a kanapka...

- Tylko zupa - przerwała jej Ripley - bo do pełni szczęścia potrzebny mi będzie jeszcze ptys z kremem. A do tego kawa.

- Już się robi. Na kolację upiekę szynkę - dodała. - Nie opychaj się więc pizzą przed powrotem do domu.

- Jasne. - Ripley przypomniała sobie, co ją tu sprowadziło.

Przestąpiła z nogi na nogę i rozejrzała się uważnie. - Nie widziałam

dziś Mii.

- Jest w biurze. - Nell zaczerpnęła chochlą zupy. a na talerzyku położyła świeżutki krokiecik. - Pewnie zaraz się tu zjawi. Tak szybko wyszłaś dziś z domu, że nie zdążyłyśmy pogadać. Coś się dzieje?

- Nie, nic. - Ripley czuła, że załatwianie przeprowadzki bez wcześniejszej rozmowy z Nell byłoby nietaktem, ale zupełnie sobie nie radziła z tego rodzaju dyplomacją.

- A gdybym tak zabrała to do kuchni? - spytała. - Mogłabyś pogadać ze mną nie przerywając pracy.

- Jasne. Chodźmy. Nell sama przeniosła naczynia i sztuce, i rozłożyła je starannie na kuchennym stole.

- Naprawdę nic się nie stało?

- Słowo daję, że nie - zapewniła Ripley. - Zrobiło się cholernie zimno. Chyba oboje z Zackiem żałujecie, że nie zostaliście na południu aż do wiosny?

- Miodowy miesiąc udał się nam fantastycznie. - Na samo wspomnienie poczuła ciepło. - Jednak najlepiej mi w domu. - Otworzyła lodówkę i wyjęła miskę z sałatką. - Tutaj jest cały mój świat - mówiła, opierając miskę o biodro - Zack, rodzina, przyjaciele, własny kąt. Jeszcze rok temu nigdy bym nie uwierzyła, że będę mogła tak spokojnie rozmawiać, wiedząc, że za godzinę pójdę sobie do domu.

- Zapracowałaś na to.

- Wiem. - Oczy Nell pociemniały i Ripley dostrzegła w nich odbicie jej wewnętrznej siły, siły niedocenianej przez nikogo, łącznie

z samą Nell. - Ale nie byłam sama. - Wysoki dźwięk dzwonka przypomniał, że ktoś czeka przy ladzie. - Jedz już, bo ci zupa wystygnie.

I wyszła, witając klienta już od drzwi.

Ripley zaczęła jeść. Przy pierwszym łyku wzniosła z zachwytem oczy do nieba. Teraz liczy się tylko jedzenie, całą resztę można odłożyć na potem.

Nie zjadła nawet połowy, gdy usłyszała, jak Nell woła Mię.

- Ripley jest w kuchni. Ma do ciebie jakąś sprawę. Jasna cholera! Ripley pochyliła się nad miseczką, wiosłując pilnie.

- No proszę! Ależ czuj się jak u siebie! Mia Devlin, z rudą grzywą włosów spływających na ramiona długiej zielonej sukni, opierała się wdzięcznie o framugę drzwi. Była cudownie piękna. Kolor szminki na jej wydatnych ustach był równie krzykliwy jak jej włosów, a szare oczy miały barwę dymu wznoszącego się przy czarodziejskich obrzędach. Badawczo i jakby kpiąco przyglądała się Ripley.

- Oczywiście, że tak właśnie się czuję. - Ripley nie przerywała jedzenia. - Myślałam, że o tej porze kuchnia należy do Nell. Gdyby było inaczej, na pewno znalazłabym w zupie sierść nietoperza albo zęby smoka.

- Bardzo ciężko o zęby smoka o tej porze roku. Czym mogę służyć, pani władzo?

- Niczym. Ale przyszło mi do głowy, żeby zrobić coś dla ciebie.

- Zamieniam się cała w słuch. - Mia, smukła i wysoka, podeszła

do stołu i usiadła.

Ripley zauważyła, że nosi ulubione pantofle na cieniotkich jak igła obcasach. Nigdy nie mogła zrozumieć kobiet, które z własnej woli, bez żadnego przymusu, poddawały swoje stopy tak wymyślnym torturom.

Odłamała kawałek kruchego ciasta i schrupała je z apetytem.

- Straciłaś lokatorkę, od czasu gdy Nell wyszła za Zacka. Wiem, że nie wynajęłaś jeszcze swojego żółtego domku, ale może ci pomogę, bo szukam czegoś dla siebie.

- Naprawdę? - Zaintrygowana Mia też odłamała sobie trochę ciasta z talerzyka Ripley.

- Hej, ja za to płacę! Nie zwracając na nią uwagi, Mia włożyła ciasto do ust.

- W domu zrobiło się za ciasno?

- Dom jest wielki. - Ripley wzruszyła ramionami, usuwając resztę ciasta z zasięgu ręki Mii. - Chodzi o to, że twój stoi niewykorzystany. Jest przytulny i malutki, a mnie wiele nie trzeba. Mogłabym go wynająć.

- Co wynająć? - spytała Nell, która właśnie weszła do kuchni i otworzyła lodówkę, żeby wyjąć potrzebne jej składniki kanapki.

- Żółty domek - powiedziała Mia. - Ripley szuka domu dla siebie.

- Och, przecież... - Nell odwróciła się. - Przecież masz własny dom. I nas.

- Nie róbmy problemu. - Ripley zdała sobie sprawę, że należało

spotkać się z Mią w cztery oczy, ale było już za późno. - Po prostu pomyślałam, że byłoby fajnie mieć coś własnego, a że Mia akurat miała kłopot...

- Wprost przeciwnie - spokojnie odparła Mia. - Wcale nie mam kłopotu.

- Więc skoro nie chcesz, żebym ci pomogła... - Ripley rozłożyła ręce. - Trudno, nie moje zmartwienie.

- To ładnie, że o mnie pamiętałaś. - Głos Mii był słodki jak miód, co nigdy nie wróżyło niczego dobrego. - Ale tak się złożyło, że właśnie umówiłam się z nowym lokatorem. Dosłownie dziesięć minut temu.

- Gówno prawda. Byłaś u siebie w biurze, a Nell nikogo tam nie widziała.

- Umówiłam się telefonicznie - ciągnęła Mia - z doktorem z Nowego Jorku, który chce wynająć domek na trzy miesiące. Zawarliśmy pisemną umowę. Faksem. To chyba cię uspokoi.

Ripley nie potrafiła ukryć irytacji.

- Już powiedziałam: nie moje zmartwienie. Ale czego, u diabła, będzie ten doktor szukał na naszej wyspie przez trzy miesiące? Przecież mamy tu własnego lekarza.

- On nie jest lekarzem. To naukowiec. A skoro cię to tak interesuje, będzie tutaj pracował. Doktor Brooke bada zjawiska paranormalne i chciałby spędzić trochę czasu na wyspie stworzonej przez czarownice.

- Pieprzony dupek.

- Jak zawsze zwięźle. - Rozbawiona Mia wstała. - Zrobiłam swoje, a teraz muszę pójść sprawdzić, czy udałoby mi się wnieść trochę radości w czyjeś życie. - Podeszła do drzwi i zatrzymała się na moment, zanim się odwróciła. - Aha, Ripley. on przyjeżdża jutro. Jestem pewna, że byłby zachwycony, gdyby mógł cię poznać.

- Trzymaj tych twoich porąbanych łowców duchów z dala ode mnie. I niech ich szlag trafi. - Ripley wepchnęła do ust ogromny kawał ptysia z kremem. - Też sobie znalazła.

- Poczekaj, jeszcze nie wychodź. - Nell wzięła do ręki talerz z zamówionym daniem. - Peg przychodzi o piątej. Chciałabym z tobą pogadać.

- Mam patrol.

- Tylko chwilę. Proszę.

- Całkiem mi odebrała apetyt - poskarżyła się Ripley, mimo to jednak pożarła ptysia do końca.

Po kwadransie była już na ulicy. Nell nie odstępowała jej na krok.

- Musimy o tym porozmawiać.

- Nell, to nic takiego. Po prostu pomyślałam...

- Oczywiście, pomyślałaś. - Nell naciągnęła na uszy wełnianą czapkę. - Ale niczego nie powiedziałaś ani mnie, ani Zackowi. Chciałabym wiedzieć, dlaczego ci się wydaje, że nie możesz zostać w swoim domu.

- No dobra. - Ripley włożyła okulary przeciwsłoneczne i zgarbiła się. Szły teraz High Street w stronę posterunku. - Po prostu

pomyślałam, że ludziom po ślubie należy się trochę prywatności.

- Dom jest duży. Nie wchodzimy sobie wzajemnie w drogę.

Gdybyś była domatorką mogłabym od biedy zrozumieć, że kiepsko się czujesz, bo panoszę się w kuchni.

- To akurat najmniej mnie martwi.

- No właśnie. Przecież nie gotujesz. A może sobie wyobrażasz, że nie cierpię gotować dla ciebie?

- Wcale tak nie myślę. I jestem ci bardzo wdzięczna, Nell, naprawdę.

- A więc za wcześnie wstaję?

- Nie.

- Masz pretensję, że zajęłam jeden pokój na biuro dla mojej firmy cateringowej?

- Skądże, nikt go nie używał. - Ripley czuła się tak, jakby okładano ją aksamitną pałką. - Zrozum wreszcie, że tu nie chodzi ani o gotowanie, ani o zajęte pokoje, ani nawet o twój szokujący zwyczaj zrywania się przed świtem. Chodzi o seks.

- Co takiego?

- Ty i Zack uprawiacie seks. Nell przystanęła i wykręciła szyję, jakby chciała dokładnie przyjrzeć się twarzy Ripley.

- To fakt, nie przeczę. I to dość często.

- No więc sama widzisz.

- Ripley, zanim oficjalnie wprowadziłam się do tego domu, też często kochaliśmy się z Zackiem. I nie było to wtedy dla ciebie problemem.

- To co innego. Wtedy to był zwyczajny seks, a teraz jest małżeński.

- Jasne. Ale mogę cię zapewnić, że to odbywa się dokładnie tak samo.

- Ha, ha! - Ripley pomyślała, że Nell naprawdę bardzo się zmieniła, kiedyś bała się każdej sprzeczki.

Ale to już minęło.

- Zgodzisz się, że to nienormalne? Bawicie się z Zackiem w te rzeczy i nieustannie macie mnie na karku. A gdyby wam się zachciało tanga na leżąc na dywanie w jadalni? Albo kolacji na golasa?

- To pierwsze rzeczywiście już zaliczyliśmy, a teraz poważnie przymierzam się do drugiego. - Nell delikatnie pogłaskała ramię Ripley. - Nie chcę, żebyś się wyprowadziła.

- O Jezu, to przecież mała wyspa. Nie będzie trudno do mnie dotrzeć, obojętnie gdzie zamieszkać.

- Nie chcę, żebyś się wyprowadziła - powtórzyła Nell. - I mówię to od siebie, a nie w imieniu Zacka. Możesz z nim porozmawiać osobno i dowiedzieć się, co on sam o tym myśli. Ripley... Ja nigdy nie miałam siostry.

- O rany. - Przydały się ciemne okulary. - Nie rozklejaj się, a przynajmniej nie tutaj, na ulicy.

- Nic na to nie poradzę. Lubię wiedzieć, że tam jesteś i że zawsze mogę z tobą pogadać. Spędziłam tylko parę dni z twoimi rodzicami, kiedy przyjechali na wesele, ale teraz, gdy już ich znam i gdy mam ciebie, czuję się znów w rodzinie. Dlaczego dalej nie

mogłoby być tak samo, przynajmniej na razie?

- Czy Zack kiedykolwiek ci czegoś odmawia, gdy wlepiasz w niego te niebieskie ślepia?

Oczy Nell się roześmiały.

- Nigdy, jeżeli wie, że to jest dla mnie naprawdę ważne. A jeśli się nie wyprowadzisz, mogę ci obiecać, że kiedy zastaniesz nas uprawiających seks, udamy, że nie jesteśmy małżeństwem.

- To już lepiej. Tak czy inaczej, skoro ten buc z Nowego Jorku zgarnął mi domek spod nosa, muszę na razie odpuścić. - Westchnęła ciężko.

- Badacz zjawisk paranormalnych, ja cię kręcę. Doktor. - Drwiny poprawiały jej nastrój. - Debilny doktor. Mia wynajęła mu dom tylko po to, żeby mnie spławić.

- Wątpię, lecz jestem pewna, że ucieszyła się z dodatkowego dochodu. Bardzo bym chciała, żebyście wreszcie przestały się wciąż na siebie boczyć. Miałam już nadzieję, że po tym... po tym, co zaszło podczas Halloween, stałyście się na powrót przyjaciółkami.

Ripley nagle zeszywniała.

- Wszystkie zrobiliśmy to, co należało. Ale z tym już koniec. Jeśli chodzi o mnie, nic się nie zmieniło.

- Skończył się tylko pewien etap - sprostowała Nell. - Jeśli legenda...

- Legenda to jeden wielki humbug. - Sama myśl o tym psuła Ripley humor.

- Jednak my nie jesteśmy humbugiem. Ani to, co jest w nas.

- To wyłącznie moja sprawa, co zrobię z tym, co jest we mnie.
Nie wtykaj w to nosa, Nell.

- W porządku. - Kiedy Nell uścisnęła dłoń Ripley, obie nawet przez rękawiczki poczuły, jak przeskoczyła iskra energii. - Spotkamy się przy kolacji.

Ripley, zaciskając pięść, patrzyła za odchodzącą Nell. Wciąż czuła mrowienie. Podstępna mała czarownica, pomyślała. Była pełna podziwu.

Sny pojawiały się późną nocą, kiedy jej umysł otwierał się, a wola drzemała. W dzień mogła zaprzeczać, zabraniać sobie trwania przy podjętej przed kilkunastu laty decyzji.

Ale sny nie poddawały się jej woli i błędziły po manowcach.

W snach stała na plaży, samotna w obliczu groźnie piętrzących się fal. Pod ośleplonym niebem. Czarne i zawzięte, waliły o brzeg jak tysiące uderzeń szalejącego serca.

Światło dawały tylko węże błyskawic przecinające ciemność, gdy wznosiła ręce, a bijący od niej blask miał barwę złota przechodzącą w morderczą czerwień.

Nie ustawało wycie wiatru.

Jego wściekłość i bezlitosna, nieujarzmiona siła poruszały ją głęboko, przedziwnie podniecały. Była teraz poza prawem, poza wszelkimi normami.

I pozbawiona nadziei.

Tylko jakaś jej cząstka, wciąż rozedrgana, roniła gorzkie łzy z powodu straty.

Zrobiła, co należało, a teraz przyszła pora na pomstę krzywd. Śmierć za śmierć. Krąg uformowany przez nienawiść. Po trzykroć.

Wydała okrzyk triumfu, czując, jak wypełniają mroczny dym magii, który splamił i zdławił to, czym była wcześniej, to, w co wierzyła i co przysięgała.

Tak jest lepiej, myślała, a jej złożone dłonie drżały od mocy i pragnienia. Wobec twardej potęgi terażniejszości przeszłość była zwiotczała, miękka i blada.

Teraz może wszystko. Może brać i może panować. Nikt i nic jej nie powstrzyma.

Wirowała po piasku w szalonym tańcu, z rękami rozpostartymi jak skrzydła, z włosami wijącymi się jak węże. Rozkoszowała się śmiercią mordercy jej siostry, ostrym zapachem przelanej przez siebie krwi i była pewna, że nigdy jeszcze nie czuła się tak zaspokojona.

Jej śmiech jak wystrzelony pocisk strzaskał czarną misę nieba. Mroczna ulewa spadała na piasek, sycząc, jakby z nieba lał się żrący kwas.

Wzywał ją.

Jego głos przebijał się przez szaleństwo tej nocy i przez jej własną wściekłość. Płonąca w niej iskierka usiłowała rozpalić się w płomień.

Widziała go. Cień, który chciał do niej dotrzeć, zmagając się z wichurą i deszczem. Miłość szamotała się i łkała w ostyglYM sercu. - Odejdź! - Jej grzmiący krzyk wstrząsnął światem. A jednak wciąż się zbliżał, wyciągając ku niej ręce, żeby ją złapać i porwać. Przez chwilę

w mroku nocy widziała nawet błysk jego oczu. Czytała w nich miłość i strach.

Z nieba runęła ognista, mieniąca się złotem i czerwienią włócznia. Znów krzyczała, czując, jak bucha w niej wewnętrzny płomień. I wtedy przeszło go ostrze włóczni.

Umierała razem z nim. Powracał do niej ten sam ból i strach, który sama wysłała w ciemności. Wracał po trzykroć. Światło w niej zgasło. Czowała tylko pustkę i chłód.

ROZDZIAŁ 2

Nie wyróżniał się spośród pozostałych pasażerów promu. Wiatr szarpał połami jego długiego płaszcza i rozwiewał mu włosy. Miały pospolity odcień ciemnoblondego, nic szczególnego.

Nie zapomniał się ogolić, a przy goleniu zaciął się tylko dwa razy, tuż pod mocno zarysowaną linią szczęki.

Aparatem fotograficznym o długim obiektywie próbował utrwalić widoki zbliżającej się wyspy.

Na skórze wciąż nosił ślady tropikalnej opalenizny z Borneo. Podkreślała świetlisty brąz jego oczu w kolorze świeżego miodu. Miał poczciwą, może odrobinę zbyt pociągłą twarz i prosty, cienki nos.

Zapadnięte policzki zwracały uwagę zwłaszcza wtedy, gdy pochłonięty pracą całymi tygodniami zapominał o regularnych posiłkach. Nadawało mu to intrygujący wygląd uczonego ascety.

Zmysłowe usta zdradzały skłonność do śmiechu.

Był szczupły, może nawet chudy.

I trochę niezgrabny.

Musiał mocno chwycić barierkę, żeby nie wylecieć za burtę rozkołysanego promu. Oczywiście, za daleko się wychylił, lecz zaprzątnięty myślami zapominał o niebezpieczeństwie.

Złapał równowagę i sięgnął do kieszeni płaszcza po gumę do żucia.

Gumy nie było. ale znalazł jakieś stare dropsy, parę pomiętych kartek z notesu, bilet - obejrzał go ze zdziwienia, bo nie pamiętał, kiedy ostatni raz był w kinie - i osłonę obiektywu, której tak długo

szukał.

Zadowolili się cytrynowym dropsem i patrzył na wyspę.

Dyskutował z szamanem w Arizonie, w górach Siedmiogrodu odwiedził człowieka, który podawał się za wampira, a po godnym ubolewania incydencie w Meksyku został wyklęty przez *brujo* - tamtejszego czarownika. W małym domku w Kornwalii mieszkał z duchami, w Rumunii zaś gromadził materiały na temat wierzeń i rytuałów nekromantów.

Od dwunastu lat MacAllister Brooke był badaczem i świadkiem tego, co niemożliwe. Prowadził wywiady z czarownicami, duchami, wilkołakami. z ludźmi nawiedzonymi przez przybyszów z kosmosu i okultystami. W dziewięćdziesięciu ośmiu procentach przypadków wykrywał oszustwo lub przywidzenie. A pozostałe dwa procent - no cóż, wystarczało, by podtrzymać jego ciekawość.

To było coś więcej niż wiara w sprawy nadprzyrodzone - podporządkował temu całe życie.

Teraz zapalił się do pomysłu, by spędzić kilka miesięcy na skrawku lądu. oddzielonego - jak głosi legenda - od Massachusetts przez trzy czarownice, które znalazły na nim schronienie.

Poświęcił sporo czasu Wyspie Trzech Sióstr, szukając wszelkich informacji o Mii Devlin, żyjącej tam współczesnej czarownicy. Nie obiecywała, że zgodzi się na wywiad, i nie robiła nadziei, że zaprezentuje mu swoje umiejętności, liczył jednak, że na miejscu jakoś się z nią dogada.

Ktoś, kto umiał przekonać druidów, by dopuścili go do swoich

obrzędów, zapewne potrafi też namówić samotną czarownicę, by mu pokazała, jak działają jej zaklęcia.

A poza tym mógł jej zaproponować transakcję. Miał coś, co z całą pewnością musi się wydać interesujące nie tylko jej, ale i każdemu objętemu klątwą sprzed trzech wieków.

Podniósł ponownie do oczu aparat, szukając najlepszego kadru dla wznoszącej się na skałach smukłej, białej latarni morskiej i przycupniętego u jej podnóża starego kamiennego domu. Wiedział, że właśnie tam, wysoko nad miasteczkiem, w pobliżu gęstego zagajnika mieszka Mia.

Wiedział też, że jest właścicielką przynoszącej niezły dochód księgarni. Praktyczna czarownica, pomyślał, która, jak wszystko na to wskazuje, potrafi się nieźle urządzać i w magicznym, i w całkiem realnym świecie.

Nie mógł się już doczekać spotkania z Mią.

Buczenie syreny przypomniało, że pora szykować się do zejścia na ląd. Podszedł do swojego land - rovera, schował aparat do torby i postawił ją obok innych bagaży na tylnym siedzeniu.

Oslona obiektywu pozostała tam, gdzie była - w kieszeni płaszcza. Znowu o niej zapomniał.

Ostatnie minuty wykorzystał na sporządzenie notatki do swojego dziennika.

Przyjemna podróż promem - słonecznie i chłodno. Zrobiłem sporo zdjęć wyspy w różnych ujęciach, ale będę jeszcze musiał wynająć łódź, żeby sfotografować ją od strony oceanu.

Z geograficznego i topograficznego punktu widzenia Wyspa Trzech Sióstr nie jest niczym osobliwym. Ma powierzchnię około piętnastu kilometrów kwadratowych i liczy niespełna trzy tysiące mieszkańców, to głównie rybacy i osoby zatrudnione w usługach turystycznych. Jest tu mała piaszczysta plaża, liczne zatoki i grotty. Część wyspy porasta las, w którym żyją jelenie wirginijskie, króliki i szopy. Przeważa typowe ptactwo morskie, ale w lesistej części występują też sowy, jastrzębie i gatunek wielkiego dzięcioła.

Większość ludności mieszka w jednym na wyspie miasteczku lub w jego pobliżu, w promieniu kilometra; zdarzają się jednak położone dalej pojedyncze domy i pensjonaty.

Wygląd wyspy nie wskazuje na to, by była ona terenem występowania zjawisk paranormalnych. Moje doświadczenie mówi mi jednak, że pozory nie mogą zastąpić dowodów.

Z niecierpliwością czekam na spotkanie z panią Devlin i na rozpoczęcie badań.

Poczuł słaby wstrząs, gdy prom dobił do nabrzeża, ale nie podniósł oczu i pisał dalej.

Zejsście na ląd. Wyspa Trzech Sióstr. 6 stycznia 2002 roku.

Spojrzał na zegarek. 12.03

Ulice miasteczka były schludne, wyglądały jak z obrazka w książeczce dla dzieci. Ruch samochodowy - minimalny. Mac jechał powoli, rejestrując ważniejsze punkty na taśmie dyktafonu. Potrafił odnaleźć w dżungli starożytne ruiny Majów, posługując się mapką nagryzmołoną na zmiętej serwetce, lecz na miejskich ulicach

natychmiast tracił orientację i zapominał adresów. Bank, poczta, market, aha, jeszcze pizzeria!

Bez trudu znalazł wolne miejsce i zaparkował o parę kroków od lokalu Kawiarnia i Książki. Od razu mu się spodobało - okno wystawowe, widok na morze. Sięgnął po neseser, ot tak, na wszelki wypadek wrzucił do niego dyktafon i wysiadł.

Wnętrze zrobiło na nim jeszcze lepsze wrażenie. Ogień wesoło trzaskający w kamiennym kominku, wielki kontuar ozdobiony rzeźbionymi księżycami i gwiazdami. Siedemnasty wiek, uznał, kwalifikowałoby się do muzeum. Mia Devlin najwyraźniej ma gust i talent.

Ruszył ku kontuarowi, za którym na wysokim krześle siedziała malutka, podobna do gnoma kobieta, ale nim doszedł, kątem oka zauważył jakiś ruch, coś kolorowego. Spomiędzy regałów wyszła uśmiechnięta Mia.

- Dzień dobry. Czym mogę służyć? W pierwszej chwili zapało mu dech.

- Jestem, eee, hm... Szukam pani Devlin. Mii Devlin.

- Właśnie ją pan znalazł. - Podeszła do niego z wyciągniętą ręką.

- Pan MacAllister Brooke?

- Tak. - Miała długą i wąską dłoń, a pierścionki połyskiwały na jej tle jak klejnoty na jedwabiu. Bał się, żeby nie ścisnąć jej za mocno.

- Witam na Wyspie Trzech Sióstr. Zapraszam na górę. Proponuję filiżankę kawy, a może lunch? Kawiarnia i książki to nasza duma.

- Rzeczywiście, chętnie zjadłbym lunch. Słyszałem wiele

dobrego o pani firmie.

- Świetnie. Mam nadzieję, że podróż odbyła się bez przygód? Na razie bez, pomyślał.

- Dziękuję, wszystko w porządku. - Szedł za nią po schodach. - Podoba mi się ten lokal.

- Mnie też. - Przez ramię posłała mu uśmiech, mógł więc jeszcze raz spojrzeć na jej zachwycającą twarz w zmysłowej aureoli ciemnoczerwonych włosów. - Zrobi mi pan przyjemność, korzystając z niego podczas pobytu na wyspie. A to moja przyjaciółka i artystka w dziedzinie kulinariów, Nell Todd. Nell, to doktor Brooke.

- Miło pana poznać. Pokazała w uśmiechu dołączki i wychyliła się przez ladę, by podać mu rękę.

- Doktor Brooke właśnie przyплыł na wyspę i z pewnością chciałby coś przekąsić. Proszę czuć się jak w domu, doktorze, i po prostu powiedzieć Nell. na co miałby pan ochotę.

- Zjadłbym chętnie kanapkę i wypił cappuccino. Czy te ciasta to też pani dzieło?

- Nie da się ukryć. Dzisiaj polecam szarlotkę.

- W takim razie spróbuję.

- A dla ciebie, Mia? - spytała Nell.

- Tylko porcja zupy, a potem herbata jaśminowa.

- Już się robi. Za chwilę podam wam do stolika.

- Widzę, że nie muszę się martwić o następny posiłek - powiedział Mac, gdy siadali przy stoliku pod oknem.

- Nell ma także firmę cateringową. Dostarcza potrawy na

zamówienie.

- Dobrze wiedzieć. - Dwukrotnie zamknął oczy, porażone olśniewającym blaskiem jej twarzy. - Trudno, muszę to wyrzucić z siebie i mam nadzieję, że nie poczuje się pani urażona. W życiu nie spotkałem jeszcze piękniejszej kobiety.

- Dziękuję. - Oparła się wygodniej. - I nie czuję się ani trochę urażona.

- Wspaniale. Nie chciałbym zaczynać od faux pas, bo zależy mi na pani współpracy.

- Tłumaczyłam już panu przez telefon, że nie pracuję dla publiczności.

- Być może zmieni pani zdanie, jeśli bliżej mnie pani pozna. Ma zniewalający uśmiech, pomyślała. Czarująco zdradziecki, zwodniczo niewinny.

- No cóż, zobaczymy. A co do pańskich zainteresowań samą wyspą i jej historią, nie powinno zabraknąć materiału. Większość mieszkańców pochodzi z rodzin, które żyją tu od wielu pokoleń.

- Na przykład Toddowie - powiedział, oglądając się w stronę bufetu.

- Nell wyszła za Todda dwa tygodnie temu. Zachary Todd to nasz szeryf. Ona sama mieszka na wyspie od niedawna, ale Toddowie żyją tu rzeczywiście od wielu pokoleń.

Mac wiedział, że Nell była żoną Evana Remingtona. Człowieka, który kiedyś wiele znaczył w przemyśle rozrywkowym. Człowieka, który okazał się niebezpieczny i po ubezwłasnowolnieniu został

zamknięty w zakładzie psychiatrycznym.

I aresztował go właśnie szeryf Todd. Stało się to tutaj, na wyspie, po dziwnych wydarzeniach w noc Halloween.

Samhain. Sabat w dniu Samhainu.

O tym Mac chciał się dowiedzieć czegoś więcej.

Zanim jednak zdążył zapytać, zauważył w oczach Mii coś zimnego i ostrzegawczego, ugryzł się więc w język. Zrezygnował i uśmiechnął się do Nell, która akurat podała im lunch.

- Wygląda fantastycznie, dziękuję.

- Życzę smacznego. Mia, czy nadal odpowiada ci dzisiejszy wieczór?

- Oczywiście.

- Będę o siódmej. Proszę dać znać, gdyby pan miał jeszcze na coś ochotę, doktorze.

- Nell dopiero wróciła z podróży poślubnej - powiedziała cicho Mia, gdy znów zostali sami. - Myślę, że na razie należałoby unikać zadawania jej pewnych pytań.

- W porządku.

- Czy zawsze zgadza się pan tak łatwo, doktorze?

- Na imię mi Mac. Nie zawsze. Ale nie chciałbym od razu na wstępie wyprowadzić cię z równowagi. Świetne. - Ugryzł kawał sandwicza i pochwalił. - Naprawdę znakomite.

Pochyliła się do przodu, grzebiąc łyżką w zupie.

- Żeby uspić czujność tubylców?

- Ty też jesteś znakomita. Masz zdolności okultystyczne?

- Wszyscy je mamy, przynajmniej w pewnym stopniu. W jednej z twoich prac czytałam, że powinniśmy rozwijać coś, co określiłeś jako zaniedbany szósty zmysł.

- Czytałaś moje prace?

- Owszem. Wcale nie zaniedbuję tego, co jest we mnie. Ale też nie wykorzystuję tego ani nie daję się wykorzystywać. Zgodziłam się wynająć ci mój domek i rozmawiać z tobą z jednego prostego powodu.

- Jakiego mianowicie?

- Masz błyskotliwy i co ważniejsze elastyczny umysł. To budzi mój podziw. Czas pokaże, jak dalece można ci ufać. - Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do siebie. - A oto dość bystry, ale zupełnie nieelastyczny umysł. Zastępca szeryfa Ripley Todd.

Mac popatrzył na atrakcyjną, długonogą brunetkę, która podeszła do bufetu, oparła się o ladę i rozmawiała z Nell.

- Ripley to jeszcze jedno częste tutaj imię.

- To siostra Zacka. Ich matka jest z Ripleyów. Ta rodzina i po mieczu, i po kądzieli związana jest z Siostrami. Bardzo mocno związana - mruknęła Mia. - Gdybyś potrzebował w swoich badaniach dla równowagi trochę sceptycyzmu, Ripley ma go pod dostatkiem.

Mia nie mogła się oprzeć, by nie rzucić okiem w stronę Ripley. Zerknęła na nich.

Można byłoby się spodziewać, że pośle jej szyderczy uśmiech i odejdzie w przeciwnym kierunku, ale nieznana na wyspie twarz budziła zainteresowanie.

Niezły facet, pomyślała, podchodząc. Trochę w typie mola książkowego. Uderzona tą myślą, ściągnęła brwi. Mól książkowy. Doktor cudologii.

- Doktor MacAllister Brooke, zastępca szeryfa Ripley Todd.

- Bardzo mi miło. - Wstając, zaskoczył Ripley wzrostem. Ma strasznie długie nogi, stwierdziła.

- Nie wiedziałam, że można zrobić doktorat z kretyństwa.

- Widzisz, jaka urocza? - Mia uśmiechnęła się promiennie. - Właśnie mówiłam Macowi, że powinien zająć się twoim ciasnym, ograniczonym umysłem. Zresztą nie wymagałoby to wiele czasu.

- Wypchaj się. - Ripley wetknęła kciuki w kieszenie dżinsów, uważnie przyglądając się twarzy Maca. - Nie jestem pewna, czy chciałby pan słuchać tego. co mam do powiedzenia. Mia to kapłanka tutejszego voodoo. Jeśli będzie pan potrzebował pomocy w jakiejś konkretnej sprawie, może pan z tym zwrócić się do mnie albo do szeryfa.

- Z góry dziękuję. Aha, gwoli wyjaśnienia, na razie mam tylko magisterium z kretyństwa. Szykuję się dopiero do obrony pracy doktorskiej.

Skrzywiła się.

- Fajnie. Czy to pański rover stoi przed lokalem?

- Mój. - Czyżby znów zostawił kluczyki w samochodzie?

Dotknął dłonią kieszeni. - Coś nie w porządku?

- Nie. Życzę przyjemnego pobytu. A teraz muszę coś przekąsić.

- Ona wcale nie chciała cię umyślnie obrazić - powiedziała Mia,

gdy Ripley już odeszła. - Po prostu taką ma naturę.

- Nic nie szkodzi - odparł, spokojnie jedząc dalej. - Często spotykam się z takimi reakcjami. - Spojrzeli na siebie. - Myślę, że ty także.

- Rzeczywiście, czasami. Jesteś okropnie dobrze wychowany i starasz się być miły.

- Niestety, wiem. To bywa nudne.

- Wcale nie. - Mia podniosła filiżankę i przyjrzała mu się bacznie. - Przeciwnie.

Mac zostawił swoje rzeczy w samochodzie i poszedł obejrzeć żółty domek. Przekonał Mię, że nie musi poświęcać mu czasu. W rzeczywistości zależało mu na tym, by móc zapoznać się z nowym miejscem bez niej. Jej silna osobowość go rozpraszała.

Domek był nieduży i urzekająco staroświecki, zdecydowanie lepszy od większości kwater, z jakich dotychczas korzystał podczas swoich wypraw naukowych. Ludzie, których spotykał, na ogół uważali, że najlepiej byłoby mu w ciemnej i zakurzonej bibliotece. Czasami rzeczywiście tak, ale równie dobrze czuł się w dżungli z namiotem - jeśli tylko miał baterie do swojej aparatury.

W małym i przytulnym saloniku znalazł kuszącą kanapę i przygotowany do rozpalenia kominek. Postanowił zająć się tym od razu i w roztargnieniu przeszukiwał kieszenie, dopóki nie spostrzegł pudełka z zapalkami leżącego na wąskim gzymsie kominka.

Uradowany okazaną mu troskliwością, rozpalił ogień i obszedł pozostałe pomieszczenia. Miał zwyczaj mówić do siebie, więc jego

głos rozbrzmiewał w pustce.

- Dwie sypialnie. Ta nada się na drugą pracownię. Pierwszą urządzię w saloniku. Kuchnia może się przydać, gdybym musiał coś gotować. Nell Todd.

Znów przeszukał kieszenie i wyjął wizytówkę firmy Catering Trzech Sióstr, którą zabrał z lady w kawiarni. Położył ją na samym środku kuchenki, żeby od razu wpadła mu w oko, gdyby pomyślał o gotowaniu.

Wyjrzał z okna. Spodobała mu się bliskość lasu i to, że domek stał samotnie. Często pracował po nocach i nie chciał zatargów z sąsiadami.

Rzucił torbę z rzeczami na łóżko w większej sypialni, a potem sam usiadł na brzegu i sprawdził, czy jest miękkie.

Wyobraził sobie Mię.

- Spokojnie, człowieku - ostrzegł sam siebie. - Żadnych kudłatych myśli o kobiecie, która potrafiłaby wybić ci je z głowy. I która w dodatku jest głównym obiektem twoich badań.

Zadowolony z warunków, jakie zastał w swoim nowym lokum, wyszedł na dwór i zaczął wnosić do domu bagaże z rovera.

Za drugim nawrotem spostrzegł podjeżdżający samochód szeryfa. Wysiadła z niego Ripley.

- Miło panią widzieć.

- I ja się cieszę, że pana widzę. - Czuła się winna, że wcześniej tak szorstko go potraktowała. Nie miałaby tego poczucia winy, pomyślała z urazą, gdyby nie Nell, która ją za to zbeształa. - Sporo

tego pan przywiózł.

- Och, to tylko część. Jutro przywiozą więcej. Wścibska z natury, zajrzała do bagażnika.

- Więcej niż tutaj?

- Jasne. Masę fajnego sprzętu. Odwróciła głowę.

- Sprzętu?

- Różne urządzenia. Skanery, mierniki, kamery, komputery. Zabawki ekstra.

Wyglądał na tak uradowanego, że nie wypadało się z niego naśmiewać.

- Pomogę panu to przenieść do domu.

- Dzięki. Ale niektóre rzeczy są porządnie ciężkie. Roześmiała się i wyciągnęła z samochodu dużą skrzynię.

- Poradzę sobie. Bez wątpienia, pomyślał i poszedł przodem.

- Dziękuję. Ćwiczysz pani wyciskanie z ławeczki? Z jakim obciążeniem?

Uniosła brwi.

- Robię dwanaście powtórzeń po czterdzieści pięć kilogramów na jeden raz. - Nie była w stanie ocenić jego sylwetki pod długim płaszczem i w grubym swetrze. - A pan?

- Och, mniej więcej tyle samo, uwzględniając różnicę wagi ciała. Kiedy wracał do samochodu, znowu szła za nim, usiłując wyobrazić sobie kształt jego ramion. I tyłka.

- Co zamierza pan robić z tym całym... fajnym sprzętem?

- Badać, obserwować, rejestrować, gromadzić dokumentację.

Zjawiska ponadmysłowe, paranormalne, wiedza tajemna. Wszystko, co niezwykle i odmienne.

- Cudactwa. Uśmiechnął się. Ale nie ustami, zauważyła, tylko oczami.

- Niektórzy ludzie tak właśnie myślą. Przenieśli razem resztę pudeł i toreb.

- Rozpakowywanie tego zajmie panu przynajmniej tydzień. Drapiąc się w głowę, patrzył na stosy pakunków zajmujących całą wolną powierzchnię.

- Nie miałem zamiaru sprowadzać aż tyle sprzętu, ale nigdy nie wiadomo, co może się przydać. Kiedy byłem na Borneo, wściekałem się na siebie, że nie zabrałem zapasowego wykrywacza energii ani wykrywacza ruchu. Niestety. Na Borneo czegoś takiego nie można znaleźć.

- Jasne.

- Coś pani pokażę. - Zdjął płaszcz, cisnął go niedbale na bok i przykucnął, grzebiąc w pudle.

A to niespodzianka, pomyślała Ripley. Doktor cudologii ma całkiem zgrabny tyłek.

- Proszę spojrzeć, przyrząd jest przenośny i przystosowany do obsługi jedną ręką. Sam go zaprojektowałem.

Urządzenie skojarzyło jej się z małym licznikiem Geigera, choć wcale nie była pewna, czy rzeczywiście widziała kiedyś taki licznik.

- Wykrywa i mierzy pozytywne i negatywne siły - wyjaśniał. - Mówiąc po prostu, reaguje na naładowane cząsteczki w powietrzu, w

ciałach stałych, nawet w wodzie. Tyle że ten egzemplarz nie działa pod wodą, ale pracuję już nad nową wersją. Mogę go podłączyć do komputera i otrzymać graficzny wydruk pokazujący wielkość i natężenie siły, a także inne związane z nią dane.

- Ho, ho. - Zerknęła na jego twarz. Wygląda tak poważnie, pomyślała, tak bardzo zachwyca się swoim małym, przenośnym gadżetem. - Chyba ma pan na tym punkcie całkowitego świra, co?

- Sporego. - Pstrykał przyrządem, żeby sprawdzić baterie. - Zawsze pasjonowałem się zjawiskami ponadzmysłowymi i elektroniką. Znalazłem sposób, żeby móc zajmować się jednym i drugim.

- I tym, na co tylko przyjdzie ochota. - Szperała w pudłach. Jakby piorun trafił w sklep ze sprzętem elektronicznym. - To wszystko musiało sporo kosztować?

- Mmm... - Jej słowa nie dotarły do niego, bo zauważył, że uruchomiony miernik wyraźnie reaguje.

- Czy na coś takiego dostaje się jakieś granty?

- Hm, może, ale nigdy się o nie nie ubiegałem. Jestem naprawdę bogatym świrem.

- Serio? Niech pan tego nie mówi Mii, bo natychmiast podniesie czynsz. - Zaciekawiona przeglądała dalej pudła. Zawsze lubiła ten mały domek i wciąż czuła złość, że to nie ona się tu wprowadza. A historia z MacAllisterem nie układała się jej w żadną sensowną całość.

- Wie pan, nie mam zwyczaju wtykać nosa w cudze sprawy i naprawdę nie obchodzi mnie, co pan robi, ale muszę powiedzieć, że

coś tu się nie zgadza. Profesor od cudactw, świrnięty bogaty facet i żółty domek. Czego pan właściwie szuka?

Tym razem się nie uśmiechnął. Jego twarz przybrała wyraz skupionej, niesamowitej determinacji.

- Odpowiedzi.

- Jakich?

- Jakie tylko zdołam uzyskać. Ma pani ogromne oczy.

- Co?

- Nagle to zauważyłem. Są zielone. Nie szare, nie niebieskie, lecz mocno zielone. Piękne.

Przechyliła głowę i spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

- Pan mnie podrywa, doktorze?

- Ależ nie. - Omal się nie zaczerwienił. - Po prostu zwróciły moją uwagę, to wszystko. Często nie zdaję sobie sprawy, że mówię na głos, wszystko co tylko przychodzi mi do głowy. - Uśmiechnął się trochę bezradnie. - To skutek samotności i nawyku głośnego myślenia.

- Jasne. Dobra, muszę już iść. Wetknął miernik do kieszeni, zapominając go wyłączyć.

- Bardzo dziękuję za pomoc. Bez urazy, okej?

- Okej. - Wyciągnęła do niego rękę. W chwili gdy ich palce się zetknęły, przyrząd w kieszeni zaczął przenikliwie piszczeć.

- O, do licha! Proszę zaczekać. Proszę tak zostać. Próbowwała uwolnić dłoń, jednak trzymał ją zaskakująco mocno.

Wolną ręką wydlubał miernik z kieszeni.

- Proszę popatrzeć - jego głos zdradzał podniecenie - jeszcze nigdy nie udało mi się wykryć takiej siły. Prawie zabrakło skali.

Mruczał jakieś liczby, jakby starając się siebie zapamiętać, i ciągnął ją za rękę po pokoju.

- Przestań, człowieku. Co pan sobie właściwie wyobraża...

- Muszę to zanotować. Która godzina? Druga dwadzieścia trzy i szesnaście sekund. - Zaaferowany przesuwiał miernik ponad ich złączonymi dłońmi. - O Jezu, niech pani patrzy, jak skacze. Co jest?

- Puść mnie natychmiast albo cię rąbnę!

- Co? - Popatrzył jej w twarz, nie bardzo wiedząc, czego od niego chce. Spojrzenie oczu, które przed chwilą tak podziwiał, było teraz twarde jak kamień. - Przepraszam. - Uwolnił jej rękę i pisk detektora zaczął natychmiast cichnąć. - Przepraszam - powtórzył. - Całkiem mnie pochłonęło to nowe zjawisko. Gdyby mogła pani poświęcić jeszcze minutkę, połączyłbym miernik z komputerem, żeby zarejestrować wyniki.

- Nie mam zamiaru marnować czasu na zabawy elektronicznymi gadżetami. - Ze złością spojrzała na przyrząd. - Chyba powinien pan sprawdzić swój sprzęt.

- Nie sądzę. - Wyciągnął rękę, którą jej dotykał. - Czuję wibracje dłoni. A pani?

- O czym pan mówi?!

- Tylko dziesięć minut. Niech mi pani da tylko dziesięć minut na przygotowanie sprzętu i spróbujemy jeszcze raz. Chciałbym sprawdzić nasze podstawowe dane. Temperaturę ciała i otoczenia.

- Nigdy nie pozwalałam facetom sprawdzać moich podstawowych danych, chyba że najpierw postawią mi kolację. - Wykonała znaczący gest kciukiem. - Zejdź mi z drogi. Posłusznie ustąpił.

- Postawię pani kolację.

- Dziękuję. - Nie oglądając się, szła prosto ku drzwiom. -
Zupełnie nie jest pan w moim typie.

Wyszła, trzasnąwszy drzwiami, a Mac sięgnął po dyktafon i zaczął utrzymywać dane.

- Ripley Todd. Zastępca szeryfa Ripley Todd, chyba poniżej trzydziestki. Arogancka, podejrzliwa, czasami ordynarna. Do incydentu doszło podczas fizycznego kontaktu, podania dłoni. Objawy: mrowienie, uczucie ciepła na skórze przenoszące się od miejsca kontaktu w górę prawej ręki aż do barku. Przyspieszone bicie serca i przejściowe uczucie euforii. Brak danych o fizycznej reakcji Ripley Todd, ale można odnieść wrażenie, że odczuła to samo, co wywołało jej irytację i bunt.

Usiadł na kanapie i ciągnął dalej:

- Z przeprowadzonego badania i bieżących obserwacji można wyprowadzić wstępną hipotezę, że Todd należy do potomków w linii prostej Trzech Sióstr. - Zaciskając mocno wargi, wyłączył dyktafon. - I wydaje się, że to właśnie wyprowadza ją z równowagi.

Mac nie potrzebował tygodnia, aby wypakować i rozstawić sprzęt, ale zabrało mu to resztę popołudnia i cały wieczór. Kiedy skończył, salonik przypominał naszpikowane elektroniką laboratorium pełne monitorów, kamer i przyrządów. Wszystkie niewielkie meble

zepchnął do jednego kąta, a ich miejsce zajęły urządzenia. Wolnej przestrzeni, żeby się swobodnie poruszać, prawie nie zostało, ale też nie była mu potrzebna.

Kiedy już uporał się z robotą, spostrzegł, że ogień na kominku dawno wygasł, on sam zaś porządnie zgłodniał.

Przypomniawszy sobie o pizzerii, chwycił płaszcz i wyszedł.

Brnął w gęstym mroku, rozjaśnianym tylko słabym blaskiem księżycy i nielicznych gwiazd. Miasteczko, które znajdowało się, jak zdołał odtworzyć w pamięci, o jakieś kilkaset metrów na południe, widoczne było z dala w postaci ciemnych sylwetek domów rysujących się na tle ulicznych świateł.

Skonsternowany spojrział na zegarek. Zaklął. Minęła już jedenasta. W tym szczerym polu na maleńkiej wyspie mógł się pożegnać z nadzieją na wieczorną pizzę.

Żołądek, domagając się kolacji, wściekle protestował. Mac bywał nieraz głodny, przeważnie na skutek własnego roztargnienia, ale zawsze źle to znosił.

Postanowił wrócić do domu - może tam znajdzie jakieś resztki, chyba w teczce zostawił starą torebkę z mieszanką czekoladową albo z cukierkami, dobrze nie pamiętał. Niczego jednak w niej nie znalazł, za to czekała go miła niespodzianka: w lodówce stało naczynie z gotowymi małżami, była też wskazówka, jak je podgrzać, oraz pozdrowienia od firmy Catering Trzech Sióstr.

- Kocham Nell Todd. Jestem jej niewolnikiem. - Uradowany włożył naczynie do kuchenki mikrofalowej, zgodnie z instrukcją

nastawiając czas i temperaturę. Zapach podgrzanych małży sprawił, że łązy napłynęły mu do oczu.

Pochłonął wszystko na stojąco.

Syty, pokrzepiony i znów pełen życia, zdecydował się wyruszyć na spacer w stronę plaży.

Wrócił po dwóch minutach i odszukał latarkę.

Lubił słuchać szumu morza, szczególnie nocą, kiedy wydawało się, że wypełnia cały świat. Chłodny wiatr działał orzeźwiająco, aksamitna ciemność niosła ukojenie.

Idąc, porządkował w pamięci sprawy, którymi powinien zająć się nazajutrz. Wiedział, że do jutra pewnie wiele zapomni, jeśli nie wszystko, nie przeszkadzało mu to jednak planować.

Należało więc zrobić zakupy. Przełać pieniądze na konto lokalnego banku. Zainstalować telefon. Załatwić na poczcie skrytkę pocztową. Postanowił też przestudiować genealogię Toddów i Ripleyów. Zastanawiał się, ile informacji zdoła wydusić z Mii. Wyczuł napięcie w jej stosunkach z Ripley i był ciekaw przyczyny.

Musi spędzić z obiema więcej czasu - z żadną nie będzie łatwo współdziałać.

Ciarki przeszły mu po karku, stanął i powoli się odwrócił.

Promieniała światłem. Delikatna aura otaczała jej ciało, twarz i długie włosy. Zielone oczy lśniły w ciemności jak oczy kota. Obserwowała go uparcie i cierpliwie.

- Ripley. - Niełatwo było go przestraszyć, a jednak jej się udało.
- Nie wiedziałem, że ktoś tu jest.

Ruszył ku niej. Na twarzy poczuł powiew wiatru. Pod stopami chrzęścił piasek. Zobaczył samotną łzę, która jak lśniący diament spływała w dół po jej policzku.

Zjawa rozwiała się jak dym.

ROZDZIAŁ 3

Wyspa Trzech Sióstr jest biała, cicha i piękna jak widoczek w szklanej kuli z padającym śniegiem na półce sklepu z pamiątkami, pomyślała Ripley. Nocna śnieżycza zasypała plażę, trawniki i ulice. Wiatr ustał i drzewa przybrane w gronostajowe szaty stały cicho i dostojnie. Jak w kościele.

Chciała, by ten nastrój trwał jak najdłużej.

Zack dzwonił już do Dicka Stubensa i kazał mu wyjechać na miasto pługiem śnieżnym. Wkrótce znów zacznie się ruch. Tymczasem jednak wciąż panowała obezwładniająca cisza i spokój.

Przecież z powodu kilkudziesięciu centymetrów śniegu nie zrezygnuje z porannego biegu po plaży. Ripley zarzuciła na ramię sportową torbę, przełknęła ostatni kęs kolejnego wypieku bratowej i wymknęła się z domu.

Na razie, gdy maszerowała do hotelowej siłowni, wyspa należała wyłącznie do niej.

Z kominów unosił się dym, za kuchennymi oknami widać było światła. Zapewne gotuje się owsianka i skwierczy smażony bekon. We wnętrzu ciepłych, przytulnych domów radośnie brykają dzieci. Dziś nie idą do szkoły. Czeka je zabawa w śnieżki, zdobywanie lodowych fortec, saneczki i gorące kakao.

Jej życie też było kiedyś takie proste.

Ciężkim krokiem szła w kierunku miasteczka, pozostawiając za sobą ślady na śniegu. Niebo było teraz miękkie i białe, jakby zamysłone - czy dla uzyskania właściwych proporcji nie należałoby

podsyłać jeszcze parę centymetrów białego puchu? Tak czy inaczej ona zafunduje sobie godzinkę w siłowni, a potem wróci do domu, żeby pomóc Zackowi odśnieżyć radiowóz i samochód Nell.

Może i wolałaby zbudować fortecę z lodu, ale - no właśnie: życie nie jest już tak proste jak kiedyś.

Wchodząc do miasteczka, popatrzyła w bok i zmarszczyła brwi. Śnieg nie był tak nieskalany, jak oczekiwała i jak tego pragnęła. Ktoś wyszedł z domu jeszcze wcześniej - wydeptał wąziutką ścieżkę.

Zirytowała się. To była tradycja, niemal rytuał, że w tej części wyspy to ona pierwsza narusza białą płaszczyznę ponowy. Tym razem ktoś popsuł jej tę przyjemność i pozbawił ją błogich złudzeń.

Kopnęła śnieg i pomaszerowała dalej.

Ślad prowadził do Czarodziejskiego Zajazdu - kamiennego hotelu o gotyckich kształtach.

Jakiś przybysz z kontynentu, stwierdziła w duchu, który wyszedł sobie rano, żeby obejrzeć prawdziwe miasteczko Nowej Anglii całe w bieli. Trudno mieć mu to za złe, przyznała, ale mógłby poczekać jeszcze godzinkę. Z łomotem pokonała kilka schodków, tupiąc, otrząsnęła śnieg z butów i weszła do środka.

Pomachała recepcjonistce, poprawiła torbę na ramieniu i wbiegła po schodach z holu na piętro. Obsługa od dawna traktowała ją jak członka klubu. Lubiła ćwiczyć sama, a latem wolała morze od basenu, formalne członkostwo nie było jej więc do niczego potrzebne.

Skręciła w lewo, prosto do damskiej szatni. Przypomniała sobie, że w tym tygodniu w hotelu przebywa tylko garstka gości - zatem

siłownia i basen chyba należą do niej.

Powiesiła ubranie w swojej szafce, włożyła czarną sportową górę i kolarskie spodenki, naciągnęła skarpety i buty treningowe.

Cieszyła się na myśl o siłowych zmaganiach z urządzeniami i sztangą. Pogardziła ruchomą bieżnią - czy może być coś nudniejszego? - i postanowiła, że swoją porcję ruchu odwali na basenie.

Przeszła przez szatnię do drzwi siłowni. Nikogo jeszcze nie widziała, ale już w progu usłyszała stuk metalowych krążków. Dobry nastrój trochę przygasł. Z telewizora dobiegała jakaś gadanina przerywana oklaskami. Zdecydowanie woląła ćwiczyć przy muzyce nastawionej na pełny regulator.

Ze złością spojrzała na ławeczkę do wyciskania i natychmiast wysoko uniosła brwi. Nie zobaczyła wiele, ale to, co udało jej się dostrzec, było super.

Długie, muskularne nogi. wilgotne od potu. Smukłe ramiona z lśniącymi bicepsami, które napinały się podczas podnoszenia ciężaru. Z aprobatą popatrzyła na obuwie - dobra marka, bez ekstrawagancji, wysłużone.

Wyciskał po dwadzieścia płynnych i regularnych ruchów. Coraz lepiej.

Najwyraźniej rutyniarz, a nie niedzielny sportowiec. I jeżeli całe ciało ma tak wspaniałe jak kończyny, jest niezły.

Jeśli już musi z kimś dzielić się sprzętem, niech to przynajmniej będzie facet niezły, silny i wysportowany.

Takich właśnie lubię, pomyślała z błyskiem w oku. Brakowało jej mężczyzny, a przynajmniej seksu. Sprawdzi tylko tego mistrza fitnessu, popatrzy, czy jest równie dobry jak to, co widać.

Chwyciła ręcznik, zarzuciła go na ramiona i powędrowała w stronę nieznanego.

- Nie trzeba?... - zaczęła i niemal się zakrztusiła. Mac!

Chrząknął, opuścił sztangę, a jego wzrok złagodniał.

- Hej, jak leci? Popadało w nocy, co?

- Owszem, trochę. - Odwróciła się rozczarowana i przystąpiła do rozgrzewki. Że też od razu na to nie wpadła. Właśnie kiedy coś zaczęło ją kręcić, mistrz fitnessu okazał się znajomym świrem.

- Miły klub - stwierdził, z lekkim chrząknięciem podnosząc w górę sztangę. - Zdziwiłem się, że tak tu pusto.

- O tej porze roku w hotelu prawie nie ma gości. - Popatrzyła na niego. Był nieogolony i cień zarostu przydawał tej sympatycznej twarzy mola książkowego jakiś szczególny wyraz. Seksowny.

Do diabła, naprawdę niezły facet.

- Jest pan członkiem klubu? - spytała.

- Taa. Kurczę, straciłem rachubę. Dobra. - Zawiesił sztangę na statywie i poderwał się. - Ćwiczy pani tu systematycznie?

- Nie. Mam przyrządy w domu. Ale kiedy nie mogę biegać na dworze, chętnie korzystam z ich sprzętu i z basenu. Ogląda pan te głupoty?

Nastawił obciążenie na drugim przyrządzie i spojrzął na telewizor.

- Niespecjalnie. Potraktowała to jako nie i wyłączyła odbiornik. Mac ćwiczył teraz wyciskanie nogami. Nastawiła muzykę najgłośniej, jak się dało, żeby uniemożliwić rozmowę.

Mac, niezmiuszany, przerabiał teraz swój program ćwiczeń, a Ripley swój. Obserwował ją, ale dyskretnie, kątem oka. Nie miał zwyczaju gapić się na kobiety w siłowniach, bo to, jak by to powiedzieć, nieeleganckie. Jest jednak tylko człowiekiem. Są tu sami, a ona ma piękne, smukłe ciało.

Zawstydził się.

Pomyślał o tym, co widział na plaży poprzedniej nocy, kiedy zdawało mu się, że spotkał Ripley. Skądże, to nie była ona, uprzytomnił sobie niemal natychmiast. Oczy - tak, oczy bardzo podobne. Ale tamta kobieta, zjawa czy jak to nazwać, nie miała przecież tak prężnego, wyćwiczonego ciała; jej włosy, choć też ciemne i długie, układały się w loki, a włosy Ripley były zupełnie proste.

Tamta twarz, mimo wyraźnego podobieństwa, była też łagodniejsza, bardziej smutna i pełna.

Poza tym odrzucał myśl, by Ripley Todd mogła płakać w ciemnościach na plaży, a potem nagle rozplynać się w powietrzu.

To musiała być jedna z Sióstr z legendy, bez wątpienia. Z jego wcześniejszych lektur wynikało, że widział tę, którą nazywano Ziemią.

A jednak zastępca szeryfa Ripley Todd jest częścią tego wszystkiego. Również bez wątpienia.

Nie wiedział tylko zbyt dobrze, w jaki sposób przebić się przez ten mur i pracować nad... To jest pracować z nią. Ponieważ zamierzał to właśnie robić, nie przypadkiem oboje podnieśli ciężarki w tej samej chwili.

Muzyka wyła, lecz byli teraz tak blisko siebie, że mógł mówić, nie krzycząc i nie czując się jak debil.

- Co z jedzeniem w tutejszej restauracji?

- Są dwie. Dobre. Ta lepsza jest przydroga.

- Ma pani ochotę na śniadanie? Ja stawiam. Zerknęła na niego z ukosa.

- Dziękuję, ale muszę wracać. Zauważył, że spojrzała na jego ciężarki. Dwudziestki. Ona podnosiła dziesiątki. Lustra odbijały ich zgodne ruchy w rytmie muzyki.

- Przygotowałem już całą aparaturę. - Powiedział to od niechcienia w przerwie ćwiczeń. - Musi pani wpaść i rzucić okiem.

- Niby dlaczego?

- Z ciekawości. Jeżeli niepokoi panią to, co wydarzyło się ostatnim razem, obiecuję, że pani nie dotknę.

- Nic mnie nie niepokoi. Była w jej głosie odrobina zgryźliwości, czyżby dokonał wyłomu w murze? Niektóre kobiety są przeczulone na punkcie swojej urody lub intelektu. W przypadku Ripley drażliwym punktem była odwaga.

- Nie będę miał żalu, jeśli nie zechce pani przyjść czy choćby rozmawiać ze mną po tamtym. - Znów uśmiechał się spokojnie, jakby trochę zmieszany. - Czasem zapominam, że laicy nie nawykli do

zjawisk paranormalnych. Mogą im się wydawać straszne.

- Myśli pan, że się boję? - Zaciśnęła zęby, nie przerywając ćwiczeń. - Nie przestraszy mnie pan, Brooke, ani żadna z tych pana idiotycznych zabawek.

- Miło mi to słyszeć. - Pogodny i zadowolony przeszedł do ćwiczeń na bicepsy. - Trochę się zaniepokoiłem, kiedy pani tak się wyniosła.

- Nie wyniosłam się. - rzuciła ostro i zaczęła ćwiczenia na tricepsy. - Wyszłam.

- Powiedzmy.

- Miałam robotę.

- Okej. Wciągnęła powietrze i wyobraziła sobie, co by się stało, gdyby strzepnęła sztangą w tę jego głupkowato uśmiechniętą twarz.

- Może pan sobie być przebrzydłe bogaty, przyjacielu, ale ja zarabiam na życie.

- Bez wątplenia. Jeżeli nie przywiązuje pani wagi do tamtego skoku energii, naprawdę chciałbym, żeby przyszła pani jeszcze raz. Kiedy już zorganizowałem sobie warsztat, można by odtworzyć tamto zdarzenie albo sprawdzić, czy to w ogóle możliwe.

- Nie jestem zainteresowana.

- Zapłacę za pani czas.

- Nie potrzebuję pańskich pieniędzy.

- To nie znaczy, że są nic niewarte. Proszę o tym pomyśleć. - Postanowił skrócić swój program i pozwolić jej zrobić to samo. - A przy okazji - dodał, odkładając krążki - ma pani ładne mięśnie. - I

wyszedł z siłowni.

Nieznacznie uniosła wargi, odsłaniając zęby. Że też taki pajac, pomyślała, kończąc ćwiczenia, może jej zarzucić, że się boi. Gdyby to nie było takie śmieszne, mogłaby poczuć się obrażona. I jeszcze myśli, że może płacić jej za te komiczne eksperymenty, za te badania, czy jak u diabła nazywa to, co robi.

Szkoda, cholerna szkoda, że to najprzystojniejszy i na pewno najlepiej zbudowany facet, jakiego spotkała w ostatnich miesiącach. Gdyby nie był tak irytującym debilem, mogliby sobie inaczej, zupełnie przyjemnie potrenować.

A tymczasem musi unikać go jak ognia. Nie będzie to łatwe, ale takie sobie wyznaczy zadanie na tę zimę.

Czuła miłe zmęczenie mięśni. Wróciła do szatni, wzięła prysznic, wciągnęła kostium kąpielowy i poszła na basen.

Jasne, powinna to przewidzieć. Już tam był, pływał sobie powoli, niemal leniwie. Zdziwiła ją opalenizna pokrywająca każdy centymetr jego ciała - a przynajmniej każdy centymetr, który zdołała zobaczyć. Czarne kąpielówki, które miał na sobie, nie skrywały zbyt wiele.

Nie zrezygnuje z pływania, nawet jeśli musi podzielić się z nim basenem. Odrzuciła czysty ręcznik i skoczyła.

Kiedy się wynurzyła, chodził w wodzie na wyciągnięcie ręki od niej.

- Mam pomysł.

- Założę się, że ma pan ich od groma. - Odchyliła głowę do tyłu i

zanurzyła w wodzie, odgarniając włosy z twarzy. - Proszę posłuchać. Chcę zrobić parę długości i koniec. To duży basen. Pan będzie po tamtej stronie, a ja po tej.

- Powiedzmy, że nie jest to pomysł, tylko propozycja.

- Brooke, pan zaczyna mnie wkurzać.

- Nie chciałem... Zaczerwienił się - cudowne: rumieniec i męski zarost. Delikatne ukłucie pożądania wprawiło ją w popłoch. Jej oczy zamieniły się w długie, wąskie szparki.

- Nie chciałem sugerować... - Wziął dwa głębokie, ostrożne oddechy, żeby nie zacząć się jąkać. - Miałem na myśli wyścig.

Wiedział, po błysku jej oczu, na chwilę przed tym, jak odwróciła się i odpląnęła, że złapie się na haczyk rywalizacji.

- Nie jestem zainteresowana.

- Dam pani fory na ćwierć długości.

- Ech, nie w tym rzecz. Wkurza mnie pan.

- Cztery długości. - Nie ustępował, uczepiony swojego pomysłu jak pies kości. - Jeśli pani wygra, nie będę więcej zawracał pani głowy. Jeżeli ja wygram, poświęci mi pani godzinę. Jedną godzinę na trzy miesiące. To chyba całkiem korzystne warunki.

Pozbędzie się go. Musi się go pozbyć. Nie może jej zawracać głowy, jeżeli ona sama mu na to nie pozwoli. Jest tylko jeden drobny szkopuł. Nie odrzuci przecież wyzwania.

- Cztery długości. - Obejrzała okulary. - Jeżeli wygram, trzyma się pan z dala ode mnie, nie wspomina mi więcej o swoim projekcie czy jak tam pan to nazywa i nie próbuje żadnych kontaktów ze mną na

płaszczynie osobistej.

- To ostatnie jest bolesne, pani władzo, ale zgoda. Jeżeli ja wygram, przyjdzie pani do domku i pomoże mi w paru testach. Jedna godzina, przy pełnej pani współpracy. - Zgoda? - Wyciągnął dłoń, ale popatrzyła tylko na nią obojętnie.

Zaczekała na niego przy ścianie, przygotowywała się, nabierając powietrza długimi, powolnymi wdechami.

- Styl dowolny?

- Okej. Na trzy? Kiwnęła głową.

- Raz, dwa... Wystartowali jednocześnie na trzy, przecięli taflę wody. Nie przegra, nie dopuszczała nawet takiej możliwości. Pływała niemal każdego dnia i była u siebie.

Sprawdzała jego formę, kiedy wypróbowywali się nawzajem na pierwszej długości. Niezła, ale gorsza niż jej.

Uderzyli w przeciwległą ścianę i odbili się, rozpoczynając drugą długość basenu.

Jest piękna - obserwował ją z nadzieją, że zdarzą mu się jeszcze następne po temu okazje. W mniej poważnych okolicznościach. Nie chodzi tylko o siłę, zauważył. Ma płynne, wyćwiczone i pełne wdzięku ruchy prawdziwego sportowca.

Nigdy nie łudził się, że jest nadzwyczajny w tej dziedzinie. Ale jeśli coś potrafi, to właśnie pływać. Musiał przyznać, że nie spodziewał się tak równej rywalizacji. Miał większy wyrzut i był dobre dwadzieścia centymetrów wyższy. Lecz dziewczyna walczyła z fantastycznym zacięciem.

Po drugim nawrocie na próbę zwiększył tempo. Wytrzymała. Rozbawiła go, potraktował to jednak jak wyzwanie. Igrała z nim. Jeszcze szybciej - do cholery, miała rację, gdy odrzuciła jego fory.

Ten sukinkot jest jak węgorz, myślała Ripley. Kiedy jednocześnie odbili się do pokonania ostatniej długości basenu, wiedziała już, że nie doceniła jego możliwości. Zebrała się w sobie i czując skok adrenaliny w ostatnim zrywie, wyrwała się na ćwierć długości ciała przed Maca.

I doznała szoku, kiedy przemknął obok i klepnął w ścianę basenu dwa ruchy przed nią.

Oszołomiona, ale i pełna podziwu wynurzyła się, dysząc; odrzuciła do tyłu okulary. Nikt, nawet Zack nie mógł pobić jej na czterech długościach basenu. To wbrew obyczajom.

- Dobra. - Łapał powietrze, odgarniając włosy z oczu. - Może być dzisiaj? O dowolnej porze.

Skurwiel nie okazał się nawet na tyle uprzejmy, żeby skomentować wyniki. To tylko powiększało gorycz porażki. Był po prostu cholernie rozbawiony całą sytuacją. Ripley zaczęła się zastanawiać, czy facet nie jest na prochach. Taka równowaga bez pomocy chemii?

Wyładowała wściekłość, szuflując śnieg, i pocieszyła swoje urażone ego kilkoma słynnymi bułeczkami cynamonowymi Nell. Ale zadra w niej tkwiła. Ripley rozdrapywała tę jątrzącą ranę przez cały dzień.

Otrzymała kilka wezwań - samochody, co wpadły w poślizg i

wylądowały w rowie, wybite okna, w które trafiły źle wycelowane śnieżki, i wyczyny dzieciaków w wolnym od lekcji zimowym dniu.

A jednak tamto wciąż zajmowało jej myśli i psuło nastrój.

Zack, słuchając mamrotanych przez nią przekleństw, patrzył, jak nalewa sobie kolejną filiżankę kawy. Był spokojnym człowiekiem i dobrze znał swoją siostrę. Widział ją tego dnia parokrotnie w czasie służby i świetnie rozpoznawał znajomy błysk gniewu w jej oczach.

Ale ponieważ czas mijał i nic się nie zmieniało, Zack postanowił wyciągnąć z niej jakieś strzępy informacji.

Oparł nogi na biurku i rozkoszując się przerwą na kawę, przyglądał się siostrze uważnie.

- Masz zamiar przeżuwać dalej to coś, co cię rozzłościło, czy wyrzucisz to z siebie?

- Nic mnie nie rozzłościło. - Łyknęła kawę, oparzyła język i zaklęła.

- Dusisz się z wściekłości od rana, od powrotu z siłowni.

- Wcale się nie duszę. Może ty.

- Ja rozważam - sprostował. - A to oznacza przeżywany indywidualnie proces myślowy w celu znalezienia rozwiązania konfliktu lub zaradzenia powstałej sytuacji. Natomiast dusić to znaczy mieszać w bulgoczącym garnku, aż wykipi i wyleje się na kogoś. A że chwilowo jestem jedyną osobą w polu rażenia, mam niepodważalne prawo interesować się zawartością tego konkretnego garnka.

Odwróciła się do niego z uśmiechem niewróżącym nic dobrego.

- Czegoś równie głupiego nie słyszałam nigdy w życiu.

- Kombinujesz, jak się na mnie wyładować. - Pogroził jej palcem. - Powiedz mi, droga przyjaciółko, kto cię wkurzył, a razem skopiemy mu tyłek.

Potrafi mnie rozśmieszyć nawet w najgorszych chwilach, musiała przyznać Ripley. Podeszła do biurka i przysiadła na krawędzi.

- Spotkałeś dziwadło nazwiskiem Brooke?

- Ten mózgowiec z Nowego Jorku? Tak. Widziałem go wczoraj, jak spacerował po mieście i oglądał okolicę. Wygląda dość sympatycznie.

- Sympatycznie - prychnęła. - Wiesz, po co tu przyjechał? Zack chrząknął zadowolony. A więc to jest przyczyna jej irytacji.

- Rip, przerabiamy ten temat w kółko, na różne sposoby, przez cały czas. Nie możemy tego uniknąć, mieszkając na tej wyspie.

- Tym razem to coś innego.

- Może i tak. - Zmarszczył czoło i wstał, żeby dolać sobie kawy.

- To, co spotkało Nell, było naprawdę niesamowite. I to, że jakby zmartwychwstała, i to, że udało się zdemaskować tego sukinsyna Remingtona, który dostawał orgazmu, kiedy ją bił. A wreszcie i to, że próbował ją zabić, gdy ją odnalazł.

- I dźgnął cię nożem - szepnęła, wciąż pamiętając tamtą noc w lesie i widok krwi na jego białej koszuli.

- Wszystko to był pyszny materiał dla prasy - ciągnął Zack. - Wielka, efektowna sensacja. Ale zwróć uwagę, jak wszystko ucichło.

- Sami staraliśmy się to wyciszyć.

- Na ile to było możliwe - zgodził się. Podeszedł i pogładził ją po

twarży. Wiedział, że tamtej nocy złamała dane samej sobie przyrzeczenie. Połączyła ręce z Mią, użyła swojej wewnętrznej mocy, by uratować Nell. A także jego.

- I tak sporo przeciekło - powiedział cicho. - Pogłoski, spekulacje i bełkot szaleńca. Dość, żeby to rozdmuchiwać, podsycać zainteresowanie. Należało się liczyć z czymś takim.

- Spodziewałam się różnych czubków. Myślałam, że przyjedzie tu sporo gapiów i ciekawskich. Ale Brooke jest inny. On to traktuje serio, widzi w tym swoją misję. I cieszy się zaufaniem. Dla niektórych to świr, lecz mnóstwo ludzi traktuje go poważnie. Biorąc to wszystko pod uwagę, Mia uzna zapewne, że warto z nim porozmawiać. A nawet współpracować.

- Zapewne. - Nie chciał dopowiadać, że dotyczy to również Nell, a co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Już rozmawiali na ten temat. - To jej sprawa, Rip. I nie powinno to wpływać na twoje decyzje.

Rozdrażniona wpatrywała się w kawę.

- Wyłudził ode mnie godzinę.

- Co takiego?

- Ten skurczybyk naciągnął mnie dziś rano na zakład.

Przegrałam i muszę poświęcić godzinę na jego głupawe czary - mary.

- Och. A jak przegrałaś?

- Nie mam ochoty o tym mówić - mruknęła. Mimo wszystko próbował coś z niej wydobyć.

- Dzisiaj rano byłaś tylko w siłowni, prawda? Słyszałem, że

zapisał się do klubu. Spotkaliście się tam?

- Tak, tak, tak! - Odepchnęła biurko i zaczęła chodzić, rozzłoszczona. - Kto mógł przypuszczać, że okaże się taki dobry? Na krótki dystans, owszem, to było do pomyślenia, bo jest dużo wyższy. Ale nie na sto metrów stylem dowolnym!

- Zawody pływackie? - Oczy Zacka się rozszerzyły. - Pokonał cię na basenie?

- Powiedziałam, że o tym rozmawiać nie mam ochoty. Wypadłam z rytmu i tyle. - Odwróciła się i spojrzała z ukosa. - Czyżbym słyszała śmiech?

- Jasne. Nic dziwnego, że jesteś wściekła.

- Zamknij się w końcu. Zresztą nie wiem, co jego zdaniem można udowodnić w ciągu godziny. Z tymi wykrywaczami energii i duchów? Strata czasu.

- No to czym się przejmujesz? O ile cię wyprzedził?

- Zamknij się, Zack.

Postanowiła mieć to jak najszybciej z głowy, tak jak chce się mieć za sobą wyrywanie zęba. Zdecydowała, że pójdzie piechotą i zostawi bratu radiowóz, bo to odsuwało jednak choć trochę moment, kiedy zacznie się ten cały cyrk.

Było już zupełnie ciemno, kiedy skręciła do żółtego domku. Od rana spadło jeszcze prawie dziesięć centymetrów śniegu, ale przed wieczorem niebo się roz pogodziło i jaśniał na nim cieniutki sierp księżycy w nowiu. Czysta, rozgwieżdżona noc odbierała wszelką nadzieję na ocieplenie. Przejmujący chłód kąsał każdy odsłonięty

kawałek ciała.

Szła szybko, oświetlając sobie drogę latarką.

Pokręciła głową, gdy omiotła światłem stojący przed domem samochód. Mac nie pomyślał o tym, by go odkopać. Typowy roztargniony profesor. Buja w obłokach.

Łomocząc butami, podeszła do wejścia i mocno zapukała pięścią w wełnianej rękawiczce.

Stał w drzwiach, w starym szarym pulowerze i w równie starych dżinsach. Bezbłędnie wyczuła woń przygotowanego przez Nell krupniku z mięsem. Poczwała, że ślina napływa jej do ust - och, ten zapach!

- O Jezu, ale ziąb. Musi być nieźle poniżej zera. - Cofnął się, żeby ją przepuścić, zdążył jednak zerknąć na dwór. - Bez auta? Szła pani piechotą? Chyba ma pani źle w głowie.

Spojrzała na ciasno upchane w saloniku urządzenia.

- Niech pan zobaczy, jak sam mieszka, a potem mówi, kto tu ma źle w głowie.

- Za zimno na wieczorne spacerki. - Chwycił ją za rękę, jeszcze w rękawiczkach, i odruchowo zaczął rozcierać jej dłonie.

- Popatrzę na zegarek, zaczynamy odliczać czas.

- To rodzaj przygotowania. - Jego głos nie był już łagodny ani spokojny, ale ostry jak brzytwa. Ripley spojrzała podejrzliwie. - Widziała pani kiedyś odmrożenie?

- Szczerze mówiąc... hej! - zachnęła się, ściągając rękawiczki, żeby obejrzyć palce.

- Byłem z grupą studentów w Nepalu kilka lat temu. Jeden z nich nie zachował ostrożności. - Nie zważając na opór Ripley, poruszał jej palcami. - Stracił dwa palce.

- Ja jestem ostrożna.

- Okej, pozwoli pani, że wezmę płaszcz. Zrzuciła go z ramion, zdjęła szalik, wełnianą czapkę, pikowaną kamizelkę i cały ten stos wcisnęła mu w ramiona.

- Pani chyba rzeczywiście zachowuje ostrożność. - Rozejrzał się, szukając miejsca, gdzie to wszystko położyć.

Nie wytrzymała i uśmiechnęła się.

- Na podłodze będzie całkiem dobrze.

- Nie, zaraz... łóżko. - Przypomniał sobie i podreptał do sypialni wąskim przejściem między pudłami.

- Boi się pan ciemności? - zawołała.

- Hę?

- Pozapalał pan światła w całym domu.

- Tak? - Już był z powrotem. - Zawsze zapominam wszystko wyłączać. Kupiłem dzisiaj ponad litr zupy Nell, właśnie ją wstawiłem do mikrofalówki. Chce pani trochę? - Odczekał chwilę, czytając doskonale w jej twarzy. - Czas jedzenia odliczamy.

- Nie jestem głodna - wymamrotała i sposepniała.

- Okej, zjem później, możemy zaczynać. Gdzie ja podziałem... - Poklepał się po kieszeniach i zakręcił się na pięcie. - Ach, tak. - Znalazł swój dyktafon obok monitora. - Chciałbym najpierw zanotować pewne podstawowe dane osobiste, więc...

Znów urwał i zmarszczył brwi. Kanapa zavalona była starymi papierami, wycinkami, literaturą przedmiotu, zdjęciami i mnóstwem innych rzeczy. Nawet na podłodze nie mogłyby się zmieścić na siedząco dwie osoby.

- Wie pani co? Zrobimy to w kuchni. Wzruszyła ramionami, wcisnęła dłonie w kieszenie i poszła za nim do kuchni.

- A skoro już tu jesteśmy, to jeśli chodzi o mnie, wolałbym jednak coś zjeść. - Wyjął miseczkę i postanowił ułatwić Ripley sytuację. - Może zmieni pani zdanie, żebym nie czuł się jak cham, co jada sam?

- Dobra. Ma pan piwo?

- Nie, przykro mi. Mam za to całkiem niezłego merlota.

- Ujdzie. - Stała, kiedy Mac napełniał miseczki zupą i rozlewał wino.

- Proszę usiąść. Usadowił się naprzeciw niej i natychmiast podskoczył.

- Do diabła, chwileczkę. Proszę, niech pani je. Ripley wzniosła do góry oczy, gdy Mac wypadł z kuchni, i zabrała się do zupy. Słyszała jakieś pomruki, szelest papierów i lekkie stuknięcie, kiedy coś spadło na podłogę.

Wrócił z notesem na spirali, paroma ołówkami i okularami w metalowej oprawce. W chwili gdy wsunął je na nos, Ripley poczuła ukłucie w żołądku.

O rany, pomyślała, ale seksowny świr.

- Będę notował - wyjaśnił. - Niezależnie od magnetofonu. Jak

zupa?

- Robota Nell - stwierdziła krótko.

- Taa. - Zaczął jeść. - Uratowała mi życie tego wieczora, kiedy straciłem rachubę czasu. Znalazłem w lodówce naczynie z gotowanymi małżami. Omal nie załamałem się wtedy i nie rozplakałem. Pani brat to szczęściarz. Spotkałem go wczoraj.

- Mówił mi. - Zaczynała się odprężyć. Niech sobie gada, a zegar tyka. - Strasznie się kochają.

- Tak mi się zdaje. Ile ma pani lat?

- Co?

- Pani wiek, do dokumentacji.

- Potrzebny panu mój wiek? Też coś! Miesiąc temu skończyłam trzydziestkę.

- Którego?

- Czternastego.

- Strzelec. Wie pani, o której godzinie pani się urodziła?

- Nie przywiązywałam do tego wtedy większej wagi. - Podniosła kieliszek. - Moja mama mówiła chyba, że to było koło ósmej wieczorem, po szesnastu godzinach mordęgi na granicy życia i śmierci i tak dalej. Do czego to panu?

- Wprowadzę dane i założę kartę astrologiczną. Dam pani wydruk, jeśli pani chce.

- To już kompletne bzdury.

- Jeszcze się pani zdziwi. Urodziła się pani na wyspie?

- Jasne, w domu, przy lekarzu i położnej.

- Czy wykazywała pani kiedykolwiek aktywność paranormalną?
Nie przejmowała się kłamstwem, ale złościło ją, że za każdym razem miała w takiej chwili ściśnięte gardło.

- Niby dlaczego?

- Pamięta pani swoje sny?

- Pewnie. Poprzedniej nocy śnił mi się Harrison Ford, pawie pióro i butelka oleju. Co to, zdaniem pana. znaczy?

- Bywa, że sny znaczą to, co znaczą. Fantazje seksualne niekiedy dotyczą seksu. Ma pani kolorowe sny?

- A jakże.

- Zawsze? Wzruszyła ramionami.

- Czarno - białe obrazki są dobre do filmów z Bogartem i do fotografii artystycznej.

- Czy bywają to sny prorocze? Niemal przytaknęła, zreflektowała się w ostatniej chwili.

- Póki co, jeszcze z Harrisonem nie zaszliśmy zbyt daleko, ale nie tracę nadziei.

Zmienił taktykę.

- Jakieś hobby?

- Hobby? Chodzi panu o coś w rodzaju... dziergania albo podglądania ptaków? Nie.

- Jak pani spędza wolny czas?

- Nie wiem. - Zmieszała się, lecz szybko odzyskała pewność siebie. - Różnie. Telewizja, filmy. Trochę żegluję.

- Filmy z Bogartem? Ulubiony?

- Sokół maltański.

- Czym pani pływa?

- Zack ma małą łódź. - Zamyślona postukiwała palcami w stół. -

Chyba sobie jednak kupię własną.

- To wielka frajda dzień na wodzie. Kiedy zorientowała się pani, że ma w sobie moc?

- To nigdy nie było... - Wyprostowała się i przybrała doskonale obojętny wyraz twarzy. - Nie wiem, o czym pan mówi.

- Wie pani, ale możemy to na razie pominąć, jeśli czuje się pani niezręcznie.

- Nie czuję się niezręcznie. Nie rozumiem pytania. Odłożył ołówki i odepchnął miskę z zupą. Oczy, fantastycznie wyglądające za okularami, patrzyły wprost na nią.

- Powiem więc inaczej. Kiedy zorientowała się pani, że jest czarownicą?

ROZDZIAŁ 4

Krew huczała jej w głowie, czuła jej pęd i pulsowanie w rytmie galopującego serca. Mac siedział nieruchomo, patrząc na nią spokojnie spoza profesorskich okularów. Obserwuje mnie, pomyślała, jakbym była przedmiotem średnio interesującego doświadczenia laboratoryjnego. Gniew w niej narastał, zaraz wybuchnie jak bomba.

- Głupie pytanie.

- W niektórych przypadkach jest to instynkt, wiedza przekazana dziedzicznie. Kiedy indziej to kwestia nauki, tak jak u dziecka, które uczy się chodzić i mówić. Zdarza się też, że odkrycie następuje w okresie dojrzewania. A najczęściej, jak sądzę, przechodzi się przez życie, nie mając pojęcia o własnych ukrytych możliwościach.

Teraz robił z niej niezbyt rozgarniętą studentkę.

- Nie wiem, skąd pan wziął te brednie i ten poroniony pomysł, że jestem... - nie zamierzała wypowiedzieć tego słowa, nie da mu tej satysfakcji. - Te czary - mary to pana sprawa, nie moja, doktorze Psycho.

Zaintrygowany, zamienił się w słuch.

- Dlaczego wpada pani w złość?

- Nie wpadam w złość. - Z błyszczącymi oczami pochyliła się ku niemu. - Chce pan zobaczyć, jak się złoszczę?

- Niespecjalnie. - Czy mówił coś o tym, że ma ładne oczy? Ładne? Fantastyczne! - Ale mogę się założyć, że jeśli podłączyłbym panią w tej chwili do miernika, otrzymałbym niezwykle interesujące wyniki.

- Koniec z zakładami. A w ogóle, to koniec seansu. Pozwolił jej wstać, nadal jednak notował.

- Mamy jeszcze trzy kwadransy. Jeśli chce pani odstąpić... - Podniósł wzrok i napotkał jej rozwścieczone spojrzenie. - Mogę tylko przypuszczać, że pani się boi. Nie zamierzałem straszyć pani ani niepokoić. Przepraszam.

- Możesz się pan wypchać swoimi przeprosinami - warknęła, gotowa bronić tego, co dla niej najważniejsze, swojej godności. Przyjęła ten idiotyczny zakład i zaakceptowała warunki. Z wściekłością szarpnęła do siebie krzesło i z powrotem usiadła.

Nie skomentował tego, niewzruszony pisał dalej, tak jakby, pomyślała szczerząc zęby, od początku wiedział, że wygra.

- Zapytam otwarcie. Nie praktykuje pani?

- Nie mam czego praktykować.

- Nie jest pani głupią kobietą. Odnoszę wrażenie, że pani doskonale zna swoje możliwości. - Obserwował jej twarz. Oczy pozostawały nieruchome, ale coś się w nich czaiło. Silne emocje, wręcz namiętność. Rozpaczliwie pragnął dotrzeć do nich. Odkryć je. Uświadomił sobie, że nigdy nie będzie miał na to szansy, jeśli już na początku ją zrazi. - Przypuszczam, że jest to dla pani drażliwa sfera. Przepraszam.

- Już panu powiedziałam, co pan może zrobić ze swoimi przeprosinami. Z przypuszczeniami też.

- Ripley... - Podniósł dłoń w geście pokoju. - Nie jestem reporterem, który węszy za tematem. Nie czekam na żadne

widowisko, nie przyjechałem tu jako neofita szukający życiowego przewodnika. To moja raca. Mogę obiecać, że uszanuję pani prywatność i nie umieszczę pani mienia w dokumentacji. Nie chcę zrobić niczego, co mogłoby panią urazić.

- Niczym mnie pan nie niepokoi, panie Brooke. - Och, oczywiście, że tak, ale nie mogła sprecyzować dlaczego. - Będzie pan musiał gdzie indziej poszukać sobie królika doświadczalnego. Mnie nie interesuje pana... praca.

- Czy Nell jest tą trzecią?

- Nell proszę zostawić w spokoju. - Zanim pomyślała, sięgnęła przez stół i ścisnęła jego nadgarstek. - Jeśli ją pan tknie, rozerwę pana na strzępy. Nie poruszył się, nawet nie oddychał. Oczy Ripley pociemniały, były teraz prawie czarne. Tam, gdzie wbiły się w niego jej palce, czuł tak intensywny żar, że nie zdziwiłby się, gdyby spaliła mu skórę.

- Nikogo nie krzywdzić! - Zdołał mimo wszystko się opanować. - To nie tylko filozofia. Ja w to wierzę. Nie chcę w żaden sposób skrzywdzić pani siostry. Ani pani, Ripley. - Bardzo wolno, patrząc na nią tak, jak patrzyłby na groźnego psa, który zerwał się z łańcucha, uniósł rękę i przykrył jej dłoń. - Nie może pani nad tym zapanować, prawda? - Głos miał łagodny, wręcz współczujący. - Nie do końca. - Uścisnął jej dłoń niemal przyjaźnie. - Oparzyłaś mi nadgarstek.

Jej oczy pojaśniały, stały się znów zielone, kiedy podniosła i rozprostowała palce. Ale gdy zobaczyła czerwone pręgi na skórze Maca, drgnęła. Przymknęła powieki.

- Nie chciałam tego. - Z trudem starała się znów oddychać normalnie, przerwać ten gwałtowny przyływ energii. Znów być sobą.

- Proszę. Nie słyszała, jak wstał i podszedł do zlewu. Kiedy otworzyła oczy, wyciągał do niej szklanekę wody.

Wypiła łyk, nie wiedząc już, czy jest zła, czy skrepowana. Jednego tylko była pewna. To wszystko jego wina.

- Jakim prawem przyjechał pan tutaj i wtyka nos w cudze życie?

- Wiedza i prawda chronią nas przed chaosem. - Mówił spokojnie, z rozwagą. Miała ochotę go pogryźć. - Współczucie i tolerancja czynią z nas ludzi. W przeciwnym razie pojawiają się fanatycy żerujący na strachu i ignorancji. Tak jak w Salem trzysta lat temu.

- To, że nikt już nie wie o czarownicach, nie znaczy, że świat stał się tolerancyjny. Nie będę przedmiotem pańskich badań, wyjaśnijmy to sobie raz, a dobrze.

- Okej. - Nagle wydała mu się bardzo zmęczona. Wręcz skrajnie wyczerpana. Poruszyło go to, poczuł coś w rodzaju winy pomieszanej z sympatią. - W porządku. Ale to, co zdarzyło się tamtej nocy, mocno komplikuje sprawę. I pani, i mnie.

Odczekał chwilę, aż poprawiła się na krześle i spojrzała na niego niechętnie.

- Widziałem na plaży kobietę. Z początku myślałem, że to pani. Takie same oczy, taka sama karnacja. Była bardzo samotna i przeraźliwie smutna. Długo patrzyła na mnie. Potem zniknęła.

Ripley zacisnęła wargi i podniosła kieliszek.

- Może wypił pan za dużo merlota.

- Ona szuka wybawienia. Chcę jej pomóc.

- Pan chce tylko informacji... jakoś uzasadnić swoją misję, a może też zebrać materiał do książki - burknęła.

- Chcę tylko zrozumieć. - Nie, przyznał, zależy mi na czymś więcej. Na czymś, co stanowi sedno sprawy. - Chcę wiedzieć.

- W takim razie niech pan porozmawia z Mią. Ona uwielbia, gdy ktoś się nią interesuje.

- Wychowywałyście się razem?

- Tak. I co z tego? Jest łatwiej, pomyślał, a nawet przyjemniej rozmawiać z nią, kiedy znowu staje się zadziorna.

- Wyczułem między wami pewne napięcie.

- Każe mi pan się powtarzać: i co z tego?

- Ciekawość to pierwsza dewiza naukowca.

- Ciekawość to także pierwszy stopień do piekła. - W głosie Ripley znów dała się wyczuć drwina. - A uganianie się po świecie za czarownicami wcale nie jest dla mnie nauką.

- Coś takiego mówi też mój ojciec - odparł pogodnie, podnosząc się, żeby wstawić do zlewu miseczki po zupie.

- Rozsądny człowiek.

- To prawda. Jestem dla niego powodem nieustającego rozczarowania. Nie, to nie tak - poprawił się, gdy wrócił do stołu i napełnił kieliszki. - Przypominam mu raczej puzzle, w których brakuje niektórych elementów. Mimo to nasze stosunki układają się znakomicie. Tak to jest. A teraz niech mi pani opowie o swoich

rodzicach.

- Są już na emeryturze. Ojciec był tu szeryfem przed Zackiem, a mama księgową. Jakiś czas temu zdecydowali się na życie w drodze, wędrują po kraju wielkim samochodem.

- Zwiedzają parki narodowe.

- Nie tylko. To najlepszy okres w ich życiu. Są jak para dzieciaków na niekończącej się majówce.

Raczej z jej tonu niż z tego, co mówiła, wywnioskował, że rodzina Toddów jest zżyta i szczęśliwa. Problemy Ripley z własną wewnętrzną mocą nie wynikają z rodzinnych konfliktów. Był tego pewien.

- Pracuje pani razem z bratem.

- Oczywiście. Uśmiechnął się lekko. A więc już się uspokoiła.

- Spotkałem go wczoraj. Nie bardzo jest pani do niego podobna.

- Podniósł wzrok znad notatek. - Z wyjątkiem oczu.

- Zack dostał wszystkie dobre geny w naszej rodzinie. Dla mnie zostało niewiele.

- Była pani przy tym, gdy został ranny podczas aresztowania Evana Remingtona.

Twarz Ripley znów zeszywniała.

- Chce pan przeczytać raport policyjny?

- Prawdę mówiąc, już czytałem. To musiała być ciężka noc. -

Postanowił, że na razie ominie ten temat. - Lubi pani pracę w policji?

- Nigdy nie robię rzeczy, których nie lubię.

- Nie każdy ma tyle szczęścia. Dlaczego „Sokół maltański”?

- A dlaczego nie?

- Ciekaw jestem, czemu wybrała pani ten film. a nie, na przykład, „Casablanke”?

Ripley potrząsnęła głową, próbując uporządkować myśli.

- Nie wiem. Wydaje mi się, że Bergman powinna była powiedzieć Bogartowi: Paryż, do cholery, zamiast wsiadać do samolotu. W „Sokole...” Bogart zrobił, co trzeba. To było sprawiedliwe.

- Zawsze wyobrażałem sobie, że Lisa i Rick pobrali się po wojnie, a Sam Spade... No cóż, to ciągle Sam Spade. Jaką muzykę pani lubi?

- Słucham?

- Muzykę. Wspominała pani, że lubi ćwiczyć przy muzyce. Ściągnęła proste, ciemne brwi.

- A co to ma wspólnego z pańskimi badaniami?

- Powiedziała pani, że nie będzie przedmiotem moich badań. Możemy więc wykorzystać czas, jaki nam pozostał, żeby się lepiej poznać.

Westchnęła i wypła jeszcze trochę wina.

- Naprawdę dziwny z pana facet.

- W porządku, nie będziemy już mówić o pani. Mówmy o mnie.

- Odchylił się do tyłu, a gdy zauważył, że niewyraźnie widzi jej twarz, przypomniał sobie, że nie zdjął okularów do czytania. - Mam trzydzieści trzy lata i jestem bezwstydnie bogaty. Jestem drugim synem Brooke'ów z Nowego Jorku. Wielka firma, nieruchomości.

MacAllister to w naszej rodzinie tradycyjnie nadawane pierwsze imię. Gdy byłem jeszcze dzieckiem, zacząłem się interesować zjawiskami paranormalnymi. Historią. wpływem, jaki wywierały na kultury i społeczeństwa. Te zainteresowania sprawiły, że moi rodzice zwrócili się o pomoc do terapeuty, który zapewnił ich, że to po prostu forma buntu.

- Zaprowadzili cię do psychiatry dlatego, że interesowały cię duchy?

- Kiedy masz czternaście lat i zaczynasz college, zawsze może się znaleźć ktoś, kto cię zaprowadzi do psychiatry.

- Czternaście? - Zaciśnęła wargi. - Trochę dziwne.

- No cóż, nie było to łatwe, proszę mi wierzyć. - Podobało mi się delikatne drżenie jej warg. - Przeniosłem energię z moich budzących się potrzeb seksualnych na studia, rozwijałem zainteresowania.

- Uciekł pan do nauki i książek.

- W pewnym sensie. Rodzice chcieli umieścić mnie w jednej z rodzinnych firm, na szczęście, kiedy stuknęła mi osiemnastka, darowali to sobie. W wieku dwudziestu jeden lat po raz pierwszy dostałem pieniądze z mojego funduszu powierniczego i odtąd mogłem robić, na co przyszła mi ochota.

Przechyliła głowę. Nie mogła opanować ciekawości.

- Miał pan kiedyś randkę? Uśmiechnął się ciepło i łagodnie.

- Parę razy. I wiem, jakie to uczucie, kiedy cię popychają tam, gdzie wcale nie chcesz iść, albo gdy jeszcze nie jesteś gotowy. - Coś

jej zamigotało w oczach, gdy odstawiała kieliszek. - Ludziom wydaje się, że wiedzą lepiej, co dobre dla innych. Może czasem mają rację, ale to i tak bez znaczenia, jeśli odbierają ci możliwość wyboru.

- I dlatego odpuścił mi pan dziś wieczór?

- To jeden z powodów. Drugi jest taki, że wkrótce zmieni pani zdanie. Proszę się nie denerwować - dodał szybko, gdy zacisnęła wargi. - Gdy tu przyjechałem, sądziłem, że będę pracować z Mią. Okazało się jednak, że potrzebna mi jest pani, przynajmniej na początku.

- Dlaczego?

- Sam chciałbym wiedzieć. Założyliśmy się i pani dotzymała umowy. Odwiozę panią do domu.

- Nie zmienię zdania.

- Trudno, mam mnóstwo czasu. Mogę poczekać. Przyniosę płaszcz.

- I wcale nie musi mnie pan odwozić do domu.

- Tu się pokłócimy - odparł - bo nie pozwolę, żeby wracała pani do domu pieszo, po ciemku i na mrozie. Gdzie ja właściwie położyłem pani rzeczy?

Wzniosła oczy do nieba.

- W sypialni. A ponieważ została przez chwilę sama, rzuciła się na drugą stronę stołu do jego notatek. Syknęła, stwierdziwszy, że stenografował, a w każdym razie wyglądało to na coś w rodzaju stenografii. Tak czy inaczej były tam jakieś dziwne symbole, linie i pętle nie do odcyfrowania. Ale szkic na środku strony wprowadził ją w

osłupienie.

To była jej twarz - i to cholernie dobrze uchwycona. Szybki, ołówkowy szkic portretu. Wyglądała na... rozdrażnioną. I czujną. Cóż, w tym też najwyraźniej był dobry.

Nie ulegało wątpliwości, że MacAllister Brooke zasługiwał na baczną uwagę.

Kiedy wrócił, stała niewinnie pół metra od stołu, z rękami w kieszeniach.

- Nie mogłem znaleźć kluczyków. Nie mam pojęcia, skąd się wzięły w umywalce w łazience.

- Duchy? - spytała słodkim głosem. Roześmiał się.

- Chciałbym. Ja chyba nigdy nie kładę niczego dwa razy na tym samym miejscu. - Narzucił już kurtkę i czekał, aż Ripley zawinie się w kamizelkę i szalik.

Trzymał jej płaszcz; zorientowawszy się, że chce go jej podać, pokręciła głową.

- Nigdy tego nie zrozumiem. Jak, zdaniem facetów, radzimy sobie z ubieraniem, kiedy nie ma ich w pobliżu?

- W pale się im nie mieści. - Rozbawiony wcisnął jej na głowę czapkę i podpatrzonym u niej gestem przeciągnął włosy przez otwór z tyłu. - Rękawiczki?

Wyjęła je z kieszeni i uniosła brwi.

- Czy włożysz mi je, tatuśku?

- Oczywiście, kochanie. Ale kiedy wyciągnął rękę, Ripley odepchnęła ją energicznym uderzeniem. Uśmiechała się, dopóki nie

zauważyła pręgę na nadgarstku Maca. Poczowała ukłucie winy. Nie miała nic przeciw zadaniu bólu komuś, kto na to zasługiwał. Ale nie w ten sposób. Nigdy.

Jednak to, co się stało, można odwrócić, nawet jeśli trzeba by było na chwilę zapomnieć o dumie.

Widział, jak zmieniała się na twarzy, gdy patrzyła na jego rękę.

- Nic wielkiego - zaczął, obciągając mankiety.

- To moja sprawa. - Ujęła ponownie jego nadgarstek. Jej wzrok spochmurniał, spojrzała na niego twardo. - To poza konkursem, poza protokołem. Poza wszystkim. Zrozumiano?

- Tak jest.

- Co uczyniłam w gniewie, w żalu, odwracam tym zaklęciem. Ulecz ranę zadaną przeze mnie, wzywam cię, mocy, po trzykroć. Niech się stanie, tak jak chcę.

Poczuł lekki ból, a potem skóra przestała palić. Miejsce, którego dotykały jej palce, było chłodne, oparzenie zniknęło. Coś drgnęło mu w żołądku, gdy spojrzał na Ripley.

Patrzył już kiedyś prosto w oczy wielkiej mocy i wiedział, że właśnie stoi wobec czegoś podobnego. Czegoś, do czego zawsze odnosił się z respektem.

- Dzięki - wymamrotał.

- Ani słowa - odwróciła się - na ten temat. Nacisnął kławkę - na nadgarstku nie było żadnych śladów.

- Nie wiemy też, jak dajecie sobie radę z otwieraniem drzwi - powiedział. - To skomplikowane, są przecież takie ciężkie.

- Śmieszny facet. Gdy wyszli, ujął jej łokieć. Skwitował wzruszeniem ramion posłane mu przeciągłe, niechętnie spojrzenie.

- Jest trochę ślisko. Nic na to nie poradzę, trudno pozbyć się nawyków wpajanych od wczesnego dzieciństwa.

Dała spokój i nie miała serca znęcać się nad nim, kiedy prowadził ją wokół rovera i otwierał przed nią drzwi.

Jechali krótko, ale uświadomiła sobie, że naprawdę jest mu wdzięczna za podwiezienie. Nawet w ciągu ostatniej godziny, spędzonej w żółtym domku, temperatura spadła. Samochód nie zdążył się porządnie nagrzać, lecz przynajmniej siedzieli w zacisznym wnętrzu, a nie na powietrzu, które zdawało się naprawdę mroźne.

- Jeśli będzie pan chciał kupić drewno, Jack Stubens może sprzedać parę sągów.

- Stubens. Może pani to zapisać? - Kierując jedną ręką, drugą grzebał w kieszeni. - Ma pani jakiś papier?

- Nie.

- Proszę zajrzeć do skrytki na rękawiczki. Otworzyła i wytrzeszczyła oczy. Były tam dziesiątki notatek, niezliczone długopisy, gumki, pół torebki precli, trzy latarki, nóż myśliwski i kilka innych dziwnych rzeczy. Wyciągnęła jakiś przedmiot zrobiony z czerwonego sznurka, paciorków i ludzkich włosów.

- Co to jest? Rzucił okiem.

- Amulet. To prezent. Nie ma papieru? Patrzyła na niego przez chwilę, a potem odłożyła talizman z powrotem i wyjęła nabazgraną notatkę.

- Stubens - powtórzyła, gryzmołąc nazwisko na skrawku papieru. - Jack, uliczka Tajemniczych Sów.

- Dzięki. - Wziął papier i wcisnął go do kieszeni.

- Proszę skreć tutaj. To ten dom z piętrową werandą. Sam by się tego bez trudu domyślił, bo na podjeździe stał policyjny radiowóz. W oknach ciepło błyszcząły światła, a z komina ulatywały kłęby dymu.

- Ładny. - Wysiadł i choć Ripley zdążyła już wyskoczyć, zanim zdołał obejść samochód i otworzyć jej drzwi, ponownie wziął ją pod rękę.

- Posłuchaj, przyjacielu, to wszystko jest bardzo fajne i tak dalej, ale nie musisz odprowadzać mnie do drzwi. To nie była randka.

- Wewnętrzny przymus. Poza tym było jedzenie i rozmowa. I wino. Czyli kilka elementów randki.

Stała na werandzie i odwróciła się. Mac miał na głowie narciarską czapkę, spod której tu i ówdzie wymykały się ciemnoblonde włosy. Piwne oczy uśmiechały się do niej łagodnie.

- To co, pocałujesz mnie teraz na dobranoc?

- Okej. Odpowiedź była tak radosna, tak niewinnie radosna, że Ripley też się uśmiechnęła. Ale tylko przez moment.

Zafascynował ją jego... ruch. Płynny, niespodziewany, zaskakujący, nie szybki, ale tak zręczny i gładki, że nie zdążyła się przygotować. Ani pomyśleć.

Mac otoczył ją ramionami, wtulił w siebie tak blisko, że nie wiadomo w jaki sposób nagle przylgnęła do niego całym ciałem. Odchylił ją lekko i jakby wyczarował złudzenie, że znaleźli się w

pozycji horyzontalnej.

Wstrząsnęła nią intymność tej sceny, przyprawiła o zawrót głowy, zanim jeszcze dotknął wargami jej ust.

Miękko. Ciepło. Głęboko. Jego wargi nie ocierały się, nie chwyciły, po prostu pochłaniały ją. Już nie tylko wirowało jej w głowie, zalała ją fala iskrzącego gorąca - napływała w górę od palców nóg i przenikała każdy nerw. Cichy dźwięk wydobył się z jej gardła, radośnie wyrażając zachwyt. Usta się rozchyliły. Och, jeszcze! Dopiero za drugą próbą udało jej się unieść bezwładne ręce i zapleść je wokół jego szyi.

Czuła, że ma miękkie kolana. Nie zdziwiłaby się, gdyby jej ciało po prostu rozpląnęło się i skapnęło małymi kroplami, tworząc kałużę u jego stóp.

Kiedy odchylił się i lekko ją odsunął, miała zamglony wzrok i pustkę w głowie.

- Kiedyś musimy to powtórzyć - szepnął.

- Och... - Nie była w stanie wydobyć z siebie słowa. Uśmiechnęła się i przyjacielskim gestem pociągnął ją za włosy.

- Lepiej wejdź do środka, zanim zamarzniesz.

- Och... - Posłusznie się odwróciła i jak ślepiec wpadła na drzwi.

- Pozwól - powiedział cicho, poważnie. Nacisnął klamkę, otworzył. - Dobranoc, Ripley.

- Mhm. Już w domu oparła się o drzwi, które za nią zamknął. Musiała pozbierać się i odzyskać oddech.

Nieszkodliwy? Naprawdę tak o nim myślała?

Zataczając się, zdołała jakoś pokonać kilka stopni, po czym przysiadła na schodku. Muszę poczekać, aż odzyskam władzę w nogach, postanowiła. Wtedy spróbuję wejść do siebie na górę.

8 stycznia 2002

Dziewiąta - dziesiąta wieczorem czasu wschodniego Chciałbym krótko spisać notatki i zapis magnetofonowy wstępnego wywiadu z Ripley Todd. Nie osiągnąłem tyle, ile się spodziewałem. Nastąpiły jednak dwa szczególne epizody które dokładniej opiszę w dzienniku roboczym. W tym miejscu zanotuję jedynie moje wrażenia.

Temperament Ripley i jej opiekuńczość wobec bratowej, Nell Todd (dane dotyczące Nell Todd dostępne pod jej nazwiskiem), zapewne przewyciężą jej niechęć do rozmowy o własnych zdolnościach. A także, jak zauważyłem dzisiejszego wieczoru, niechęć do ich demonstrowania. Wydaje mi się, że ostrzeżenie, jakiego mi udzieliła, kiedy wspomniałem o Nell, było instynktowne, a jego efekt nie zaplanowany. Krzywda, którą mi wyrzuciła, to raczej wypadek przy pracy, a nie cel. Oparzenia na moim nadgarstku miały kształt jej palców. Nie powstały nagle, ale raczej wskutek stopniowego wzrostu temperatury. Czegoś takiego można by zapewne doświadczyć, podkręcając płomień.

Zmiany fizyczne, jakie w niej zaszły w tym momencie, to rozszerzenie źrenic i rumieniec.

Gniew stłumiła natychmiast.

Sądzę, że przyczyną jej niechęci do rozmowy i do analizowania jej uzdolnień jest brak opanowania i obawa przed własnymi

możliwościami.

To interesująca kobieta bardzo związana z rodziną. We wszystkich sferach poza jedną czuję i dostrzegam w niej całkowitą swobodę i pewność siebie.

Jest piękna, kiedy się uśmiecha.

Zatrzymał się. gotów przekreślić ostatnie stwierdzenie. Brakło w nim precyzji. Nie jest piękna - atrakcyjna, intrygująca, ale nie piękna.

Uznał jednak, że dziennik służy do zapisywania wrażeń. Widocznie tak postrzegał jej urodę, skoro tak to zapisał. Zdanie pozostało.

Drugi incydent nastąpił tuż przed naszym wyjściem. Jestem pewien, że był to dla niej moment znacznie trudniejszy. Fakt, że postanowiła usunąć ślady oparzenia i świadomie zademonstrować swoje zdolności, świadczy o zdecydowanym rozróżnianiu dobra i zła. I to właśnie, podobnie jak odruch obrony tych, których kocha, przewycięża jej potrzebę blokowania swoich możliwości.

Mam nadzieję, że z czasem zdołam się dowiedzieć, jakie wydarzenie lub wydarzenia sprawiły, że postanowiła negować swoją moc lub wypierać się jej.

Muszę spotkać się z nią jeszcze raz, żeby zweryfikować te spostrzeżenia.

- Do diabła - mruknął. Gdzie w końcu ma być szczerzy, jeśli nie tu?

Chcę się z nią zobaczyć jeszcze raz, zupełnie prywatnie. Świetnie się przy niej czułem, mimo że potrafi zachować się niegrzecznie i

obraźliwie. Niepokoję się trochę, że może lubię jej towarzystwo właśnie dlatego, że potrafi być niemila i nietaktowna. Poza tym jest niesłychanie pociągająca seksualnie. W przeciwieństwie do czystego zachwyty, jaki poczułem od pierwszej chwili dla urody Mii Devlin - i w efekcie, zupełnie naturalnych dla człowieka marzeń - tu mam do czynienia z czymś wręcz fizycznym i tym samym zniewalającym. Z jednej strony chciałbym dokonać starannej, dokładnej analizy tej skomplikowanej kobiety i zrozumieć, kim jest, z drugiej zaś chcę po prostu...

Nie, postanowił Mac, nawet w osobistym dzienniku przyda się odrobina cenzury. Nie może tak sobie zwyczajnie napisać, co chciałby zrobić z Ripley Todd.

Właśnie stwierdziłem, że zastanawiam się, jak by to było zostać jej kochankiem.

To jest do przyjęcia, uznał. Po co wdawać się w plastyczne szczegóły.

Odwiozłem ją dziś wieczorem do domu, bo temperatura spadła do minus siedemnastu stopni Celsjusza. Fakt, że przysłała tu na piechotę i zamierzała w takich warunkach wrócić pieszo do domu, dowodzi jej uporu, a także poczucia niezależności. Była najwyraźniej ubawiona drobnymi, prostymi gestami grzecznościowymi w rodzaju podania płaszcza i otwarcia drzwi. Nie urażona, ale ubawiona, czym mnie rozbroiła.

Nie pocałowałbym jej, gdyby tego nie sprowokowała, nie zrobiłbym tego na tak wczesnym etapie znajomości. Jej odpowiedź była

nieoczekiwana i... podniecająca. To kobieta obdarzona prężnym ciałem i umysłem. Poczuć, jak staje się niemal bezwładna...

Musiał przerwać, złapać oddech, tyknąć trochę wody.

Poczuć reakcję jej ciała na moje i żar... Wiedza o chemicznych i biologicznych procesach powodujących wzrost temperatury w takich sytuacjach nie sprawia, że to przeżycie staje się mniej cudowne.

Wciąż czuję jej silne ciało i mocny, ostry smak. I słyszę coś w rodzaju pomruku gdzieś głęboko w jej gardle. Nogi mi zmiękły, a kiedy zarzuciła mi ręce na szyję, czułem się, jakby zagarnęła mnie całego. Jeszcze chwila, a zapomniałbym, że stoimy na dworze w środku mroźnej nocy.

Ale ponieważ to ja - choć sprowokowany - objąłem ją pierwszy, na mnie też spoczywała odpowiedzialność. Miałem przynajmniej tę satysfakcję, że widziałem wyraz jej twarzy i oszołomione, rozmarzone spojrzenie. No i to, że chwiejąc się, weszła wprost na drzwi domu.

Fantastyczne.

Oczywiście, w powrotnej drodze omal nie wyleciałem dwa razy z jezdni i zablądziłem, ale to akurat zdarza mi się i bez dodatkowych bodźców.

Tak, chcę ją znów zobaczyć, z różnych powodów. I nie przypuszczam, żebym spał zbyt dobrze tej nocy.

ROZDZIAŁ 5

Nell polukrowała ostatnią blachę cynamonowych bułeczek i czekała. Miała jeszcze godzinę na załadowanie do samochodu dzisiejszej dostawy. Zupa dnia, grzybowa z mięsem, była już zamknięta w szczelnym pojemniku, sałatki gotowe, a babeczki upieczone. Na ostatek przygotowała napoleonki.

Była na nogach od pół do szóstej.

Diego, lśniący szary kot, przycupnął na kuchennym krześle, obserwując ją uważnie. Lucy, wielki czarny labrador, ułożyła się kącie, obserwując kolegę. Zwierzęta jakoś się dogadały - na warunkach dyktowanych przez Diega - i zgodnie współżyły mimo obopólnej podejrzliwej nieufności.

W piekarniku dopiekały się ciasteczka, a Nell słuchała cichutko nastawionego radia i czekała.

Kiedy Ripley, z zaczerwienionymi oczami, w bluzie i spodniach od dresu, które wkładała do snu, weszła do kuchni, Nell bez słowa podała jej kubek kawy.

Wciąż zaspana Rip wymamrotała coś, co miało przypominać podziękowanie, i klapnęła na krzesło.

- Chyba za dużo dziś śniegu na bieganie.

Ripley znów coś mruknęła. Nie była w stanie rozbudzić się bez swoich porannych pięciu kilometrów biegu. Ale kawa pomogła. Popijała ją, klepiąc delikatnie po głowie Lucy, która przysła się połączyć.

Będzie musiała skorzystać z tej cholernej ruchomej bieżni. Nie

znosiła tego urzędnika, ale nie mogła odpuścić sobie biegania przez dwa kolejne dni. Zack wziął ranną zmianę - gdzie on się teraz podziewa? - można więc iść do siłowni dopiero w południe.

Wcale nie czuła się zakłopotana. Przygotowała już sobie parę wiarygodnie brzmiących usprawiedliwień jej reakcji na wczorajszy pocałunek na dobranoc.

Po prostu nie miała ochoty z nim się spotykać - i to wszystko. Nell postawiła przed nią talerz. Ripley zerknęła zdziwiona.

- Co to takiego?

- Owsianka. Podejrzliwie i bez entuzjazmu pochyliła się i powąchała.

- Ale co w niej jest?

- Zgadnij. - Nell wyciągnęła z pieca blachę z ciasteczkami i przełożyła je na tacę. - Spróbuj, zanim zaczniesz się wykrzywiać.

- Okej, okej. - Zazwyczaj robiła grymasy za plecami Nell. Taka zabawa, a chodziło głównie o to, żeby dać się przyłapać. Spróbowała jedną łyżkę, potem następną. No cóż, spod ręki Nell nie mogło wyjść nic niesmacznego. - Dobra. Moja mama gotowała nam w zimie owsiankę, ale tamta wyglądała jak bury klej, a smakowała jeszcze gorzej.

- Twoja mama miała za to inne talenty. - Nell naląła sobie kawy do filiżanki. Wyprawiła Zacka wcześniej z domu, mogła więc spokojnie porozmawiać z Ripley. Nie zamierzała tracić czasu.

Uśmiechnęła się i usiadła. - No i jak się udało?

- Niby co?

- Twój wieczór z doktorem.

- To nie był wieczór, ale godzina. Aha, pozycja obronna, pomyślała Nell. Stary numer.

- A więc jak się udała ta godzina?

- Po prostu minęła i nie mam już żadnych zobowiązań.

- Wspaniale, że odwiózł cię do domu. - Widząc podniesione brwi Ripley, Nell zamrugwała niewinnie swoimi niebieskimi oczami. - Słyszałam samochód.

A także wyjrzała przez okno. Widziała, jak Mac odprowadza ją do drzwi. A potem była spora przerwa, zanim wrócił do auta.

- Taa, chodząca troskliwość, że za zimno, wszystko sobie odmrożisz i umrzesz, zanim dojdiesz do domu. - Wzięła do ust owsiankę, po czym pomachała łyżką. - Jakbym nie umiała sama o siebie zadbać. Tacy faceci działają mi na nerwy. Nie potrafi nawet znaleźć własnych kluczy, ale oczywiście wydaje mu się, że zabłądzą i zamienią się w sopel lodu. Daj spokój.

- Wspaniale, że cię odwiózł - powtórzyła Nell.

- No dobra. - Ripley westchnęła; dziobała czubkiem łyżki w owsiance, wydłubując w niej półkoliste wgłębienia; przypominały jej trochę księżyc.

Gdyby nie odwiózł jej do domu, wszystko byłoby w porządku - ale ominąłby ją niebyle jaki pocałunek. Myśl o tym niebezpiecznie graniczyła już z obsesją.

- Nie poznałabyś żółtego domku. Wygląda jak nora jakiegoś pomyłonego naukowca, i to maniaka techniki. Upchnął tam te

wszystkie komputery i elektroniczny chłam. Usiąść można tylko w kuchni. Facet ma totalnego fioła na punkcie tych swoich numerów z duchami. Nawet w samochodzie trzyma w skrytce jakiś lewy amulet. Wie o mnie - powiedziała szybko i urwała, podnosząc wzrok na Nell.

- Och. - Nell cicho wciągnęła powietrze. - Powiedziałaś mi? Ripley potrząsnęła głową. Cała się trzęsła i doprowadzało ją to do szału.

- Po prostu wie. Jakbym miała to wypisane na czole. Miejscowa czarownica. Dla niego to czysto akademicki problem. Cóż, to interesujące, panno Todd, może zechciałaby pani pokazać jakąś sztuczkę przed kamerą.

- Prosił, żebyś coś wyczarowała?

- Nie. - Ripley tarła twarz rękami. - Nie - powtórzyła. - Ale ja... Do diabła, wkurzył mnie i... Oparzyłam go.

- O Boże! - Nell postawiła filiżankę tak energicznie, że kawa aż chlapnęła.

- Nie zapaliłam go ani nic w tym rodzaju. Oparzyłam mu nadgarstek palcami. - Spojrzała teraz na nie. Zwykle, niegroźne, może trochę długawe, z krótkimi, nie umalowanymi paznokciami. Nic specjalnego.

Śmiercionośne.

- Nie myślałam o tym, w każdym razie nie zrobiłam tego świadomie. Wściekłość zamieniła się w żar, a żar przeszedł w palce. - Mocno zacisnęła powieki. - Od tak dawna o tym nie myślałam, nie musiałam myśleć. Dopiero w ostatnich miesiącach...

- Od czasu, kiedy otworzyłaś się, żeby mi pomóc - dokończyła cicho Nell. Wstała, kiedy odezwał się minutnik piekarnika.

Ripley spojrzała na nią błyskawicznie.

- Nie żałuję tego, Nell, ani przez chwilę. To była moja decyzja i postąpiłabym tak jeszcze raz. Po prostu trudniej jest na nowo wszystko zamykać w sobie. Nie wiem czemu... Nie przyznam się czemu, pomyślała, i dajmy temu spokój.

- Po prostu tak. Zadałam mu fizyczny ból. Musiałam to naprawić, co nie zmienia faktu, że tak się stało i że to moja wina.

- Jak to przyjął?

- Jakby nic wielkiego się nie stało. Podał mi szklankę wody, właściwie poklepał po głowie i wrócił do rozmowy, jakbym, ot tak, wylała wino na obrus. To facet z jajami. Trzeba mu to przyznać.

Nell podeszła i pogłaskała Ripley po włosach, jakby pocieszała dziecko.

- Za wiele od siebie wymagasz. Nie potrafię nawet policzyć błędów, jakie popełniłam w ostatnich miesiącach, mimo że Mia prowadziła mnie za rękę, krok po kroku.

- To nie jest najlepsza pora, żeby o niej wspominać. - Ripley znów pochyliła się nad zupą, jakby owsianka mogła złagodzić ucisk w żołądku. - Gdyby go tu nie ściągnęła...

- Ona go nie ściągnęła, Ripley. - Delikatny, ale wyraźny cień zniecierpliwienia w głosie Nell sprawił, że Ripley lekko się przygarbiła. - A gdyby nie wynajęła mu swojego domku, znalazłby inny albo zamieszkał w hotelu. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że

wynajmując mu dom i zgadzając się na rozmowę, zachowała taką kontrolę nad sytuacją, jaka byłaby niemożliwa w innych warunkach?

Ripley otworzyła usta i zaraz je zamknęła.

- Nie, nie przyszło. A powinno. Ona zawsze wykorzysta każdą okazję.

- Ja też będę z nim rozmawiać. Upuściła łyżkę.

- Kiepski pomysł. Zupełnie do niczego.

- Zastanawiałam się nad tym. Obiecał Mii, że nie ujawni prawdziwych nazwisk bez naszej zgody. A poza tym interesuje mnie jego praca - ciągnęła Nell, zgarniając ciasteczka z blachy na sito, żeby wystygły. - Chcę dowiedzieć się więcej o sobie. O tym, kim jestem. Podchodzę do tego inaczej niż ty.

- Nie mogę ci niczego zabraniać. - Ripley wiedziała jednak, że musi mieć pewność, że Mac nie będzie zbyt obcesowy i nie zrobi nic złego. - A co na to Zack?

- Zostawił mi wolną rękę. - Odwróciła się, jej oczy płonęły. - Ufa mi i mnie szanuje. I to jest tak samo cudowne jak fakt, że mnie kocha. Doktor Brooke nie spędza mi więc snu z powiek.

- On jest bardziej chytry, niż wygląda - mruknęła Ripley - Próbuje udawać łagodnego pieseczka. A wcale taki nie jest.

- A jaki?

- Inteligentny i bystry. Ma przy tym rzeczywiście niektóre szczenięce cechy i to może zmylić. Czasem naiwnie się uśmiecha albo sprawia wrażenie całkiem zagubionego, jakby zapomniał własnego nazwiska. A zaraz potem...

Nell znów usiadła.

- Co zaraz potem?

- Pocałował mnie. Nell złączyła dłonie i stuknęła koniuszkami palców.

- Coś takiego!

- To miało wyglądać na żart. Gość odprowadził mnie do drzwi, tak jakbyśmy wracali z potańcówki. I wtedy... - Ściszyła głos i próbowała pokazać, jak ją objął. - Wiesz, zakręciło mi się w głowie. Nie spieszył się, a mnie zrobiło się tak gorąco i dziwnie. Czułam się, jakby mnie powoli pochłaniał.

- O rany!

- Byłam zupełnie bezwładna, jakby bez kości. Po prostu stopiłam się z nim, kiedy robił te niewiarygodne rzeczy z moimi ustami. - Odetchnęła głęboko. - Z niejednym facetem się całowałam i jestem w tym naprawdę dobra. Ale tym razem nie dałam rady.

- Wow! - Nell szeroko otworzyła oczy. Przysunęła się razem z krzesłem o parę centymetrów bliżej. - I co dalej?

- Wlazłam na zamknięte drzwi. - Ripley zacisnęła powieki i skuliła się. - To upokarzające. Po prostu na nie wpadłam. Bum. A doktor Romeo tylko się uśmiecha i uprzejmie otwiera je przede mną. Po raz pierwszy w życiu pocałunek odebrał mi rozum i chciałabym, żeby to się już nie powtórzyło.

- Skoro on cię pociąga...

- Jest fajny, przystojny, seksowny i rzeczywiście mnie pociąga, ale nie w tym rzecz. - Ripley potrząsnęła głową. - Nigdy nie zdołałby

przecież jednym pocałunkiem zrobić ze mnie idiotki. Chodzi o to, że od jakiegoś czasu nikogo nie miałam. Minęły już cztery miesiące, gdy... rozumiesz... ostatni raz wymieniałam olej.

- Ripley! - Śmiech Nell był zaraźliwy.

- Regularna konserwacja to warunek sprawności dziewczyn.

Myślę, że to było coś w rodzaju samozapłonu. Ja trochę zardzewiałam, on jest dobry, i ciach. Ale teraz, kiedy już wiem, o co chodzi, poradzę sobie z tym. - Z uczuciem ulgi wygładziła powierzchnię owsianki. - Poradzę z nim sobie.

Mac przeszukiwał księgarnię, kartkował książki, oglądał okładki. Właściwie zgromadził już i przeczytał całą literaturę na temat Trzech Sióstr, znalazł jednak jeszcze parę książek, które chciał przejrzeć.

Wsadził je pod pachę i szukał dalej.

Księgarnia oferowała całkiem niezły, dość zróżnicowany wybór. Znalazł piękny tomik sonetów Elizabeth Barrett Browning, ostatnią, jeszcze nieczytaną rzecz z serii o łowcach wampirów, dwie książki o miejscowych zabytkach, samouczek dla czarownic i dwie pozycje o zjawiskach nadprzyrodzonych - wprawdzie miał takie same w domu, lecz gdzieś mu się zapodziały.

A do tego wyjątkowo piękną talię kart do tarota.

Nie był bibliofilem ani niczego nie kolekcjonował, ale zdecydował się kupić to wszystko, bo nigdy nie marnował okazji, by zagłębić się w lekturze. Będzie co czytać w wolnych chwilach, pomyślał, a poza tym książki dawały pretekst, żeby zagadnąć Lulu.

Zaniósł je do kasy i posłał Lulu najniewinniejszy ze swoich uśmiechów.

- Fantastyczna księgarnia. Kto by się spodziewał, że w małym miasteczku można znaleźć taki wybór.

- Są tu jeszcze inne rzeczy, których nikt się nie spodziewa. - Spojrzenie Lulu sponad okularów miało dać mu do zrozumienia, że jeszcze nie wyrobiła sobie o nim zdania. - Gotówką czy kartą?

- Ach, kartą. - Wyjął z kieszeni portfel, wykręcając jednocześnie szyję, żeby przeczytać tytuł leżącej przed Lulu książki. *Seryjni mordercy, co czują i co myślą*. O rany! - To coś warte?

- Za wiele psychologicznego bełkotu, za mało krwi. - Uśmiechnęła się niewyraźnie. - Intelktualiści gustują w mało pikantnych potrawach.

- Większość intelektualistów zbyt rzadko wychodzi na świeże powietrze. Za dużo siedzą w salach wykładowych, brakuje im fizycznej pracy. - Poufale przechylił się nad kontuarem, nie zważając na szorstkość Lulu. - Czy słyszała pani teorię o ponadzmysłowych możliwościach Kuby Rozpruwacza? Seria zabójstw w jego londyńskim okresie wcale nie była pierwsza, tylko po raz pierwszy udokumentowana. Wcześniej żył i zabijał w starożytnym Rzymie, w Galii i Brytanii.

Nadal obserwowowała go sponad okularów i wybiła ceny książek.

- Nie wierzę.

- Ja też nie. Ale czytałoby się to nieźle: Z Rozpruwaczem przez stulecia. Jeśli dobrze pamiętam, to właśnie on pierwszy składał ofiary

z bezrogich kozłów i ludzi w swoich obrzędach magicznych. Czarna magia. Bardzo czarna - wyjaśniał, a oczy Lulu zwięzały się coraz bardziej.

- I tego właśnie pan tu szuka? Krwawych ofiar?

- Nie, madame. Biała magia nie potrzebuje krwawych ofiar. Nie wyrządza nikomu krzywdy.

- Proszę nie mówić do mnie madame. Jestem Lulu. - Uśmiechnął się, a ona fuknęła: - Spryciarz z pana, co?

- Tak. - Jego czarujący uśmiech stał się jeszcze szerszy. - To czasami irytuje.

- Trafiłeś pod niewłaściwy adres, chłopczyku. Ja nie jestem czarownicą.

- Nie, ale wychowywała pani czarownicę. To musiało być ciekawe, obserwować, jak dorasta Mia. I Ripley. - Leniwie zbierał swoje zakupy. - Obie są mniej więcej w tym samym wieku, prawda?

Tak, pomyślała. Bardzo bystry chłopak.

- No i co z tego?

- Wie pani, jak to jest z intelektualistami. Wciąż nowe pytania. Chciałbym zrobić z panią wywiad, jeśli Mia nie ma nic przeciwko temu.

- A po co? - Była ostrożna, ale i zadowolona.

- Powiedzmy, że chodzi o zainteresowanie osobowością.

Większość ludzi nie potrafi sobie wyobrazić, jak może wyglądać zwykły, powszedni dzień niezwykłej kobiety. Nawet jeśli otworzą się na to, co niezwykle, przeważnie myślą, że w jej życiu nie może być

nic zwyczajnego i prostego. Nie ma zadań z matematyki, nie ma aresztu domowego za powrót do domu po dziesiątej wieczorem, nie ma mowy o czyimś przyjaznym ramieniu, na którym by się oparła.

Lulu wzięła kartę kredytową.

- Czyżby jakieś osobiste plany w stosunku do Mii?

- Nie, ale lubię na nią patrzeć. Kiedy zobaczyłem ją pierwszy raz, bałem się, że oczy wyjdą mi na wierzch.

Omam nie parsknęła śmiechem, ale zdołała się opanować.

- Nie mam czasu, żeby pomagać studentom w pisaniu prac semestralnych.

Oddając kartę, zauważyła, że podpisał pokwitowanie, nie patrząc na sumę.

- Mogę zapłacić. Wyobraziła sobie stos monet i usłyszała delikatny brzęk pieniędzy.

- Ile?

- Pięćdziesiąt za godzinę.

- Pan jest chyba pomyłony.

- Nie. Nadziany. Lulu, kręcąc głową, podała mu torbę z książkami.

- Muszę nad tym pomyśleć.

- Okej. Dziękuję. Kiedy wyszedł, znów pokręciła głową. Chce płacić za rozmowę.

Jak się temu oprzeć? Nie przestawała się dziwić. Mia spłynęła po schodach.

- Coś tu dzisiaj zbyt cicho, Lu. Chyba trzeba urządzić na górze

promocję książek kucharskich i ściągnąć trochę ludzi. Nell mogłaby przygotować dania z różnych książek.

- Mogłaby. Był tu przed chwilą student.

- Kto? Och. - Mia podała Lulu filiżankę herbaty, którą przyniosła jej z kawiarni. - Interesujący, rozkoszny MacAllister Brooke.

- Wydał na książki ponad sto pięćdziesiąt dolarów i nawet okiem nie mrugnął.

Mia poczuła, jak radośnie bije w niej serce businesswoman.

- Niech mu to Pan Bóg wynagrodzi.

- Wygląda na to, że go stać. Zaproponował mi pięćdziesiąt dolarów za godzinę rozmowy.

- Naprawdę? - Mia uniosła brwi, popijając herbatę. Wiedziała, że Lulu kocha pieniądze; dowiedziała się o tym, gdy siedziała jeszcze na jej twardych kolanach. - Powinnam była wyznaczyć mu wyższy czynsz. A o czym chce rozmawiać?

- O tobie. Mówił, że interesuje go, ile razy sprąłem ci tyłek, gdy dorastałaś, i takie tam rzeczy.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy musieli wracać do niefortunnych przypadków sprania mojego tyłka - odparła sucho Mia. - Ale to ciekawe... i zaskakujące. Myślałam, że będzie mnie męczył, zabiegał o rozmowy i jakieś spektakularne sztuczki. A on wszystko to odkłada na bok i proponuje ci honorarium godne eksperta, żeby pogadać o latach kształtowania mojej osobowości.

Popukała jaskrawoczerwonym paznokciem w dolną wargę tego

samego koloru.

- Bardzo sprytnie.
- Sam powiedział, że jest sprytny, co niektórych wkurza.
- Mnie nie wkurza. Intryguje. Sądzę, że o to mu właśnie chodzi.
- Twierdzi, że nie ma wobec ciebie żadnych osobistych

zamiarów.

- No, to już mnie obraża. - Mia ze śmiechem pocałowała Lulu w policzek. - Nadal się o mnie martwisz?

- Gdybyś się nim zainteresowała, nie byłby to najgorszy wybór.

Dobrze wychowany, bogaty, łeb nie od parady i sympatycznie wygląda.

- On nie jest dla mnie. - Z lekkim westchnieniem oparła policzek na głowie Lulu. - Wiedziałabym, gdyby tak było.

Lulu chciała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język i objęła Mię w tali.

- Nie myślę o Samuelu Loganie - ciągnęła Mia, choć było na odwrót. Myślała o jedynym mężczyźnie, któremu oddała serce. I jedynym, który je złamał. - I nie czuję żadnego romantycznego pociągu do interesującego, błyskotliwego i pod każdym względem świetnego faceta, jakim jest doktor Brooke. Będiesz z nim rozmawiać?

- To zależy.

- Jeśli obawiasz się zastrzeżeń z mojej strony, to informuję, że ich nie mam. Potrafię się obronić sama. A przed nim nie muszę.

Było coś innego, nie do końca jasnego. Ale to nie dotyczyło

MacAllistera Brooke'a. Odsunęła się i sięgnęła po herbatę.

- Właściwie sama mogłabym zgodzić się na taką rozmowę. Pięćdziesiąt dolarów za godzinę. - Zaśmiała się swoim niskim, cudownym śmiechem. - Fantastyczne.

Obładowany przenośną aparaturą, Mac brnął przez śnieżne zasy w niewielkim lasku w pobliżu żółtego domku. Z raportu policji i z reportaży prasowych wynikało, że tędy właśnie uciekała Nell, kiedy ją i Zacka Todda zaatakował Evan Remington.

Dokonał już pomiarów w kuchni, w której nastąpił atak. Nie znalazł tam żadnych śladów przemocy ani negatywnej energii. Co go zdumiało, dopóki nie uświadomił sobie, że Nell - albo Mia - zapewne później oczyściła dom.

Miał nadzieję, że uda się znaleźć coś w lesie.

Było cicho i mroźnie. Pnie i konary drzew lśniły oblodzone. Śnieg okrywał je jak futro.

Z zachwytem spostrzegł ślady jeleni i natychmiast sprawdził, czy załadował aparat.

Przeszedł potoczek, który torował sobie drogę między głazami i lodem. Wprawdzie przyrzędy nie zarejestrowały żadnej osobliwości, ale coś poczuł. Minęła chwila, zanim zorientował się, że to po prostu spokój. Rozkoszny spokój.

Odezwał się ptak, który mignął obok jak pocisk. Mac stał, głupkowato uśmiechnięty. Dobrze tu. Miejsce, gdzie można dać odpocząć umysłowi. Miejsce na piknik i rozmyślania.

Z niechęcią ruszył dalej, obiecując sobie, że wróci tu po prostu

dla czystej przyjemności.

Wędrował przed siebie i choć wolałby nie zmieniać nastroju, usiłował wyobrazić sobie, jak czuła się Nell, uciekając w ciemności przed człowiekiem gnany żądzą mordy i uzbrojonym w nóż, na którym już była krew. Sukinsyn. Tu ją dopadł. Rozjuszony wilk i łania. Zrobił to, bo był silniejszy, bo wolał widzieć ją martwą niż wolną. Poderżnąłby jej gardło, byle tylko nie utracić czegoś, co uważał za swoją własność.

Maca ogarnęła wściekłość, wzburzony czuł niemal zapach krwi i nienawiści. Strach. Dopiero po chwili spostrzegł, że jego aparatura zaczęła wariować.

- O rany! - Otrząsnął się, znów był trzeźwo myślącym, opanowanym naukowcem. - Tutaj. Dokładnie tutaj.

Przeszukiwał teren wykrywaczem, zapisując jednocześnie dane na podręcznym magnetofonie. Starannie zmierzył odległości. Klęcząc w śniegu, rejestrował, przeliczał i zapisywał wyniki, bacznie obserwując przy tym zachowanie przyrządów pomiarowych.

- Najsilniejszy ładunek niemal czystej energii pozytywnej mieści się na terenie mającym kształt koła o powierzchni około czterech metrów kwadratowych. W większości obrzędów o charakterze paranormalnym stosowane są kręgi ochronne. Ten jest najpotężniejszy z dotychczas mi znanych.

Schował instrumenty w kieszeniach i zaczął rękami rozgarniać śnieg. Gdy udało mu się wreszcie oczyścić sporą część kręgu, plecy miał mokre od potu.

- Pod śniegiem nie znalazłem żadnych znaków ani symboli. Powinienem wrócić z łopata, żeby oczyścić cały krąg. Jeśli powstał tej nocy, gdy aresztowano Evana Remingtona, oznaczałoby to, że utworzono go ponad dwa miesiące temu i musiał być rytualnie zamknięty tej samej nocy. Pozostało jednak jeszcze pozytywne echo potwierdzone wskazaniem sześć przecinek dwa na skali wykrywacza.

Sześć przecinek dwa! Omal nie podskoczył. O rany!

- W moich dotychczasowych doświadczeniach z aktywnymi kręgami powstałymi podczas obrzędów inicjacyjnych nie udało mi się nigdy osiągnąć poziomu wyższego niż pięć przecinek osiem. Uzyskane wyniki wymagają sprawdzenia.

Podniósł się i, oblepiony śniegiem, zaczął robić zdjęcia. Przez nieuwagę upuścił magnetofon. Zaklął, zmartwiony, że sprzęt przestanie działać.

Radośnie podniecony, stał pośrodku cichego lasu i zastanawiał się, czy naprawdę udało mu się zgłębić tajemnicę Trzech Sióstr.

W godzinę później, nie tracąc czasu na powrót do żółtego domku, brnął przez pokrytą śniegiem plażę. Przyływ i odpływ zmyły trochę śniegu, ale to, co pozostało, pod wpływem mrozu stwardniało na kamień.

Od strony morza dmuchał lodowaty, przenikliwy wiatr. Brooke ubrał się na cebulkę, mimo to jednak zaczęły mu marznąć palce rąk i nóg.

Badając miejsce, gdzie pierwszej nocy spędzonej na wyspie zobaczył kobietę, zaczął marzyć o gorącej kąpieli pod prysznicem i o

gorącej, aromatycznej kawie.

- Co pan tutaj, u diabła, robi? Podniósł wzrok i zobaczył Ripley; stała przy falochronie. Z lekkim zakłopotaniem stwierdził, że na jej widok natychmiast pomyślał o ostrym seksie.

- Pracuję. A co u pani? Oparła ręce na biodrach. Nie widział jej oczu schowanych za ciemnymi okularami. Szkoda, że nie zabrał swoich - blask słońca odbijającego się od śniegu był oślepiający.

- Można wiedzieć, nad czym pan pracuje? Udaje pan odrażającego człowieka śniegu?

- W tej części świata nie spotyka się yeti.

- No to niech pan spojrzy na siebie. Rzucił okiem w dół. Rzeczywiście, cały był pokryty śniegiem.

Wyobraził sobie, jak będzie wyglądało jego ubranie, gdy wreszcie zrzuci je z siebie, idąc pod prysznic. Popatrzył na Ripley i uśmiechnął się.

- Ja naprawdę pracuję. Ponieważ nie zanosilo się, żeby miała do niego podejść, sam ruszył w jej stronę. Nie było to łatwe, bo musiał sforsować po drodze parę zasp sięgających powyżej kolan. W końcu dobrnął jednak do falochronu, podciągnął się i dysząc, stanął na górze.

- Słyszał pan coś o odmrożeniach? - spytała obojętnie.

- Wciąż jeszcze czuję palce, ale dzięki za troskę. Może kawy?

- Niestety, nie mam przy sobie.

- Mogę panią zaprosić.

- Jestem na służbie.

- A jeśli rzeczywiście mam odmrożenia? - Odwrócił głowę i

posłał jej ciepłe spojrzenie. - Jako przedstawicielka służb publicznych mogłaby pani mi pomóc znaleźć jakieś przytulne i bezpieczne schronienie.

- Nie, ale mogę zadzwonić do lecznicy.

- Okej, jeden zero. - Zeskoczył z wału, w ostatniej chwili przypominając sobie o dyndającym na szyi aparacie fotograficznym, i stanął obok niej. - Dokąd pani idzie?

- Dlaczego pan pyta?

- Pomyślałem sobie, że dokądkolwiek pani pójdzie, znajdzie się tam jakaś kawa.

Westchnęła. Był przemarznięty i śmiesznie uroczy.

- Dobrze, chodźmy.

- Nie widziałem pani dziś rano w siłowni.

- Późno wstałam.

- Nie widziałem pani także w miasteczku.

- Za to widzi mnie pan teraz. Stawia długie kroki, zauważył.

Musiał dostosować swój chód, żeby nadążyć. Kiedy mijali księgarnię, tęsknie popatrzył na drzwi. Dobrze by mu zrobiła miseczka zupy Nell, niezależnie od kawy. Ripley zatrzymała się przed budynkiem posterunku.

- Proszę otrzepać śnieg z butów. Wykonał polecenie, a przy okazji strząsnął śnieg z kurtki i spodni. wywołując coś w rodzaju miniaturowej śnieżycy.

- Na litość boską, proszę się obrócić. - Z ponurą miną otrzepywała i zdrapywała przymarznąłą śniegową skorupę, ale gdy

okrążając go, zauważyła, że się uśmiecha, jej oczy pojaśniały.

- Dlaczego się pan śmieje?

- Może dlatego, że lubię być obsługiwany. - Poruszył brwiami. -

Chciałaby pani też spróbować?

- Proszę liczyć się ze słowami, jeśli chce pan dostać kawy. -

Pchnęła drzwi i poczuła się zawiedziona, że w środku nie ma Zacka.

Ściągali rękawiczki, kurtki, odwijali z szyi szaliki.

- Po co, u diabła, kopał się pan w tym śniegu?

- Naprawdę chce pani wiedzieć?

- Chyba nie. - Podeszła do dzbanka z kawą i naląła do dwóch filiżanek resztkę naparu.

- Mimo wszystko powiem pani. Wcześniej byłem w lesie i znalazłem to miejsce, gdzie tamtej nocy... załatwiłyście Remingtona.

Poczuła szarpnięcie i skurcz w żołądku. Wygląda na to, że zaczyna zawsze reagować w ten sposób na Maca.

- Skąd pan wie, że pan je znalazł? Wziął od niej filiżankę z kawą.

- Stworzyłyście krąg, prawda?

- Niech pan pogada o tym z Mią.

- Po prostu tak albo nie, to nietrudna odpowiedź.

- Tak. - Dręczyła ją ciekawość. - Skąd pan wie?

- Bo pozostało tam echo energii. Rzecz bez precedensu w mojej praktyce. Silna magia.

- Mówiłam już, że to działka Mii. Spokojnie i cierpliwie dmuchał na gorącą kawę.

- Czy jest jakiś szczególny powód, dla którego wy dwie nie możecie się ze sobą dogadać? Czy to jakaś ogólniejsza sprawa?

- Szczególna i ogólna, a panu nic do tego.

- Okej. - Pociągnął kawy. Smakowała jak gorące błoto, lecz zdarzały mu się już gorsze. - Ma pani dziś ochotę na kolację?

- Owszem i nawet zamierzam ją zjeść. Wargi Brooke'a drgnęły.

- Myślę o kolacji ze mną.

- W takim razie nie.

- Chyba będzie mi trudno jeszcze raz pocałować cię na dobranoc, jeżeli wcześniej nie zjemy kolacji.

Nachyliła się nad małym stoliczkiem, na którym stał dzbanek z kawą.

- To była jednorazowa akcja.

- Może zmienisz zdanie, kiedy zjemy razem pizzę. Już zmieniła zdanie. Od samego patrzenia na niego zaostrzał się jej apetyt.

- Czy we wszystkim innym jesteś równie dobry jak w całowaniu?

- Ba, co powinienem odpowiedzieć, żeby nie wyjść na idiotę?

- Racja. Powiedzmy, że o wspólnej pizzy pomyślę w innym terminie. Ale niezależnie od tego kiedy to nastąpi, nie będziemy rozmawiać o twojej pracy. A już na pewno nie o tym, co ma związek ze mną.

- Zgoda. - Wyciągnął rękę. Zastanawiała się, czy nie zignorować tego gestu, wyglądałoby to jednak na tchórzostwo. Uderzyła w jego dłoń, uścisnęła ją i z wielką ulgą stwierdziła, że nie nastąpiło nic poza

zwyczajnym dotknięciem palców. Mac nie dawał za wygraną.

- Ta kawa jest naprawdę okropna - stwierdził.

- Wiem. To, co właśnie się dzieje, jest całkowicie naturalne, mówiła sobie. Żywsze krążenie krwi w obecności mężczyzny.

Dreszcz oczekiwania, wspomnienie pieszczoty jego ust.

- O do diabła. - Podeszła do niego. - Zrób to.

- Czekałem, aż to powiesz. Odstawił kawę. Tym razem delikatnie ujął jej twarz w dłonie, lekko muskając ją palcami. Czują, że drży. Dotknął ustami jej warg i zatonął w nich. Zakręciło jej się w głowie.

- Rany! Człowieku, jesteś naprawdę dobry.

- Dzięki. - Przesunął rękę na jej kark. - Teraz bądź cicho, dobrze? Próbuję się skoncentrować.

Objęła go w pasie, przylgnęła całym ciałem i zanurzyła się w rozkoszy.

Spod przymrużonych powiek widziała jego oczy. Otwarte, wpatrzone w nią. Poczwała się, jakby była pierwszą i jedyną kobietą na świecie. Nigdy nie oczekiwała tego od mężczyzn, ale on ją zniewalał.

Palce na jej karku zaczęły lekko, delikatnie masować miejsca, o których istnieniu nie miała pojęcia. Mac przechylił teraz głowę, jakby eksperymentując z pocałunkiem pod innym kątem. Ripley czuła, jak przyjemność przeradza się w pożądanie.

Niemal owinęła się wokół niego. Blisko, jeszcze bliżej. Serce waliło jej jak młotem, krew wrzała.

Trzymał ją tak przez chwilę - musiał przeczekać drzenie, żeby

odzyskać równowagę. Lekko odsunął ją osłabłymi dłońmi.

- Okej. - Głęboko wciągnęła powietrze. - Rany, chyba za to obierwiesz. Studiowałeś jakieś egzotyczne techniki seksualne czy co?

- Szczerze mówiąc... - Odchrząknął. Naprawdę powinienem usiąść. - W pewnym sensie i tylko jako uboczną dziedzinę badań.

Spojrzała na niego.

- Ty chyba nie żartujesz.

- Obyczaje i rytuały seksualne stanowią często ważną część... A czemu nie miałbym ci tego pokazać?

- No, no. - Podniosła ostrzegawczo rękę. - Jestem na służbie, a ty już i tak wystarczająco mnie podkręciłeś. Zawiadomię cię, czy i kiedy będę gotowa na tę pizzę.

Coś błysnęło w jego wzroku.

- Daj mi pięć minut, a będziesz gotowa. - Zrobił krok w jej stronę, ale zatrzymała go wyciągniętą ręką.

- Nic z tego. Wkładaj kurtkę i wynocha. Przez chwilę myślała, że jej nie posłucha. I nagle niebezpieczny błysk w jego oczach złagodniał. Mac cofnął się.

- Kiedy przyjdzie pora, moja pizza będzie ogromna i urozmaicona.

- Zabawne. Moja też.

- Więc sprawa prosta. - Wskoczył w kurtkę i chwycił do ręki aparat. - Miło było panią spotkać, pani władzo. Dziękuję za kawę.

- Jesteśmy zawsze do usług, doktorze.

Naciągnął na uszy narciarską czapkę. Postanowił wrócić na

plażę i rzucić się do lodowatej wody. Albo się utopi, albo przynajmniej ochłonie.

ROZDZIAŁ 6

Sprawa wymagała kręactw, dawania w łapę i niesłychanego uporu. Ale Jonathan Q. Harding był gotów pójść na wszystko, gdy w grę wchodził sensacyjny reportaż.

Instynkt, który uważał za rzecz decydującą w jego zawodzie, podpowiadał mu, że afera Remington może stać się dla niego furtką do reportażu dziesięciolecia.

Nie chodziło tylko o posmak skandalu, wciąż jeszcze wyczuwalny. Zdaniem Hardinga, wszystkie szczegóły dotyczące samego Evana Remingtona i jego prawdziwego, okrutnego oblicza, które ukrywał przed światem, przed wytwornymi klientami z Hollywood i przed najwyższymi sferami, wyeksploatowano już do przesady. Nawet historia jego pięknej, młodej żony, która, ryzykując życie, uciekła od niego, żeby uwolnić się od przemocy i grózb, była już powszechnie znana.

Hardinga nie obchodziły sprawy powszechnie znane.

Pogrzebał trochę tu i ówdzie i zdobył sprawdzone informacje o ucieczce Helen Remington - którądy i jak uciekała, gdzie mieszkała i pracowała w czasie pierwszych ośmiu miesięcy od dnia, kiedy zepchnęła swojego mercedesa z wysokiego, urwistego brzegu. To było naprawdę coś - kobieta z towarzystwa, żona znanego człowieka, rozpieszczona księżniczka, która wynajmuje tanie, umeblowane pokoje, pracuje jako pomoc kuchenna albo kelnerka i wędruje z miasta do miasta. Pod fałszywym nazwiskiem i z ufarbowanymi włosami.

Świetny materiał!

Ale szósty zmysł podpowiadał mu także, że coś się kryje w okresie między przybyciem Helen na ten skrawek lądu na Atlantyku i dniem, w którym Evan Remington trafił do celi.

Coś się tu nie zgadzało, nie pasowało do siebie wystarczająco dokładnie, by Harding uznał sprawę za zamkniętą. A może pasowało zbyt dokładnie.

Remingtonowi udaje się ją wytropić - czysty przypadek - i zaczyna się nad nią znęcać. Do akcji wkracza bohater, miejscowy szeryf i nowy ukochany Nell w jednej osobie.

Wprawdzie, niestety, zostaje ranny, ale nadal pędzi na ratunek. Aresztuje Remingtona w lesie - wcześniej wyperswadował mu, by nie podrzynał gardła pięknej pani - odsyła go do więzienia i pozwala się pozszywać.

Dobry chłopiec ocala dziewczynę, zły trafia do pokoju bez klamek, dobry chłopiec żeni się z dziewczyną. Pełnia szczęścia.

Całą tę historię media maglowały z każdej strony przez kilka tygodni po aresztowaniu Remingtona. I jak to najczęściej bywa, większość z nich stopniowo straciła zainteresowanie tematem.

Ale tu i ówdzie szeptano - czego, oczywiście, nikt nie mógł potwierdzić - że tamtej nocy w lesie zdarzyło się coś więcej niż tylko aresztowanie w najważniejszym momencie.

Szeptano o czarach. O magii.

Harding zamierzał zbagatelizować te pogłoski, być może rozpuszczane dla podtrzymania ciekawości czytelników. Pominąwszy

wszystko inne, Remington jest skończonym wariatem. To, co mówił na temat tamtej nocy - a Harding wydał mnóstwo forsy, żeby się tego dowiedzieć - należało traktować niesłuchanie krytycznie.

Aż nagle...

Doktor MacAllister Brooke, Indiana Jones badań nad zjawiskami paranormalnymi, osiadł na jakiś czas na Wyspie Trzech Sióstr.

Trzeba nadstawić uszu.

Harding wiedział, że Brooke nigdy nie marnuje czasu - przedzierał się przez dżunglę, wiele kilometrów wędrował przez pustynię i wspinał się na góry, żeby prowadzić badania w swojej nieprawdopodobnej dziedzinie. I głównie za własne pieniądze, których zresztą ma mnóstwo.

Nigdy nie marnuje czasu.

Więcej ujawnił tak zwanych nadnaturalnych przypadków, niż potwierdził. ale kiedy już coś potwierdzał, ludzie zwykle go słuchali. Ci bardziej bystrzy.

Gdyby nie było w tych szeptach i pogłoskach czegoś na rzeczy, nie miałyby po co tam jechać. Helen Remington, pardon. Nell Channing Todd o niczym takim nie wspominała w swoich zeznaniach. Oczywiście rozmawiała z policją, ale w jej oświadczeniu nie znalazł ani słowa o żadnych czarodziejskich zjawiskach - tak samo jak w komunikacie prasowym wydanym przez jej adwokata.

A jednak MacAllister Brooke uznał, że Wyspa Trzech Sióstr zasługuje na jego uwagę. A to już interesowało Hardinga. Na tyle, że

sam zaczął czytać o wyspie, jej tradycji i legendach.

I wtedy swym reporterskim nosem wyczuł temat. Wielki, pikantny i niezwykle obiecujący.

Próbował, jednak bez rezultatu, już wcześniej namówić MacAllistera na wywiad. Rodzina Brooke'ów była nieprzyzwoicie bogata, wpływowa i zajadle konserwatywna. Przy odrobinie współpracy z ich strony spłodziłby cykl solidnych reportaży o rodzinie i synalku - łowcy duchów.

Nikt, a przede wszystkim sam Mac, nie zamierzał z nim współpracować.

A to bolało.

Była to jednak tylko kwestia znalezienia odpowiedniego wytrycha i zastosowania odpowiedniej siły, by wieczko się otworzyło. Harding nie wątpił, że Remington pomoże mu w tym osobiście.

Później zajmie się resztą.

Harding szedł korytarzem w domu wariatów, bo tak w myślach nazywał to miejsce. Remington został sądownie uznany za chorego psychicznie, co oszczędziło podatnikom kosztów długiego, szczegółowego śledztwa - i podstępnie pozbawiło smakowitych kąsków, którymi mogłyby ich ewentualnie uraczyć media.

Pozostawało faktem, że na nożu, którym zaatakowano miejscowego szeryfa, były odciski palców Remingtona. Szeryf i dwaj świadkowie, wśród nich jego zastępczyni, zeznali, że Remington trzymał nóż na gardle swojej żony i groził jej śmiercią.

Jeszcze bardziej obciążający był fakt, że Remington nie przyznał

się po prostu do tego - za to bełkotał, że „tylko śmierć nas rozłączy” i że trzeba spalić tę cudzołożną czarownicę.

Oczywiście, wykrzykiwał też wiele innych rzeczy. O jarzących się oczach, błękitnej błyskawicy, o węzach pełzających pod skórą.

Wszystkie te dowody, zeznania świadków i własne tyrady zapewniły Remingtonowi miejsce w dobrze strzeżonym domu dla psychicznie chorych. I tu odnalazł go Harding.

Na klapie szytej na miarę marynarki Hardinga kiwał się identyfikator. Krawat, w kolorze grafitu, tak jak i cały garnitur, był idealnie zawiązany i odrobinę ciemniejszy niż koszula.

Włosy, tu i ówdzie posrebrzone, starannie przycięto, by fryzura pasowała do kanciastej, rumianej twarzy o grubych rysach. Brązowe oczy zdawały się znikać, gdy się uśmiechał. Kiedy był zdenerwowany, wąskie wargi tworzyły cieniutką kreskę, jakby w ogóle nie miał ust.

Gdyby ta twarz i głos - ocierający się o wysokie rejestry - były nieco bardziej atrakcyjne, Harding mógłby wcisnąć się do dziennika telewizyjnego. Kiedyś marzył o tym, tak jak niektórzy chłopcy marzą o dotknięciu kobiecej piersi. Z radością i pożądaniem. Ale kamera nie okazała się zbyt życzliwa. Podkreślała jego rysy. a i krępa, niewysoka sylwetka wyglądała w niej jak pniak.

Jakiś wyszczekany technik powiedział mu kiedyś, że jego głos w mikrofonie przypomina wrzask zranionej gęsi.

Okrutne rozstanie z tym dziecięcym marzeniem sprawiło, między innymi, że Harding został reporterem prasowym. Bezlitosnym

i twardym. Wsłuchiwał się w odgłos otwieranych zamków i ciężkich drzwi. Musi wszystko zapamiętać i umieścić w opisie tej wizyty - niesamowite szczęknięcia metalu, beznamiętne twarze strażników i personelu medycznego i przedziwny, słodkawy zapach szaleństwa.

Znów czekał przed kolejnym pokojem. Ostatnia kontrola - przy drzwiach funkcjonariusz wpatrzony w monitor.

Pacjenci w tej części zakładu byli, jak dowiedział się Harding, obserwowani przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kiedy wejdzie tam na spotkanie z Remingtonem, będzie obserwowany tak samo jak oni. Musiał przyznać, że świadomość tego zwiększała jego komfort psychiczny.

Nie należał do osób szczególnie sprawnych fizycznie; lubił uważać się za mózgowca.

Otwarły się ostatnie drzwi. Hardingowi przypomniano, że ma pół godziny.

Zamierzał wykorzystać ten czas jak najlepiej.

Evan Remington nie przypominał mężczyzny, którego Harding oglądał na błyszczących zdjęciach w czasopiśmie albo na kolorowym ekranie telewizora. Ubrany we wściekle pomarańczowy kombinezon, siedział sztywno w fotelu; na nadgarstkach miał pasy.

Włosy, tworzące kiedyś złocistą koronę, straciły blask i zostały krótko obcięte. Przystojna twarz była nalana - może na skutek szpitalnego jedzenia, środków farmakologicznych albo braku pielęgnacji, a zapewne wszystkiego razem, pomyślał Harding - wargi obwisłe, oczy martwe jak u lalki.

Dają mu środki uspokajające, stwierdził. Socjopatia, psychozy, skłonność do przemocy - i prochy stają się jedynym rozwiązaniem.

Harding nie za bardzo liczył na to, że uda mu się przedrzeć przez całą tę chemię do umysłu Remingtona.

Strażnik stojący z tyłu, za Remingtonem, wyglądał na znudzonego. Harding usiadł i spojrzał przez kratę.

- Panie Remington, nazywam się Harding. Jonathan Q. Harding. Zapewne oczekiwał mnie pan dzisiaj?

Milczenie. Harding zaklął w duchu. Nie mogli zaczekać i dać mu tych pigułek po jego wyjściu?

- Rozmawiałem wczoraj z pańską siostrą. Nic.

- Barbara to pana siostra, prawda? Cieniutka strużka śliny wypłynęła z kącika ust Remingtona.

Harding z obrzydzeniem odwrócił wzrok.

- Chciałem porozmawiać z panem o pana byłej żonie i o tym, co wydarzyło się na Wyspie Trzech Sióstr tej nocy, kiedy pana aresztowano. Pracuję dla „First Magazine”.

Przynajmniej na razie. Jego wydawcy stawali się zdecydowanie zbyt subtelnymi i skąpi jak na gust Jonathana Hardinga.

- Chcę napisać reportaż o panu, panie Remington. Opowiedzieć wszystko z pana punktu widzenia. Pańska siostra bardzo liczy na to, że pan ze mną porozmawia.

Nie była to do końca prawda, ale Harding przekonał Barbarę, że z takiego wywiadu można zrobić korzystny dla Evana tekst, który mógłby z kolei zaważyć na krokach prawnych, jakie poczyniła, by

przenieść brata do prywatnego zakładu.

- Może będę w stanie panu pomóc, panie Remington. Panie Evan
- poprawił się. - Chcę panu pomóc.

Nic. Tylko martwe, puste spojrzenie. I zupełnie obojętna twarz.

- Chcę rozmawiać ze wszystkimi osobami, które były
zaangażowane w tę sprawę, żeby otrzymać pełny obraz. Chcę też
porozmawiać z pana byłą żoną. Mam zamiar przeprowadzić wywiad z
Helen.

Na dźwięk tego imienia w ciemnych oczach coś błysnęło. Coś
wreszcie dotarło, pomyślał Harding i posunął się o krok dalej.

- Czy chciałby pan, żebym coś powiedział Helen? Czy coś jej
przekazać?

- Helen. Głos był schrypnięty, niewiele głośniejszy od szeptu.
Harding poczuł lodowaty dreszcz w okolicy kręgosłupa.

- Tak jest. Helen. Niedługo ją zobaczę. Bardzo szybko.

- Zabiłem ją. - Obwisłe usta wygięły się nagle we wspaniałym,
ośniewającym uśmiechu. - W lesie, po ciemku. Zabijam ją każdej
nocy, bo wciąż powraca. Wciąż śmieje się ze mnie, więc ją zabijam.

- Co zdarzyło się tamtej nocy w lesie? Z Helen?

- Uciekła ode mnie. Wie pan, jest umysłowo chora. Inaczej by
nie uciekła, bo czy mogła myśleć, że jej się to uda? Musiałem ją zabić.
Jej oczy płonęły.

- Jak błękitna błyskawica? Czy płonęły jak błękitna błyskawica?

- To nie była Helen. - W oczach Remingtona coś mignęło, jakby
przemknęły w nich czarne ptaki. - Helen była spokojna i posłuszna.

Wiedziała, kto rządzi. Wiedziała. - Kiedy mówił, macał rękami poręcze fotela.

- A kto?

- Czarownica. Przybyły z piekła, wszystkie. Tyle światła, tyle światła. Oślepiły mnie, przekłęły. Węże pod moją skórą. Węże. Krąg światła. Krąg krwi. Widzisz to?

Przez moment był w stanie to zobaczyć. Wyraźnie. Straszne. Zadrzał.

- Kim są te wszystkie?

- Wszystkie są Helen. - Evan roześmiał się wysokim, przenikliwym śmiechem. Hardinga przeszły ciarki. Był przerażony. - Wszystkie to Helen.

Spalić czarownicę! Zabijam ją każdej nocy. Każdej nocy, ale ona znów wraca.

Wrzeszczał tak, że Harding, który widział niejedną okropność, zerwał się na równe nogi, a strażnik przyskoczył do więźnia.

Obłąkany mówił do siebie, kiedy funkcjonariusze wypychali go z pokoju. Kompletnie oszalały.

A jednak... jednak...

Coś unosiło się w powietrzu. Coś nie do odparcia.

Są ludzie, których perspektywa spędzenia wieczoru w domu czarownicy bardzo niepokoi. Zdenerwowani, zabierają ze sobą wilczy ząb albo sypią do kieszeni garść soli.

Mac poszedł uzbrojony w notes, magnetofon i butelkę dobrego

caberneta. Na to pierwsze zaproszenie czekał cierpliwie przez cały tydzień pobytu na wyspie.

Miał zjeść kolację w towarzystwie Mii Devlin.

Chętnie złożyłby jej wizytę wcześniej, powędrowałby po jej lesie, pomyszkował w cieniu latarni morskiej - oparł się jednak pokusie, bo uważał, że byłoby to niegrzeczne.

Cierpliwość i dobre maniery zostały nagrodzone i Mia spytała go - zupełnie przypadkiem - czy nie wpadłby na kolację. Przyjął zaproszenie z równą swobodą.

Pełen oczekiwań jechał nadbrzeżem. O tak wiele rzeczy chciał ją zapytać - zwłaszcza że Ripley zamykała się za każdym razem, kiedy tylko próbował zadać jej jakieś pytanie. Trzeba będzie jeszcze spróbować zagadnąć Nell.

Dwa ostrzeżenia ze strony dwóch czarownic były jednoznaczne, zaczeka więc, aż Nell sama się do niego zbliży albo w inny sposób znikną dzielące ich przeszkody.

Ma mnóstwo czasu. Poza tym trzyma jeszcze asa w rękawie.

Podobał mu się dom Mii, wysoki, kamienny mur na urwistym brzegu, opierający się morzu i upływowi czasu, romantyczna galeryjka i tajemnicze wieżyczki. Biały snop światła latarni morskiej ostro przecinał ciemność, omiatając morze, kamienny dom i ciemny las.

Odludne miejsce, pomyślał, parkując. Niemal wyniosłe w swojej samotności i skończenie piękne. Pasuje do niej znakomicie.

Ze ścieżki i podjazdu starannie odmieciono śnieg. Mac nie

potrafił sobie wyobrazić kobiety o wyglądzie Mii Devlin machającej łopatą. Zastanowił się przez chwilę, czy nie jest to opinia antyfeministy.

Stwierdził, że nie. Nie ma nic wspólnego z faktem, że Mia jest kobietą, jedynie z tym, że jest piękna. Po prostu nie mógł wyobrazić jej sobie przy jakimś mało eleganckim zajęciu.

Gdy otworzyła mu drzwi, upewnił się, że miał rację.

Ubrana była w ciemnozieloną suknię, taką, która okrywając kobietę od szyi po palce u nóg, mówi mężczyźnie, że wszystko, co kryje, jest doskonałe. I fascynujące.

W uszach Mii i na jej palcach lśniły kamienie. Pojedyncza, rzeźbiona tarcza zawieszona na pleconym, srebrnym łańcuchu iskrzyła się nisko, niemal na wysokości talii. Bose stopy wyglądały uwodzicielsko.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę.

- Miło mi, że pan przyszedł. I to z prezentami. - Przyjęła butelkę wina, lekko unosząc brew na widok etykiety. Jej ulubiony gatunek. - Skąd pan wiedział?

- Hę? Ach, wino. Moja praca polega na zdobywaniu odpowiednich informacji.

Śmiejąc się, wprowadziła go do środka.

- Zapraszam. Niech pan zdejmie płaszcz.

Stała blisko, palcami muskała jego rękę. Potraktowała to jako rodzaj testu dla obojga.

- Mam ochotę powiedzieć: zapraszam do salonu. - Jej śmiech był

niski, głęboki. - A więc - wskazała pokój za obszernym holem - proszę się rozgościć, a ja otworzę wino.

Lekko oszołomiony wszedł do dużego pokoju rozświetlonego ogniem w kominku - intensywne kolory, miękkie tkaniny, lśniąca drewno i szkło, na podłodze z desek stare, pięknie splewiałe dywany.

Wyczuwało się zamożność - wygodną, gustowną i z pewnym odcieniem kobiecości.

W smukłym, przejrzystym wazonie królowały lilie o płatkach w kształcie gwiazd, białe jak śnieg za oknem.

Powietrze przesycił zapach kwiatów - i zapach Mii.

Nawet nieboszczyk, pomyślał Mac, poczułby, że krew się w nim rozgrzewa i krąży coraz szybciej.

Na półkach, obok ślicznych buteleczek, kawałków kryształu i tajemniczych małych posążków, stały książki. To go zainteresowało. Dobór lektury daje wyobrażenie o człowieku.

- Należę do kobiet praktycznych. Podskoczył. Pojawiła się cicho, jak mgła.

- Słucham?

- Praktycznych - powtórzyła, stawiając tacę z winem i dwoma kieliszkami. - Namiętnie kocham książki, a ponieważ otworzyłam sklep, mogę z tej pasji ciągnąć zyski.

- Pani namiętność jest trochę eklektyczna.

- Wąska specjalizacja to takie nużące. - Nalała wino i podała mu. nie spuszczać z niego wzroku. - Zgodzi się pan, jako że pana zainteresowania są równie zróżnicowane.

- Tak. Dziękuję.

- A więc za różnorodność pasji. - Jej oczy śmiały się, kiedy tręcali się kieliszkami.

Usiadła na kanapie i uśmiechając się, klepnęła ręką poduszkę obok.

- Niech pan siada, proszę. Chciałabym posłuchać, co pan myśli o naszej małej wyspie.

Nie bardzo wiedział, czy w pokoju jest za gorąco, czy to ona tak promieniuje ciepłem. Usiadł.

- Sam urok. Miasteczko jest staroświeckie, jednak w sposób nieszablonowy. Ludzie są serdeczni, ale nie wścibscy. Pani księgarnia wnosi akcent wyrafinowania, morze dodaje blasku, a lasy tajemniczości. Dobrze mi tutaj.

- Zgrabnie to pan ujął. Wygodnie panu w moim małym domku?

- Bardzo. Dzięki temu mogłem uporać się z dużą częścią mojej pracy.

- Jest pan człowiekiem konkretnym i praktycznym, prawda? - Popijała wino, a jego czerwień harmonizowała z kolorem jej warg. - Wbrew temu, co się potocznie myśli o pańskiej mało konkretnej specjalności.

Miał wrażenie, że kołnierzyk jego koszuli nagle stał się za ciasny.

- Wiedza zawsze jest konkretna.

- I to jest właśnie pana ostateczny cel. Wiedza. Poznanie. - Podkurczyła nogi, tręcając go lekko kolanem. - Poszukujący umysł

zawsze pociąga.

- No cóż, może. - Przełknął łyk wina.

- A jak z pana apetytem? Zaczerwienił się.

- Apetytem? On jest po prostu rozkoszny, pomyślała.

- Przejdźmy do jadalni. Dostanie pan coś do zjedzenia.

- Chętnie. Znakomicie. Zdjęła nogi z kanapy, muskając znów jego rękę czubkami palców.

- I niech pan weźmie ze sobą to wino, mój drogi. O rany! Tylko tyle przyszło mu do głowy.

Jadalnia z olbrzymim mahoniowym stołem, przepastnymi kredensami i krzesłami z wysokim oparciem powinna onieśmielać i stwarzać atmosferę chłodu, tymczasem okazała się tak samo przytulna jak salon. Także i tutaj dominowały ciepłe kolory - odcienie rozrzedzonego burgunda łączonego ze starym złotem.

W wysokich kryształowych wazonach stały dobrane barwą kwiaty. Trzaskający na kominku ogień zdawał się akompaniować cichej muzyce harf i fletów.

Potrójne okno zajmujące dłuższą ścianę, niezastłonięte, pozwalało podziwiać kontrast nocnej czerni i bieli śniegu. Widok jak na wysmakowanej fotografii.

Na stole w świetle tuzina świec czekała soczysta pieczeń jagnięca.

Gdyby Mia miała szykować scenierię romansu, przygotowałaby ją właśnie tak, po mistrzowsku.

Przy jedzeniu podtrzymywała rozmowę o literaturze, sztuce,

teatrze, cały czas przyglądając mu się z uprzejmą uwagą.

Patrzy na mężczyznę, jakby go hipnotyzowała, skupionym, przenikliwym wzrokiem, pomyślał.

Światło świec złościście igrało na jej skórze jak na alabastrowym tle, odbijało się w jej oczach jak złoto widziane przez zasłonę dymu. Żałował, że stać go tylko na szkice ołówkiem. Twarz Mii aż prosiła się o płótno i olej.

Zdziwił się, że tak wiele ich łączy. Podobały im się te same książki, cenili tę samą muzykę.

Opowiadali o swojej przeszłości. Mia mówiła, że wychowała się w tym właśnie domu, jedynaczka powierzona przez rodziców opiece Lulu. Potem poszła do college'u w Radcliffe, gdzie studiowała literaturę i biznes.

Rodzice opuścili wyspę, zanim zdążyła zrobić dyplom. Rzadko przyjeżdżają.

Jest majątna, tak samo jak on.

Nie należy do żadnego towarzyskiego kręgu, do żadnej grupy czy organizacji. Żyje spokojnie i samotnie w miasteczku, w którym się urodziła. Nigdy nie wyszła za mąż ani nie żyła z żadnym mężczyzną.

Zdziwił się, bo była bez wątpienia kobietą piękną, elegancką i pociągającą.

- Lubi pan podróże - stwierdziła.

- Tyle jest do zobaczenia. Wydaje mi się, że lubiłem je jeszcze bardziej przed trzydziestką: przyjemność pakowania się,

emocjonujące wyjazdy do wciąż nowych miejsc, kiedy tylko chciałem albo musiałem.

- I życie w Nowym Jorku. Ekscytujące i twórcze.

- Tak, to ma dobre strony. Ale moją pracę da się wykonywać wszędzie. Często jeździ pani do Nowego Jorku?

- Nie. - W jej oczach mignął jakiś cień. Mrugnęła i cień zniknął.

- Prawie nie opuszczam wyspy. Mam tu wszystko, czego mi trzeba i co lubię.

- A muzea, teatry, galerie?

- Nie brakuje mi ich aż tak bardzo. Wolę swoje urwiste brzegi, las i pracę. I ogród - dodała znów z uśmiechem. - Żałuję, że jest zima, bo mogłabym go panu pokazać. A tak będziemy musieli przenieść się na kawę i słodczyce do salonu.

Poczęstowała go pyszną ekierką i zaproponowała brandy - podziękował. Gdzieś w głębi domu zegar wybijał kolejną godzinę, kiedy Mia znowu zwinęła się obok MacAllistera na kanapie.

- Jest pan człowiekiem niezwykle opanowanym i obdarzonym silną wolą, prawda, doktorze?

- Nie wiem, czy jedno lub drugie kiedykolwiek się ujawniało.

Czemu pani pyta?

- Ponieważ siedzi pan w moim domu, sam na sam ze mną, od ponad dwóch godzin. Raczę pana winem, muzyką i światłem świec. A jednak nie okazał pan zawodowego zainteresowania moją osobą ani nie próbował mnie uwieść. Zastanawiam się, czy to podziwiać, czy uznać za zniewagę?

- Myślałem o jednym i drugim.

- Naprawdę? - Strzeliła palcami nad jego ramieniem. - A co pan myślał?

- Że zaprosiła mnie pani do swojego domu, więc okazywanie zawodowych zainteresowań byłoby niestosowne.

- Ach. - Przechyliła głowę, świadomie w taki sposób, by mógł pochylić się i dotknąć jej ust. - A uwodzenie?

- Jeśli znalazłby się mężczyzna, który, będąc w promieniu kilometra od pani, nie myślałby o uwiedzeniu, należałoby go natychmiast leczyć.

Zmysłowy uśmiech Mii wyrażał teraz prawdziwe rozbawienie.

- Och, podoba mi się pan. Nawet bardziej niż mogłabym przypuszczać. Przepraszam, bo teraz już trochę się nad panem znęcam.

- Dlaczego? - Uśmiechnął się do niej. - Podoba mi się to.

- Mac. - Pochyliła się i lekko dotknęła ustami jego warg. - Będziemy przyjaciółmi, prawda?

- Mam nadzieję.

- Pewnie byłoby cudownie, gdyby połączyło nas coś więcej, ale trwałoby to krótko i bardzo skomplikowało sprawy.

- Twoje czy moje?

- Jedne i drugie, a nawet innych. Nie jest nam sądzone zostać kochankami. Nie wiedziałam, że już to sobie uświadomiłeś.

- Chyba nie pogniewasz się, że odrobinę tego żałuję.

- Byłabym oburzona, gdyby było inaczej. - Odrzuciła do tyłu

burzę ciemnorudych włosów. - Zadaj pytanie natury zawodowej, to, które najbardziej cię nurtuje. Postaram się odpowiedzieć.

- Krąg w lesie w pobliżu domku. W jaki sposób go zakreśliłyście? Zaskoczona zacisnęła na moment wargi, a potem wstała i zastanowiła się.

- Dobrze pytanie - mruknęła, idąc w stronę okna. - Jak to odkryłeś? - Nie zdążył otworzyć ust, gdy machnęła ręką. - Nieważne. To twoja praca. Nie mogę jednak odpowiedzieć na pytanie, bo dotyczy innych osób. Może sobie tego nie życzą.

- Wiem o Ripley i Nell. Spojrzała na niego z ukosa.

- Naprawdę?

- No cóż, to wynik badania, obserwacji i rozumowania. - Wzruszył ramionami. - Po prostu znam się na rzeczy. Ale nie rozmawiałem z Nell, bo i ty, i Ripley miałyście zastrzeżenia.

- Rozumiem. Bałeś się, co mogłybyśmy zrobić, gdybyś zignorował nasz sprzeciw?

- Nie.

- Nie - odwróciła się ze śmiechem - krótko i węzłowato: nie. Jesteś bardzo odważny.

- Wcale nie. Wiem, że bez powodu, nie sprowokowana, nie użyłabyś swojej mocy, by karać lub szkodzić. Używasz jej tylko po to, by chronić. Ripley nie jest wprawdzie tak opanowana i tak pełna poświęcenia, ale za to ma swoje zasady, kto wie, czy nie bardziej rygorystyczne od twoich.

- Trafnie oceniasz ludzi. No i co, byłeś u Ripley? Rozmawiałeś

nią?

- Rozmawiałem. Kąciki jej ust uniosły się lekko w górę, nie uśmiechnęła się jednak.

- No proszę, a twierdzisz, że wcale nie jesteś odważny. W jej głosie było tyle uszczypliwości, że nie mógł się powstrzymać i zapytał:

- Co zaszło między wami?

- To już drugie pytanie, a ja jeszcze nie zdecydowałam się, czy odpowiem na pierwsze. Jeśli Ripley nie potwierdzi twoich domysłów...

- To nie są żadne domysły, lecz fakty. A ona już je potwierdziła. Mia szeroko otwarła oczy.

- Zaskakujesz mnie. - Zamyślona, podeszła do kominka, po czym znów wróciła po dzbanek z kawą, choć wcale nie miała na nią ochoty.

- Ją także chronisz - szepnął. - Jest dla ciebie kimś ważnym. Bardzo ważnym.

- Przez długie lata byłyśmy przyjaciółkami, najbliższymi jak tylko można to sobie wyobrazić. Ale teraz już nie jesteśmy. - Powiedziała to zwyczajnie, choć sprawa bynajmniej nie była prosta. - Nie zapomniałam jednak tego, co było i co nas łączyło. Tak czy inaczej Ripley nie potrzebuje ochrony, sama sobie da radę. Ale dlaczego tak szybko ujawniła, co potrafi?

- Wyduśłem to z niej. Po króciutkiej chwili wahania opowiedział Mii, jak jego aparatura zanotowała w lesie silny wzrost

energii, o kobiecie na plaży i godzinie spędzonej z Ripley w żółtym domku. Mia ujęła jego nadgarstek i przyjrzała mu się dokładnie.

- Temperament Ripley zawsze stwarzał problemy. Lecz kieruje się sumieniem. Będzie cierpieć, że zadała ci ból. Domyślasz się, że najprawdopodobniej przejęła na siebie te oparzenia?

- Słucham?

- To byłby sposób odpokutowania i naprawienia krzywdy. W jej stylu. Przenieść oparzenia z twojego ciała na własne.

Pomyślał o bólu. Zaklął.

- Cholera, to nie było potrzebne.

- Dla niej było. Zostaw to. - Puściła rękę Maca; krążyła po pokoju, porządkując myśli. - Pragniesz jej, seksualnie.

Poruszył się na kanapie. Gorąco oblało mu kark.

- Niełatwo mi rozmawiać na ten temat z inną kobietą.

- Mężczyźni są najczęściej przeczulenii na tym punkcie, mówią, ale nie przechodzą do praktyki. W porządku. - Wróciła i znów usiadła.

- A więc, żeby odpowiedzieć na twoje pytanie...

- Przepraszam. Nie będziesz miała nic przeciwko temu, że nagram odpowiedź?

- Doktorze. - W głosie Mii brzmiało rozbawienie, kiedy patrzyła. jak Brooke wyjmując z kieszeni dyktafon. - Proszę, jaki harcerz.

Zawsze na wszystko przygotowany. Nie, nie sądzę, żebym miała coś przeciwko temu, ale nagramy też zastrzeżenie, że to, co powiem, nie zostanie wykorzystane w żadnej publikacji bez mojej pisemnej zgody.

- Sama jesteś harcerką. Okej.

- Nell podejmowała środki ostrożności, ja też. Następnym krokiem miały być działania prawne. Zack, świetny fachowiec i zakochany w Nell, także ją chronił. A jednak Evan Remington przybył na wyspę i odnalazł ją. Zranił i sterroryzował. Omal nie zabił Zacka i być może zabiłby Nell. Mimo wszystkich naszych starań mógł tej nocy odebrać jej życie. Uciekła do lasu, żeby uchronić Zacka, który już był ranny. Uciekła, wiedząc, że Evan będzie ją gonił.

- Niezwykle odważna kobieta.

- O tak. Znała ten las, należy do niej, poza tym księżyc był w nowiu. A jednak Evan odnalazł ją, a w Nell gdzieś głęboko tkwiło przekonanie, że tak właśnie będzie. Zdarza się, że nie można ująć przed przeznaczeniem, i nie pomogą ani czary, ani umysł, ani żadne wysiłki. - Patrzyła w oczy Maca głębokim, pełnym napięcia spojrzeniem. - Wierzysz w to?

- Tak.

Przyjrzała mu się i kiwnęła głową.

- Myślę, że tak i że na swój sposób to rozumiesz. On musiał ją znaleźć. Ta... próba, od której zależały jej losy, została zapisana przed wiekami. Zdecydowała odwaga Nell i jej wiara w siebie. - Przerwała na chwilę, nad czymś się zastanawiając. - Wiedziałam o tym, a jednak bałam się. Bałam się jako kobieta. Trzymał nóż na jej gardle. Posiniaczył jej twarz. Brzydzę się ludźmi, którzy znęcają się nad innymi, którzy świadomie wywołują przerażenie i panikę u słabszych.

- Jesteś osobą cywilizowaną. Błysnął krótki, czujny uśmiech.

- Naprawdę, doktorze? Czy zdaje pan sobie też sprawę z tego, że

mogłam zatrzymać serce Evana Remingtona, wywołując w nim nieopisany ból w chwili, gdy zagroził mojej siostrze?

- Klątwa o takiej skali i sile wymaga wiary tego, kogo dotyczy. I skomplikowanego rytuału z... - Urwał, gdyż Mia z uśmiechem popijała kawę. - Wszystkie moje badania to potwierdzają.

- Myśl, co chcesz. - Powiedziała to lekko, lecz Mac poczuł dreszcz na karku. - Co mogłam zrobić, to jedna sprawa. Jestem związana tym, w co wierzę i co przysięgałam. Nie mogę złamać wiary i pozostać tym, kim jestem. Staliśmy wszyscy, w piątkę, w lesie. Zack i Ripley mieli broń. Ale użycie jej z pewnością oznaczałoby śmierć zarówno Nell, jak i Remingtona. Pozostawała tylko jedna droga, jedna odpowiedź. Krąg zakreślony przez trzy siostry. Zatoczyłyśmy go tamtej nocy bez żadnego rytuału, bez rekwizytów ani pieśni, których najczęściej się od nas wymaga. Zrobiłyśmy to siłą woli.

Fantastyczne, pomyślał. Zdumiewające.

- Nigdy nie spotkałem się z czymś takim.

- Ja też nigdy wcześniej tego nie próbowałam. Dopiero w sytuacji podbramkowej - mruknęła. - Trzy połączone ze sobą umysły. I moc, doktorze, moc jak ogień w kręgu. Evan nie mógł skrzywdzić Nell, skoro nie było to zapisane. Musiał też popaść w szaleństwo, gdy stanął oko w oko z tym, co tkwiło w nim samym.

Mówiła cicho, coś jednak - słowo „magia” byłoby tu zbyt banalne - unosiło się w pokoju, musnęło jego skórę.

- Ripley powiedziała mi, że zamknęłyście krąg.

- Ripley okazała się niesłychanie gadatliwa. Owszem,

zamknęłyśmy.

- Ta energia wciąż tam jest, silniejsza niż w jakimkolwiek innym znanym mi kręgu, nawet takim, którego jeszcze nie zamknięto.

- Łącząc się ze sobą, zyskujemy ogromną moc. Sądzę, że ta energia będzie tam nadal, gdy po nas dawno ślad zaginie. Nell zdobyła to, czego potrzebowała. Szansę na pierwszy krok ku odzyskaniu równowagi.

Powietrze lekko się ochłodziło, a Mia znów była po prostu piękną kobietą z porcelanowym dzbankiem w dłoni.

- Jeszcze kawy? - zapytała.

ROZDZIAŁ 7

Gładki skurwysyn. Najpierw startuje do niej, wkrada się w jej łaski z tym swoim przemiłym, budzącym zaufanie uśmiechem, a na koniec jednoznacznie sugeruje, że chodzi mu o seks.

Ripley zgrzytnęła zębami. Biegła po plaży.

I zaraz potem, przy pierwszej okazji, wdzięczy się do Mii.

Mężczyźni to glisty.

Nawet by tego nie podejrzewała, gdyby Nell przypadkiem nie wspomniała, że Mia zaprosiła Maca do siebie na kolację.

Kolacja? Parsknęła. Akurat, kolacja.

Mogła się założyć, co miał w głowie, kiedy w sklepie monopolowym kupował butelkę ulubionego wina Mii. O tym też usłyszała później. Wykwintne, francuskie, spytał nawet sprzedawcę, jaki gatunek, jaki - phi - rocznik ceni sobie Mia.

Dobra, ma prawo podrywać każdą kobietę na wyspie. Ale nie wtedy, kiedy wcześniej startował do niej.

Drań. Goguś z miasta, który ją podkręcił i podniecił, a potem zmył się, żeby po cichu smalić cholewki do Mii. A ta pewnie zarzuciła przynętę, tylko po to, żeby zrobić jej na złość.

Całkiem w jej stylu.

Zawróciła na końcu plaży i pogalopowała w przeciwnym kierunku.

Nie, do diabła, wcale nie. Choć nie wiadomo jak chętnie, dla zasady, zdrowo przywaliby za to Mii, nie może się oszukiwać. Mia nigdy nie poluje na cudzego mężczyznę. A tak naprawdę, to w ogóle

nie poluje na mężczyzn, co zresztą zapewne sprawia, że jest irytującą, humorzystą babą. Odrobina seksu dla rozrywki znacznie poprawiłaby jej nastawienie do świata.

Nie, to nie w stylu Mii. Mia Devlin jest zawsze zdecydowanie zbyt lojalna - i ma zbyt dużo tej swojej choleryjnej klasy, by zastawić sidła na cudzym gruncie.

Myśli Ripley zatoczyły pełne koło i wróciły do Maca.

Jest winien, stuprocentowo i bezapelacyjnie. Jedyne, co powinna teraz zrobić, to obmyślić, jak go zmusić, żeby za to zapłacił.

Ukończyła bieg, wzięła prysznic, włożyła ciemne wełniane spodnie i golf, na to zapinaną na guziki flanelową koszulę. Zawiązała buty, a potem długo patrzyła na swoje odbicie w lustrze.

Wyglądem nigdy nie mogła współzawodniczyć z Mią. Ale czy tylko ona? Zresztą wcale jej na tym nie zależało. Ma swój własny styl, z którym jest jej dobrze. Poza tym w razie potrzeby wie, jak poprawić naturę.

Rozkoszując się układaniem planu zemsty, pomalowała usta. Jeszcze ołówek do oczu, cienie i tusz do rzęs. Zadowolona z efektu, spryskała się perfumami, które dostała na święta w prezencie od Nell.

Miały mocny, intensywny zapach, który pasował do niej lepiej niż kwiatki albo inne subtelności.

Po krótkiej walce wewnętrznej zdjęła flanelową koszulę. Wprawdzie pod koniec dnia może być jej chłodno, ale golf i spodnie lepiej uwydatniają jej kształty. Usatysfakcjonowana przypięła do pasa kaburę pistoletu i wyruszyła do pracy.

Kundel Pete'a Stahra znów urwał się z łańcucha. Wywęszył sporą stertę zamrożonych rybich wnętrzności i urządził sobie ucztę, a potem zwymiotował wszystko, wraz z zawartością swojej porannej miski, na nieskazitelną werandę Gladys Macey.

Ripley zdecydowanie wolała zostawiać Zackowi tego rodzaju sąsiedzkie utarczki. Miał więcej cierpliwości i większy talent dyplomatyczny.

Ale Zack był teraz na drugim krańcu wyspy, pomagał uporać się ze zwalonymi drzewami. Padło więc na nią.

- Ripley, moja cierpliwość się skończyła.

- Wcale się pani nie dziwię. - Stały skulone z zimna o kilka kroków pod wiatr od czegoś, co pozostawił na werandzie pies Stahra.

- Ten zwierzak... - wycelowała palec w niepoprawnego przestępcę przywiązanego linką do drzewa - jest głupi jak but.

- Nie zamierzam się z panią kłócić. - Ripley przyjrzała się sympatycznej mordzie psa, który wywiesił język i beztrąsko się uśmiechał. - Ale, jak pani widzi, jest całkiem grzeczny.

Gladys wyduła policzki, a potem parsknęła.

- Nie mam pojęcia, dlaczego mu się tak spodobałam, jednak za każdym razem gdy się urwie, przychodzi tutaj, załatwia się na moim podwórku, zakopuje jakieś parszywe kości na moich grządkach, a teraz jeszcze to... - Oparła ręce na biodrach i z irytacją wskazała werandę. - Ciekawe, kto posprząta te rzygowiny.

- Jeśli może pani poczekać, dopilnuję, żeby zrobił to Pete. Zbliża się pora obiadowa, więc go ściągnę i każę sprzątnąć.

Gladys pociągnęła nosem i kiwnęła głową. Sprawiedliwość to sprawiedliwość, a Toddowie zazwyczaj potrafili znaleźć sprawiedliwe rozwiązanie.

- Tylko żeby to było zrobione szybko i porządnie.

- Wszystkiego dopatrzę. Pete będzie musiał też zapłacić mandat.

Gladys zacisnęła usta.

- Już nieraz płacił.

- Tak jest, płacił. Okej, pomyślała Ripley, jak postąpiłby teraz Zack? Pies jest nieszkodliwym, pogodnym szczeniakiem, głupim jak stołowa noga. Jedyna jego wada to obsesja na punkcie rybich wnętrzności, w których tarza się z zachwytem albo je zachłannie pożera. Jedno i drugie z odrażającym skutkiem. I nagle wpadła na pomysł. Jej spojrzenie stwardniało.

- Faktem jest, że pies stwarza publiczne zagrożenie, a Pete był ostrzegany. - Z ponurą miną stuknęła palcami w kolbę pistoletu. - Tym razem trzeba będzie się nim zająć.

- Noo, moim zdaniem... - Gladys zamarła i zamrugnęła oczami. - Co to znaczy zająć się?

- Proszę się nie martwić, pani Macey. Zajmiemy się psem. Nie będzie już więcej wpadał na pani podwórko i stwarzał problemów.

Ucisk w gardle sprawił, że głos Gladys drżał.

- Chwileczkę, poczekaj. - Zgodnie z oczekiwaniami Ripley, Gladys, zaszokowana, wlepiała w nią wzrok i chwyciła ją za rękę. - Chcesz zabrać tego psa i... i dać do uspienia?

- Nikt sobie z nim nie radzi... - Ripley przerwała, pozostawiając

ciąg dalszy wyobraźni Gladys. Pies, który być może wcale nie był taki głupi, jakby czegoś się domyślając, wydał z siebie żalospny skowyt.

- Ripley, wstyd mi za ciebie. Jak mozesz sugerowac cos takiego!

Nie pozwalam na to, w zadnym wypadku!

- Alez, prosze pani...

- Zadne: prosze pani. - Rozwscieczona Gladys wymachiwala palcem przed nosem Ripley. - Nigdy w zyciu nie spotkalam sie z takim brakiem litości. Usypiac tego nieszkodliwego psa tylko dlatego, ze jest glupi.

- PrzecieZ mowila pani...

- Mowilam, ze robi kupę na moim podwórku. - Gladys zatrzepotala rekami w jadowicie rozowym sweterku. - To co, moze wyciagniesz rewolwer i wpakujesz mu kulę w ucho?

- Nie, ja...

- Och, nie chce nawet z toba rozmawiac. Idz juz i zostaw tego zwierzaka w spokoju. Chce, zeby mi wyczyszczono werande, i na tym koniec.

- Dobrze, prosze pani. - Ripley odeszla ze zwieszona glowa i opuszczonymi ramionami. Zerknela po drodze na psa.

Zack nie potrafilby rozegrac tego lepiej, pomyslala.

Wytropila Pete'a i zakomunikowala mu, ze po pierwsze, pozegna sie dzisiaj z lunchem, po drugie, ganek pani Macey ma lniec czystoscia, po trzecie, pies - ktory juz zdazył zglosic sie pod wytworna czerwona psia budę z podgrzewanym kocem - dostanie mocniejszy lancuch, zeby pod nieobecnośc domownikow siedzial na wlasnej

działce.

I tak oto, pomyślała Ripley, na Wyspie Trzech Sióstr zapewne znów zapanuje spokój.

W drodze na posterunek dostrzegła niewielką figurkę - ktoś wlaził przez okno do drewnianego marynarskiego domku.

A może jednak coś jeszcze trzeba zrobić w sprawie tego spokoju? Oparła ręce na biodrach, uniosła brwi i zmarszczyła czoło. Dom należał do jednego z jej kuzynów, a jaskrawoniebieska kurtka z emblematem szkoły była jej świetnie znana.

- Dennis Andrew Ripley. Co ty tu robisz? Usłyszała ryk. kiedy młody człowiek walnął boleśnie głową o okno. ale nie okazała współczucia. Dennis skończył dwanaście lat i jeżeli chłopak w tym wieku nie ma twardego łba, to jej zdaniem, powinien się takowego dorobić.

Zamarł na chwilę w pół drogi, częściowo wewnątrz, a po części za oknem, z którego zwisały zniszczone buciory, i wolno zsunął się z powrotem na ziemię. Jasnoblond włosy sterczały kępkami spod narciarskiej czapki. Piegowata twarz oblała się rumieńcem.

- Och... cześć, ciociu Ripley. Oczy patrzyły szczerze, a uśmiech był niewinny jak u aniołka.

Dobry numer, pomyślała z podziwem.

- Dla ciebie zastępca szeryfa Ripley Todd, cwaniaczku. Co to za włożenie przez okno?

- Hm. Bo nie mam klucza?

- Dennis!

- No dobra, nie mam - wymamrotał. - Mama pojechała z przyjaciółką na łód po zakupy i coś pozałatwiać. No i zamknęła drzwi.

- W takim razie inaczej: dlaczego włączysz przez okno do własnego domu, zamiast siedzieć w ławce w szkole?

Odwrócił wzrok, a potem popatrzył na nią z nadzieją w oczach.

- Bo... może jestem chory?

- Ach tak? No to chodźmy, zabieram cię od razu do szpitala - powiedziała, uśmiechając się groźnie. - Twoja mama przecież ma komórkę. Zadzwonimy do niej, niech się dowie, że jej ukochany synek marnie się czuje. Założę się, że wróci najbliższym promem.

Patrzyła ze złośliwą satysfakcją, jak piegi rysują się coraz wyraźniej na nagle pobladłej twarzy chłopca.

- Proszę do niej nie dzwonić, dobrze? Bardzo proszę... Czuję się już znacznie lepiej. Chyba zjadłem coś, co mi zaszkodziło, i to wszystko.

- No, no. Gadaj od razu, a jeśli znów spróbujesz mnie nabrać, zawiozę cię do szpitala i każę im przygotować najgrubszą, najbardziej tępą igłę.

- Mieliliśmy pisać test z historii - przyznał się. Mówił teraz bardzo szybko. - Mam w nosie historię, ciociu Rip, nie będę się uczyć o ludziach, którzy od dawna nie żyją. Po co? Kogo to obchodzi? I jeszcze te głupoty o historii Europy, my tam przecież nie mieszkamy. Czy wiesz na przykład, co jest stolicą Liechtensteinu?

- Nie uczyłam się tego. A ty wiesz? Przeszłoby ci z nogi na nogę, a Ripley zastanawiała się, jak to jest, że takim chłopaczyskom

wyrastają tak nieproporcjonalnie wielkie stopy? W końcu rzucił jej żałosne spojrzenie spod rzęs.

- Chyba nie wiem. Czyli postanowiłeś odpuścić sobie test i zwać ze szkoły.

- Tylko jeden dzień - mruknął. - Mogę przecież napisać ten test później. Chciałem schować się w lesie, żeby się uczyć - nagle go olśniło - ale dzisiaj jest za zimno.

- Zapewne chciałeś więc wejść do środka... żeby się uczyć. Oczywiście wyjaśniały.

- Uhm. Tak! Właśnie chciałem usiąść nad książkami. Czy nie mogłabyś udać, że mnie nie widziałaś?

- Nie.

- Ojej. ciociu Rip - westchnął i zaraz poprawił się, widząc wyraz jej twarzy - szeryfie. Wzięła go za ucho.

- Policja doprowadzi cię do szkoły.

- Mama mnie zamorduje.

- I słusznie.

- Zawalę ten test.

- Trzeba się było przygotować.

- Każą mi zostać na dodatkowych zajęciach.

- Serce pęka mi z bólu. Wymamrotał pod nosem: gównu, i oberwał kuksańca.

- Jak się wyrażasz, smarkaczu! Pójdziemy z wizytą do wicedyrektora, przyznasz się do wszystkiego i dostaniesz za swoje.

- A ciocia nigdy nie była na wagarach?

- Jeśli nawet byłam, to miałam na tyle rozumu, żeby nie dać się złapać. Taka jest bezlitosna prawda, młody człowieku.

Parsknął śmiechem. I właśnie z tego powodu i dlatego, że bardzo go lubiła, idąc z nim do szkoły, po przyjacielsku oparła rękę na jego ramieniu.

Poranna praca i spotkanie z Zackiem, któremu opowiedziała o obu incydentach, wyraźnie poprawiły jej humor. Wkroczyła do kawiarni na lunch, machając po drodze ręką do Lulu.

- Weź na wstrzymanie i chodź tu na chwilę.

- Najwyżej minutę, dłużej nie zdzierzę. - Ripley podeszła do kasy. - O co chodzi?

- Dostałam list od Jane.

- Tak? - Ripley przypomniała sobie poprzednią szefową kuchni. Wyjechała do Nowego Jorku z mężem, który postanowił popробować własnych sił w jakimś drugorzędnym teatrze. - Jak im się powodzi?

- Nieźle. Wydaje mi się, że chcą tam zostać. - Lulu popatrzyła w stronę schodów i ściszyła głos. - Zgadnij, kto przyszedł do cukierni, w której pracuje Jane?

- Harrison Ford. - Lulu skarciła ja wzrokiem, więc Ripley wzruszyła ramionami. - Nie mogę się ostatnio od niego uwolnić. Okej, więc kto?

- Sam Logan.

- Naprawdę? - Teraz i Ripley ściszyła głos. - Co pisze o nim Jane? Jak wygląda? Co robi?

- Zamknij się na chwilę, to ci powiem. Jane pisze, że wygląda

fantastycznie. Wysoki, ciemne włosy i niebezpiecznie przystojny - to jej słowa. Była strasznie przejęta, bo ją poznał; nigdy nie miała zbyt wiele rozumu. Chyba jej nie powiedział, co robi, bo z pewnością opisałaby to dokładnie. Ale napisała, że pytał o Mię.

Oczy Ripley zwięzły się, gdy rzuciła szybkie, ostrożne spojrzenie w kierunku schodów do kawiarni i biura Mii.

- Co to znaczy: pytał?

- Po prostu pytał, przy okazji, jak pisze Jane, co słyhać u Mii.

-...?

- I nic. Tylko tyle i koniec. Kupił ciastka, życzył Jane powodzenia i poszedł.

Ripley w zamyśleniu zacisnęła usta; analizowała to, co usłyszała.

- Zabawny zbieg okoliczności: wchodzi do cukierni, w której pracuje dawna kucharka Mii. Pomyśl, ze wszystkich sklepów w mieście wybiera właśnie ten.

- Nie wydaje mi się, żeby to był przypadek. Według mnie, przyszedł tam z ciekawości.

- Otóż to. Ripley, tak jak Lulu. znów spojrzała w stronę schodów. Mia ma słuch jak nietoperz i jeszcze czulszy szósty zmysł.

- Powiesz jej?

- Nie. - Lulu wciągnęła nosem powietrze. - Myślałam o tym, przeżuwałam, obracałam na wszystkie strony i nie widzę potrzeby.

- Chcesz znać moje zdanie?

- A sądzisz, że mówię ci o tym wszystkim tylko po to, żeby mlec

językiem?

- Okej, więc zgadzam się z tobą. Nie ma potrzeby. To wciąż jest zbyt bolesne. - Westchnęła, bo nadal bolesna była też świadomość, że Mia cierpi. - Poza tym, jeśli Mia chciałaby dowiedzieć się czegoś na jego temat, mogłaby to zrobić bez trudu.

Lulu kiwnęła głową.

- Od razu lepiej się czuję, kiedy ktoś się ze mną zgadza. Idź jeść. Dziś fasolówka.

- To jest właśnie to, co lubią tygrysy. Ach, Lu? - Ripley zatrzymała się w pół drogi do schodów. - Jeśli będziesz pisać do Jane, poproś ją, żeby nikomu o tym nie mówiła. Sama rozumiesz.

- No pewnie. Wspaniale, powiedziała sobie w duchu Ripley. Trzy dobre uczynki w ciągu jednego dnia. Czego więcej można chcieć? Podeszła do lady i sięgnęła ręką do dzwonka. I wtedy, przez kuchenne drzwi, zobaczyła Nell podającą zupę i kanapkę MacAllisterowi.

Siedział przy kuchennym stole, czyli w miejscu zarezerwowanym dla przyjaciół. Zrobiła dwa długie susy wzdłuż kontuaru i opamiętała się.

Tak nie można, pomyślała. Ponoszą ją nerwy, a atak z grubej rury nie jest w tej sytuacji żadną metodą wobec tego faceta.

Dała sobie chwilką na uspokojenie, a potem, okrążywszy ladę, weszła do kuchni.

- Cześć, Nell. Cześć, Mac. - Starając się za wszelką cenę promieniować pogodą, pociągnęła nosem. - Pachnie cudownie. Zjem

to samo co on. Mogę tutaj?

- Jasne. Kawę do tego? - spytała Nell.

- Pójdziemy na całość i niech będzie z mlekiem. - Ripley wyswobodziła się z kurtki i powiesiła ją na oparciu krzesła. Obdarzyła Maca ciepłym, łagodnym uśmiechem. - Nie przeszkadza ci skromne towarzystwo, profesorze?

- Nie. Wyglądasz świetnie.

- Dzięki. - Usiadła naprzeciw niego. - Co porabiasz?

- Zaprosiłam pana tu, na zaplecze - Nell ścisnęła ramię Ripley, stawiając przed nią miseczkę z zupą - żeby porozmawiać.

Ripley poczuła, że gardło dławi jej złość, ale potulnie ją przełknęła.

- Jeśli tobie to nie przeszkadza, to mnie też.

- Tak naprawdę to Mac zabawia mnie opowieściami o swoich podróżach i badaniach. Fascynujące. Zamówię książki, które pan poleca - dodała Nell, rzucając mu spojrzenie sponad kanapki przygotowywanej dla Ripley.

- Liczę na to, że opowie mi pani później o wrażeniach z lektury.

- Oczywiście. - Podała kanapkę. - Przyniosę ci kawę. Kiedy znalazła się poza zasięgiem głosu, Mac pochylił się do przodu.

- Do niczego jej nie zmuszam. Ripley uniosła rękę.

- Zawieszenie broni. - I uśmiechnęła się. - Nell sama odpowiada za swoje życie i sama podejmuje decyzje.

Ty nędzny sukinsynu.

- Okej. Ale chcę, żebyś wiedziała jedno: wiem, że przeszła

więcej, niż człowiek może wytrzymać. I nie będę naciskał, niezależnie od okoliczności.

Fakt, że mu uwierzyła, ani na jotę niczego nie zmienił.

Jadła razem z nim, słuchała, jak śmiał się, gdy opowiadała o psie Pete'a i o Dennisie. Zezłościła się, gdy zdała sobie sprawę, że dobrze się czuje, rozmawiając z nim i słuchając jego śmiechu.

Ten facet jest niezłym kompanem, choć przy tym glistą.

W innych warunkach - gdyby na przykład nie robił oszukańczych skoków w bok - przyjemnie byłoby spędzać z nim czas. Poznawać go. Odkrywać, co siedzi i co się dzieje w tym mózgu pracującym na najwyższych obrotach.

Jest mądry, ale nie nudny. O tym już się przekonała. No i te niesamowite piwne oczy, leniwy uśmiech i naprawdę świetne ciało. Nie wspominając o pocałunkach - były absolutnie doskonałe.

I wtedy wyobraziła sobie, jak całuje Mię zaledwie kilka godzin - godzin! - po tym, jak był z nią.

Jest tylko jedno wyjście: zetrzeć go na proch.

- No - odezwała się - musisz być mocno zajęty tym polowaniem na duchy i szukaniem... wirów, kręgów czy jak im tam.

- Dosyć. Zaczynam trochę orientować się w sytuacji, poznawać wyspę.

- I tubylców - powiedziała słodko.

- Jasne. Ale mój plan dnia jest zawsze elastyczny. W każdej chwili mogę wybrać się do siłowni. Chętnie bym jeszcze poćwiczył w towarzystwie.

Czemu nie poprosisz Mii, żeby pomęczyła się razem z tobą, pomyślała, ale posłała mu łagodny uśmiech.

- O której chodzisz tam rano? - Wiedziała, oczywiście.

Wiedziała, do diabła, o wszystkim, co działo się pod jej nosem.

- Koło wpół do ósmej.

- Dla mnie dobra pora. Nie tylko dobra, wymarzona.

Przyszła do siłowni kwadrans przed ósmą. MacAllister już skończył ćwiczenia na stepperze. Znow się nie ogolił. Kiedy posłał jej przelotny uśmiech, nie mogła oprzeć się żalowi i irytacji, że będzie musiała zmiażdżyć go jak robaka.

Ćwiczył przy muzyce, a nie przy telewizji. Cały on, pomyślała. Stara się pokazać, że jest życzliwy.

Ustawiła obciążenie do wyciskania nogami, położyła się na brzuchu i zaczęła ćwiczyć ścięgna podkolanowe. Pozwoliła mu przy okazji oglądać swoje pośladki.

Możesz patrzeć i marzyć. Patrzeć i marzyć.

- Mówili, że znow spadnie śnieg. Liczyła powtórzenia.

- Rzeczywiście, zachmurzy się. Masz już to drewno?

- Jeszcze nie. Zgubiłem nazwisko.

- Jest w kieszeni płaszcza.

- Naprawdę? Nie mogła powstrzymać śmiechu. Fajnie wyglądał, taki zakłopotany.

- Włożyłeś tam kartkę, na której napisałam nazwisko. Do prawej kieszeni długiego czarnego płaszcza.

- Och.

- Dziś rano chyba nikomu nie chce się ćwiczyć - stwierdziła.

- Był tu jakiś facet. Skończył tuż przed twoim przyjściem. Masz fantastyczne nogi, pani władzo.

- Tak uważasz? - Uśmiechnęła się prowokująco i nie pozostała mu dłużna. - Twoje też są niezłe, doktorze.

- Szkoda, że nie widziałas mnie, gdy miałem osiemnaście lat. No, może dwadzieścia - poprawił się. - Aż do dwudziestki byłem facetem, którego popychają i lekceważą.

- Byłeś chudy, co?

- Jak patyk. A w dodatku miałem wypisane na czole: każdy może mnie zaczepić.

Pomyślała z sympatią o tamtym chudym i bez wątpienia niezgrabnym chłopaku, ale pamiętając o swoim postanowieniu, natychmiast stłumiła ciepłe uczucia.

- I wtedy zdecydowałeś zadbać o sylwetkę. - Zaczęła teraz ćwiczyć mięśnie łydek.

- Ktoś, kto jest zbudowany tak jak ja, nigdy nie będzie miał dobrej sylwetki, chyba że poświęci temu całe życie. Chciałem tylko poprawić figurę. Zacząłem studiować anatomię.

Parsknęła śmiechem.

- Studiować?

- Tak do tego podszedłem - wzruszył ramionami. - A potem eksperymentowałem na różne sposoby, dopóki nie odkryłem, co powinienem robić. - Uśmiechnął się do niej, wyraźnie rozbawiony samym sobą. - Robiłem tabele.

- Serio?

- Serio. Tabele, wykresy. Analizy komputerowe. Korelacje wzrostu sprawności intelektualnej i fizycznej. I się sprawdziło.

- No proszę. Zaczerwienił się.

- No cóż, szybko wpadłem na to, że piesza wędrowka, penetracja jaskiń i wycinanie ścieżek przez dżunglę wymaga pewnej sprawności fizycznej. Po dłuższym marszu przy stuprocentowej wilgotności, z plecakiem pełnym delikatnych przyrządów, łatwiej zrozumieć, że opłaca się poświęcić parę godzin tygodniowo na siłownię.

- Niezależnie od powodów wyniki są znakomite. Wstała, żeby przejść do kolejnego urządzenia, i błyskawicznym ruchem uszczypnęła go w pośladek. Kiedy jedynie spojrział na nią, zaśmiała się. Zawsze mi możesz oddać, skarbie.

Odrabiała swoje ćwiczenia, z zadowoleniem stwierdzając, że wybiła go z rytmu.

- Zdążyłeś już objechać wyspę?

- Nie całkiem. - Zgubił rachunek i usilnie próbował znów złapać rytm. - Pracuję jednak, powoli i systematycznie.

- Następnym razem, kiedy będziemy mieli wolne o tej samej porze, pokażę ci okolicę.

Zaczynał się rozgrzewać, i to nie tylko z powodu wysiłku fizycznego.

- Mogę mieć wolne w każdej chwili.

- No, to niezbyt bezpieczne mówić takie rzeczy kobiecie. Nieźle.

- Omal nie mruknęła z zadowolenia. - Lubię mężczyzn, którzy

potrafią podjąć ryzyko. - Oblizwała wargi. - Myślałeś o mnie?

- Zaledwie dziesięć czy dwanaście razy na dzień.

- Och. - Ześliznęła się z ławeczki, kiedy podnosił hantle. -

Kolejne ryzykowne oświadczenie. Nie da się ukryć, że ja też poświęciłam ci sporo czasu.

Podeszła do hantli, ale zamiast coś wybrać, przejechała końcami palców po jego ramieniu.

- Mhm. Stan gotowości, co? U mnie też. - Przysunęła się bliżej i otarła o niego. - Nie wymknęlibyśmy się gdzieś na momencik?

Możliwe, zupełnie możliwe, że gdyby wszystka krew nie odpłynęła właśnie MacAllisterowi z głowy, dostrzegłby nie tylko uśmiech Ripley, ale i stalowy błysk w jej oczach. Lecz nawet największy twardziel czasem przestaje myśleć, kiedy gorąca, seksowna i napalona kobieta ociera się o niego.

- Pozwól, że położę to na podłodze - wykrztusił. - Zanim upuszczę sobie na stopy. Albo tobie.

- Lubię męskie muskuły. - Ścisnęła mu bicepsy. - Długie... smukłe... sprawne.

Ciężarki uderzyły z brzękiem w metalową płytę jak dwa kowadła. Mac chwycił Ripley za włosy i przyciągnął ją do siebie - ich usta niemal się dotknęły.

I wtedy wbiła mu łokieć prosto w brzuch.

- Ręce przy sobie! Zakaszłał. Tylko tak mógł złapać powietrze.

- Coś ty? Co, do cholery? - Był raczej zaszokowany niż zły, z trudem odzyskiwał oddech i tylko wlepiął wzrok w nagle

rozwścieczoną twarz Ripley.

- Myślisz, że chcę, żebyś mnie dotykał? Zdołał już odetchnąć, ostrożnie masował brzuch.

- Tak.

- Nie bądź taki pewny. Nikt nie będzie mnie zdradzał z inną kobietą.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Niewiniątko! Jeżeli, twoim zdaniem, możesz sobie startować do niej, udając, że nie pamiętasz, jak wcześniej startowałeś do mnie, i vice versa, to informuję cię, że w odgrywaniu roztargnionego profesora posunąłeś się o krok za daleko.

- Kto? Co? Oczy Ripley błyszczały, jakby miały buchnąć ogniem. Zacisnęła pięści i niewiele brakowało, a użyłaby ich. Bardzo niewiele.

- Nie jesteś tego wart.

Odwróciła się na pięcie i wymaszerowała do damskiej szatni. Kopnęła ścianę, po czym, kulejąc, poszła do swojej szafki.

Właśnie zamierzała zrzucić górę od kostiumu, kiedy do środka wśliznął się za nią Mac.

- W tył zwrot i natychmiast stąd wyjdź - rozkazała. - Albo aresztuję cię za nieobyczajne zachowanie.

Nie odwrócił się i nie wyszedł. Ku niemałemu zaskoczeniu Ripley stanął tuż przed nią. Był wkurzony. Patrzył na nią już nie mały, słodki psiak. Raczej duży, zły wilk.

- Mam prawo oczekiwać wyjaśnienia tego, co się przed chwilą

stało.

- Nie masz prawa do niczego z mojej strony. A teraz spadaj.

- Jeśli sądzisz, że możesz przede mną kręcić pupą, doprowadzać mnie do szaleństwa, walić w brzuch...

- To był cios łokciem. I nigdy w życiu przed nikim nie kręciłam pupą.

- Specjalnie prowokowałaś, po to, żeby mnie rąbnąć. Chciałbym wiedzieć dlaczego?

- Bo nie cierpię oszustów ani obłudników. - Stanęła na palcach, by patrzeć mu prosto w oczy. - Nie lubię mężczyzn, którzy chcą sprawdzać z iloma kobietami potrafią spać jednocześnie. A zwłaszcza takich, którzy mnie też chcieliby zaliczyć.

- Z nikim nie spałem. Z nikim nie miałem nawet randki, od czasu jak tu przyjechałem.

- Nie cierpię też kłamców. Chwyił ją silnie za łokcie i podniósł w górę.

- Nie kłamię. I nie waż się rzucać na mnie czarów. Otworzyła usta i zaraz je zamknęła.

- Zabieraj łapy - powiedziała z lodowatym spokojem. Postawił ją na podłodze i cofnął się o krok.

- Dałem ci jasno do zrozumienia, że interesuję się tobą na płaszczyźnie osobistej. I tak się składa, że na razie nie interesuję się nikim innym w taki sposób. I nikogo też nie oszukiwałem. Nic z tych rzeczy.

- Kupiłeś butelkę eleganckiego wina i poszedłeś tulić się do Mii.

- Co, u diabła, przyszło ci do głowy? - Poirytowany czochrał dłońmi włosy. - Poszedłem do Mii na kolację i nie muszę się chyba z tego tłumaczyć. Przecież przyjechałem tutaj głównie z jej powodu. Interesuję się nią z przyczyn naukowych, choć wcale nie ukrywam, że bardzo mi się podoba. Ale nie spałem z nią i w ogóle nie miałem takiego zamiaru.

- Świetnie. - Czując, że się wygłupiła, odwróciła się na pięcie. - To twoja sprawa. Sam powiedziałeś, że nie musisz się z tego tłumaczyć.

- Jesteś zazdrosna. - Milczał przez chwilę, jakby chciał zebrać myśli, a może starał się zapanować nad emocjami. - Jak mi przejdzie wściekłość, mogę to uznać za komplement.

- Nie jestem zazdrosna. Uśmiechnął się złośliwie.

- Przypomnij sobie tę scenkę. - Wskazał drzwi siłowni. - I przemyśl to. A teraz idę wsadzić głowę pod prysznic. Radzę ci zrobić to samo.

Wyszedł; wahadłowe drzwi zamknęły się za nim z hałasem.

ROZDZIAŁ 8

Ripley nie znosiła poczucia winy, ale jeszcze bardziej nienawidziła wstydu. Chwilę trwało, zanim zdała sobie sprawę, że jest jej głupio, lecz nie umiała błyskawicznie zmieniać nastroju.

Przepełniała ją wściekłość. Z przyjemnością poddawała się jej atakom, zachowując jednocześnie zdolność logicznego, racjonalnego myślenia.

Rozkoszna irytacja dawała jej napęd przez cały dzień. Wprawiała w znakomity humor. Rozsadzała ją energia. Przekopała się przez górę zaległych papierków i sprzątnęła posterunek, choć dziś przypadała kolej na Zacka. Poszła piechotą na obchód, wróciła, wciąż jednak nie miała dość, więc postanowiła wskoczyć w radiowóz i zastąpić brata na patrolu.

Jeździła po całej wyspie i szukała kłopotów. Bardzo by się jej przydały.

A że ich nie było, spędziła godzinę w domu, waląc zapamiętałe w worek treningowy.

Powoli, jakby przez szparę, zaczynał sączyć się zdrowy rozsądek. Szpara stawała się coraz większa, aż w końcu Ripley mogła rozpaczliwie jasno zobaczyć przez nią swoje własne zachowanie.

Okazała się idiotką - i trudno to było przełknąć. Nie miała racji - a to jeszcze gorsze i bardziej paskudne. Czuła się podle, co ją przygnębiało, więc przekradła się na dół do kuchni, kiedy nikogo w niej nie było, i zjadła trzy murzynki upieczone przez Nell.

Nie mogła wprost uwierzyć, że sama wpakowała się w taką

sytuację - i w dodatku z powodu mężczyzny. To wcale nie zazdrość, rozmyślała, pożerając wzrokiem czwartego murzynka. Mac całkowicie się myli. Ale niewątpliwie przesadziła, i to grubo.

Jakby tego było mało, w ślad za świadomością popełnionego głupstwa pojawiły się pierwsze oznaki poczucia winy, uznała więc, że potraktowała go haniebnie.

Prowokowała Maca. Gardziła kobietami, dla których seks jest bronią lub sposobem na załatwienie czegoś. Albo choćby nagrodą. A sama wykorzystwała go jako marchewkę i kij.

Skompromitowała się we własnych oczach.

Odtwarzała w myślach kolejne wydarzenia w siłowni - w efekcie zjadła czwartego murzynka.

Jeżeli nawet interesował się Mią - a teraz wierzyła, że to nieprawda - jest przecież wolnym facetem. Kilka przelotnych pocałunków niczego nie przesądza ani nie zobowiązuje do wierności.

Z drugiej strony Ripley uważała, że jeśli się pogryza jedno ciasteczko, należy je skończyć, zanim zaczną się drugie.

Ale to nie ma nic do rzeczy.

Najlepiej, myślała, masując z lekka ściśnięty żołądek, nie robić nic. Trzymać się od Maca z dala, w zarodku likwidować wszelkie osobiste kontakty... Choć wygląda na to, przyznała w duchu, że na mówienie o czymkolwiek w zarodku jest już stanowczo za późno.

Oboje będą po prostu udawać, że nic się nie wydarzyło, bo też rzeczywiście nie powinno było się zdarzyć.

Przemknęła się z powrotem do swojej sypialni, zamknęła się i

mądrze postanowiła unikać wszelkich kontaktów z ludźmi przez następne osiem godzin.

Długo nie mogła zasnąć, ale złożyła to na karb przejedzenia czekoladą i potraktowała jako należną karę za swoje występki.

Natomiast sny wydały się straszniejsze, niż na to zasługiwała.

Zaśnieżona, bezludna plaża. W sercu pustka ciężka jak głaz.

Księżyc w pełni oblewał olśniewająco białym światłem morze i brzeg - można by chyba dostrzec pojedyncze ziarenka piasku iskrzącego się w jego poświacie.

W uszach brzmiał łoskot przyboju, monotony dźwięk, który przypominał o samotności. Samotności na zawsze.

Wzniosła do góry ręce, oszalała wołała w bólu. Odpowiadał jej wiatr unoszący połyskliwe ziarna piasku. Coraz szybciej i szybciej.

Moc uderzyła w nią ostrzem tak zimnym, że aż parzyło. Burza, którą wzywała, ryczała, coraz potężniejsza, aż przesłoniła czysty, biały księżyc.

- Dlaczego to robisz? Odwróciła się i przez strugi deszczu popatrzyła na swoją utraconą siostrę. Widziała blask jej złotych włosów i niebieskie oczy, pociemniałe od smutku.

- Żeby sprawiedliwości stało się zadość. - Musiała w to wierzyć.
- Dla ciebie.

- Nie. - Ta, którą nazywano Powietrzem, nie wyciągnęła dłoni, stała spokojnie z rękami splecionymi na wysokości pasa. - Dla zemsty. Z nienawiści. Nie wolno nam nigdy używać naszej mocy do przelewu krwi.

- On pierwszy przelał twoją.

- Czy szukasz usprawiedliwienia dla swojej słabości i lęku?

- Słabości? - Wrzał w niej magiczny mrok. - Nigdy nie byłam taka silna. I nie ma we mnie lęku.

- Jesteś samotna. Ten, którego kochałaś, zginął. Patrzyła - sen we śnie - na mężczyznę, który posiadał jej serce.

Przyglądała mu się, jeszcze raz widziała, jak pada i na zawsze odchodzi od niej, od ich dzieci. Z jej winy. Przez to, co zrobiła. Łzy napływające do oczu piekły straszliwie.

- Powinien był trzymać się z dala.

- On cię kochał.

- Miłość już dla mnie nie istnieje. Siostra Powietrze wzniosła ręce, lśniące jak promienie księżyca.

- Bez miłości nie ma życia ani nadziei. Zerwałam pierwsze ogniwo łączącego nas łańcucha i zabrakło mi odwagi, by wykuć je na nowo. Ty zrywasz drugie. Znajdź w sobie litość, napraw krzywdy. Łańcuch słabnie.

- Niczego nie zmienię.

- Nasza siostra zostanie poddana próbie. - Ta, którą zwano Powietrzem, podeszła bliżej; nalegała. - Bez nas może sobie nie poradzić. Wtedy nasz krąg rozerwie się na zawsze, kosztem dzieci naszych dzieci. Widziałam to.

- Kazesz mi porzucić to, czego już zakosztowałam. Co mogę teraz wywołać jedną myślą. - Wyciągnęła rękę i ogromne morze zawyło tysiącem głosów i z furią uderzyło w roziskrzony wał piachu. -

Nie zgadzam się. Kiedy będzie po wszystkim, ci, którzy nas wyklęli i tępili jak robactwo. każdy mężczyzna, każda kobieta i dziecko, będą umierać w męczarniach.

- W takim razie nas też przeklinasz - rzekła cicho Siostra Powietrze. - I tych, którzy przyjdą po nas. Patrz. Zobacz, co może się stać.

Ściana piachu zniknęła. Rozszalałe morze cofnęło się, zastygło na ułamek sekundy. Księżyc, przed chwilą czysty i biały, rozdarł się i spłynął krwią. Czarne niebo przecięła błyskawica, uderzyła w ziemię, wzniecając ogień i dym.

Buchnęły płomienie, podsycane szalonym, gwałtownym wiatrem; ciemność ustąpiła przed oślepiającym światłem.

Noc wypełnił przerażający ryk. Wyspa powoli pogrążała się w morzu.

Sen był wprawdzie przygnębiający, Ripley umiała jednak wytłumaczyć go sobie poczuciem winy i nadmiarem czekolady. W świetle dnia mogła po prostu machnąć ręką na obawy, jakie w niej zrodził, i wyładować energię, szuflując świeży śnieg.

Zanim dołączył do niej Zack, oczyściła schody i połowę ścieżki.

- Ja skończę. Idź do domu, wypij kawę i zjedz jakieś śniadanie.

- Nie mogę jeść. Napchałam się murzynków wieczorem, więc trochę wysiłku dobrze mi zrobi.

- Hej! - Ujął jej podbródek, podniósł twarz w górę i długo się jej przypatrywał.

- Wyglądasz na zmęczoną.

- Niedobrze spałam.

- Co cię gryzie?

- Nic. - Ale nie patrzyła mu w oczy. - Zjadłam za dużo słodczy i źle spałam, skutek widoczny.

- Mała, mówisz do kogoś, kto cię trochę zna. Kiedy masz problem. fundujesz sobie najgorszą harówkę, fizyczną i umysłową, dopóki ci nie przejdzie. Wyrzuć to z siebie.

- Nie ma czego wyrzucać. - Przeszła z nogi na nogę i wywracała oczy. Westchnęła. Zack mógł tak stać i całą wieczność czekać na odpowiedź. – Okej, nie jestem jeszcze gotowa, żeby to wywalić. Muszę się w tym sama połapać.

- W porządku, jeśli to szuflowanie w czymś ci pomaga, szufluj dalej.

Pomaszerował do domu. To nie jest tylko zmęczenie, pomyślał. Wygląda na nieszczęśliwą. Można przynajmniej odciągnąć jej myśli od kłopotów. Zgarnął garść śniegu i ubił kulę. W końcu od czego są starsi bracia? Zamachnął się.

Z donośnym plaśnięciem trafił w tył głowy Ripley. Nie bez powodu był najlepszym rzucającym w drużynie softballa na wyspie.

Ripley odwróciła się powoli i przyjrzała jego radosnemu uśmiechowi.

- No... Czyżbyś chciał się pobawić? Sięgnęła w bok i zgarnęła śnieg. W chwili gdy Zack schylił się po swoją amunicję, strzeliła - wprost między oczy. Ona też potrafiła walczyć i tylko ktoś bardzo odważny albo głupi mógłby nie docenić takiego przeciwnika.

Obrzucali się śnieżkami przez na wpół odsnieżoną dróżkę, ciskając w ślad za nimi obelgi i szyderstwa.

Kiedy Nell podeszła do drzwi, dziewiczo biały do niedawna dywan śniegu na trawniku był poprzecinany ciemnymi ścieżkami i przeorany brzdami, które wygniotły padające co chwila ciała.

Lucy z głośnym, szczęśliwym szczekaniem śmignęła przez drzwi jak strzała i przyłączyła się do zabawy.

Nell, rozweselona, otuliła się przed zimnem i zeszła na ganek.

- No, dzieci, chodźcie do domu i doprowadźcie się do porządku!
- krzyknęła. - Bo się spóźnicie do szkoły.

Raczej odruchowo niż świadomie oboje - brat i siostra - zgodnie się obrócili i dwie śnieżne kule trafiły prosto w Nell. Pisk, jaki temu towarzyszył, tak rozbawił Ripley, że ze śmiechem padła na kolana i wtedy natychmiast rzuciła się na nią Lucy.

- Ups! - Zack zmienił ton, spostrzegłszy niebezpieczny błysk w oczach żony. - Przepraszam, kochanie. To był... no wiesz... odruch.

- Ja wam pokażę odruch! Dobrze wiedzieć, że cała policja na wyspie atakuje bezbronnego. - Pociągnęła nosem i energicznie zadarła podbródek. - Proszę oczyścić ścieżkę, a przy okazji mój samochód, jeżeli oczywiście znajdziecie na to chwilkę w tej radosnej zabawie.

I trzasnąwszy drzwiami, wmaszerowała do domu.

- Uch! - Ripley znów parsknęła śmiechem. - Wygląda na to, że strzelec wyborowy będzie dziś nocował na kozetce.

- Nie potrafi gniewać się długo. - Zack skrzywił się jednak i przygarbił. - Zajmę się jej samochodem.

- Daje ci wycisk, co? Posłał jej mordercze spojrzenie.

- Później cię zabiję. Wciąż chichocząc, Ripley się podniosła.

Zack i Lucy brnęli przez śnieg na drugą stronę domu. Nie ma nic lepszego, pomyślała, od dobrej bitwy na śnieżki, by zobaczyć wszystko we właściwych proporcjach. Jak tylko skończy z tą ścieżką, pójdzie do domu i udobrucha Nell.

A jednak liczyła, że bratowa wykaże nieco większe poczucie humoru. Cóż to raptem wielkiego, odrobina śniegu w przyjacielskiej zabawie? Otrzeputując się, Ripley podniosła łopatę i wtedy usłyszała ryk i dzikie szczekanie.

Chwyciwszy łopatę jak kij baseballowy, popędziła wokół domu. Gdy wypadła zza rogu, dostała prosto w twarz ogromną kulą śniegu. Łapiąc powietrze, musiała połknąć go trochę i zaniósła się od kaszlem. Wypluła, co mogła, starła resztki z twarzy i zobaczyła Zacka po szyję w śniegu.

I Nell, z uśmiechem zadowolenia na twarzy i dwoma pustymi kubłami w rękach; uderzała nimi o siebie, wysypując resztki śniegu.

- Taki - powiedziała, kłaniając się - odruch.

- Chłopie. - Ripley usiłowała sięgnąć ręką za kołnierz, gdzie tajał zimny, mokry śnieg. - Dobra jest.

Zdołała zachować niezły nastrój przez większą część dnia. Być może nic by się nie zmieniło, gdyby na posterunku nie pojawił się, szurając nogami, Dennis Ripley.

- Mój ulubiony przestępca. - Dennisowi zazwyczaj udawało się ją rozbawić, więc oparła stopy na biurku, przygotowana na

widowisko. - Coś nie w porządku?

- Mam przeprosić za kłopot i podziękować za zaprowadzenie mnie do szkoły, i tak dalej, i tak dalej.

- Kurczę, Den. - Ripley niby otarła łzę. - Wzruszasz mnie. Kącik ust chłopaka lekko się unióś.

- Mama mi kazała. Dostałem dwa dni dodatkowych zajęć, jestem uziemiony w domu na trzy tygodnie i muszę napisać wypracowania o odpowiedzialności i uczciwości.

- Wypracowania? - Wydęła usta. - To najgorsze, co?

- Taa. - Klapnął na krzesło naprzeciw Ripley i ciężko westchnął.

- To chyba było strasznie głupie.

- Chyba tak.

- Nie ma sensu zwiewać ze szkoły. Zimą - dodał z przekornym błyskiem w oku.

- Bez komentarza. Co z testem z historii?

- Zdałem.

- Żartujesz? Przecież nie umiałeś, Den.

- No, nie było to tak trudne, jak przypuszczałem. I mama też mnie nie sprąła, choć się tego bałem. Ani tata. Zrobił mi tylko wykład.

- Och! - Ripley uprzejmie się wzdrygnęła. - Tylko nie wykład!

- Bardzo mi się przyda do wypracowań. Chyba jednak czegoś się dowiedziałem.

- Mów.

- Więc, prócz tego, że jak się zwiewa z lekcji, to tak, by nie odmrozić sobie uszu w lesie, prościej jest odwalić swoje obowiązki w

pierwszej kolejności. Przeważnie.

- Przeważnie - zgodziła się z uśmiechem. A że bardzo go lubiła. wstała, żeby przyrządzić mu filiżankę czekolady na gorąco.

- A ponieważ jakoś tak zrobiłaś, że wszedłem tu i powiedziałem to wszystko, nie musiałem się męczyć, wiesz? Tata mówił mi, że jak się narozrabia, trzeba mieć odwagę się przyznać, i że to jest właściwe postępowanie. Szanują cię, a nawet, wiesz, człowiek sam może mieć do siebie szacunek.

Wsypując czekoladowy proszek do kubka, poczuła ukłucie w żołądku.

- Rany! - mruknęła.

- Każdy popełnia błędy, ale tchórze uciekają przed odpowiedzialnością. To jest dobre, nie sądzisz, ciotka? Mogę to wykorzystać w wypracowaniu.

- Taa - burknęła pod nosem. - Dobre.

Jeśli gorzką pigułkę potrafi przełknąć dwunastolatek, pomyślała Ripley, to chyba i trzydziestoletnią kobietę na to stać.

Wolałyby, żeby ją uziemiono w domu, niechby nawet kazali pisać to straszne wypracowanie, byle tylko nie musiała iść do Maca. Nie było jednak wyboru. W każdym razie nie w sytuacji, kiedy gnębi ją poczucie winy i wstyd, a przed oczami stoi przykład dwunastoletniego chłopaka.

Mac mógłby po prostu zatrzaskać jej drzwi przed nosem - i prawdę mówiąc, trudno byłoby mieć do niego o to pretensję. Oczywiście, mogłaby wtedy napisać grzeczny liścik z przeprosinami.

Co zresztą okazałoby się pewnie równie trudne jak wypracowanie.

Najpierw jednak trzeba stanąć z nim twarzą w twarz. Sterczała więc w wieczornym półmroku przed drzwiami jego domku, przygotowana na przełknięcie upokorzenia.

Otworzył. Miał na sobie bluzę z nazwą jakiegoś uniwersytetu i podobizną Tosia z dziecięcej kreskówki. W innych okolicznościach zapewne wydałoby się jej to zabawne.

- Pani Todd - powiedział lodowatym tonem. Sytuacja nie skłaniała do śmiechu.

- Mogę wejść na moment? - Przełknęła pierwszy kęs upokorzenia. Było łykowate i obrzydliwe. - Proszę.

Na słowo „proszę” brwi lekko się uniosły. Cofnął się i wykonał zapraszający gest.

Oderwała go od pracy. Zobaczyła włączone monitory; zygzakowata linia na jednym z ekranów budziła skojarzenia z jakąś szpitalną aparaturą.

W kominku płonął ogień. Ripley poczuła zapach zwietrzałej kawy.

- Przepraszam, że przeszkadzam - zaczęła.

- Nic nie szkodzi. Pozwól, powieszę kurtkę.

- Nie. - Obronnym ruchem otuliła się mocniej. - To nie potrwa długo i zaraz się wyniosę. Chciałam tylko przeprosić za tamten dzień. Nie miałam racji. Myliłam się całkowicie i zachowałam głupio. Nic nie usprawiedliwia tego, co zrobiłam i co powiedziałam.

- W porządku, nie ma o czym gadać. - Nie chciał się dać

przeprosić i było mu z tym dobrze. - Nie wracajmy do tego.

Wcisnęła ręce do kieszeni. Nie lubiła, gdy szło zbyt łatwo.

- Przesadziłam.

- Nie da się ukryć.

- Pozwól mi dokończyć - ciągnęła chłodno, ale jej ton tylko go rozbawił.

- Wal śmiało.

- Nie wiem, dlaczego przesadziłam, ale to się już nie odstanie.

Jeśli nawet łączą cię z Mią jakies... jakies sprawy intymne, nie mam prawa się wtrącać. Ale jestem odpowiedzialna za to, co robię, za własne decyzje i posunięcia, i chcę, żeby tak było.

- Ripley - powiedział już łagodniej. - Daj mi kurtkę.

- Nie, nie zamierzam tu zostać. Przemyślałam to na wszystkie strony, długo się z tym męczyłam. To mnie wnerwia. Problem w tym, że wmówiłam sobie, że startowałeś do mnie, a potem do Mii, żeby urobić nas obie i załatwić sobie w ten sposób pomoc w swojej robocie.

- Cóż. - Zdjął okulary i kołysał je w palcach. Piękne, piwne oczy wpatrywały się w nią bacznie. - Brzmi obraźliwie.

- Wiem - odparła ponuro. - Przepraszam. Bardziej wstydzę się tego, że pozwoliłam sobie użyć seksu, no wiesz, podkrecając cię, żeby cię za to ukarać. Kobiety, które coś takiego robią, kompromitują się. Więc... - Odetchnęła i zamyśliła się. Nie, kurczę, nie czuła się ani trochę lepiej. Wciąż było jej wstyd. - No i to wszystko. Możesz wrócić teraz do swoich zajęć.

Podeszła do drzwi, ale Mac był szybszy. Przycisnął je dłonią.

- Zagłębiając się nieco pod powierzchnię, co bardzo lubię, dostrzegam maleńki, szczególny aspekt twojej przesadnej reakcji, który przynosi mi pewną satysfakcję. Wyłącznie z płaskich, egoistycznych pobudek.

Nie patrzyła na niego. Nie chciała. Wystarczył jej ten uśmiezek w głosie.

- Tym bardziej czuję się jak idiotka.

- I nawet mi się on podoba. - Przejechał dłonią po jej związanych włosach. - Powieszę ci kurtkę. - Zsunął ją z jej ramion. - Masz ochotę na piwo?

- Nie. - Zdziwiło ją, że chętnie przytuliłaby się, choćby na jedną króciutką chwilę. A przecież to nie w jej stylu. - Nie, jestem na służbie.

Znow to dotknięcie - szybki, delikatny ruch palców wędrujących po miękkich włosach.

- Pocałunek na zgodę?

- Na razie skreślimy z planu pocałunki. - Wzięła z jego rąk kurtkę i rzuciła ją na podłogę obok wejścia. - Twoja uczelnia? - spytała, wskazując bluzę.

- Hm? - Spojrzał w dół. - Tak. Coś tam robiłem do doktoratu. Nie wiesz, co to życie, dopóki nie widziałeś wiosny w Frostbite Falls.

Uśmiechnęła się w końcu i poczuła odrobinę.

- Nie umiem cię rozgryźć, Mac.

- Ja siebie też nie. Chcesz... - Przerwał na dźwięk telefonu;

rozejrzał się z zakłopotaniem po pokoju.

- Wydaje mi się, że to telefon - odpowiedziała Ripley.

- Taa. Tylko gdzie? Sypialnia - zdecydował i popędził wielkimi susami.

Sięgnęła po kurtkę. Chyba najlepiej będzie, jak wyślizgnie się teraz, kiedy Mac jest zajęty. I wtedy usłyszała, jak mówi coś w jakimś obcym języku, brzmiącym z hiszpańska.

Co jest takiego podniecającego w obcych językach? - zastanawiała się przez chwilę. Zostawiła kurtkę na podłodze i niby przypadkiem podeszła do sypialni.

Mac stał przy łóżku. Okulary zaczepił teraz za przednią kieszeń dzinsów. Pościel była złożona i Ripley doceniła ten zmysł porządku u mężczyzny. Natomiast książki leżały wszędzie - w stertach, stosach i rozrzucone pojedynczo. Mac zaczął chodzić, rozmawiając, i Ripley zauważyła, że nie ma na nogach butów. Tylko grube skarpetki - jedną czarną, drugą granatową. Coś pięknego.

Wydawało jej się, że Mac mówi bardzo szybko, ale zawsze odnosiła takie wrażenie, słuchając obcego języka. Potok niezrozumiałych słów z fascynującym akcentem.

Wyciągnęła szyję. Wyglądało na to, że Mac jest czymś zaabsorbowany.

Rozglądał się po pokoju, macając jednocześnie koszulę.

- Prawa przednia kieszeń - odezwała się. Popatrzył na nią. - Okulary?

- Och, nie. Tak. *Que? No, no, uno momento.* Gdzie ja mam coś

do pisania?

Podeszła do nocnego stolika i wzięła jeden z trzech długopisów. Ponieważ Mac nadal czegoś szukał, chwyciła też notes.

- Dzięki. Nie wiem, czemu one zawsze... *Como? Si, si.* Usiadł na brzegu łóżka, gryzmołąc coś w notesie. Ripley uznała, że skoro posunęła się i tak dość daleko, nie ma sensu tego zmieniać. Przekrzywiła głowę, by zajrzeć do notatek i stwierdziła, speszona, że Mac stenografuje.

Zapewne na dodatek po hiszpańsku, doszła do wniosku i skorzystała z okazji, by rzucić okiem na sypialnię.

Żadnych rozrzuconych ubrań. Nie byłoby na nie zbyt wiele miejsca - wszędzie książki, czasopisma i stosy papieru. Żadnych pamiątkowych fotografii, i to się jej nie spodobało.

Na komodzie leżał stosik monet, a obok medalion ze świętym Krzysztofem. Ripley przypomniała sobie amulet w schowku samochodowym i zastanowiła się przez moment, z ilu jeszcze stron MacAllister się zabezpieczał.

Zobaczyła scyzoryk, komplet małych śrubokrętów, kilka trudnych do zidentyfikowania przedmiotów z plastiku i metalu - do zapalnika? - i szklisty, czarny kamień.

Dotknęła go, ale usłyszawszy niski, wibrujący dźwięk, postanowiła więcej tego nie robić.

Kiedy się odwróciła, Mac siedział na krawędzi łóżka. Odłożył słuchawkę i patrzył w przestrzeń z roztargnionym i rozmarzonym wyrazem twarzy. Ładnie mu z jednym i drugim, pomyślała.

Chrząknęła, żeby przyciągnąć jego uwagę.

- Znasz hiszpański?

- Mhm.

- Jakieś złe wieści?

- He? Nie. Nie, interesujące. Kolega z Kostaryki. Być może nawiązał kontakt z PJB.

- Co to takiego?

- Co, co takiego? - Zauważył, że wywróciła oczy. Często spotykał się z taką reakcją w swoim otoczeniu. - A, przepraszam. PJB: pozaziemska jednostka biologiczna.

- Małe zielone ludziki.

- Właśnie. - Mac odłożył notatki. - Tak jak te wszystkie czarownice na miotłach. Mam o nich trochę materiałów.

- Ha.

- Tak czy inaczej, rzecz jest ciekawa. Zobaczymy, jak się sprawy potoczą. Na razie dzięki temu trafiłaś do mojej sypialni.

- Nie jesteś taki roztargniony, na jakiego wyglądasz.

- Tylko czasami. - Poklepał łóżko obok siebie, uśmiechając się z zadowoleniem.

- To naprawdę ekscytująca propozycja, ale nie. Idę do domu.

- A może zjemy kolację? - Zdjął okulary i cisnął je na łóżko. - W restauracji. Wyjdziemy i zjemy gdzieś kolację. Czy to odpowiednia pora?

- Może być. Zabierz okulary z łóżka. Zapomnisz i usiądziesz na nich.

- Słusznie. - Podniósł je i położył na nocnym stoliku. - Skąd wiesz, że tak bym zrobił?

- Spróbuj zgadnąć. Mogę zadzwonić do domu i powiedzieć, że nie wrócę na kolację?

- Śmiało. Kiedy podchodziła do telefonu, wziął ją za rękę i pociągnął tak, że znalazła się między jego nogami.

- Chciałbym omówić sprawę skreślenia pewnych pozycji z planu. I sądzę, że ponieważ to ty przepraszałaś, więc też ty powinnaś mnie pocałować.

- Właśnie o tym myślę. - Podniosła słuchawkę, nie spuszczać z niego wzroku. Krótka rozmowa z Zackiem i odłożyła telefon. - Okej, lecz stawiam warunki. Ręce na łóżku. Żadnego dotykania i łapania.

- Bardzo surowe, ale zgoda.

Najwyższa pora pokazać mu, że nie on jeden coś potrafi. Schyliła się, wolno przesuwając dłońmi po jego włosach, aż oparła je na ramionach. Tym razem oboje mieli oczy otwarte. Z ustami tuż przy jego wargach, uśmiechnęła się.

- Żadnych rąk - przypomniała. Lekko otarła się wargami, chwyciła zębami, musnęła językiem.

Widziała jak oczy Maca zmieniają się, ciemnieją. Skubnęła jeden kącik jego ust, potem drugi i głęboko westchnęła.

Odchyliła się leciutko, zamarła na moment. Potem zatopiła palce w jego włosach - i zatoneła w nim.

Poczuł w sobie żar, który mógłby spalić go żywcem. Zacisnął

dłonie na krawędzi łóżka jak kleszcze. Serce skoczyło mu do gardła.

Jakby go bezlitośnie, zachłannie pożerano.

Zawładnęła nim, wdarła się w niego jak błyskawicznie działający narkotyk, który raczej drażni, niż odrętwia. Czuł... To nieopisane i czekał, aż po prostu eksploduje.

Prawie poddała się czającemu się gdzieś w niej pożądaniu i omal nie pchnęła Maca w tył, na łóżko. Zawsze, kiedy była przy nim, coś się z nią działo, coś, co pobudzało umysł, wstrząsało ciałem i ścisnęło serce. Gubiła się nawet teraz, kiedy sama przejmowała inicjatywę i kontrolę.

Czuła, że drży, i odpowiadała drzeniem.

Trzeba było potężnej siły woli, by zakończyć ten pocałunek.

Jego oczy przybrały barwę ciemnego złota. Oddychał nierówno. Ripley widziała, jak szybko przełyka ślinę. Nie dotknął jej jednak. Takie opanowanie należy szanować, pomyślała. Podziwiać i rzucać wyzwania.

Uśmiechnęła się, dotykając palcem kącika ust.

- Chodźmy jeść - powiedziała i wyszła z pokoju. Jeden, jeden, stwierdziła, podnosząc kurtkę. Idą idealnie łeb w łeb.

ROZDZIAŁ 9

Jonathan Q. Harding wiedział, jak skłonić ludzi do mówienia. Przede wszystkim należy pamiętać, że mimo pozorów powagi, dyskrecji albo niechęci oni chcą mówić. Im bardziej temat przykry lub dziwaczny, tym chętniej gadają.

Wystarczał upór, cierpliwość i od czasu do czasu zwinięta dwudziestodolarówka.

Prześladowała go ta historia i uparł się, że ją rozgryzie. Zaczął od urwiska przy autostradzie, gdzie zdesperowana kobieta sfingowała własną śmierć. Miejsce było bardzo malownicze - morze, niebo i skały. Jak na dramatycznych, czarno - białych fotografiach.

Nie myślał już o reportażu dla gazety. Podniósł sobie poprzeczkę i zaplanował duży, skandalizujący bestseller.

Ziarno tego ambitnego pomysłu zakiełkowało w jego myślach podczas pierwszej wizyty u Remingtona. Dziwne, że nie przyszło mu to do głowy wcześniej. Że nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo pragnie sławy i bogactwa.

Zrobiło tak wielu innych - przemienili swoją fachową wiedzę albo hobby w błyskawicznie rozchodzące się książki w błyszczących okładkach. On też to potrafi.

Dlaczego marnuje czas i wybitne zdolności na drugorzędne prasowe michałki? Zamiast zabiegać o wywiady z telewizyjnymi gwiazdami, powinien doprowadzić do tego, żeby samemu wystąpić w roli bohatera programu.

Głos, którego istnienia w sobie nie podejrzewał, obudził się i

wciąż szeptał: łap okazję. To właśnie zamierzał.

Zgromadził strzępy informacji, spekulacje, smakowite kąski i potwierdzone fakty z raportów policyjnych, i ruszył śladem Helen Remington. obecnie Nell Channing Todd.

Przeprowadził ciekawą rozmowę z człowiekiem utrzymującym, że to on sprzedał Nell używany rower, którym uciekała na początku, i zadawszy wiele pytań na dworcu autobusowym w Carmel, upewnił się. że opis się zgadza.

Helen Remington rozpoczęła swoją podróż na niebieskim rowerze z przerzutką.

Wyobrażał sobie, jak pędzi przez wzgórza, w dół i w górę. Miała na sobie perukę, według niektórych rudą, zdaniem innych - kasztanową. On skłaniał się ku czarnej. Sądził, że wołała nie rzucać się w oczy.

Ponad dwa tygodnie tropił, wracał, natykał się na fałszywe ślady, aż los uśmiechnął się do niego w Dallas, gdzie Nell Channing wynajęła pokój z kuchenką w tanim motelu i zatrudniła się jako pomoc kuchenna w obskurnej knajpie.

Kobieta nazywała się Lidamae - tak informowała tabliczka z nazwiskiem przypięta do cukierkowo różowej góry jej służbowego stroju. Kelnerowała od trzydziestu lat i uważała, że kawą, którą w tym czasie podała gościom, można by już napęłnić tę cholerną Zatokę Meksykańską. Dwa razy wychodziła za męża, ale obu sukinsynom przyłożyła kopa w ich leniwe dupska.

Miała kotkę o imieniu Śnieżka, skończone dziesięć klas i

przeraźliwie ostry, nosowy teksaski akcent.

Chętnie zostawiła na kilka minut swoje zajęcia, żeby porozmawiać z reporterem. I bez skrupułów przyjęła dwudziestkę za fatywę i poświęcony mu czas. Wcisnęła ją dokładnie tam, gdzie należało się spodziewać. Za stanik opinający obfity biust.

Była typem charakterystycznym - przesadnie utlenione, utapirowane w ogromną kaskadę włosy, agresywny błękit cieni do oczu pokrywających powieki niemal po brwi, ogólne wrażenie niechlujstwa. Harding zastanawiał się, która aktorka mogłaby zagrać jej rolę w filmie opartym na jego książce.

- Powiedziałaś do Tidas, ona prowadzi kuchnię, tam z tyłu, powiedziałaś do Tidas, że w tej dziewczynie jest coś dziwnego. Coś niesamowitego.

- Co pani ma na myśli?

- Wzrok. Spojrzenie królika, który boi się własnego cienia i ciągle patrzy na drzwi. Jasne, od razu wiedziałam, że ucieka. - Z satysfakcją kiwnąwszy głową, wyciągnęła z kieszeni fartucha camele.

- My. kobiety, jakoś potrafimy wyczuć takie rzeczy. Mój drugi mąż próbował parę razy mnie kopnąć. - Zaciągnęła się głęboko, jakby nabierała powietrza. - Ha. To on dostał kopa w tyłek. Facet, który na mnie podniesie rękę, powinien mieć porządną polisę ubezpieczeniową, bo spędzi sporo czasu na drogim leczeniu.

- Pytała ją pani kiedyś o to?

- Była bardzo bojaźliwa. - Lidamae prychnęła, wypuszczając z nozdrzy kłęby dymu jak u smoka. - Skryta. Robiła swoje, nie przeczę i

zawsze była grzeczna. Dama, powiedziałam do Tidas, ta Nell to dama. Miała to wypisane na czole. Szczupła jak patyczek, włosy byle jak ucięte i po farbowane na jakiś okropny brąz, ale to nie przeszkadzało, i tak widać było klasę. - Jeszcze raz się zaciągnęła i powachlowała ręką z papierosem. - Wcale się nie zdziwiłam, kiedy ją zobaczyłam w wiadomościach. ' od razu ją rozpoznałam, chociaż była odpicowana i miała blond włosy na tym zdjęciu. Powiedziałam do Suzanne. Suzanne pomagała im na zmianie. popatrz na tę w telewizji. Ta tam. za ladą - dodała na użytek Hardinga.

- Powiedziałam: to ta mała Nell. która pracowała u nas w zeszłym roku przez kilka tygodni. Suzanne omal nie zemdląła, aleja wcale się nie zdziwiłam.

- Jak długo tu pracowała?

- Koło trzech tygodni. A potem któregoś dnia po prostu nie przyszła na swoją zmianę. Ani śladu, aż do tych wiadomości w telewizji. Tidas była wściekła, widziałam. Ta dziewczyna umiała gotować.

- Czy ktoś kiedykolwiek jej szukał? Interesował się nią szczególnie?

- Nie. W ogóle rzadko wystawiała nos z kuchni.

- Sądzi pani, że Tidas pokaże mi jej papiery? Lidamae zaciągnęła się po raz ostatni, obserwując Hardinga zza błękitnego dymu.

- Nie zaszkodzi spytać, no nie?

Następną dwudziestkę kosztował go rzut okiem w papiery, ale

znalazł za to dokładną datę wyjazdu Nell. Wiedząc zatem co nieco i znając mniej więcej stan jej finansów, Harding przeprowadził zwiad na dworcu autobusowym.

Tropił ją aż do El Paso, gdzie omal nie zgubił śladu, ale na szczęście trafił na człowieka, od którego kupiła samochód.

Podążał za nią dzień po dniu, czytał w kółko artykuły, wywiady, oświadczenia i komentarze, jakie ukazały się po aresztowaniu Remingtona.

Przez pierwsze pół roku po ucieczce pracowała w tanich restauracjach, w hotelach i kawiarniach, prawie nigdy nie zatrzymując się w jednym miejscu dłużej niż trzy tygodnie. Nie umiał dopatrzeć się planu ani logiki w trasie, którą wybrała.

I chyba o to jej chodziło, pomyślał. Najpierw wyruszyła na południe, potem na wschód, a następnie przecięła własny szlak i znów pojechała na północ. Lecz zawsze w końcu zawracała ku wschodowi.

Nie bardzo ufał zapewnieniom Lidamae ojej intuicji, ale wszystkie rozmowy z pracodawcami i pracownikami prowadziły do tego samego wniosku.

Nell Channing była damą.

Jaka jest i kim jest naprawdę, oceni sam. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy poznają osobiście. Wcześniej musi jednak zdobyć coś innego. Historię, którą opowie mu Evan Remington.

Korzystając z pięknej pogody i nieświadoma, że ktoś uważnie przygląda się jej przeszłości, Nell wzięła wolny dzień. Lutowa odwilż

niosła radosną zapowiedź wiosny. Było na tyle ciepło, że dało się spacerować tylko w lekkiej kurtce; jaskrawe promienie słońca odbijały się od połyskliwej powierzchni błękitnego morza.

Nell wzięła Lucy i poszła na przechadzkę po plaży: a gdyby tak wybrała się do miasteczka i kupiła sobie jakiś drobiazg? Sam fakt, że taka myśl wpadła jej do głowy, wydawał się kolejnym cudem dnia codziennego. Na razie cieszyła ją plaża, morze i wielki czarny pies. Lucy goniła dla zabawy mewy. Nell usiadła na piasku, zapatrzona w fale.

- Masz szczęście, że jestem w dobrym humorze, bo mogłabym cię spisać za wyprowadzanie psa bez smyczy.

Nell obejrzała się. Obok niej przycupnęła Ripley.

- Musiałabyś spisać też samą siebie. Nie widziałam żadnej smyczy, kiedy rano obie biegałyście po plaży.

- Rano użyłam niewidzialnej smyczy. - Ripley objęła ramionami podciągnięte kolana. - Boże, jaki piękny dzień. Że też nie jest tak zawsze.

- Właśnie. Nie mogłam wytrzymać w domu. Mam długą listę spraw do załatwienia, a mimo to uciekłam.

- Pogoda chyba się ustaliła.

- Na to wygląda. Nell patrzyła na nią uważnie, więc Ripley zsunęła ciemne okulary na koniec nosa i spojrzała sponad nich.

- O co chodzi?

- O nic. Wyglądasz na... na zadowoloną z siebie - powiedziała. - Mało widywałam cię w ostatnich tygodniach, ale za każdym razem

miałaś coś radosnego w oczach.

- Naprawdę? No cóż, życie jest piękne.

- Ho, ho! Spotykasz się z MacAllisterem. Ripley w milczeniu rysowała zawijasy na piasku.

- Chciałaś uprzejmie spytać, czy robimy te rzeczy?

- Ależ nie. - Nell odczekała chwilę i westchnęła. - No, a robicie?

- Na razie nie. - Ripley odchyliła się do tyłu i oparła na łokciach.

Tak, była wyraźnie zadowolona. - Nie spodziewałam się, że tak mi się spodoba ta przedseksualna uwertura. Zawsze myślałam, że jeśli ktoś ma ochotę na taniec, powinien po prostu wstać i tańczyć. Ale...

- Romans jest szczególnym rodzajem tańca. Ripley rzuciła jej krótkie, szybkie spojrzenie.

- Wcale nie romansujemy. Żadnych kwiatków, serduszek i cielejących oczu. To interesujący facet, z którym fajnie spędza się czas, i to wszystko... Oczywiście, jeśli nie jest zajęty łapaniem duchów. Zwiedził kawał świata. Był w takich miejscach, o których nawet nie wiedziałam, że istnieją. - Zna nawet stolicę Liechtensteinu, przypomniało się jej. W głowie się nie mieści. - Wiesz, że skończył college, mając szesnaście lat? - mówiła dalej. - Bystrzak, co? A przy tym jest zupełnie normalny. Lubi filmy i baseball, nie kręci nosem na to, co nazywają popkulturą.

- Nie ma w nim intelektualnego snobizmu - skomentowała Nell, uradowana.

- Właśnie. Lubi *Rocky'ego* i kreskówki, i słucha normalnej muzyki. Tak to wygląda, jakby w jego mózgu mieściły się te

wszystkie e równa się mc kwadrat i inny chłam, a mimo to pozostało jeszcze dość miejsca na grupy rockowe. W ogóle jest świetny, fantastycznie pływa, choć czasami potyka się o własne nogi. Po prostu czad. - Nell otworzyła usta. żeby coś powiedzieć, ale Ripley nie dopuściła jej do słowa. - Ma świra, to jasne, ale to się może czasem przydać. Naprawił mi słuchawki, gdy już chciałam je wyrzucić. A kiedyś... - Zmarszczyła brwi, widząc szeroki uśmiech Nell. - O co chodzi?

- Jesteś pod wrażeniem.

- Daj spokój. Cóż za określenie - prychnęła i skrzyżowała nogi w kostkach. - Pod wrażeniem. Coś takiego.

- Moim zdaniem, pasuje w sam raz. Poza tym myślę, że to cudowne.

- Odczep się w końcu z tymi twoimi romansami, dobrze? My po prostu spędzamy razem czas. Potem będziemy uprawiać seks i spędzać razem czas. Zostaniemy na stopie przyjacielskiej, dopóki nie zacznie mi wciskać tych historii o czarownicach. A potem wróci do Nowego Jorku, żeby pisać książki, artykuły i co tam jeszcze. Jesteśmy wolni.

- Oczywiście. Ale od kiedy mieszkam na wyspie, jeszcze z nikim nie spędzałaś tyle czasu. I nigdy jeszcze nie wydawałaś się tak szczęśliwa.

- Rzeczywiście, podoba mi się. Bardziej niż ktokolwiek inny. - Ripley wzruszyła ramionami. - Ja mu się też podobam. Bardziej niż inne.

- Pod wrażeniem - szepnęła Nell.
- Zamknij się.
- Przyprowadzisz go na kolację?
- Co?
- Zaproś go do domu, dziś wieczorem.
- Dlaczego?
- Chcę podać to, co Zack najbardziej lubi. I będzie tego dużo.
- Pieczeń z ziemniaczkami i marchewką? - Oczy Ripley

pojaśniały.

- Jestem pewna, że Mac woli zjeść coś domowego, niż chodzić do restauracji albo podgrzewać sobie samemu to, co kupi u mnie. - Nell wstała i strzepnęła piasek ze spodni.

- Pewnie. Lubi dobrze zjeść... Chyba nie próbujesz nas swatać, co? Nell szeroko otworzyła niebieskie, niewinne oczy.

- Ależ skąd! Powiedz mu, żeby był o wpół do siódmej. Daj mi znać, gdyby mu to nie pasowało.

Klasnęła dłońmi, wołając Lucy, i poszła do domu. Czeką ją jeszcze sporo roboty, a czasu pozostało niewiele.

- Nie obmyślam żadnego zaklęcia. - Mia przechyliła głowę i uśmiechnęła się słodko, gdy Nell krzywiła się nad obieranym właśnie ziemniakiem. - Dlaczego chciałaś, żebym przyszła i omawiała z tobą plany dzisiejszej kolacji?

- Bo podziwiam twój gust.
- A naprawdę?

- Bo znasz Ripley lepiej niż ja.

- No i co?

- Dobrze już, dobrze. - Nell zniecierpliwiona odrzuciła ziemniak.

- Nie chodzi o zakłęcie. To byłoby nie na miejscu, prawda? - Zerknęła na Mię z ukosa.

- Tak, to byłoby nie na miejscu. Żadne z nich nie prosiło cię o to. A poza tym wtrącanie się w czyjeś życie jest przekroczeniem pewnej granicy.

- Wiem. - Nell opuściła ramiona. - Nawet jeśli ich dobro leży ci na sercu. - Zabrzmiało to jak pytanie, choć oczywiście znała odpowiedź. - Wydaje się taka szczęśliwa. Sama zresztą widzisz. Trzeba było jej posłuchać, cały czas świergotała na jego temat.

- Świergotała? Nasza pani władza? - zachichotała Mia. - Dużo bym dała, żeby to zobaczyć.

- A jednak, i było to urocze. Chciałabym tylko trochę ją popchnąć. Ale nie zakłamię - dorzuciła szybko, zanim Mia zdążyła otworzyć usta. - Miła, przyjacielska, rodzinna kolacja. I co by się stało, gdybym dodała odrobinę czegoś, co pozwala lepiej widzieć? Co obniża przeszkody tylko troszkę, o parę centymetrów?

- A jeśli oni widzą to, co chcą widzieć, i czują to, co chcą? Skąd pewność, że nie popchniesz ich w złym kierunku?

- Jesteś irytująco rzeczowa. Co gorsza, masz rację. Ale trudno się powstrzymać, kiedy można pomóc.

- Magia nie zna granic. W przeciwnym wypadku nie miałyby żadnego znaczenia. Sama jesteś zakochana, cały czas na fali szczęścia,

więc chciałabyś wszystkich swatać i uszczęśliwiać. Ale nie każdemu jest sądzone to, co ciebie łączy z Zackiem.

- Gdybyś słyszała to szczebiotanie, zanim się połapała. - Nell potrząsnęła głową i opłukała obrane warzywa. - Już go prawie kocha, choć jeszcze o tym nie wie.

Mia przez moment z przyjemnością, ale i z zazdrością pomyślała o zakochanej przyjaciółce z dzieciennych lat.

- Lecz jeśli się dowie, jeżeli pomożesz jej zrozumieć własne uczucia, może się wycofać, żeby nie runąć w przepaść. Byłoby to do niej podobne.

- Znowu masz rację. To nie do zniesienia. Powiedz, co o nim sądzisz. Rozmawiałaś z nim dłużej niż ja.

- Myślę, że jest bardzo inteligentny, bardzo bystry i skoncentrowany na tym, co robi. Nie naciska na Ripley w sprawie swoich badań, bo wie, że mogłaby stanąć okoniem. Krąży więc dookoła. - Mia sięgnęła do słoja z herbatnikami. - Ciasteczka z czekoladą? Przepadłam.

- Jest w tym wyrachowanie. - Nell podeszła do kuchenki, żeby przygotować Mii herbatę. - Jeśli on ją wykorzystuje...

- Poczekaj. - Mia podniosła palec i przełknęła ciastko. - Oczywiście, że ją wykorzystuje. A to wcale nie musi być czymś złym. Skoro Ripley odmawia mu wstępu frontowymi drzwiami, szuka bocznej furtki. Ripley nie chce wiedzieć, kim sama jest, ale dlaczego Mac miałby postępować tak samo?

- Żeby zawracać jej głowę i grać na jej uczuciach. To nie w

porządku.

- Tego bym nie powiedziała. Nie podejrzewam go o to. Jest zbyt dobrze wychowany. A poza tym to nie tylko inteligentny, ale i bardzo dobry człowiek.

Nell westchnęła.

- Też tak sędzę.

- Chyba mocno go do niej ciągnie, choć jest arogancka, irytująca i uparta.

Nell się uśmiechnęła.

- Tak to wygląda. Jednak mimo wszystko zależy ci na niej.

- Kiedyś mi zależało - odparła Mia stanowczym tonem. - Woda się gotuje.

- Zależy ci. Obu wam zależy na sobie, bez względu na to, co między wami zaszło. - Nell, zajęta herbatą, nie dostrzegła ponurego spojrzenia Mii.

- Będzie znów musiała zbliżyć się do mnie, a ja do niej. Lecz dopóki nie pogodzi się z tym, kim jest, i nie przyjmie do wiadomości swojego przeznaczenia, nigdy nie zdoła otworzyć się tak, jak ty. Bałaś się. Ona też się boi. Wszystkie się boimy.

- Ty? Czego możesz się bać? - Nell odwróciła się. - Wybacz, ale gdy patrzę na ciebie, widzę tylko stanowczość i niewiarygodną pewność siebie.

- Boję się, że ktoś znowu złamie mi serce. Nie wiem, czy zdołałabym to przeżyć. Wolę więc być sama, niż narażać się na ból.

Szczerść tego wyznania sprawiła, że Nell serce się ścisnęło.

- Tak bardzo go kochałaś?

- Tak. - To boli, pomyślała Mia, nawet słowa bołą. Jak zawsze. - Bezgranicznie. Sama widzisz, że popychanie Ripley mogłoby okazać się niebezpieczne. MacAllister Brooke jest częścią jej przeznaczenia.

- Znasz je?

- Znam. - Na twarzy Mii. kiedy sięgała po filiżankę do kredensu, pojawił się cień uśmiechu. - Wiedza to jeszcze nie ingerencja. Są ze sobą związani. Przeznaczeni sobie. Ale co z tym zrobią, jaką decyzję podejmą, to zależy wyłącznie od nich.

Trudno było dyskutować z logiką wywodów Mii. Ale to nie powód, żeby rezygnować z różowych świec na stole. Nell nie rzuciła na nie żadnego zaklęcia ani nie umieściła na nich magicznego napisu. Fakt, że akurat takiego koloru używa się przy miłosnych urokach, ale mógł to być przecież czysty przypadek.

Na parapecie w doniczce rósł rozmaryn - kuchenna przyprawa, rzecz jasna. No i zbiera negatywną energię. To prawda, że wykorzystuje się tę roślinę w miłosnych czarach, ale z kolacją nie ma to żadnego związku.

I nie z tego powodu w miseczce znalazły się różowe kryształy kwarcu i pobudzające intuicję ametysty.

Nie, wcale nie przygotowała żadnego magicznego zestawu.

Wyciągnęła porcelanę babci Zacka i Ripley i znalezione przed paroma tygodniami srebrne lichtarze, które wyczyściła do połysku. Stół przykryła staroświeckim obrusem zdobionym koronką, który dostała w prezencie ślubnym. Bukiet konwalii na środku stołu

rozjaśniał zimowy mrok.

Również kieliszki do wina były prezentem ślubnym, a ich granatowe nóżki dobrze pasowały do blad różowych świec i pączków róż na porcelanie.

Pochłonięta oceną rezultatów swojej pracy, aż podskoczyła, gdy Zack podszedł do niej z tyłu i objął ją w talii.

- Przepięknie. - Dotknął wargami jej włosów. - To najpiękniej zastawiony stół od... Kiedy próbuję sobie przypomnieć, myślę, że jeszcze nigdy tak nie wyglądał.

- Chciałam, żeby był idealny.

- Nie wyobrażam sobie, by mógł być piękniejszy. Albo cudowniej pachnieć. Gdy wszedłem do kuchni, omal nie padłem na kolana z podziwu. A dlaczego Ripley ci nie pomaga? To w końcu jej randka czy twoja?

- Przegoniłam ją pół godziny temu. Tylko mi przeszkadzała. Tak samo zresztą - odwróciła się, żeby go przelotnie pocałować - jak ty.

- Myślałem, że potrzebujesz kogoś do spróbowania tych malutkich zakąsek, które widziałem w kuchni.

- Nie.

- Za późno. - Uśmiechał się bez troski. - Były wspaniałe.

- Zack! Do licha, przecież już je ułożyłam.

- Zatarłem ślady - powiedział, idąc za nią do kuchni. -

Poprzesuwałem je, nic nie widać.

- Jeśli będziesz mi podjadał, nie zrobię gulaszu z knedlami.

- Nell, kochanie, to już podłość.

- Maruda. A teraz pokaż, jak wyglądasz. - Cofnęła się i uważnie obejrzała go od stóp do głów. - No proszę, jaki jesteś przystojny.

Zaczepił palec za pasek jej spodni.

- Podejź bliżej i powtórz. Uległa i już miała dać się pocałować, gdy usłyszała pukanie do frontowych drzwi.

- Jest. - Uwolniła się i zdjęła fartuszek.

- Hej, wracaj! Ripley może otworzyć.

- Nie może. Musi się przygotować, by wypaść efektownie.

Poczekaj - machnęła ręką. żeby go zatrzymać - nastaw jakąś muzykę.

Mac przyniósł wino i kwiaty - w porządku facet, pomyślała z uznaniem. Trzy razy, policzyła, dotknął ręki Ripley, kiedy jedli zakąski w salonie.

Było elegancko, tak jak chciała, i niezobowiązująco, jak planowała. Widząc ich dwoje razem, czuła miłe ciepło. Zanim przeszli do jadalni. sama siebie poklepywała w duchu po ramieniu.

- Tyle już widział pan świata - zagadnęła - gdzie podobało się panu najbardziej?

- Gdziekolwiek jestem, zawsze podoba mi się najbardziej. A Wyspa Trzech Sióstr wydaje mi się idealnym zakątkiem.

- Z przyjaznymi tubylcami - dodał Zack.

- Na ogół. - Mac posłał Ripley uśmiech znad talerza z pieczenia.

- Ostatnio odradzamy pożeranie misjonarzy i odkrywców. -

Ripley wbiła widelec w ziemniaka. - Na ogół.

- Mam szczęście. Zrobiłem interesujące wywiady. Z Lulu i Macey'ami.

- Rozmawiałeś z Lulu? - przerwała mu Ripley.

- Mhm. Była na samym początku mojej listy. Mieszka tu od dawna, ale urodziła się gdzie indziej. A poza tym łączą ją bliskie związki z Mią. Intryguje mnie łatwość, z jaką Lulu przyjmuje to, co nadprzyrodzone. Uzdolnienia Mii wydają jej się tak samo naturalne jak kolor włosów dziecka. W pani przypadku - zwrócił się do Nell - wyglądałoby to inaczej. Odkryła pani swoje talenty już jako osoba dorosła.

- Zapewne. - Nie miała nic przeciw rozmowie na ten temat. W gruncie rzeczy chętnie podyskutowałaby o tym na intelektualnej, naukowej płaszczyźnie. Zauważyła jednak ostrzegawcze spojrzenie zwężonych oczu Ripley i jej sztywniejące ramiona. - Jeszcze trochę wołowiny? - spytała pogodnie.

- Dziękuję, jest pyszna. Zack, czy mógłby pan zarezerwować dla mnie trochę czasu? Chciałbym poznać opinię człowieka, który spędził tu całe życie i poślubił kobietę o tak szczególnych umiejętnościach.

- Oczywiście. Mogę jakoś dostosować swoje zajęcia. - Widział reakcję siostry, ale się nie przejął. - Prawdopodobnie odkryje pan, że większość z nas nie myśli na co dzień o przeszłości tej wyspy.

Zostawiamy to turystom. My tu po prostu żyjemy.

- I o to między innymi mi chodzi. Żyjecie tutaj, chodźcie koło własnych spraw, funkcjonujecie normalnie.

- Bo jesteśmy normalni - cicho powiedziała Ripley.

- No właśnie. - Mac podniósł kieliszek i uważnie badał wino pod światło. - Moc czarodziejska nie ma wpływu, nie musi mieć wpływu

na elementarne potrzeby ludzi. Dom, miłość, bezpieczeństwo finansowe. Bliski, rodzinny związek między Lulu i Mią opiera się nie na tym, kim jest Mia, ale na tym, jaka jest. - Popatrzył na Zacka. - Nie umiem sobie wyobrazić, by poślubił pan Nell, dlatego że jest czarownicą albo mimo że nią jest. Chciał pan poślubić Nell.

- To prawda. Ale w grę wchodziła także jej pieczeń.

- Czego też nie wolno lekceważyć. Silne uczucia wyzwalają moc. Mam bardzo emocjonalny stosunek do gotowania Nell, od czasu gdy po raz pierwszy zjadłem jej zupę.

Zack roześmiał się i dolał wina.

- Dobrze, że ja spotkałem ją wcześniej.

- Czas jest niezwykle ważny. Gdyby Lulu nie przybyła w porę, nie mogłaby spełnić zasadniczej roli w wychowaniu Mii. I o ile wiem, Nell, gdyby nie weszła pani do księgarni dokładnie w tym momencie, gdy odchodziła z pracy poprzednia szefowa kuchni, nie nawiązałyby pani tak bliskich stosunków... Albo byłyby one inne. Te więzi doprowadziły do związku z Zackiem i do Ripley, a to, krętą, pośrednią drogą, do mnie.

- Nie mam z tym nic wspólnego. - Ton głosu Ripley był spokojny, jednak wyczuwało się, że się najeżyła.

- To twój wolny wybór - powiedział swobodnie Mac. - Wybór też jest niezwykle ważny. W każdym razie, skoro nie chcesz być moim przewodnikiem po wyspie, chciałbym zapytać tylko o pewne miejsce na południowym przylądku. Wielki stary dom, mnóstwo ozdóbek i szeroka, kryta weranda. W pobliżu raczej pusto. Stoi wprost

nad zatoczką przy piaszczystej plaży. Jest tam niesamowita, mała grotka.

- Dom Loganów - krótko odpowiedziała Ripley. - Właściciele hotelu.

- Wygląda na niezamieszkały.

- Nie mieszkają tam już. Od czasu do czasu wynajmują go w sezonie. Czemu pytasz?

- Po pierwsze dlatego, że to piękne miejsce i cudowny, stary dom. Po drugie, moja aparatura tam szaleje. - Zauważył, jak Ripley zerknęła na Zacka, i na chwilę zawiesił głos. - Prawie nic nie wiem o Loganach. Pojawiają się, oczywiście, w wypowiedziach moich rozmówców, ale to bardzo skąpe informacje. Od jak dawna nikt z tej rodziny już tam nie mieszka?

- Ponad dziesięć lat - wtrącił się Zack. Ripley milczała. - Pan Logan, albo ktoś z jego upoważnienia, przyjeżdża czasem, żeby dopilnować interesów, ale zatrzymuje się zwykle w hotelu.

- No żeby taki piękny dom stał pusty?! Czy tam straszy? Usta Zacka drgnęły, gdy usłyszał pomruk, jaki wydała Ripley.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Niedobrze. - Mac był zmartwiony. - A co z grotą? Mam tam najwyższe odczyty.

- Grotka jak grotka - ucięła Ripley. Coś leciutko i niepokojąco ścisnęło jej serce.

- Chodziliśmy do niej jako chłopcy - zaczął Zack. - Bawić się w piratów, w Indianę Jonesa i w takie rzeczy. Wiadomo było, że

nastolatki uważały ją za miejsce zakochanych. - Gwałtownie urwał, olśniony.

Sam Logan i Mia. Byli kiedyś nastolatkami i grota z pewnością dawała im schronienie. Jeden rzut oka na twarz siostry upewnił go, że Ripley o wszystkim wie. I próbuje chronić osobiste sprawy przyjaciółki z dzieciństwa.

- Wcale bym się nie zdziwił, gdyby pana aparatura odnotowała te wszystkie hormony - powiedział beztrąsko. - Skarbie, co jest na deser?

Nell, zdezorientowana, wstała.

- Zaraz podam. Ripley, mogłabyś mi pomóc?

- Nie... Dobrze. Jasne. - Rozdrażniona Ripley odsunęła się od stołu i poszła do kuchni.

- O co chodzi? - Nell była stanowcza. - Czego nie chcesz mu powiedzieć o domu Loganów?

- To stary dom i już.

- Ripley, nie mogę pomóc, dopóki nie wiem w czym rzecz.

Ripley z rękami w kieszeniach spacerowała po kuchni.

- Sam i Mia, przede wszystkim w tym rzecz.

- To dla mnie żadne odkrycie. On wyjechał i nie wrócił. Ją to ciągle boli.

- Taa, właśnie, powinna to sobie odpuścić. - Ripley westchnęła i schyliła się, by pogłaskać Diega, dużego, szarego kota Nell. - Byli kochankami. Mia i ja wtedy jeszcze... Przyjaźniłyśmy się.

Wiedziałyśmy o sobie wszystko. Kiedy Mia pierwszy raz była z

Samem, kiedy pierwszy raz byli razem, to było w grocie. Tam się spotykali.

- Rozumiem.

- Dla niej to wciąż miejsce bolesnych wspomnień i nie potrzebuje, żeby jakiś palant wypytywał ją albo odczytywał poziom energii.

- Nie sądzisz, że gdyby Mac wiedział o tym, mógłby oszczędzić jej rozdrapywania ran?

- Nie wiem, co o nim myśleć. - Ripley wyprostowała się. Była zde gustowana. - Raz jest sympatycznym facetem, a za chwilę usiłuje przy jedzeniu wyciągnąć z człowieka informacje. Nie ma prawa przychodzić tu jako gość i wywierać presji na ciebie i Zacka.

- Nie czułam żadnej presji. - Nell wyjęła z lodówki ciasto z kremem. - Przykro mi, że to ci zepsuje humor, ale już postanowiłam, że z nim porozmawiam. Interesuje mnie to, co robi, i chciałabym mieć swój wkład w jego pracę.

- Chcesz zostać królikiem doświadczalnym?

- Wcale tak na to nie patrzę. Nie wstyd mi, że jestem tym, kim jestem, i nie boję się tego, co otrzymałam. Nic ponadto.

- Według ciebie, ja się boję? - Oczywiście Ripley błysnęły. - Bzdura. Gigantyczna bzdura, tak jak i ta jego idiotyczna robota. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Muszę stąd wyjść, i to natychmiast. Odwróciła się na pięcie i pchnęła tylne drzwi.

Nie była w stanie myśleć, lecz zdawała sobie sprawę, że musi wyładować gniew, zanim powie coś, czego będzie później żałować.

Sprawy Nell to jej wyłącznie własny interes, próbowała wytłumaczyć sobie, zbiegając po stopniach na plażę oblaną perłowym światłem księżycy. I jeżeli chce się obnażać, wystawiać na plotki, śmieszność i Bóg wie co jeszcze, ma do tego pełne prawo.

- Niedoczekanie, nigdy w życiu! - Kopała piach. To, co mówi i co robi Nell, jej także dotyczy. To nie do uniknięcia. Nie tylko dlatego, że przez małżeństwo Nell z Zackiem stały się rodziną - łączy je coś jeszcze.

A ten sukinsyn MacAllister Brooke o tym wie.

Wykorzystuje ją, żeby dotrzeć do Nell, i wykorzystuje Nell, żeby znaleźć dostęp do niej. Była głupia, że straciła czujność przez ostatnie tygodnie. Głupia. A niewielu rzeczy nienawidziła tak bardzo jak świadomości, że wyszła na idiotkę.

Odwróciła się, słysząc szczekanie za plecami, akurat w chwili, gdy z ciemności wypadł wielki, czarny kształt. Uradowana Lucy zwała ją z nóg.

- Lucy, do cholery!

- Skaleczyłaś się? Wszystko w porządku? - Mac pędził za psem. Wyciągnął rękę, żeby pomóc Ripley wstać.

- Odwal się.

- Zamarzniesz. Co się, do diabła, z tobą dzieje? Wypadłaś z domu bez okrycia! Proszę. - Odpychała go, ale zdołał wcisnąć na nią kurtkę, którą dała mu Nell.

- Okej. Zrobiłeś dobry uczynek. Teraz spadaj.

- Zack i Nell przyzwyczaili się zapewne do twoich pokazów nie-

grzeczności. - Słyszał samego siebie: ton dyrektora przemawiającego do krnąbrnego ucznia. Ale zacięty, uparty wyraz twarzy Ripley utwierdzał go w przekonaniu, że zasłużyła na reprimendę. - Ja w każdym razie oczekuję wyjaśnienia.

- Niegrzeczna? - Użyła obu rąk, żeby odepchnąć go dobre dwa kroki od siebie. - Masz czelność mówić o mojej niegrzeczności po tym przesłuchaniu, jakie nam urządziłeś przy kolacji?

- Pamiętam rozmowę przy kolacji, nie żadne przesłuchanie. Zaczekaj. - Złapał ją w momencie, gdy rozbawiona Lucy wcisnęła się między nich. - Nie chcesz rozmawiać ze mną na temat mojej pracy, więc nie nalegam. Ale to nie znaczy, że nie będę rozmawiał z nikim innym.

- Zagadujesz Nell i wiesz, że to będzie dotyczyło także mnie. Ciągniesz Lulu za język, zadajesz jej pytania na mój temat.

- Ripley. - Spokojnie, tłumaczył sobie. Nie jest zwyczajnie wściekła, jest przerażona. - Nigdy nie mówiłem, że nie będę zadawał pytań. Tyle że nie pytam ciebie. Jeśli chcesz mieć kontrolę nad tym, co dotyczy ciebie, porozmawiaj ze mną. W przeciwnym wypadku będę musiał korzystać z wiadomości z drugiej ręki.

- Wszystko to po to, żeby mnie przycisnąć do muru. Mac był człowiekiem z natury cierpliwym, lecz cierpliwość ma swoje granice.

- Dobrze wiesz, że to, co mówisz, obraża nas oboje. Po prostu przestań.

- Po prostu.

- Nie jesteś mi obojętna. To komplikuje sprawę, jakoś jednak

sobie radzę. Ale abstrahując od tego, nie stanowisz centrum moich badań, tylko jakąś część. Będę pracował obok ciebie albo z tobą. Ty zdecydujesz.

- Nie pozwolę się wykorzystywać.

- Ja też nie, w każdym razie nie jako cel twoich emocjonalnych wybuchów.

To był strzał w dziesiątkę. Ripley zawahała się.

- Nie zamierzam być podrzędnym dziwadłem.

- Ripley - jego głos złagodniał. - Nie jesteś dziwadłem. Jesteś cudem.

- Nie chcę być ani jednym, ani drugim. Nie możesz tego zrozumieć?

- Owszem, mogę. Doskonale wiem, jak to jest, kiedy patrzą na ciebie jak na jedno albo drugie. Albo na jedno i drugie zarazem. Prawda wygląda tak, że możesz być tylko tym, kim i czym jesteś.

Gniew wyparował bez śladu. Mac ją rozumiał. Rozumiał to, co najważniejsze, a jego słowa uspokajały.

- Chyba nie wierzyłam, że to pojdziesz. Może powinnam była. Wydaje mi się, że wielki umysł to coś w rodzaju magii, a człowiek nie zawsze dobrze się z tym czuje. Jak ty to robisz? - spytała. - Jak potrafisz być tak cholernie opanowany?

- Nie jestem... Lucy, przestań. - Pies czekał, cały drżał. Wciąż trzymając Ripley za rękę, Mac się odwrócił. Zobaczył, co przykuło uwagę labradora.

Stała na plaży tak jak kiedyś. Obserwowała ich. W świetle

księżycyca jej twarz była blada. Ciemne włosy szarpał wiatr. Oczy zdawały się lśnić w mroku. Zielone, niezwykle smutne.

Choć napływająca fala uderzyła pianą w jej stopy i kostki, nie zareagowała na zimno i wilgoć. Stała po prostu, patrzyła i szlochała.

- Widzisz ją, prawda? - wymamrotał Mac.

- Widzę ją przez całe życie. - Ripley, już zmęczona, odsunęła się od Maca, bo zbyt łatwo, przerażająco łatwo zrobiłaby krok w jego stronę. - Kiedy podejmę decyzję, dowiesz się o tym. I przepraszam za to, że byłam niegrzeczna, że wkurzyłam się na ciebie i narozrabiałam. Lecz teraz... muszę zostać sama.

- Odprowadzę cię.

- Nie. Dzięki, ale nie. Chodź, Lucy. Mac stał w miejscu, między dwiema kobietami. Pociągała go jedna i druga.

ROZDZIAŁ 10

Nell dziwnie się czuła, dzwoniąc do drzwi domu, w którym kiedyś mieszkała. Gdzieś w jej głowie kołatało się przekonanie, że żółta chałupka wciąż należy do niej.

O wiele dłużej mieszkała w białym pałacu w Kalifornii, ale nigdy nie uważała go za swój dom, najwyżej za więzienie, z którego kiedyś uciekła, ryzykując życie.

A w małej chatce pod lasem spędziła zaledwie kilka miesięcy - i przeżyła w niej najszcześniejsze chwile w całym życiu.

Tu po raz pierwszy poczuła się bezpieczna i silna. Tu pokochała Zacka, a on ją.

Nawet koszmar, który tutaj przeżyła, rozlana krew nie zdołały zniszczyć poczucia, że mały żółty domek z pokojkami jak dla lalek należy do niej.

Zapukała i czekała na frontowym ganku, aż Mac otworzy.

Wyglądał trochę nieprzytomnie. Nieogolony, z bezładnie sterczącymi włosami i szklistym spojrzeniem zza okularów.

- Przepraszam. Obudziłam pana?

- Co? Nie. Od dawna jestem na nogach. - Przejechał ręką po włosach i potargał je jeszcze bardziej. Co ona tu robi? Czyżby się umówili? Jezu, która godzina? - Przepraszam. Głowę mam... Proszę wejść.

Dyskretny rzut oka wystarczył, by zobaczyć pokój zawalony sprzętem. Biedny, mały domek. Paliły się światła, brzęczał monotonnie jakiś sygnał dźwiękowy.

- Pan pewnie pracuje. Nie będę przeszkadzać. Chciałam po prostu przynieść trochę wczorajszego deseru. Nie jadł go pan.

- Deser? - Jego wzrok stopniowo przytomniał. - Och, słusznie. Dzięki. Proszę wejść.

- Właściwie idę do pracy, więc tylko... - Nie zamierzała mówić do jego pleców, wzruszyła więc ramionami i weszła do środka, zamykając za sobą drzwi. - Tylko postawię to w kuchni.

- Uhu. Proszę popatrzeć. Momencik. - Podniósł jedną rękę. drugą robił notatki, oglądając wydruk czegoś, co Nell przypominało sejsmograf.

Chwilę później spojrzał na nią rozpromieniony.

- Po prostu iskrzy pani.

- Słucham?

- Wszystkie wskazania przyrządów się zmieniły, gdy weszła pani do domu.

- Naprawdę? - Nell, zafascynowana, przysunęła się bliżej. I doszła do wniosku, że bez względu na to, jak blisko podejdzie, nigdy nic z tego nie zrozumie.

- Co innego z Ripley - ciągnął. - W jej przypadku wszystko jest chaotyczne i nieprzewidywalne. Ale na pani można polegać.

Zacisnęła wargi, jakby miała zaraz je wydać.

- Wygląda na to, że jestem nudna.

- Przeciwnie. - Wyjął z jej rąk talerz, podniósł przykrywający go papier i odłamał kawałek ciasta, okropnie krusząc na podłogę. - Pani stwarza atmosferę komfortu. To znaczy, jest pani kobietą, która

znalazła swoje miejsce i jest w nim szczęśliwa. Przykro mi, że zepsułem wczorajszą kolację.

- Nic podobnego. Jeżeli chce pan zjeść to teraz, podam panu widelczyk.

Weszła do kuchni, Mac za nią. Patrzył, jak podchodzi do właściwej szuflady i sięga tam pewną ręką.

- Czy to dla pani... Przepraszam.

- Czy to ma dla mnie jakieś znaczenie, że jestem tutaj? - dokończyła za niego, wręczając mu widelczyk. - Nie. Ten dom został oczyszczony. Zrobiłam to osobiście. To było konieczne.

- Nadzwyczajne. Szeryf Todd jest bardzo szczęśliwym człowiekiem.

- Owszem. Niech pan siada. Mam dziesięć minut. Zrobić panu do tego kawę?

- Noo... - Spojrzał na ciasto. Nie mógł sobie przypomnieć, czy w ogóle jadł dziś śniadanie. Poza tym ciasto stało tuż przed nosem. - Jasne.

- Mówił pan, że z Ripley to co innego. - Nell przygotowała kawę. Zawartość dzbanka, która wyglądała obrzydliwie i tak też pachniała, już wcześniej wylądowała w zlewie. - Tak. Dla niej to też coś całkiem innego. Nie znam wszystkich powodów tej sytuacji, Ripley nie chce o tym rozmawiać. A nawet gdybym je знаła, nie wypowiadałabym się na ten temat. To jej sprawa. Ale jest dla mnie jak siostra, dlatego spytam pana wprost. Czy interesuje się pan nią tylko ze względu na pracę?

- Nie. - Poruszył się nerwowo. Zwykle to on zadawał pytania. Nell wpatrywała się w niego spokojnie, lecz z uporem. - Byłoby zapewne łatwiej dla mnie, a z pewnością dla Ripley, gdyby moja praca jej nie dotyczyła. Ale jest, jak jest. Jak się czuła wczoraj po powrocie do domu?

- Nie była zła. Raczej rozdrażniona. Muszę coś wyznać i mieć to już z głowy. Wczoraj trochę spraw zaaranżowałam.

- Różowe świece, kwarc, gałązki rozmarynu i tak dalej? - Mac, już odprężony, wsunął do ust kolejną porcję ciasta z kremem. - Zauważyłem.

- No dobra. - Nell z irytacją postawiła kubek. - Nie rzucałam żadnego zaklęcia.

- Doceniam to - mówił z pełnymi ustami. - I że myślała pani, żeby to zrobić. Pochlebia mi, że widzi pani we mnie kogoś, kto mógłby znaleźć się u boku Ripley.

- Czy pan sobie ze mnie żartuje? Uśmiechał się teraz, coraz szerzej i absolutnie czarująco.

Musiła odpowiedzieć tym samym.

- Niezupełnie. Zdenerwowałam ją wczoraj wieczorem i przykro mi z tego powodu. Ale z tym oboje będziemy musieli się jakoś pogodzić. Ripley jest sobą. A ja robię swoje.

Przechyliwszy głowę, Nell przyglądała mu się wnikliwie.

- Nie pociągałby jej pan, w każdym razie niedługo, gdyby był pan niedołągą.

- Dobrze wiedzieć. Porozmawia pani ze mną przy magnetofonie?

- Owszem.

- Tak jak teraz? Szczerze, o wszystkim? Postawiła jego kawę na stole.

- Jeśli czegoś nie będę chciała powiedzieć, to po prostu nie powiem. Ja wciąż jeszcze się uczę. Mogę się nauczyć od pana tyle samo, ile pan ode mnie. Lecz teraz muszę już iść do pracy.

- Jedno pytanie. Czy moc daje pani szczęście?

- Tak. Czuję się szczęśliwa, pozbierana i silna. Ale tak samo byłoby i bez tego. - W policzkach Nell pojawiły się dołeczki. - Niech mnie pan zapyta, czy byłabym tak samo szczęśliwa bez Zacka.

- Nie muszę pytać.

Wyszła, a Mac siedział i myślał o niej, o tym, jak zdołała wtopić się w atmosferę tej wyspy i w świat jej własnej magicznej mocy.

Nie było to z pewnością dla niej łatwe, a jednak potrafiła sprawić, że przejście od koszmarnej przeszłości do nowego życia wydawało się czymś najnaturalniejszym pod słońcem.

Złe doświadczenia jej nie złamały. Znow umiała zaufać i pokochać. Stać się kimś. I właśnie to, pomyślał, czyniło ją najbardziej godną podziwu kobietą ze wszystkich, jakie znał.

Zrozumiał także, dlaczego Ripley z taką determinacją jej broniła. Musiał teraz w jakiś sposób przekonać tę twardogłową policjantkę, że z jego strony nic Nell nie grozi.

Spakował sprzęt, przygotowując się do zaplanowanej wyprawy w teren. I stracił dziesięć minut na irytujące poszukiwanie okularów, aż w końcu znalazł je w kieszeni koszuli. Klucze były w apteczce w

łazience. Zgarnął jeszcze kilka zapasowych ołówków i wyruszył na południowy cypel wyspy.

Ciągnęło go do domu Loganów. Nie potrafił inaczej określić tego, co przeżywał, patrząc na niego ze skraju wąskiej, piaszczystej drogi. Ogromna, chaotyczna budowla, którą trudno byłoby nazwać wspaniałą lub uroczą.

Fascynująca, zdecydował ostatecznie, wyciągając dyktafon, by zanotować swoje spostrzeżenia.

- Dom Loganów stoi na południowym cyplu wyspy. Można do niego dotrzeć wąską, piaszczystą drogą. W pobliżu są też inne domy, ale ten zbudowano w najwyższym punkcie i najbliżej morza.

Przerwał na chwilę i wystawił twarz na wiatr, rozkoszując się słonym powietrzem. Woda była stalowoniebieska. Fale takiego koloru powinny ciąć morze jak masło, pomyślał.

Obszedł najbliższą okolicę, oglądając sąsiednie domy, głównie, jak stwierdził, przeznaczone na wynajem turystom. Panowała cisza, szumiało morze i wiatr i tylko mewy szybowały z krzykiem nad tym spokojnym zakątkiem.

Doszedł do wniosku, że urwisko, na którym stoi dom Mii - czyż to nie dziwne, że oba te domy znajdują się niemal dokładnie na przeciwległych krańcach wyspy? - jest bardziej malownicze. Bardziej dramatyczne. I dużo innych „bardziej”. Jednak to miejsce wydawało się... jakoś najwłaściwsze. Dla niego.

- Dom jest dwupiętrowy. Wygląda tak, jakby ktoś do pierwotnego budynku dodał parę przybudówek. Drewniany, z drewna

przypuszczalnie cedrowego, wyblakłego tak, że przybrało srebrzysty odcień. Ktoś zapewne dba o niego, gdyż szaroniebieska farba na okiennicach jest świeża i w dobrym stanie. Obie werandy, frontowa i tylna, są szerokie, długie, częściowo obudowane. Na pierwszym i drugim piętrze jest kilka niedużych balkonów z ozdobnymi balustradami. Muszę później sprawdzić, jak się takie coś nazywa. To miejsce na uboczu, jednak nie robi wrażenia samotnego. Raczej czeka. Hmm, wydaje się, jakby czekało na mnie.

Przeszedł przez zasypany piaskiem trawnik, wokół budynku, na drugą stronę i znalazł się nad plażą. W spokojnej zatoczce zobaczył dobrze utrzymaną, lecz pustą przystań.

Przydałaby się łódź żaglowa, pomyślał, a może i motorówka.

Surowość domu należałoby nieco złagodzić roślinami. Trzeba się zorientować, co najlepiej rośnie na tutejszej glebie. Ciekawe, czy oba kominy są drożne i jak to jest siedzieć sobie zimą przy kominku, patrząc na morze.

Otrząsnął się z tych snów na jawie, wrócił do land - rovera i wyładował aparaturę. Do groty było stąd bardzo blisko. Mac zauważył, że kiedy się patrzyło z domu, mroczne wejście do niej zasłaniała lekka krzywizna wybrzeża. Miejsce stawało się dzięki temu jeszcze bardziej odosobnione i tajemnicze. Idealne dla żądnych przygód dzieciaków i dla zakochanych. Z braku śladów nie mógł jednak wywnioskować, czy nadal tu przychodzą - na piachu przy wejściu żadnych śmieci, odcisków stóp ani jakichkolwiek innych oznak czyjejs bytności.

Musiał obrócić dwa razy. więc choć w grocie panował chłód i lekka wilgoć, zrzucił marynarkę. Pracował przy miłych dźwiękach kapiącej wody i echa odpowiadającego spod ziemi.

Grota była niewielka, długa na jakieś trzy i pół metra, szeroka na niespełna dwa i pół. Dobrze, że w najwyższym punkcie miała ponad dwa metry wysokości. W niektórych jaskiniach musiał schylać się, kucać, a nawet badać wnętrze, leżąc na brzuchu.

Sprawdzał teraz każdy centymetr, świecąc sobie halogenową latarką, o której zapomniał, wybierając się na pierwszą wyprawę do groty. Wszystkie urządzenia już pracowały.

- Coś tu mamy - mruknął. - Widać to nawet bez sprzętu. Jakby kilka warstw energii. Starsze, a na nich nowe. Może nie jest to wielkie naukowe odkrycie, ale zawsze coś. Silne wrażenie. Jeśli to jest grota, o której słyszałem, to znaczy... a to co takiego?

Przerwał. Skierował światło na ścianę. Musiał jednak przykucnąć, żeby przyjrzeć się dokładnie.

- Wygląda na galicki - stwierdził, wczytując się w litery wyryte w kamieniu. - Muszę to przetłumaczyć po powrocie.

Na razie skopiował w notesie napis i umieszczony pod nim symbol.

- Celtycka plecionka, symbol trójcy. To wcale nie jest takie stare. Dziesięć, najwyżej dwadzieścia lat. Kolejna zagadka. Muszę to sprawdzić.

Przesunął palcami po wyrytych literach. Trysnęły wąskie promienie światła. Mac poczuł, jak czubki jego palców stają się coraz

cieplejsze.

- Kurczę! Tak tu zimno czy co? Wstał, żeby sięgnąć po miernik i aparat, zapominając, że sklepienie groty znacznie się tu obniża.

Walnął głową tak, że gwiazdy stanęły mu w oczach.

- Idiota. Dureń. Cholera jasna! Boże! - Przyciskając dłoń do głowy, posuwał się już ostrożniej i klął, dopóki ostry ból nie przeszedł w przejmujące, dotkliwe pulsowanie.

Wzdrygnął się, gdy zobaczył na dłoni wilgotny ślad krwi. Wyciągnął z kieszeni chustkę i delikatnie dotknął guza. Trzymał ją tam, wyjmując aparat i miernik. Tym razem usiadł na ziemi.

Skontrolował przyrządy, przygotował się do notowania zmian i ponownie przejechał palcami po napisie wyrytym na ścianie. Nic się nie wydarzyło.

No, no, widziałem, co widziałem i na dowód mam niewielki wstrząs mózgu.

Spróbował jeszcze raz, ale napis pozostał ciemny, a kamień zimny i wilgotny.

Nie zniechęcał się, porządkował myśli. Nie zauważał okropnego, narastającego bólu głowy. Kiedy podniósł rękę, aparatura zaczęła brzęczeć.

- Do diabła, co robisz? Urządzasz seans spirytystyczny? Ripley stała u wejścia do groty, pod słońce, które otaczało aureolą jej sylwetkę. Mac bił się z myślami, a wszystkie dotyczyły właśnie jej. Na chwilę zrezygnował z badania napisu i po prostu patrzył na nią.

- Patrol w grotach?

- Zobaczyłam twój samochód. - Weszła do groty, rzucając okiem na sprzęt. Aparat wciąż wściekle brzęczał. - Dlaczego siedzisz na ziemi?

- Pracuję. - Zerwał się, żeby do niej podejść, i znów przysiadł na piętach. - Masz może przy sobie aspirynę?

- Nie. - Skierowała na niego światło latarki i jednym susem znalazła się przy nim. - Na miłość boską, jesteś ranny, Mac!

- Tylko trochę. Uderzyłem się.

- Cicho bądź, niech zobaczę. - Szarpnęła jego głowę do siebie, nie zważając na krzyk protestu, i obmacywała ją, szukając skaleczonego miejsca.

- Jezu. Trochę serca.

- Nie jest najgorzej. Nie trzeba szyć. Gdyby nie ta czupryna, która trochę zamortyzowała uderzenie i osłoniła twoją marną mózgownicę, byłoby nieciekawe. - Klepnęła go lekko po głowie, aż świeczki stanęły mu przed oczami.

- Nie masz litości.

- Wiem. - Zmiękła, schyliła się i musnęła wargami obolałe miejsce. - Lepiej?

- Znacznie. Czy wracamy do normalnych stosunków?

Westchnęła, przykucnęła obok niego i też przysiadła na piętach.

- Trochę o tym wszystkim myślałam. Nie mam żadnego prawa wtrącać się do twojej pracy... i podstaw, by się obrażać. Mówiłeś o tym jasno., z góry, od samego początku, i to, co powiedziałeś wczoraj, jest prawdą. Do niczego mnie nie zmuszasz.

Włożyła kolczyki, co nie zdarzało się często. Małe srebrno - złote wisiorki. Miał ochotę ich dotknąć, poczuć pod palcami zarys jej ucha.

- To musiały być poważne rozmyślania.

- Chyba tak. Być może nie powinnam na tym poprzestać. Ale teraz, w tej chwili, chciałabym, żeby wszystko wróciło do poprzedniego stanu.

- Ja też bym chciał, powinnaś jednak wiedzieć, że będę rozmawiał z Nell. Przy włączonym magnetofonie.

Ripley zacisnęła usta.

- To sprawa Nell. Tyle że ona...

- Będę bardzo ostrożny. Popatrzyła mu w oczy.

- Tak - odpowiedziała. - Wiem.

- I z tobą też. Brwi Ripley powędrowały do góry.

- Nie musisz być ze mną ostrożny.

- Może spodoba mi się to. - Podniósł się na kolana, objął ją w pasie i przyciągnął do siebie.

Słyszał znów brzęczenie monitora. Nieważne. W tej chwili pragnął jednej i tylko jednej rzeczy. Jej ust.

Ich wargi spotkały się, otoczyły go ramiona Ripley. Przyłgnęła do niego - skomplikowane i fascynujące. Jej ciało było miękkie, ciepłe. Było wszystkim. Odsunęła się, wstrząśnięta. Coś w niej drżało.

- Mac.

- Nie mówmy o tym. - Jego usta muskały policzki Ripley, skronie, prześliznęły się w dół, na szyję. - Rozmowy psują nastrój.

Kiedy?

- Dobre pytanie.

- To musi być szybko. - Miazdżył jej wargi. - Szybko, bo zwariuję.

- Muszę jeszcze to przemyśleć. Odetchnął z trudem, zwolnił uścisk i zajrzał jej w oczy.

- Jak najprędzej, dobrze? Położyła dłoń na jego policzku.

- Sądzę, że jestem bliska zaakceptowania tej części naszego planu.

- Co za przypadek - powiedziała Mia, wchodząc do groty. - Głupia sytuacja. - Widząc, jak Mac i Ripley odskakują od siebie, odgarnęła do tyłu włosy. - Nie chciałabym przeszkadzać.

Aparatura przenikliwie piszczała. Wskazówki szalały. Mac zerwał się, gdy jedno z urządzeń zaczęło dymić. Mia bez słowa odwróciła się i wyszła z powrotem na słońce.

- Jezu, spłonął. Po prostu się spalił. Był raczej podekscytowany niż zmartwiony. Ripley pobiegła więc za Mią.

- Zaczekaj. Jakby nie słysząc, Mia szła dalej, do miejsca, w którym znikająca spływająca z groty woda i gdzie małe, zalewane przyplływem kałuże pulsowały życiem.

- Mia, zaczekaj sekundkę. Nie wiedziałam, że jeszcze tu przychodzisz.

- Chodzę tam, gdzie mam ochotę. - Ale nie tutaj, pomyślała, patrząc błędnym wzrokiem na morze. Nigdy tutaj... do dziś. - Przeprowadziłaś go tu? - Obróciła się z rozwianymi włosami i

straszliwym żalem w oczach. ~ Powiedziałaś mu, co dla mnie znaczy to miejsce?

Całe lata gdzieś zniknęły na tę jedną chwilę.

- Och, Mia. Jak możesz tak myśleć?

- Przepraszam. - Błysnęła łza. Mia przysięgała, że nie uroni już nad nim ani jednej, ale tej jedynej udało się wymknąć. - Nie powinnam była. Wiem, że nie zrobiłabyś tego. - Gwałtownym ruchem otarła policzek i znów odwróciła twarz ku morzu. - To tylko dlatego, że zobaczyłam was tam razem, objętych, w tym miejscu.

- Co... o Boże, Mia. - Ripley przypomniała sobie wyryty w grocie napis i zakryła oczy. - Nie zdawałam sobie sprawy. Przysięgam, nie pomyślałam.

- Czemu miałabyś myśleć? To i tak nie powinno mieć znaczenia. - Mia skrzyżowała ręce na piersi, mocno objęła dłońmi łokcie. Ale ma. i tak już na zawsze zostanie. - Napisał to bardzo dawno. Tak dawno, że byłam wtedy wystarczająco głupia, by w to uwierzyć. Chciałam, by to była prawda.

- Nie jest tego wart. Żaden mężczyzna nie jest tego wart.

- Pewnie tak. Tylko że ja na nieszczęście wierzę, że dla każdego z nas istnieje ktoś, kto jest wart wszystkiego.

Ripley nie odezwała się. położyła tylko rękę na ramieniu Mii i nie zabrała jej, gdy Mia obróciła się i ujęła jej dłoń.

- Brak mi ciebie, Ripley. - W jej głosie czuło się żal. mówiła jakby przez łzy. - Oboje pozostawiliście we mnie pustkę. I żadna z nas nie będzie jutro zadowolona z tego, co dziś powiedziałam. No. -

Energicznym ruchem puściła rękę Ripley i cofnęła się o krok. -
Biedny Mac. Powinnam pójść to naprawić.

- Chyba spaliłaś którąś z jego zabawek. Ale zdaje się, że to go
bardziej podnieciło, niż zmartwiło.

- Człowiek powinien jednak lepiej nad sobą panować. - Zdobyła
się na szeroki uśmiech. - Jak sama doskonale wiesz.

- Spadaj.

- No, widzę, że wszystko wraca do normy. W takim razie pójde
zobaczyć, co się da zrobić. - Zawróciła do groty, po czym obejrzała
się przez ramię. Oczy miała znów suche, a spojrzenie pogodne. -
Idziesz?

- Nie, idź pierwsza. - Ripley odczekała, aż Mia zniknie w cieniu
groty. - Mnie też ciebie brak - westchnęła.

Czekała na zewnątrz, siedząc w kucki nad maleńkim jeziorciem.
Chciała się pozbierać. Mia zawsze lepiej radziła sobie z problemami.
A ona zawsze jej tej wspaniałej samokontroli zazdrościła.

Obserwowała maleńki świat bajorka, które wydawało się jej
czymś w rodzaju ich wyspy. Każdy, kto chciał na niej przeżyć, był
skazany na zależność od innych.

Mia była skazana na nią. Ripley nie chciała o tym myśleć, nie
chciała pogodzić się z tym związkiem i wynikającą z niego
odpowiedzialnością. Dzięki takiej postawie zdołała przeżyć normalnie
dziesięć lat - lecz straciła serdeczną przyjaciółkę.

Ale później zjawiła się Nell i udało się znów utworzyć krąg.
Jego moc była wspaniała, jakby nigdy nie został wzgardzony i

odepchnięty. Trudno, bardzo trudno było po latach do niego wrócić. A teraz poznała Maca. Musi zdecydować, czy stanie się on kolejnym ogniwem łańcucha, który ją omota, czy kluczem do zamka, który otworzy przed nią jakiś nowy etap.

Całym sercem marzyła, by mógł być po prostu mężczyzną. Z groty dobiegł śmiech Mii. Ripley oprzytomniała. Jak ona to robi? Jak zdołała wykonać taką woltę w tak krótkim czasie?

Ruszyła w stronę groty, gdy w wejściu ukazała się Mia. I Mac. Przez ułamek sekundy Ripley widziała wyłaniającą się z mrocznego wnętrza inną kobietę, z włosami jaskrawymi jak płomień. W ramionach trzymała zwój gładkiej, czarnej skóry.

Zjawa zachwiała się, rozmyła i zniknęła. Został po niej lekki ból głowy, jak zwykle.

Dziesięć lat, jeszcze raz pomyślała Ripley. Przez dziesięć lat blokowała i odrzucała to wszystko. Teraz sączyło się z powrotem, jak przez pęknięcia w zaporze. Jeśli ich nie poskleja, fala runie. I nigdy nie da się zatrzymać. Czują, że kolana mają z waty, ale poszła naprzód.

- Co was tak śmieszy?

- Po prostu miło nam razem. - Mia wzięła Maca pod rękę i posłała mu spod rzęs przeciągłe, ciepłe spojrzenie.

Ripley tylko pokręciła głową.

- Przestań się głupkowato uśmiechać, Mac. Ona to robi celowo. Jak ty działasz na mężczyzn, Mia? Gdy tylko znajdziesz się od kogoś o pół metra, jego IQ spada poniżej pasa.

- To jeden z moich talentów. Nie rób takiej oburzonej miny, mój drogi. - Wspięła się na palce, żeby cmoknąć Maca w policzek. - Ona wie, że ja nigdy nie kłusuję.

- Więc daj mu spokój. Zaczyna się pocić.

- Podoba mi się. - Mia świadomie przytuliła się do Maca. - Jest świetny.

- Czy mam szansę w jakikolwiek sposób włączyć się w tę rozmowę, nie wychodząc na debila? - zastanawiał się głośno Mac.

- Nie. Ale chyba skończyłyśmy. - Ripley zaczęła kciuki o kieszenie kurtki. - Jak głowa?

- Nic takiego, wystarczy aspiryna. - Wyciągnął rękę, żeby ostrożnie pomacać guz, a wtedy oczy Mii się zwęziły.

- Skaleczyłeś się? Pokaż. - Była o wiele delikatniejsza niż Ripley, lecz równie stanowcza. Syknęła, spojrzawszy na zranione miejsce. - Mogłaś okazać trochę współczucia - warknęła na Ripley.

- To tylko zadrażnienie.

- Krwawi, jest opuchnięte i bolesne. Siadaj. - Wskazała mu głaz.

- To naprawdę nic wielkiego. Nie zwracaj sobie tym głowy. Zawsze się w coś rąbnę.

- Siadaj. - Mia niemal pchnęła go w dół, po czym wyjęła z kieszeni mały woreczek. - Mam... pewne związki z tą grota - powiedziała, wysypując z mieszka trochę pieprzu cayenne. - A tym samym jakiś związek z tym, co się w niej stało. Siedź spokojnie.

Przesunęła palcami po ranie. Mac poczuł falę ciepła, ból jakby skupiał się w jednym miejscu. Zanim zdążył otworzyć usta, Mia

zanuciła cichutko.

- Niech zioło i dotyk, i moja myśl uleczą tę ranę, nad którą się pochylałam. Niech odejmą chorobę i ból. Niech się stanie, tak jak chcę. No co - pochyliła się i dotknęła wargami zupełnie gładkiego czubka głowy - lepiej?

- Tak. - Mac odetchnął głęboko. Bolesne pulsowanie ustało, nim Mia skończyła śpiewać. - Widziałem już, jak działa cayenne na mniejsze skaleczenia, ale nie tak jak tu. Nie natychmiast.

- Zioła to tylko środek pomocniczy. Uważaj na swój śliczny łebek. Piątek wieczorem, pamiętasz?

- Czekam z niecierpliwością.

- Chwileczkę! - Ripley podniosła rękę. - O co chodzi?

- Stwierdziłam, że powinnam jakoś wynagrodzić Macowi straty w aparaturze. Zaprosiłam go na piątek, żeby przyjrzał się obrzędom.

Ripley zaniemówiła jedynie na chwilę, po czym chwyciła Mię za rękę.

- Możemy porozmawiać?

- Naturalnie. Odprowadź mnie do samochodu. - Uśmiechnęła się do Maca. - Piątek, po zachodzie słońca. Znasz drogę.

- Najwyraźniej straciłaś rozum - zaczęła Ripley, prowadząc Mię przez piach. - Od kiedy robisz przedstawienia dla publiczności?

- To naukowiec.

- Tym bardziej. Posłuchaj... - Urwała, gdyż zaczęły podchodzić pod górę. do drogi. - Jesteś w tej chwili nieco wstrząśnięta i nie myślisz jasno.

- Wszystko jest w porządku, ale dzięki za zainteresowanie.

- W porządku, kurczę. - Ripley zrobiła trzy długie kroki w bok i trzy z powrotem. Zamachała rękami. - Może będziesz sprzedawać bilety?

- Ripley, on nie jest ciekawskim gapiem, dobrze o tym wiesz. To inteligentny człowiek z otwartą głową. Mam do niego zaufanie. - Mia spojrzała na nią z ukosa, rozbawiona. - Dziwię się, że ty nie.

- Nie chodzi o zaufanie. - Skuliła ramiona, jakby coś ją ukuło. - Tylko odczekaj trochę, przemyśl to jeszcze raz, zanim zrobisz coś nieodwracalnego.

- On już głęboko w tym tkwi - powiedziała cicho Mia. - Przecież o tym wiesz. Coś do niego czuję. Nie w znaczeniu seksualnym - dodała, rozśmieszona błyskiem w oku Ripley. - Ale mimo to coś bliskiego, intymnego. Ciepło, pozbawione jednak żaru. Gdyby to było coś więcej, działałabym inaczej. On nie jest dla mnie.

Ostatnie słowa wymówiła z naciskiem, nie spuszczając oczu z Ripley.

- To, co do niego czujesz, jest czymś nowym i niepokojącym. Gdyby to był tylko pociąg seksualny, dawno podjęłabyś decyzję.

- A skąd wiesz, że tego nie zrobiłam? - Na widok lekkiego uśmiechu Mii Ripley zakłęła. - A poza tym to nie ma żadnego związku z niczym.

- Wszystko ma związek ze wszystkim. Sama dokonasz wyboru, w swoim czasie. Poproszę Nell, żeby też przyszła, jeśli zechce. - Mia otworzyła drzwi samochodu. Ripley stała obok. - Oczywiście,

zapraszam i ciebie.

- Gdybym chciała występować w cyrku, nauczyłabym się jakichś sztuczek.

- Twój wybór, już mówiłam. - Mia wsiadła do środka i opuściła szybę. - To wyjątkowy mężczyzna, Ripley. Zazdroszczę ci.

Odjechała, zostawiając Ripley z rozdziawionymi ustami.

Mac się pakował. Zebrał wszystko, co tego dnia według niego było do zebrania, ale zamierzał tu wrócić, kiedy atmosfera nieco się oczyści.

W każdym razie musi dokonać kilku napraw, a także zająć się sobą.

Wkładał właśnie dyktafon do torby, gdy jasne wejście do groty przeciął cień Ripley.

- Próbowalaś odwieść ją od spotkania ze mną.

- Tak. Popatrzył w górę, przyglądał się jej chłodnym, zamysłonym wzrokiem.

- I w ten sposób niby nie wtrącasz się w moją pracę?

- To całkiem inna sprawa.

- Podasz mi swoją definicję niewtrącania się?

- Okej, aleś upierdliwy. Przepraszam, lecz nie mam zamiaru milczeć, kiedy ktoś... Ktoś, kogo znam, podejmuje decyzję, a jest emocjonalnie rozstrojony. To nie fair.

- Myślisz, że wyciągnę korzyści z tego czegoś, co jest przyczyną jej stanu?

- A nie? Milczał przez chwilę, w końcu wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ma jeszcze kilka dni, może zmieni zdanie.
- Umówiła się, więc dotrzyma słowa. Taka jest.
- Tak samo jak ty. Jesteście jak dwa kawałki tej samej układanki.

Co was rozdzieliło?

- To stare dzieje.
- Nieprawda. Ona doznała krzywdy, a ty cierpisz razem z nią.

Obserwowałem was. Teraz ze wszystkich sił chcesz ją chronić. -

Podniósł dwie torby i wyprostował się. - Podobnie odnosisz się do Nell. Jesteś tarczą dla tych, którzy dla ciebie coś znaczą. Kto chroni ciebie. Ripley?

- Sama potrafię zadbać o siebie.
- Nie wątpię, ale nie w tym rzecz. One chronią ciebie, ale ty nie bardzo wiesz, jak sobie z tym poradzić.
- Nie znasz mnie na tyle, żebyś wiedział, z czym potrafię sobie poradzić.
- Znam cię przez całe moje życie. Wyciągnęła rękę, zatrzymując go, zanim wyszedł.
- Co to znaczy? Wzrok Maca nie był już chłodny; jego oczy przybrały głęboki, intensywnie złoty kolor.
- Kiedyś spytałem cię o twoje sny. Pewnego dnia opowiem ci moje.

Zasugerował mnie tymi snami, tłumaczyła sobie Ripley w półśnie. Wiedziała, że śni, ale mimo to wizje nie znikwały.

Stała na plaży pośród gwałtownych ataków niewielkiego sztormu. Jej gniew też był jak burza. Widziała jakieś cienie i światła.

Miłość i kolczasta pułapka, jej przeciwieństwo.

Piorun przeciął niebo. Srebrne ostrze rozłupało ziemię. Świat wokół oszalał. Kusił ją, pociągał.

Decyzja należy do ciebie, teraz i zawsze. Poczula przyływ mocy. I ukłucie.

Wybór, teraz i zawsze. Mogła unieść rękę, chwycić wyciągniętą dłoń, która była mostem do światła. Albo zostać w ciemności i wegetować.

Czuła głód.

Ripley obudziła się z płaczem. Nie umiała się uwolnić od wizji zniszczenia.

ROZDZIAŁ 11

Ripley rzadko zasięgała opinii. Nigdy nie było jej łatwo przełknąć czyjejs dobrej rady. Jednak sen spowodował przełom. Niewiele brakowało, a wyzaliłaby się przed Zackiem. Brat zawsze ją wspierał, łączyła ich przyjaźń równie mocna i prawdziwa jak więzy krwi. Tym razem jednak wiedziała, że potrzebne jej kobiece ramię, lecz nie mogła zwrócić się do Mii i Nell. Zbyt blisko ich to dotyczyło.

Ale był jeszcze ktoś, związany z nimi wszystkimi; ktoś, na czyim rozsądku zawsze mogły polegać. Bez względu na to, czy chciały go wysłuchać, czy też nie. Poszła do Lulu.

Wyliczyła sobie, kiedy Lulu zdąży wrócić z kawiarni do siebie, ale jeszcze nie całkiem wchłonie ją domowe zacisze. Przecięła trawnik; kiedy jej wzrok przyzwyczaił się do wściekłych kolorów, jakie zwykle wybierała Lulu, malując swój dom. zapukała do tylnych drzwi, z satysfakcją stwierdzając, że jej przypuszczenia były trafne.

Lulu przebrała się już ze służbowego stroju w bluzę z napisem „Kawa, czekolada, mężczyźni. Dużo i dobrze”. W ręce trzymała nie otwartą jeszcze butelkę wina, a jej twarz zdradzała poirytowanie nieoczekiwaną wizytą.

- Co się dzieje? Powitanie nie zabrzmiało najcieplej, ale taka właśnie była Lulu.

- Masz chwilkę?

- Chyba tak. - Odwróciła się i poczłapała w swoich piekielnie czerwonych kapciach do kredensu po korkociąg. - Chcesz kieliszek?

- Może być.

- Dobrze, że nie zapaliłam skręta. Ripley skrzywiła się.

- Przestań do cholery. Lulu. Lulu zarechotała i wyciągnęła korek.

- Tylko żartuję. Zawsze potrafiłam cię nabrać. Nie jaram... - westchnęła tęsknie - od dwudziestu sześciu lat. Pierwszy i ostatni raz capnął mnie twój tata. Skonfiskował moją śliczną małą fabryczkę i zapasy. Powiedział mi tak: wiem, że możesz sobie zorganizować jeszcze więcej tego towaru, ale możesz też nadal pracować dla babki Mii i zajmować się Mią. No i że chyba mam dość rozumu, by wiedzieć, co jest lepsze. Zawsze lubiłam twojego tatę.

- To wzruszająca historyjka, Lu. Po prostu ściska mi gardło. Lulu prychnęła. Nalała wino do dwóch kieliszków, po czym usiadła, opierając stopy na jednym z kuchennych krzeseł.

- Co cię do mnie sprowadza, przedstawicielko służb publicznych?

- Czy możemy zacząć od jakiejś lekkiej rozmowy, żebym stopniowo doszła do właściwej sprawy?

- Okej. - Lulu pociągnęła łyk wina, napawając się pierwszymi miłymi chwilami po pracowitym dniu. - Jak tam twoje życie seksualne?

- To w pewnym sensie należy do tematu.

- Nigdy bym nie pomyślała, że mała Rip zapuka kiedyś do mnie na rozmówki o seksie. - Lulu uśmiechnęła się. - Zawsze podziwiałam twoje podejście w tej materii. Kłopoty z facetem, lalczko?

- Tak jakby. Ale...

- Rozkoszny doktorek. Niezły jest. - Lulu cmoknęła i zmarszczyła brwi. - Nie całkiem w twoim typie, to widać. Raczej powolny, zrównoważony i odrobinę słodkawy. Nie aż tak, żeby zęby bolały czy coś w tym stylu. Po prostu przyjemny w smaku. Gdybym miała trzydzieści lat mniej...

- Taa, taa. na pewno sama byś go spróbowała. - Ripley z nadąsaną miną oparła podbródek na pięści.

- Nie wymądrzaj się. Tak czy inaczej, fajnie widzieć, jak dochodzisz do wniosku, że mózgowcy są seksowni. No... a jak sobie radzi w łóżku?

- Jeszcze tam nie wylądowaliśmy. To oświadczenie nie zdziwiło Lulu, raczej potwierdziło jej najświeższe obserwacje. Odstawiła kieliszek i ściągnęła usta.

- Mogłam przewidzieć. To mi już coś mówi. Boisz się go.

- Nie boję się. - Stwierdzenia tego rodzaju Ripley zawsze uważała za zniewagę, zwłaszcza kiedy były słuszne. - Po prostu jestem ostrożna i nie spieszę się. To... skomplikowana sprawa.

Lulu znów postawiła kieliszek, złączyła palce obu rąk jak do modlitwy.

- Oto odwieczna mądrość, moja droga.

Ripley uśmiechnęła się wbrew sobie.

- No i kto tu się wymądrza?

- Zamknij się. Ta mądrość mówi: seks jest lepszy, kiedy jest skomplikowany.

- Dlaczego?

- Bo tak. Bądź cierpliwa, a sama poznasz odpowiedź.

- Ja naprawdę go lubię. Naprawdę.

- I co w tym złego?

- Nic. Chciałabym tylko, chyba, żebyśmy posunęli się z tym naprzód bez namysłu, żeby nie było całej tej tremy i zastanawiania się, i przygotowań i żeby to nie wydawało się takie...

- Ważne. Ripley głęboko westchnęła.

- Otóż to. Ważne. Co gorsza, on chyba wie, że to jest ważne, a jeśli tak, to znaczy, że kiedy wszystko to się zawali, to wiesz, naprawdę nie będzie przeze mnie.

Lulu uśmiechała się tylko, sącząc wino. Czekwała.

- Brzmi to głupio, prawda? - Ripley kiwnęła głową, skupiona na jednej nurtującej ją myśli. - Właśnie coś pojęłam.

- Czyli jest coś jeszcze.

- Owszem. Mia ma zamiar pozwolić mu obejrzeć w piątek obrzędy - wypaliła. - A jeśli Mia. to też i Nell. Robi to tylko dlatego, że była wczoraj w złym nastroju. W grocie... no wiesz, w grocie. Wszystko się w niej skręciło i niezależnie od tego, jak szybko zdołała to pokonać, przeżyła wstrząs. Więc chce udowodnić, że nad wszystkim panuje.

- Panuje. Gdybyś była przy niej przez te wszystkie lata - Lulu mówiła cicho - miałabyś lepszy obraz tego, nad czym Mia potrafi panować.

- Nie mogłam.

- W porządku. Ważniejsze, co zamierzasz zrobić teraz.

- Nie wiem co. - Ripley zamknęła oczy. - W tym rzecz.

- Chcesz, żebym to ja ci powiedziała? Ripley otworzyła oczy i podniosła kieliszek.

- Chyba chcę wiedzieć, co o tym myślisz. To wszystko mnie niszczy, Lu. Wraca do mnie, we mnie. Och, kurczę, jak to wytłumaczyć? Chciałam się tego pozbyć. Udało mi się. A teraz jakby pootwierały się wszędzie jakieś małe szczeliny i nie mogę ich pozatykać.

- Nigdy nie było ci z tym zbyt dobrze. Czasami coś musi uwierać, tak jest pisane.

- Może bałam się, że przesadzę. Nie potrafię tak się opanować jak Mia ani nie mam w sobie wrażliwości Nell. Jednego i drugiego mi brak.

- Jest za to w tobie namiętność i wrodzone poczucie dobra i zła, i chciałabyś to rozróżnienie zastosować w życiu. Dlatego właśnie we trójkę tworzycie krąg, Ripley; każda z was wnosi do niego to, co w niej najlepsze.

- Albo najgorsze. - I tego się bała. To ją przerażało. - Tak przecież się stało trzysta lat temu, jeśli to prawda.

- Nie możesz zmienić tego, co było, lecz masz wpływ na to, co będzie. I nie uciekniesz ani przed jednym, ani przed drugim. Chyba już rozumiesz, że za długo chowałaś głowę w piasek.

- Nigdy tak o tym nie myślałam. Nie jestem tchórzem. Nawet po wydarzeniach z Remingtonem potrafiłam jakoś wycofać się i wrócić do tego, co było. Ale od przyjazdu Maca wszystko wymyka mi się z

rąk.

- Więc martwisz się, że jeżeli będziesz z nim, nie zdołasz opanować sytuacji. Chodzi o twoje uczucia, co?

- Uhm.

- I dlatego krążysz, skradasz się na paluszkach. - Lulu sapnęła i potrząsnęła głową. - Martwisz się i gryziesz domysłami, zamiast skoczyć na głęboką wodę i zobaczyć, jak jest naprawdę.

- Nie chcę zadać bólu tym, którzy dla mnie coś znaczą.

- Nic nie robiąc, można czasem skrzywdzić bardziej, niż robiąc cokolwiek. Życie nie daje żadnych gwarancji, i może dobrze, bo większość gwarancji to gówno.

- Skoro przedstawiasz to w ten sposób. - Nikt i nic nie potrafi tak rozproszyć wątpliwości jak Lulu, pomyślała Ripley. - Coś mi się zdaje, że stoję przed pewną decyzją i jeśli jej nie podejmę, oszaleję. I zgłupieję - dodała. Nie przyznałaby się do tego nikomu innemu.

- Zdobędziesz się na ten ostatni krok? Ripley bębniła palcami po stole. Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Powiedzmy, że mam zamiar... i zobaczę, co z tego wyniknie.

Mogę skorzystać z telefonu?

- Po co?

- Muszę zamówić pizzę.

Mac potrzebował wielu godzin, by naprawić czujnik.

Zdobywanie części zamiennych zajęłoby dzień albo i dwa, a ponieważ zbliżał się piątek, doktor Brooke był w sytuacji podbramkowej.

Nie wiem, czego się spodziewać po piątku - pisał. - Tak jest

lepiej. Nie należy przystępować do eksperymentów, przewidując ich dokładne rezultaty. To zamyka umysł na ewentualne inne możliwości. Mam już swoją teorię na temat wydarzeń w grocie Loganów. Odczytałem gaelicki napis na ścianie: „Moje serce jest twoim sercem. Zawsze i na wieki”. Nieco czasu będzie wymagało określenie wieku tych rytów (trzeba jak najszybciej wysłać próbki do laboratorium, nadal jednak jestem przekonany, że powstały w okresie ostatnich dwudziestu lat. Na tej podstawie, a także biorąc pod uwagę lokalizację groty i reakcję Mii Devlin, gdy zobaczyła tam mnie z Ripley, można logicznie założyć, że grotą ma dla Mii znaczenie szczególne. Napis został, jak sądzę, wykonany przez nią lub dla niej.

Samuel, syn Loganów, wychowywał się na wyspie. Nikt w rozmowie nie łączy go z Mią. To celowe, świadome postępowanie, więc oczywiście nasunął mi się wniosek, że łączył go z Mią jakiś związek, być może byli kochankami, zanim Sam wyjechał do Nowego Jorku.

To z kolei mogłoby tworzyć ostatni wątek legendy, odbitej w losach potomstwa Trzech Sióstr.

Nell i Evan Remington to pierwszy wątek, a Mia i Logan - przypuszczalnie ostatni.

W środku pozostaje Ripley. Ripley i...

Palce MacAllistera zatrzymały się; przerwał, oparł się wygodnie i potarł oczy pod okularami. Odruchowo sięgnął po kubek z kawą i strącił go ze stołu. Przerwa na sprzątanie pozwoliła mu nieco ochłonąć.

Ja też jestem z tym związany. Czulem to, zanim tu przyjechałem, a nawet sformułowałem pewną teorię na podstawie dokumentów, które jeszcze muszę komuś przedstawić. Ale rzeczywistość jest czymś innym niż teoria - obie wywierają odmienny wpływ na ludzi, których dotyczą. A także na mnie. Nie wyobrażałem sobie, że aż tak trudno będzie zachować obiektywizm, utrzymać się w roli obserwatora, dokumentalisty w sytuacji, kiedy wciąż myślę o Ripley. Bardzo trudno oddzielać uczucia od profesjonalnej oceny. Skąd pewność, że te uczucia nie biorą się z zawodowego zainteresowania?

- I hormonów - mruknął, lecz nie dopisał tego.

Czy zastępca szeryfa Ripley Todd fascynuje mnie dlatego, że obdarzona jest nadnaturalną zdolnością, przekazywaną od trzystu lat? Czy dlatego, że jako kobieta pociąga mnie w ogóle pod każdym względem?

Zaczynam myśleć, że chodzi o jedno i drugie i że jestem już zbyt głęboko w to zaangażowany, by zastanawiać się, skąd wzięto się to uczucie.

Znów oparł się wygodnie, a że nie był już tak skupiony, wsłuchał się dokładniej w sygnały i brzęczenia aparatury stojącej w saloniku. Odepchnął się od małego biurka i mocno uderzył kolanami o spód blatu. Klnąc i kulejąc, wyszedł z pokoju.

Ripley stała w drzwiach i kwaśno patrzyła na jego maszyny.

- Nigdy ich nie wyłączasz?

- Nie. - Ledwie się opanował, by nie rozetrzeć sobie brzucha.

Bolał go od samego patrzenia na nią.

Uśmiechnęła się. Podobało jej się, że nosi okulary, że ma lekki, wczorajszy zarost i chodzi w džinsach, które - na oko - mogą się rozpaść przy pierwszym gwałtowniejszym ruchu.

- Pukałam.

- Byłem zajęty. Nie słyszałem.

- Masz szczęście, że jestem uparta. - Podniosła tekturowe pudło.

- Dostawa pizzy. Duża i z dodatkami, zgodnie z zamówieniem.

Odpowiada?

Czuł, że ślina napływa mu do ust, a żołądek zaciska się coraz mocniej.

- Tak się składa, że od tygodni mam ogromną ochotę na pizzę.

- Ja też. - Postawiła pudło na czymś, co akurat było urządzeniem za tysiące dolarów. Zdjęła kurtkę i rzuciła ją na podłogę. Ściągnęła czapkę i cisnęła ją gdzieś w kierunku kurtki. Podeszła bliżej. -

Głodny?

- Och, tak.

- To dobrze. Ja straszliwie. - Podskoczyła, otoczyła go nogami w pasie i zmiażdżyła wargami usta.

Zrobił dwa chwiejne kroki do tyłu i uderzył w aparat - rozległ się odgłos podobny do brzęczenia roju pszczół. Resztki rozsądnych myśli uleciały Macowi z głowy.

- Teraz seks. - Ripley brakowało tchu, wędrowała ustami po jego twarzy, gryzła w podbródek. - Pizza później. Może być?

- Fantastycznie. - Szedł, zataczając się, w stronę sypialni, ale w drzwiach musiał oprzeć ją o futrynę. - Tylko... pozwól mi... - Znów

zatonęli w głębokim pocałunku, aż jęk Ripley złączył się z jego głębokim pomrukiem.

- Podniecasz mnie przez cały czas. - Chwytał zębami jej szyję. - Cały czas. Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

- Ty mnie też. Chcę, żebyś był nagi. - Ściągała z niego bluzę.

- Zaczekaj. Wolniej.

- Dlaczego? - Śmiejąc się, wyprawiała językiem coś nieprawdopodobnego z jego uchem.

- Bo... Jezu. Bo trochę o tym myślałem. - Jego palce wbiły się w biodra Ripley, kiedy ruszył w stronę łóżka. - Lata całe. Nie chcę tego robić w pośpiechu. - Chwytał ją za włosy, odchylił jej głowę i spojrzał w oczy. - Chcę się tym delectować. Tobą. Chcę... - Nachylił się, wgryzł w jej wargi. - Kochać się z tobą przez całe wieki. Pieścić cię - mruczał, kładąc ją na łóżko. - Smakować. - Delikatnie ułożył jej ręce nad głową.

Drżała pod nim.

- Nieźle jak na świra - wykrztusiła. - Masz gadane.

- Zobaczmy, jak będzie w praktyce. - Wodził palcami po wypukłości jej brzucha, gdzie sweter zawinał się do góry. - Przy odrobinie pracy zespołowej.

Opuścił głowę i musnął wargami jej podbródek.

Ciało Ripley prężyło się pod nim, pulsowało. Pragnął go, całego. Ale najpierw chciał, by omdlewała, uległa i oszołomiona rozkoszą.

Jej ręce wygięły się pod jego dotykiem, ale nie walczyła, serca uderzały tuż obok siebie, jej usta przyjęły go bez protestu. Już samo to

było podniecające - wiedzieć, że pozwoli mu nadawać rytm i ton.

Jest silna, a jej uczucie wystarczająco gorące, by mu ofiarować ten dar. Teraz pokaże jej, że umie to docenić.

Nigdy nie spotkała mężczyzny, który potrafiłby samymi wargami rozpać w niej ogień. Tęskniła do jego dłoni, a wszystko w niej się roztopiało. Westchnęła i poddała się.

Krew pulsowała w niej coraz szybciej. Umysł tracił jasność.

Kiedy Mac puścił jej dłonie, czuła, że ręce ma miękkie i ciężkie. Podniosła je, zsunęła mu okulary, odrzuciła na bok i ujęła jego twarz, przyciskając jego usta do swoich.

Pieścił ją, lekko przesuwając sweter w górę, centymetr po centymetrze. Palce niespiesznie wędrowały po piersiach, tuż przy brzeżku stanika, potem drażniąco poruszyły się przy zapięciu.

Ściągnęła z niego bluzę, pozwalając teraz swoim palcom na pieszczoty.

Ich usta znów radośnie się spotkały. Ripley zatoneła w tym pocałunku. Tuliła się, łasiła zadowolona jak kotka, kiedy wargi Maca prześlizgiwały się po jej ramieniu. Lekko drżała z oczekiwania, gdy przesuwał językiem po jej szyi. Jęknęła, kiedy dotknął sutka.

Krzyknęła i wygięła się w ekstazie, gdy jego spragnione, gorące usta zamknęły się na jej piersi.

Próbowała odzyskać oddech, zapanować nad sobą. Wbiła palce w pościel - jej ciało zastygło.

To jak gwałtowne otwarcie drzwi do pieca, przemknęło jej przez myśl. Żar nie do wytrzymania. A jednak on pragnął jeszcze więcej.

Rozpiął stanik. Czuł, jak Ripley pręży się pod nim - burzowe chmury, które za chwilę złączą się w jedną, naelektryzowaną masę - i przeszedł go dreszcz na dźwięk jej zduszonego krzyku ulgi.

Znów była bezwładna, znów pieścił smukłe, napięte, sprężyste ciało. Wgłębienia, wypukłości i cudowne linie. Pragnął zanurzyć się, zdobyć i pochłonąć. Czuł, że serca wyskoczą im z piersi. Narastało w nim pożądanie. Coraz gwałtowniej. Jak mógł w ogóle bez niej istnieć?

Opadła z sił. Nigdy jej się to nie zdarzyło. Nigdy nikt nie brał jej z takim niewzruszonym spokojem. Podniecała ją myśl, że pozwoli mu na wszystko, co zechce. I że będzie tym zachwycona.

Jej skóra była gorąca i wilgotna. Mac poznał już każdy nerw jej ciała i każdy wprowadził w drżenie. Wyciągnęła do niego ręce, otworzyła się i poddała tak całkowicie i ufnie, jak jeszcze nigdy w życiu.

Poruszali się wolno, wolniutko, jakby w wodzie. Czuła, że serce wali mu jak młotem, a mięśnie napinają się pod pieszczotą jej palców.

Kiedy już nasycił się jej zapachem, smakiem, gładkością skóry, uniósł się nad nią. Czekał, aż oczy, zamglone rozkoszą, znów się otworzą.

Wszedł w nią. Głęboko, jak najgłębiej.

Brał ją długimi, powolnymi ruchami, aż jej oddech przeszedł w szloch. Krew w nim wrzała. Widział, jak jej oczy zachodzą mgłą i odpływa w upojeniu zmysłów.

Jej ramiona opadły bezwładnie.

- Nie mogę.

- Pozwól mi - mruzczał, wtulając się wargami w jej usta - daj mi.

Jak zaczarowana unosiła się wraz z nim, opadała i czuła, jak potężne pragnienie znów wraca.

- Teraz... razem. - Ścisnęła jego biodra i jęcząc, wznosiła się coraz wyżej.

On już tam dotarł. Świat wokół niego zawirował. Ukrył twarz w ciemnej gęstwinie rozrzuconych włosów Ripley i zapadł w niebyt.

Czuła się... fantastycznie. Jej skóra, jakby posypana złotem, stała się aksamitna. Ani śladu napięcia. Już chyba nigdy niczym nie będzie się martwić.

Wspaniały seks jest najlepszym z narkotyków, doszła do wniosku.

Nie miała zwyczaju tulić się po wszystkim, nigdy nie przepadała za łóżkowymi rozmowami. Zawsze uważała, że jej podejście do seksu przypomina raczej nastawienie większości mężczyzn.

Ale teraz leżała słodko zwinięta, wtulona w Maca. i to wydawało jej się najwłaściwsze - splątane nogi, jej głowa na jego ramieniu, ręka zarzucona na szyję.

Co ważniejsze, i on garnął się do niej, jakby sam zamierzał spędzić tak długie lata.

- Czy nauczyłeś się tych rzeczy, studiując obyczaje seksualne ludów pierwotnych?

Z uśmiechem ocierał policzek o jej włosy.

- Przyjemnie pomyśleć, że wniosłem też jakiś własny wkład.

- Dobrze ci to idzie.

- I nawzajem.

- Cisnęłam twoje okulary na podłogę - wymamrotała. - Musisz uważać, żeby ich nie rozdeptać.

- Jasne. Miałem ci coś powiedzieć wcześniej.

- Co?

- Jesteś piękna. Parsknęła śmiechem.

- Daj spokój. Zaślepił cię seks.

- Gęste, ciemne włosy i kocie oczy. I wciąż gryzłbym tę pełną górną wargę. Jak dodasz do tego naprawdę kapitalne ciało, robi się obłądna całość.

Uniosła głowę i patrzyła na niego. Mrugał przez chwilę, bo chciał widzieć ją wyraźnie.

- Co takiego? - zapytał.

- Próbuję sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni słyszałam, by ktoś użył słowa „kapitalny” w takim kontekście. Ty naprawdę jesteś niesamowity, Mac. Fajny, ale niesamowity. - Szczypnęła go zębami. - Potrzebuję paliwa. Ślinka mi leci na pizzę.

- Okej. Zaraz będzie.

- Nie, ja przyniosłam i ja to zrobię. Zostań tu, gdzie jesteś. I to goły - dodała, przetaczając się przez niego na zewnętrzną stronę łóżka. Uśmiechnęła się, gdy pogładził ją po włosach. - A propos, ty też masz naprawdę kapitalne ciało.

Wyszła do drugiego pokoju i przeciągnęła się z rozkoszą, giętka i naga. Powędrowała do kuchni po piwo do pizzy. Chwyła stos serwetek, roześmiała się i zrobiła błyskawiczny obrót.

Czy można czuć się lepiej?

Nie chodzi tylko o seks, pomyślała z rozmarzonym westchnieniem, które nieco by ją zakłopotало, gdyby nie była tak rozluźniona. Chodzi o Maca. Jest tak słodki i bystry, tak solidny, a jednak nie nudny ani staroświecki.

Ubóstwiała słuchać go, patrzeć, jak w uśmiechu lewy kącik ust unosi mu się odrobinę wyżej niż prawy. I to nieprzypadkowe, błędne spojrzenie, gdy zaczynał myśleć, i włosy, gęste, ciemnoblonde, wiecznie trochę rozczochrane.

A do tego fascynująca żywiołowość, równoważona beztróskim poczuciem humoru.

Doszła do wniosku, że po raz pierwszy spotkała mężczyznę aż tak skomplikowanego. Był kimś i oczekiwał tego samego od niej.

Czyż to nie cudowne?

Trzymając w ręce pobrzękujące radośnie butelki, wróciła do saloniku i uśmiechnęła się na widok pizzy. Rozsadzało ją szczęście i nagle poczuła, że coś się dzieje z jej sercem. Zrobiło powolny obrót, jakby w walcu, a potem zamarło.

Oczy Ripley się rozszerzyły.

- O Boże! Zanim dotarła do niej z lekka przerażająca świadomość, że się zakochała, wszystkie urządzenia w całym domku poszły w ruch.

Huczało jej w głowie od dźwięków. Brzęki, piski, buczenia i pomruki. Szalejące wskazówki, miganie świateł. A w środku ona, skamieniała ze zdziwienia.

Mac wrzasnął i wyskoczył z łóżka. Rzucił się do drzwi, potknął

o buty i runął na podłogę. Klnąc, pozbierał się i wpadł nagi do pokoju.

- Coś tu ruszała? Coś ty zrobiła?

- Nic. Nic. - Ripley ścisnęła butelki, jakby od nich zależało jej życie. Kiedyś, pomyślała, dużo później, kiedy będę wspominać tę chwilę, pękne ze śmiechu.

Ale teraz mogła jedynie patrzeć, jak Mac miota się od jednego aparatu do drugiego, wykrzykuje ich wskazania, klepie się po nagim ciele, jakby szukał kieszeni w skórze, gdzie mógł schować ołówek.

- O rany! Ludzie! Popatrz! - Wyciągnął taśmę z wydrukiem i trzymając ją niemal pod nosem, odczytywał wyniki. - Niesamowite kulminacje. Pierwsze mniej więcej godzinę temu. No pewnie. Nie odczytam czasu, nic nie widzę. Gdzie są, do diabła, moje okulary? Ta wiedźma spaliła mi następny czujnik. Fantastyczne!

- Mac.

- Taa, mhm. - Machnął na nią ręką, jakby odganiał natrętną muchę. - Chcę tylko przewinąć kasetę wideo, zobaczyć, czy były jakieś zjawiska optyczne.

- Lepiej włóż coś na siebie, bo jesteś w tej chwili, jak by to powiedzieć... narażony na skaleczenia.

- Hmm? - Popatrzył na nią, marszcząc czoło. Niemal widziała w tym spojrzeniu, jak jego myśli zmieniają bieg. Uśmiechnął się do niej.

- Jesteśmy goli. Zapomniałem.

- Może oboje się ubierzemy i wrócisz do pracy. Tylko idiota odesłałby nagą kobietę, żeby zajmować się swoimi zabawkami, pomyślał Mac. Zwłaszcza kiedy tą kobietą jest zastępca szeryfa

Ripley Todd. Doktor MacAllister Brooke nie był idiotą.

- Nie, zjedźmy pizzę. - Podniósł pudełko, a zapach pizzy, pomieszany z zapachem Ripley, znów pobudził jego apetyt. - Jutro zajmę się danymi. Nigdzie nie uciekną. - Podeszedł do niej i przesunął wierzchem dłoni po jej policzku. - Ty też nigdzie nie odchodź. Proszę.

Słusznie, stwierdziła. Ona też sprawdzi swoje wewnętrzne dane jutro.

- Uważaj, jak idziesz. Wywalisz się na pudle i rozgnieciesz kolację. Nakazując sobie spokój, Ripley odprowadziła go z powrotem do sypialni.

- Skąd masz tę bliznę na pośladku?

- Ach. Zleciałem z urwiska, coś w tym rodzaju.

- Jezu, Mac. - Usiedli na łóżku, po obu stronach pizzy. Podała mu piwo. - Cały ty.

Nie zamierzała zostawać. Przespać się z kimś, a zostać na noc, to, zdaniem Ripley, były dwie zupełnie różne rzeczy. Oznaczało to już kolejny stopień intymności, która bardzo często stawała się niesympatyczna.

Ale tak jakoś wyszło, że Ripley, niezbyt pewna, jak to zniesie, w końcu wciskała się następnego ranka do maleńkiej kabiny prysznicowej. Razem z Makiem.

Który, jak się okazało, świetnie sobie radzi w ciasnych pomieszczeniach.

W rezultacie wchodziła do własnego domu z lekka zagubiona, ze skołowaną głową i nieco zakłopotana. Liczyła na to, że uda się jej

przekraść na górę, przebrać w dres i wybiec na plażę, jakby nic się nie stało. Nadzieje zgasły, usłyszała głos Nell.

- To ty, Ripley? Jest świeża kawa.

- Cholera - mruknęła i niechętnie weszła do kuchni. Śmiertelnie bała się babskich pogaduszek i nie miała pojęcia, jak sobie z tym poradzi.

No i ta Nell. świeżutka jak stokrotka, nad kolejną blachą nadziewanych babeczek, w kuchni wypełnionej swojskim zapachem piekącego się ciasta.

Jeden rzut oka i Ripley poczuła się jakaś wymięta, zażenowana i głodna.

- Zjesz śniadanie? - spytała pogodnie Nell.

- No, może. Nie. - Głęboko wciągnęła powietrze. - Naprawdę muszę najpierw pobiegać. Aha... Chyba powinnam była zadzwonić wczoraj wieczorem, powiedzieć, że nie wrócę do domu.

- Och, nie ma o czym mówić. Mac dzwonił.

- Po prostu nie przypuszczałam... - Zamarła, sięgając do lodówki po wodę. - Mac dzwonił?

- No... Tak, sądził, że możemy się niepokoić.

- Sądził - powtórzyła Ripley. No proszę, wyszła na bezmyślną idiotkę. - Co mówił?

- Że zafundowaliście sobie ostry, obłądny seks i żebyśmy się nie martwili. - Popatrzyła w górę sponad swoich babeczek. Na widok przeraźliwie zszokowanej Ripley parsknęła zaraźliwym śmiechem, a w jej policzkach mignęły dołeczki. - Powiedział tylko, że jesteś u

niego. To ja dodałam ostry, obłądny seks.

- Bardzo śmieszne - mruknęła Ripley, otwierając butelkę. - Nie pomyślałam o telefonie. Sama powinnam była zadzwonić.

- Nic nie szkodzi. Czy... było miło?

- Wracam o... której?... za kwadrans ósma rano. Możesz wyciągnąć z tego jakieś wnioski.

- Bez wątplenia. Tylko że wydajesz się odrobinę nieprzytomna.

- Nie jestem nieprzytomna. - Ripley. nachmurzona, głośno łykała wodę. - Okej, po prostu, moim zdaniem, mógł mi powiedzieć, że do was dzwoni, albo zaproponować, żebym ja zadzwoniła, ale w obu wypadkach to by sugerowało, że mam zamiar zostać na noc, a nie zamierzałam, jednak on najwidoczniej uznał to za oczywiste, zarozumialec jeden, jeśli chcesz wiedzieć, ponieważ to nie było tak, że faktycznie mnie poprosił, żebym została w tym cholernym domu.

Nell odczekała chwilę.

- Hę?

- Nie wiem. Nie wiem, co powiedziałam. Boże. - Rozzłoszczona na siebie, przesunęła zimną butelką po czole. - Chyba jestem świrnięta.

- Na jego punkcie?

- Tak. Nie wiem. Może. Wszystko to się nawarstwia, spada na mnie nieoczekiwanie. Muszę na chwilę uciec.

- Ja uciekałam bardzo długo - powiedziała cicho Nell.

- Tylko na chwilę. Myślę o plaży. - Ripley westchnęła na widok pobłażliwego uśmiechu Nell. - Okej, rozumiem, ale jest za wczesna

godzina na metafory.

- W takim razie jedno proste pytanie. Jesteś z nim szczęśliwa?

- Taa. - Żołądek Ripley zwinął się w supeł. - Owszem. Jestem.

- Nie zaszkodzi więc utrzymać przez jakiś czas taki stan rzeczy i zobaczyć, co z tego wyniknie.

- Może tak zrobię. Może mogłabym. Widzę jednak, że on zawsze jest o krok przede mną. Cwany sukinkot. - Poddała się, usiadła. - Chyba się zakochałam.

- Och, Ripley. - Nell pochyliła się i ujęła jej twarz w dłonie. - Ja też.

- Ale ja nie chcę.

- Wiem. Ripley syknęła.

- Skąd do cholery, wiesz?

- Byłam w takiej samej sytuacji jak ty, bardzo niedawno. To straszne i ekscytujące jednocześnie. I wszystko w życiu zmienia.

- Podobało mi się tak, jak było do tej pory. Nie mów Zackowi - poprosiła, wywracając oczy do góry. - Co ja gadam, jasne, że mu powiesz. To jakaś zasada. Przynajmniej odczekaj parę dni. Może mi przejdzie.

- Okej. - Nell poszła wymienić blachy w piekarniku.

- Może po prostu mam na niego ochotę i stąd to całe zamieszanie.

- Jasne.

- A jeżeli ta noc jest jakąś wskazówką, to najprawdopodobniej wypalimy się oboje za parę tygodni, góra.

- Zdarza się. Ripley zmrużyła oczy. Bębniła palcami w stół.

- Jeżeli masz zamiar udawać głupią, idę się przebrać. Muszę pobiegać.

Nell ustawiła babeczki na sicie. Uśmiechała się pod nosem, gdy Ripley gwałtownie wypadła z kuchni.

- Leć, leć - mruknęła. - Założę się, że cię złapie.

ROZDZIAŁ 12

Evan Remington został sądownie uznany za człowieka chorego psychicznie, miewał jednak dobre dni. W zależności od tego, jakie obrazy przesuwają się w jego umyśle, bywał przytomny, a chwilami nawet czarujący.

Zdarzało się - jak opowiadała Hardingowi jedna z pielęgniarek - że dawała o sobie znać jego szczwana mózgowica, która wyniosła go na szczyty w Hollywood.

Kiedy indziej po prostu siedział i ślinił się.

Dla Hardinga stał się przedmiotem fascynacji przeradzającej się w obsesję. Remington był mężczyzną w kwiecie wieku, według wszelkich danych doskonałym specem w branży rozrywki, człowiekiem niesłychanie bogatym, który z wysokiej pozycji spadł do zera. Przez kobietę.

Kobieta też była intrygująca. Cicha, pokorna myszeczka, jeśli wierzyć tym, którzy znali ją w latach jej małżeństwa. Bohaterka, która uratowała się, uciekając od koszmaru, jeżeli przyjąć popularny, feministyczny punkt widzenia.

Harding nie miał przekonania do żadnej z opinii. Chciał natomiast sprawdzić, czy Nell Todd nie jest kimś więcej.

Można było różnie na to patrzeć. Piękna i bestia, ofiara miłości i potwór ukryty za maską.

Harding zebrał już stosy notatek, mnóstwo taśm. fotografii, kopie raportów policyjnych i medycznych. Nakreślił też pierwszy szkic książki. która, był o tym przekonany, uczyni go bardzo sławnym

i bardzo bogatym.

Brakowało jednego - porządnych, rzetelnych wywiadów z głównymi bohaterami dramatu.

By je zdobyć, zamierzał zainwestować sporo pieniędzy i włożyć dużo wysiłku. Kiedy po całym kraju tropił ślady Nell, budował swoje opinie i zbierał informacje, regularnie wracał na spotkania z Evanem Remingtonem.

I za każdym razem rosło w nim poczucie celu, ambicja, a także wewnętrzny, tkwiący głęboko gniew, który go zdumiewał.

Niewyraźny, ale coraz silniejszy.

Czas uciekał, koszty się zwiększały i choć wysyłał do redakcji reportaże z podróży, doskonale zdawał sobie sprawę, że któregoś dnia trzeba będzie się rozliczyć. Sięgał już do własnych funduszy, ale było za późno. By się zatrzymać.

Kiedyś napawała go dumą ta praca, cieszyło go - wręcz ekscytowało - tempo i wysoka poprzeczka stawiana przez redakcję. Teraz budziła w nim niechęć każda chwila, którą musiał poświęcić na wypełnianie zawodowych obowiązków.

Historia Remingtona i Nell Todd spalała go jak gorączka.

W świętego Walentego - uzna to potem za niesamowitą ironię losu - wreszcie nawiązał prawdziwy kontakt z Evanem Remingtonem.

- Oni myślą, że oszalałem. Po raz pierwszy Remington przemówił do niego z własnej woli.

Harding musiał się opanować, by nie podskoczyć na dźwięk tego głosu - cichego i brzmiącego rozsądnie. Natychmiast rzucił okiem na

dyktafon, by upewnić się, czy nie zapomniał go włączyć.

- Kto tak myśli?

- Ludzie tutaj. Moja siostra zdrajczyni. I moja żona, cudzołożnica.

Zna pan moją żonę, panie Harding?

Coś lodowatego wśliznęło się do żołądka Hardinga, gdy Remington wymówił jego nazwisko. Przedstawiał się przy każdej wizycie, ale nigdy nie sądził, nawet nie brał pod uwagę takiej możliwości, że Remington słyszy go lub rozumie.

Teraz w jego wodnistych oczach dostrzegał przerażającą inteligencję i rozbawienie. Jak u kobry, która w każdej chwili może zaatakować.

- Nie, nie znam. Liczyłem na to, że opowie mi pan o niej.

- Co mogę panu opowiedzieć o Helen? - Westchnął. - Oszukała mnie. To dziwka i oszustka. Ale jest moja. Dałem jej wszystko. Zrobiłem z niej piękną kobietę. Należy do mnie. Czy próbowała pana uwieść?

Hardingowi zaschło w ustach. Wydało mu się, że - śmieszne, lecz tak było - Remington może zaglądać do jego myśli.

- Nie widziałem nigdy... pana żony. Mam nadzieję, że ją poznam. Jeśli do tego dojdzie, z przyjemnością przekażę jej od pana wiadomość.

- Och, tyle chciałbym jej powiedzieć. Ale to osobista sprawa - ostatnie słowa wyszeptał z lekkim uśmiechem. - Wiele spraw między mężczyzną i jego żoną powinno pozostać w sferze osobistej, nie sądzi

pan? To, co dzieje się w sanktuarium ich domu. nikogo nie powinno obchodzić. Harding ze współczuciem pokiwał głową.

- Niełatwo zachować taką prywatność, kiedy ktoś, tak jak pan, jest osobą powszechnie znaną, prawda?

Oczy Remingtona zaszyły mgłą, mgłą, która przesłania łód; wzrok błędził po pokoju, już bez śladu inteligencji i rozbawienia.

- Muszę zadzwonić. Chyba gdzieś zapodziałem telefon. Gdzie, do diabła, jest obsługa?

- Na pewno za chwilę przyjdzie. Czy mogę spytać, co pociągało pana w pani Remington, kiedy ją pan poznał?

- Była czysta, prosta, jak glina, która czeka, by ją uformować. Od razu wiedziałem, że jest przeznaczona dla mnie. Wyrzeźbiłem ją. - Wystające spod pasów dłonie zaciskały się i otwierały. - Nie wiedziałem, jak bardzo jest zepsuta, jak wiele będzie wymagać pracy. Poświęciłem się dla niej.

Pochylił się do przodu, drżał z napięcia.

- Wie pan, czemu uciekła?

- Czemu?

- Bo jest słaba i głupia. Słaba i głupia. Słaba i głupia. - Powtarzał to w kółko, monotonicznie, boksując pięściami. - Znalazłem ją, bo jestem mądrzejszy od niej. - Obrócił nadgarstek, jakby patrząc na roleksa, którego tam nie było. - Chyba już pora wyjść, prawda? Pójść po Helen i zabrać ją do domu. Będzie miała się z czego tłumaczyć. Zawołaj boja po moje rzeczy.

- Jest... w drodze. Proszę powiedzieć, co stało się tamtej nocy na

Wyspie Trzech Sióstr.

- Nie pamiętam. - Pod lewym okiem Evana drgnął mięsień.

Drgał i drgał, jakby coś żywego pulsowało pod skórą. - To nieważne.

Muszę złapać samolot.

- Mamy dużo czasu. - Harding starał się mówić łagodnym, uspokajającym tonem, gdyż Remington zaczął wiercić się na krześle. -

Pojechał pan szukać Helen. Mieszkała na wyspie. Na pewno ucieszył się pan, kiedy okazało się, że żyje.

- Mieszkała w norze, niewiele lepszej od komórki na narzędzia. Suka. Dynie na ganku, kot w środku. Coś złego było z tym domem. - Oblizął wargi. - Nie chciał mnie tam.

- Dom pana nie chciał?

- Obcięła włosy. Nie zgadzałem się na to. Skurwiła się. Musi zostać ukarana. Dam jej nauczkę. Niech wie, kto tu rządzi. Sama chce, żebym ją skrzywdził. - Remington potrząsnął głową. - Błaga o to.

Harding wytrzeszczył oczy.

- Prosi, żeby pan ją skrzywdził? - Coś poruszyło się w nim. coś obrzydliwego i nieokreślonego, co zrodziło się pod wpływem tej myśli.

Był zaszokowany, zbulwersowany, gotów się wycofać. Lecz Remington znów się odezwał.

- Niczego się nie uczy. Czy jest aż tak tępa? Oczywiście, że nie. Kara sprawia jej radość. Uciekła, kiedy zabiłem jej kochanka. Ale on zmartwychwstał - wymamrotał. - Miałem prawo zabić go, bo chciał ukraść mi to, co należy do mnie. Miałem prawo zabić ich oboje. Kim

są ci wszyscy ludzie?

- Jacy ludzie?

- W lesie - odparł niecierpliwie. - Kobiety w lesie. Skąd się wzięły? Co im do tego? I jemu! Dlaczego nie umarł, kiedy go zabiłem? Co to za świat?

- Co się wydarzyło w lesie?

- Las. - Pocierał wargi, dyszał. - W lesie są potwory. Bestie, chowają się za moją twarzą. Pełzają we mnie. Światło, w kole. Ogień. Za dużo głosów. Krzyk? Kto tak krzyczy? Jej oczy. oczy Helen. Powiesić czarownice! Niech szeszna! Zabić je wszystkie, zanim będzie za późno!

Krzyczał, zawodził jak szaleniec. Obsługa rzuciła się do niego, kazano Hardingowi wyjść. Ręka mu drżała, gdy podnosił dyktafon. Nie widział więc chytrego błysku w oczach Remingtona.

Ripley przedzierała się przez gąszcz papierkowej roboty. Przegrała z Zackiem rzut monetą, co wciąż ją irytowało, zwłaszcza że za oknem pogoda zrobiła się wręcz wiosenna. Po południu będzie prawie siedemnaście stopni, a ona siedzi przykuta do biurka.

Ale z drugiej strony, skoro Zacka nie ma, może dąsać się i pod nosem wymyślać mu od najgorszych. Kiedy otwarły się drzwi posterunku, gotowa była rzucić mu kilka wyzwisk prosto w twarz. Zamiast Zacka wszedł jednak Mac, ledwo widoczny zza czegoś, co wyglądało jak spory transport holenderskich tulipanów.

- Co to, otwierasz kwiaciarnię?

- Nie. - Podeszedł do niej i podał cudownie kolorowy, wiosenny bukiet. - Wszystkiego najlepszego z okazji walentynek.

- Och, no tak. Wow. - Serce Ripley zmiękło jak wosk, a żołądek podskoczył w górę. - Uhm.

- Powiedz dziękuję i pocałuj mnie - podszepnął Mac.

- Dziękuję. Kwiatów było takie mnóstwo, że musiała trzymać je z boku, daleko od siebie, żeby go pocałować. Zamierzała potraktować tę część rytuału raczej lekko, Mac natomiast po prostu objął ją ramionami i przyciągnął blisko do siebie, miękko i łagodnie.

- Tu jest naprawdę dużo kwiatów. - Podniecająco otarł się wargami o jej usta. - Podziękuj jeszcze raz.

- Dz... - Zatonął w niej, głęboko, jeszcze głębiej, aż stanęła na palcach i poczuła, że robi jej się gorąco.

- To powinno wystarczyć. - Ręce Maca wędrowały w dół i w górę po jej ciele.

- No myślę. - Odchrząknęła. - Są naprawdę piękne. - Głupio się czuła, tak trzymając je, tym bardziej że miała ochotę wtulić w nie twarz i węszyć jak szczeniak. - Ale nie musisz przynosić mi kwiatów. Nie przepadam za całym tym walentynkowym cyrkiem.

- Taa, prymitywna komercja i bla, bla. No to co? Rozśmieszył ją i przestała czuć się głupio.

- Jest ich strasznie dużo, kwiaciarka padła chyba z płaczem na kolana po twoim wyjściu. Zobaczą, czy mam tu cokolwiek, żeby je wstawić.

Musiała się zadowolić byle jakim plastikowym wiadrem, ale w

łazience, wlewając do niego wodę. pozwoliła sobie na parę westchnień i pociągnięcie nosem.

- Lepiej im będzie w domu - zapowiedziała, wnosząc kwiaty z powrotem do pokoju. - Nie wiedziałam, że tulipany mogą być w tylu kolorach. Chyba nie zwracałam na to uwagi.

- Moja mama uwielbia tulipany. Każdej zimy... jak to się mówi... pędzi cebulki w małych szklanych wazonikach.

Ripley postawiła na stole zaimprovizowany wazon.

- Założę się, że posłałeś jej dziś kwiaty.

- Jasne. Spojrzała na niego i pokręciła głową.

- Jesteś cholernie kochany, doktorze.

- Tak myślisz? - Uśmiechając się, pogrzebał w kieszeni, zamarł na chwilę, a potem pogmerał w drugiej. W końcu wydobyl z niej małe, słodkie serduszko i położył je na dłoni Ripley.

„Bądź moja”, przeczytała i znów poczuła drzenie w środku.

- No i co ty na to? - Mocno pociągnął ją za włosy związane w koński ogon. - Będziesz moją walentynką?

- Człowieku, ty chyba naprawdę idziesz na całość. Wygląda na to, że nie mam wyjścia. Będę teraz musiała kupić ci jakąś idiotyczną, ckliwą kartkę.

- Co najmniej. - Wciąż bawił się jej lśniącoymi włosami. - Posłuchaj. chodzi o dzisiejszy wieczór. Nie pamiętałem, że to walentynki, kiedy umawiałem się z Mią. Jeśli chcesz, mogę to przełożyć i pójdziemy na kolację, przejedziemy się gdzieś albo wymyślimy coś innego.

- Och. - Piątek, przypomniła sobie. Robiła wszystko, żeby ten fakt wyprzeć ze świadomości. A teraz Mac podsuwał jej doskonały sposób, żeby to wszystko od siebie odepchnąć. Odepchnąć coś bardzo ważnego dla jego pracy.

Ojej, pomyślała, wzdychając w duchu, facet jest naprawdę kochany.

- Nie, nie przejmuj się. Umowa to umowa.

- Możesz pójść ze mną. Zrobiła już pół obrotu, lecz Mac wciąż nie odrywał dłoni od jej włosów. Stała.

- Nie wiem... Nie licz na mnie. Nie mógł znieść tej walki widocznej w jej oczach, ale nie wiedział, jak załagodzić sytuację.

- Jest kilka spraw, o których chciałbym z tobą porozmawiać. Jeśli nie chcesz iść do Mii, możesz wpaść do mnie później.

- Co to za sprawy?

- Pogadamy. - Jeszcze raz pociągnął jej koński ogon i poszedł do drzwi. - Ripley! - Odwrócił się, trzymając rękę na klamce. Spojrzał na nią. Broń na biodrze, wiadro tulipanów obok. - Wiem, że stoimy po przeciwnych stronach frontu. Dopóki rozumiemy, dlaczego tak jest, i akceptujemy ten stan rzeczy, a także rozumiemy siebie nawzajem, wszystko jest w porządku.

- Jesteś cholernie twardy.

- No, moi rodzice wydali w tym celu masę forsy.

- Na psychiatrów - stwierdziła z szyderczym uśmiechem.

- Tak, do czarta. No to cześć.

- Taa - mruknęła, kiedy drzwi się za nim zamknęły. Problem

polegał na tym, że ona nie była tak twarda. Ani tak okej. Bo miała bzika na jego punkcie.

Trudno kobiecie zachować godność, a na dodatek reputację jędzy, kiedy paraduje z wiadrem pełnym tulipanów. A gdy jeszcze zostanie przyłapana na oglądaniu stopniałej oferty sentymentalnych walentynkowych karteczek, jej szanse maleją do zera.

- Ta mi się podoba. - Gladys Macey postukała w olbrzymią kartę z wielkim różowym sercem.

Ripley ostatkiem woli zapanowała nad sobą.

- Serio?

- Kupiłam taką samą dla Carla, tydzień temu. Dostał ją dziś rano i bardzo mu się spodobała. Mężczyźni lubią duże kartki... chyba czują się wtedy bardziej męscy.

Nie wątpiąc w to, że Gladys ma w tej materii większe doświadczenie od niej. Ripley wyciągnęła kartę z wielkim sercem. Skrzywiła się na widok ceny. Jezu, producenci naprawdę zdzierają skórę z klientów.

- Ostatnia - stwierdziła. - Mam szczęście.

- Masz szczęście, faktycznie. - Gladys schyliła się, żeby powąchać tulipany. - Pewnie z pięćdziesiąt sztuk.

- Sześćdziesiąt - poprawiła Ripley. No, dobrze policzyła. Nie mogła się oprzeć.

- Sześćdziesiąt. Mmm. O tej porze roku kosztują majątek. Śliczne, jak na obrazku. Coś słodkiego też dostałaś? Ripley pomyślała o małym serduszku w kieszeni.

- Tak jakby.

- Słodczye też. - Gladys pokiwała głową. - Facet jest zadurzony.

Ripley omal nie upuściła wiadra.

- Co pani powiedziała?

- Powiedziałam, że facet jest zadurzony.

- Zadurzony. - Coś połaskotało ją w gardle, nie wiedziała tylko, czy to panika, czy rozbawienie. - Ostatnio to słowo krąży w powietrzu. Dlaczego tak pani uważa?

- Na Boga, Ripley, mężczyźni nie zasypują kobiet kwiatami na walentynki, nie wręczają im słodkości i tak dalej, żeby znaleźć partnera do kart. Dlaczego młodzi są tak tępi w tych sprawach? - zastanowiła się głośno.

- Myślałam, że to jeden z tych, dla których każda okazja do świętowania jest dobra.

- Faceci robią wzniosłe gesty tylko wtedy, gdy mają kłopoty, czują się winni albo są zadurzeni. Albo gdy im ktoś przypomni, że jest święto. - Gladys wyliczała, odginając kolejno palce o paznokciach świeżo pola kierowanych walentynkową czerwienią. - Tak wynika z mojego doświadczenia. - Przypominałaś mu, co to za dzień?

- Nie, sama nie pamiętałam.

- Pokłóciliście się? Ripley wywróciła oczy.

- Nie.

- Przychodzi ci do głowy jakikolwiek powód, żeby czuł się winny? Zawsze to widać, bo głupio się wtedy uśmiechają albo popatrują niepewnie.

- Jestem gliną. Znam te sprawy. Nie, nie ma żadnego szczególnego powodu, by czuł się winny.

- No, to w takim razie co nam pozostaje?

- Zgodnie z pani rozumowaniem, zadurzenie. - Rzeczywiście, trzeba to przemyśleć. Przyglądała się trzymanej w ręku kartce. - A więc oni lubią duże?

- Oczywiście. Znajdź zaraz coś ładnego na kwiaty. Są zbyt piękne, żeby stały w starym wiadrze. - Gladys poklepała Ripley po ramieniu i poszła w swoją stronę.

Kiedy tylko znajdzie okazję, rzuci tu i tam słówko o tym, że przybysz z łądu robi słodkie oczy do zastępcy szeryfa. I vice versa.

Przybysz z łądu wrócił do swoich zajęć. Przystudiował, uporządkował i spisał przeróżne dane z nocy, którą spędził razem z Ripley. Budował teorie, formułował hipotezy i zmierzał ku logicznym wnioskom.

Nie zanotował godziny, kiedy uprawiali miłość. Zajmował się wtedy ważniejszymi rzeczami. Nie zapisał też, jak długo to trwało. Ale jeśli założyć, że jego teoria rozpraszania energii jest słuszna, wydruki z aparatury wiele tłumaczą.

Urządzenia zarejestrowały serie wybuchów, gwałtowne impulsy, fazy długiego, łagodnego wzrostu, wahan. Ciekawe, że nie słyszał ich odgłosów, gdy pracowały. Był kompletnie zaabsorbowany Ripley.

Mógł teraz przyjrzeć się zapisowi czarno na białym tego, co wspólnie przeżywali. Było to dziwnie podniecające.

Obliczał odstępów między impulsami i fazami wzrostu,

analizował spadki we wskazaniach energii i zastanawiał się nad wynikami.

Wstał, pochodził, usiłując pozbyć się z myśli obrazu nagiej Ripley, by móc znów skoncentrować się na sprawach nauki.

- Długi, jednostajny zapis. Niskie wartości energii. - Wbił zęby w jabłko, przesunął okulary na czoło. - Po prostu leżymy.

Wyczerpanie, łózkowe rozmowy. Pasuje. W takim razie skąd znowu tutaj coś się zaczyna?

Wykres wyglądał w tym miejscu jak schody. Wzrost, płaska linia, wzrost, i płasko.

Zamknął oczy, dociekał. Ripley wstała wtedy, poszła po pizzę i po piwo. Może myślała o tym, żeby wszystko powtórzyć. Nie miał jej tego za złe. To bardzo łechtało jego próżność.

Ale nie tłumaczyło, niestety, gwałtownego przyływu energii. Dalszy ciąg wykresu w żadnym wypadku nie przypominał kolejnego stopnia. Raczej start rakiety. Mac nie mógł się dopatrzeć żadnych zewnętrznych ani wewnętrznych źródeł energii, które dałyby początek takiemu zjawisku.

Jeśli dobrze sobie przypominał, trwał w półśnie, czekając na Ripley. Myślał o pizzy, o tym, że zjedzą ją w łóżku. Nadzy. Był to bardzo miły obraz, lecz to nie on spowodował taką reakcję aparatury.

Pozostawała więc Ripley. Ale jak i dlaczego?

Jakaś reakcja typu echa? Możliwe. Echo jednak rzadko bywa tak silne jak początkowy wstrząs, a wykres tutaj strzela pod sufit.

Gdyby udało mu się odtworzyć tę sytuację... Niezły pomysł.

Musiałby, oczywiście w jakiś delikatny sposób, namówić na to Ripley.

Mają do przedyskutowania dużo spraw.

Znów wgryzł się w jabłko i uśmiechnął na wspomnienie jej osłupiałej twarzy, kiedy przyniósł kwiaty. Lubił ją zaskakiwać i patrzeć, jak sobie z tym radzi.

Po prostu lubił na nią patrzeć.

Zastanawiał się, ile wysiłku będzie musiał włożyć, by namówić ją na wspólną podróż, na przykład wiosną. Zanim ostatecznie usiądzie i złoży wszystkie swoje informacje, wnioski i teorie w jedną książkę. Mogliby na krótko zatrzymać się w Nowym Jorku. Chciał, by poznała jego rodzinę.

Potem wybraliby się jeszcze gdzieś na kilka dni - dokąd zechce Rip. On sam nie ma specjalnych wymagań.

Być przez jakiś czas tylko z nią, daleko od pracy. Może uporałby się wtedy z kolejnym ważnym problemem: czy jest zakochany w Ripley, czy nie.

Ripley postanowiła trzymać się z dala od wszystkiego, co miało się wydarzyć tego wieczora u Mii. Ponieważ Zack zdecydował, że też tam pójdzie, cały dom będzie wyłącznie dla niej. Może sobie włączyć telewizor na pełny regulator, oglądać najokropniejsze filmy i jeść to, co niezdrowe.

Ostatnio spędza prawie cały swój wolny czas z Makiem i być może właśnie na tym polega problem. Odrobina samotności we własnym domu bardzo się jej przyda.

Potrenuje trochę, żeby wyładować energię, weźmie długi, gorący prysznic, po czym zasiądzie przed telewizorem ze swoimi kumplami Lucy i Diego, i z prażoną kukurydzą obficie polaną masłem i dobrze posoloną.

W wolnym pokoju, gdzie zwykle ćwiczyła, włączyła muzykę, od której pękały bębenki, i poszła przebrać się do sypialni, w towarzystwie psa i kota chodzących za nią krok w krok, jakby wyczuły, że myśli o prażonej kukurydzy.

Znów te tulipany, wspaniała eksplozja barw na komodzie. I ten zapach.

- Walentynki to kant - powiedziała głośno. - Ale to naprawdę działa.

Sięgnęła po kartę kupioną dla Maca. Nie straci wiele czasu, jeśli przeleci się do żółtego domku i wsunie ją pod drzwi. Szczerze mówiąc, byłoby chyba lepiej, gdyby nie musiała osobiście wręczać mu czegoś tak cikliwego.

I może jeszcze dopisać, że zobaczą się jutro. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym mniej chciało jej się rozmawiać o czymś, o czym Mac, nabuzowany po wieczornym spotkaniu czarownic, zapewne będzie chciał mówić.

Nie obchodziło jej, czy postępuje nie fair albo wbrew zdrowemu rozsądkowi, żeby nie powiedzieć głupio. W tej chwili, jeszcze przez moment, chciała utrzymać to coś, co czuli do siebie, z dala od jego pracy i jej własnych... zdolności.

Nigdy dotąd nie była zakochana. Nie ma nic złego w tym, że

teraz to jest dla niej najważniejsze, a inne sprawy odkłada na później.

- Dobra, wracam o dziesiątej - powiedziała do Lucy i Diega. - Żadnego palenia, picia ani rozmów międzymiastowych, kiedy mnie nie będzie.

Złapała kartę i pobiegła do drzwi na taras.

Znalazła się na plaży. Narastał sztorm. Wicher smagał lodowatym batem. Powietrze błękitniało od błyskawic. Wirowała w nim, unoszona mocą, która pulsowała w niej jak bicie tysiąca serc.

Krąg białych płomieni na piasku. I ona, jednocześnie w środku, nad nim i obok.

W kręgu poruszały się trzy postacie. Widziała siebie, ale to nie była ona. Trzymała za ręce swoje siostry. Rozbrzmiewała w niej pieśń, którą śpiewały.

Zobaczyła siebie, a może nie siebie, samotną, z dala od jasnego kręgu. Z uniesionymi rękami i pustymi dłońmi, ugodzoną promieniem smutku. Taką jak w tej chwili, żywą, podczas sztormu. Z dala od kręgu, w którym czekały jej siostry. Szalała w niej wściekłość i moc.

U jej stóp skulił się jakiś mężczyzna, inny biegł ku niej przez groźną ciemność. Ale nikt jej nie dosięgnie. Nigdy. Uniosła lśniący miecz sprawiedliwości. Krzyczała, zadając nim cios.

I zniszczyła wszystkich.

Ocknęła się na podłodze tarasu, dygocząc w balsamicznym, nocnym powietrzu, oblepiona wilgotnym potem. Wokół unosił się ostry zapach ozonu. Dźwignęła się na czworakach i poczuła, jak przewraca się w niej żołądek.

Nie miała siły wstać. Została w tej pozycji, chwiejąc się lekko i dysząc, bo brakło jej tchu. Huk w głowie ustąpił, przeszedł w monotony pomruk morza.

Nigdy nie zdarzyło się jej coś takiego, nigdy nie przyszło tak nagle, w tak fizyczny sposób. Nawet kiedyś, gdy uprawiała te rzeczy i celowo dążyła do takich przeżyć.

Chciała wpełznąć z powrotem do swojego pokoju, zwinąć się w ciemności na dywanie i kwilić jak niemowlę.

Ciche, żałosne piski wydobywały się z jej gardła; zdobyła się na wysiłek i uklękła. Oddychała głęboko, próbując się uspokoić.

Wizja nie zniknęła. Ripley podniosła się z wielkim trudem i ruszyła biegiem przed siebie.

ROZDZIAŁ 13

Jesteś pewien, że tego chcesz? - Nell wzięła Zacka za rękę i specjalnie zwolniła kroku. W górze, nad ich głowami przepływały chmury, przez które przeświecało światło gwiazd. Chwilami ukazywał się księżyc w pełni, lśniący miękką bielą. Nell знаła drogę w ciemności, przez ogrody Mii, obok stromego urwiska, do pokrytego śniegiem lasu. Czuła ciepłą dłoń Zacka. Mia i Mac szli gdzieś przodem.

Słyszała jej głos, jak ledwo uchwytny dźwięk muzyki, dochodzący przez drzewa i mrok.

- Może wolałabyś, żebym został?
- Nie. Tylko nigdy dotąd nie przychodziłeś tu ze mną.
- Nigdy mi tego nie proponowałaś.

Palce Nell zacisnęły się w jego dłoni. Stanęła. Widziała go wyraźnie. Zawsze widziała go wyraźnie.

- Ale to nie znaczy, że twoja obecność byłaby nam nie w smak. -
W świetle gwiazd zauważyła uniesione brwi i uśmiech.

Lekko, powoli podniósł do ust ich złączone dłonie.

- A czy moja obecność nie jest dla ciebie krępująca?
- Nie. Może będę tylko odrobinę zdenerwowana. - A ponieważ właśnie tak było, musnęła palcami jego bark. - Nie wiem, jak zareagujesz. jak przyjmiesz tę część mojej osobowości.

- Nell. - Położył dłonie na jej ramionach i delikatnie pogłaskał. -
Przecież nigdy nie zrzędzę.

Wybuchnęła śmiechem i objęła go. Nerwy, wątpliwości,

niepokoje. wszystko przegnała radość.

- Naprawdę cię kocham.

- Wiem. Jest tylko jeden problem. Miałem zamiar zachować się jak człowiek światły i nie wspominać o tym, ale... - Spojrzał za Makiem i Mią, którzy zniknęli w ciemności. - Czytałem sporo o obrzędach, o magii i podobnych rzeczach i wiem, że czasami trzeba być wtedy nago. Bez względu na to, jak głupio to zabrzmie, chciałbym, żebyś nie rozbierała się, kiedy Mac jest w pobliżu. Zacisnęła mocno usta, żeby się nie roześmiać.

- To naukowiec. Jakby lekarz. Brwi Zacka najeżyły się nad zwężonymi oczami.

- Guzik mnie to obchodzi. W tej konkretnej sprawie jestem zasadniczy.

- Okej, i tak jest za zimno, żeby się rozbierać. A już całkiem szczerze, nie rozbieram się nawet wtedy, kiedy jestem tylko z Mią. Bardzo pruderyjna ze mnie czarownica.

- To mi odpowiada. Ruszyli dalej, Nell prowadziła.

- To znaczy... że Mia rozbiera się do naga?

- Tego wymaga sztuka. I nie rozumiem, dlaczego to cię interesuje.

- Z czysto akademickiego punktu widzenia.

- Akurat.

Roześmiani wchodzili na polankę. Otaczały ją cienie, siwe jak dym. Z nagich gałęzi drzew zwisały wiązki suszonych ziół i łańcuchy kryształów, ciche i nieruchome w oczekiwaniu na powiew wiatru,

który pobudzi je do grania i szelestów.

Trzy głązy tworzyły coś w rodzaju ołtarza. Mac przykucnął przed nim, zajęty wskazaniem swojej aparatury.

Mia nie zgodziła się na kamerę wideo ani na magnetofon. W tej kwestii nie ulegała żadnym perswazjom. Dopuszczała tylko mierniki i notatnik.

I jego szare komórki.

Postawiła już zabraną z domu torbę i podeszła do Zacka po drugą, Nell.

- Dajmy naszemu naukowcowi jeszcze trochę czasu, dobrze? - Wskazała ręką Maca. - Jest taki szczęśliwy. - Otoczyła ramieniem Nell. - Nie ma powodów do zdenerwowania, siostrzyczko.

- Trochę tylko dziwnie się czuję. A poza tym dla mnie to wciąż nowość.

- Twój mężczyzna jest przy tobie. Jesteś silniejsza niż wtedy, gdy przyszedł tu po raz pierwszy, i bardziej siebie świadoma. - Spojrzała na Zacka i przyglądała się przez chwilę jego twarzy. - Czy nie czujesz jego dumy z ciebie? Z tego, kim jesteś? Niejeden tak cudownego uczucia nie zazna nigdy w życiu. Dopiero ono pozwala widzieć wszystko jaśniej.

Chcąc podbudować Nell, ale i siebie, Mia lekko ją uścisnęła i poszła dotrzymać towarzystwa Macowi.

- Jest strasznie samotna - szepnęła Nell. - A przy tym tak doskonała i opanowana, że nikt tego nie zauważa. Ale zdarzają się jej chwile takiej samotności, że przyprawia mnie to o ból.

- Dobra z ciebie przyjaciółka, Nell. Mia roześmiała się z czegoś, co mówił Mac. a potem obróciła się.

Nie był to właściwie taniec, wspominał później Mac, a jednak coś jakby balet. Długa szara suknia wyduła się, a potem opadła, kiedy Mia wyciągnęła w górę ręce. Jej głos, pełny i głęboki, był muzyką.

- Oto nasz dom, dom nas trzech. Wyczarowany wiedzą i pragnieniem, nadzieją i rozpaczą. Mocą, która uniosła go z dala od śmierci, strachu i ciemnoty. To nasz dom - powtórzyła - one trzy przekazały go nam trzem. Tej nocy jesteśmy tu dwie.

Mac wstawał powoli. Mia zmieniała się na jego oczach. Jej włosy nabierały życia, skóra lśniła jak marmur. Zawsze była oszałamiająco piękna, ale teraz tego piękna nic już nie skrywało.

Zastanawiał się, czy wykorzystuje czary, by zajaśnić taką urodą, czy też, przeciwnie, na co dzień stara się ją przytłumić. Klął w duchu, że nie ma przy sobie kamery ani magnetofonu.

- Przybywamy tu, by dziękować, by oddać cześć tym, którzy byli przed nami, zanosić modły i wspominać. Ta ziemia jest święta. - Leciutko uśmiechała się do Maca. - Jesteś tu mile widziany, MacAllister. zaprosiliśmy cię. Nie obraż się, ale chcę, byś obiecał, że będziesz tu przychodził jedynie na zaproszenie.

- Masz moje słowo. Tak czy inaczej. Królewskim ruchem skłoniła głowę.

- Zack, należysz do Nell, a to miejsce jest w równym stopniu jej, jak i moje. Jest zatem także twoje. Możesz zadawać pytania - dodała, klękając, by otworzyć torbę. - Sądzę, że doktor Brooke potrafi ci

odpowiedzieć na większość z nich.

Sugestia była wyraźna, Mac podszedł więc do Zacka.

- Wyjmuje rytualne świece. Zapewne zostały już poświęcone i są na nich jakieś napisy. Wybrała srebrne, oznaczające boginię. Moc kobiety. Mają znaki... - Postąpił bliżej i przymrużył oczy. - Aha. Cztery żywioły. Ziemia. Powietrze, Ogień i Woda. Mia nie chciała mi powiedzieć, jakie obrzędy dziś zobaczę, ale będzie to przypuszczalnie wzywianie czterech żywiołów. Oddawanie czci. Może prośba o wytłumaczenie snów albo o dar jasnovidzenia. wtedy też używa się srebrnych świec. To ciekawy rytuał.

- Już go kiedyś oglądałeś? - Zack obserwował, jak Nell wyjmuje ze swojej torby nóż z zakrzywioną rękojeścią, kielich i drewnianą różdżkę z kryształowym końcem.

- Owszem. Jeżeli w trakcie obrzędu powstaje wystarczająco dużo energii, można poczuć lekkie drganie powietrza. Ale nawet bez tego moje mierniki zarejestrują wzrost poziomu energii. Mia i Nell zatoczą krąg i zapalkami zapalą świece.

- Zapalkami? - Zack czuł, że mimo woli się uśmiecha. - Chłopie, popatrz tylko. - Rozbawiony i zafascynowany, wcisnął ręce do kieszeni i kołysał się na piętach.

Mac bazgrał coś w notesie, kiedy zataczały krąg. Scena była dość typowa, śpiewy i gesty, jakie widywał już wcześniej.

- Szkoda, że jest pochmurno. Przydałoby się więcej światła - stwierdził, sprawdzając wskazania aparatury.

Kiedy to mówił, na ziemi załśniła cienka srebrna linia, idealny

światlisty krąg.

- Jezu! - Zaszokowany i urzeczony postąpił krok do przodu, zapominając o notesie.

Ze środka koła Mia i Nell skinieniem rąk zapaliły świece.

- Myślałem, że już to widziałeś - szepnął Zack.

- Ale nie coś takiego. Nigdy. - Gdy uświadomił sobie, że stoi z wytrzeszczonymi oczami, cofnął się gwałtownie i rzucił do pracy.

- Jesteśmy tu we dwie - mówiła Mia. - Przyprowadziłyśmy jeszcze ich dwóch. Jeden przyszedł tu z miłości, drugi dla wiedzy. Jeden chce być kochany, drugi chce poznawać. - Podniosła różdżkę. - To są narzędzia - powiedziała już tonem zwykłej rozmowy. - Trzeba je szanować. - Otworzyła mały słoiczek i wyjęła z niego garść płatków. - Irys, dla mądrości.

Z innego słoiczka Nell wyciągnęła gałązkę rozmarynu.

- A to dla miłości. - Czubkiem rytualnego noża narysowała na ziemi jakieś znaki. - Tuje splatamy, tu wiążemy, miłość i wiedzę pobłogosławione nadzieją, w kręgu i poza nim, pożądane i kochane, niech przewyciężą strach i zwątpienie.

- Serca i umysły, wolne i otwarte - podjęła Mia, sypiąc ziola i kwiaty do szerokiej wazy. - Tylko wtedy spotkamy nasze przeznaczenie. Te sprawy są drogie nam obu, pozwalamy więc im dwóm widzieć, co tu robimy. W tym miejscu i tej nocy ukażemy ich oczom nasz obrzęd. Z mojej własnej woli.

- I z mojej - dopowiedziała Nell.

- Dobrze. - Mia odrzuciła do tyłu włosy, przechyliła głowę i

spojrzała Macowi w oczy. - Jakieś pytania, profesorze?

- Nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałem.

- To mały wstęp przed głównym spektaklem. I jeszcze ostrzeżenie. Nie będziemy traktować was jak podglądaczy, ale nie próbujcie wchodzić do kręgu, a nawet zbliżać się do niego, kiedy już zaczniemy. Jasne?

- Jasne.

- W takim razie...

- Można jeszcze? - Mac podniósł palce.

- Pytaj - kiwnęła głową Mia.

- Co to za miejsce? Oczy Mii pociemniały. Wyciągnęła rękę odwróconą do góry dłonią, stuloną, jakby trzymała coś drogiego. Mac przysięgłby, że powietrze wokół nich pulsuje.

- To jest - powiedziała cicho - serce. Opuściła rękę. Skinęła na Nell.

- Bądź błogosławiona, siostrzyczko. Nell wciągnęła powietrze, wstrzymała oddech i podniosła rękę.

- Wzywam Powietrze, słodkie i niespokojne. Moje skrzydła załopoczą na jego piersi. Wznieś się, obróć ku nam i ześlij swoje ciepłe tchnienie, porusz wiatr, lecz nie rób krzywdy. Jestem Powietrzem - wołała, i kryształowe wisiorki wtórowały jej swoją muzyką - a ono jest mną. Niech się stanie, tak jak chcę.

Wiatr zawirował, zatańczył pośród nocy, jeszcze przed chwilą spokojnej. Mac czuł go na twarzy i we włosach, słyszał jego szept; zapachniało morze.

- Cudowne - zabrakło mu słów; patrzy na Mię, która powtarzała gesty Nell, po czym podjęła jej śpiew.

- Przyzywam Ogień, jego żar i światło. W jego sercu wypala się życie, staje się silne i jasne. Płomieniu jak Słońce, nie czyn nikomu krzywdy. Jestem Ogniem, a on jest mną. Niech się stanie, tak jak chcę.

Srebrne świece zajaśniały jak pochodnie, krąg wzniósł się w górę ścianą płomieni.

Aparatura Maca oszalała. Po raz pierwszy w swojej pracy nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Bezwiednie wypuścił ołówek z ręki. Czuł żar, przez płomienie widział kobiety stojące za tą pionową, ognistą zasłoną - lśniły równie jasno.

A wiatr śpiewał miłosną pieśń.

Wewnątrz kręgu Nell i Mia zwróciły się do siebie i uściśniły sobie dłonie.

I wtedy z lasu wypadła Ripley. Macowi mignęła tylko jej bardzo blada twarz i ciemne oczy, kiedy rzucała się w ogień.

- Nie! Skoczył przed siebie, przerażony, że spłonie.

- Zostań! - rozkazała Mia ostro, klękając obok Ripley.

- Cholera, przecież się poparzyła. - Mac podniósł drżącą rękę, próbował pchnąć niewidzialną zaporę. Iskrzyła, syczała, ale nie ustępowała. Stał bezradnie przed magiczną zasłoną, nie mogąc dosięgnąć ukochanej kobiety. Był na to zupełnie nieprzygotowany.

- Przełam krąg - zażądał. - Wpuść mnie do środka.

- To nie dla ciebie.

- A ona? - Zaciśniętymi pięściami atakował przeszkodę, nie

zwracając uwagi na żar, który z niej buchał.

- Nell! - Zack w napięciu stał tuż przy ogniu. Czuł jego żar, potęgę i po raz pierwszy falę strachu.

- Wszystko w porządku. Nic jej się nie stanie. Obiecuję. - Popatrzyła na męża, tuląc do siebie głowę siostry. - Proszę.

- Ty wiesz lepiej. - Głos Mii był spokojny, a ręce łagodnie odgarniały do tyłu włosy Ripley. Widziała, jak jej wzrok przytomnieje, ale serce wali młotem. - Nie byłyśmy na to przygotowane, ani ty, ani ja.

- Nie krzycz na nią. Dygocze. Co ci jest, Ripley? Co się stało? - pytała Nell.

Ripley z trudem uklękła. Potrząsała głową.

- Nie panuję nad tym. Nie mogę tego zatrzymać. Nie wiem, co robić.

- Powiedz mi - nalegała Mia, rzuciwszy zaniepokojone spojrzenie w stronę mężczyzn. Ani jej wola, ani zasłona nie powstrzymają ich długo. Żadna obrona nie oprze się miłości. - I to szybko.

- Widzenie. Jak cios pięścią. Co było i co mogło się stać. Złe. To ja. - Jęknęła i skuliła się. - To boli.

- Wiesz, co powinnaś zrobić.

- Nie.

- Wiesz - powtórzyła Mia i bezlitośnie podciągnęła ją w górę. - Przyszłaś tu, jesteś i wiesz, co masz zrobić, teraz, w tej chwili. Reszta przyjdzie we właściwym czasie.

Ripley czuła skurcz i skręt żołądka.

- Nie chcę.

- A jednak przyszłaś. Nas uratować? Uratuj najpierw samą siebie. W tej chwili.

Oddychała nierówno, z trudem, a spojrzenie, jakie rzuciła Mii, nie było przyjazne. Uniosła jednak dłoń.

- Dobrze, kurczę, pomóżcie mi. Nie będę tego robić na klęczkach. Nell ujęła jedną jej rękę, Mia drugą. Ale kiedy Ripley stanęła, puściły ją.

- Nie pamiętam słów. W oczach Mii jeszcze migotał strach, lecz uśmiechnęła się.

- Otóż pamiętasz. Przestań zwlekać.

Ripley syknęła. Gardło miała tak ściśnięte, że aż piekło, żołądek się buntował.

- Wzywam Ziemię, żyzną i głęboką, w którą siejemy, by później zbierać...

Czuła, jak rośnie i unosi ją moc.

- Mia...

- Skończ.

- Obdarz nas i nie rób krzywdy. Jestem Ziemią, a ona jest mną. Niech się stanie, tak jak chcę.

Moc uderzyła, pokonała ból. Ziemia u stóp Ripley pokryła się kwiatami.

- Teraz razem. - Mia mocno uścisnęła jej dłoń i ujęła rękę Nell. Stały w kole, wewnątrz kręgu. - Jesteśmy tu wszystkie trzy, wzywamy

Wodę, potok i morze.

- W jej wspaniałym sercu - ciągnęła Nell - rodzi się życie.

- Niech twój łagodny deszcz nie przynosi bólu ani krzywdy. -

Ripley zamknęła oczy, uniosła twarz i dołączyła swój śpiew do pieśni sióstr.

- Jesteśmy Wodą, a ona jest nami. Niech się stanie, tak jak chcemy. Spadł deszcz, miękki jak jedwab i lśniący jak srebro.

- Jesteśmy tu wszystkie trzy - powtórzyła Mia cicho, tak że słyszały ją tylko Nell i Ripley.

Mac nie miał wyjścia. Czekał więc, aż obrzęd się skończy i krąg otworzy. Kiedy tylko dopadł Ripley, chwycił ją za ręce. Nie zwrócił uwagi na wstrząs elektryczny, który wygiął mu dłonie.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Muszę...

- Nie wyrywaj się. - W jego głosie brzmiała twarda, stalowa nuta, a w oczach błyszczał gniew, gwałtowny jak płomień, przez które przed chwilą przebiegła.

- Nie wyrywałabym się, gdybyś nie trzymał tak mocno. Błysk w oczach Maca zgasł, jego wzrok stał się zimny.

- Bardzo przepraszam - powiedział lodowato, puszczając ją.

- Posłuchaj, do diabła. - Ripley szturchnęła go w ramię, gdy się odwracał. - Jestem trochę skołowana. Potrzebuję kilku minut, żeby oprzytomnieć.

- Ile tylko sobie życzysz. Mam dużo pracy. Odszedł, chwycił notes i sprawdził aparaturę.

- Nie było to uprzejme - mruknęła Mia.

- Daj mi spokój.

- Rób, jak chcesz. My wracamy do domu. Ciebie, oczywiście, również zapraszam. Ale możesz też iść sobie w cholerę. Z zadartym nosem pomaszerowała w kierunku Maca.

- Hej. - Zack podszedł do niej i pogłaskał po włosach. -
Przestraszyłaś mnie.

- Siebie też.

- No to weź to pod uwagę i nie karz faceta. Ja już raz widziałem, czego wy we trójkę potraficie dokonać. On nie, Rip. - Przyciągnął ją do siebie, blisko, na chwilę. - Przebiegłaś przez ogień, to może trochę wstrząsnąć mężczyzną.

- Taa, w porządku. - Nie ma w życiu, pomyślała, lepszego przyjaciela, nikogo równie pewnego jak jej brat. - Pogadam z nim. Zabierz Mię i Nell do domu. Będziemy tam za moment.

- Dobrze. Pozbierała się, podniosła z ziemi porzucony ołówek i podała go Macowi.

- Przepraszam, że naskoczyłam na ciebie.

- Nie ma problemu.

- Nie dąsaj się na mnie. Nie wiesz, jak to jest...

- Nie, nie wiem. A ty nie wiesz, co to znaczy sterczeć tak idiotycznie i bać się, co z tobą.

- Okej, przepraszam. Nie byłam w stanie... - Ku przerażeniu Ripley głos jej się załamał, a wzrok zamglął od łez. - Cholera, mówiłam ci, że jestem skołowana.

- Dobrze, już dobrze. - Przyciągnął ją do siebie i gładził po włosach. - Zostań tu po prostu na chwilę.

- Płacz mnie wkurza.

- Jasne. Po prostu odczekaj. Zrezygnowała, poddała się i otoczyła go ramionami.

- Zaraz wezmę się w garść.

- W porządku, ja też chcę zaczekać. Myślałem, że jesteś... - Wciąż widział, jak ze śmiertelnie bladą twarzą rzuca się na ścianę złotych płomieni. - Nie wiem, co myślałem. Byłem przygotowany na wiele rzeczy. Oglądałem już czary. Wierzę w nie. Ale nic nie da się porównać z tym, co zrobiłyście tej nocy.

- Nie chciałam tu być.

- Więc dlaczego jesteś? Co przestraszyło cię aż tak bardzo, że musiałaś przyjść?

Potrząsnęła głową.

- Nie chcę powtarzać tego dwa razy. Chodźmy do Mii. Mac zarzucił na ramię torbę ze sprzętem.

- Ból. Czulaś ból. Widziałem to.

- Ten krąg nie był przygotowany na mnie. Ani ja na niego.

- Nie, jeszcze wcześniej. Zanim wykonałaś ten karkołomny skok. Uśmiechnęła się lekko, bo tego oczekiwał.

- Jak na faceta, który ciągle gubi okulary, widzisz piekielnie dużo.

- Okulary służą mi tylko do czytania i do pracy. - Miał ochotę pogłaskać ją, ochronić, przytulić. I bał się, że jeżeli to zrobi, oboje się

załamia. - Jeszcze coś cię boli?

- Nie. - Odetchnęła. - Nie. Użyłam mocy, wezwałam swój żywioł, stworzyłam krąg z Mią i Nell. Nie czuję żadnego bólu.

- Ale nie jesteś szczęśliwa. Znała drogę przez las, przez ciemność, podobnie jak Nell.

Dostrzegła już blask światła w domu Mii.

- Nell czerpie z tego radość, a Mia... traktuje to jako coś w rodzaju, nie wiem... fundamentu. Dla Nell to odkrycie, lecz dla Mii to jak oddychanie.

- A dla ciebie?

- A ja mam ochotę uciec.

- Dlatego postanowiłaś się odgrodzić?

- I użyłam zbyt słabych gwoździ - dokończyła z leciutkim odcieniem goryczy w głosie, ruchem głowy ucinając wszelkie dalsze pytania.

Mac podejrzewał, że jedzenie i wino też należą do obrzędu, stanowiąc pomost między światem magii i codziennością. Wprawdzie nie przypuszczał, by mógł zapomnieć jakikolwiek, choćby najdrobniejszy szczegół wydarzeń tej nocy, jednak gryzmolił coś w notesie, podczas gdy Mia pełniła honory domu.

- Czy można zadawać pytania? Posłała mu uśmiech, zwijając się wygodnie w fotelu.

- Naturalnie. Ale nie na każde otrzymasz odpowiedź.

- To, co robiłyście tej nocy... przygotowania, narzędzia służące ceremonii i cała ta rytualna... powiedzmy, oprawa były bardzo proste,

elementarne jak na tak widowiskowe efekty.

- Nadmierna oprawa i zbytek ceremonii są zwykle przykrywką, która ma zamaskować niedostatki mocy albo służyć podbudowie własnego ego, być może dla wywarcia wrażenia na widzu.

- Czy w ogóle ich nie potrzebujecie? Mia uniosła brwi.

- Bardzo ciekawe pytanie. A jak sądzisz?

- Myślę, że nie. - Nawet on sam przed dzisiejszym wieczorem by w to nie uwierzył. - Wydaje mi się, że zdolności, jakie tkwią w każdej z was, są od nich niezależne. Przypuszczam, że mogłabyś zapalić ogień w tym kominku, nie ruszając się z fotela, bez żadnych kręgow ani rytuałów. Mia oparła się wygodnie, obserwując Maca.

Zastanawiała się, co ją w nim pociąga. Co sprawia, że chce podzielić się z nim tym, czego nie wyjawiała nikomu postronnemu? - Tradycja, nawet pewne przesady mają swoje przyczyny. Tak samo ceremoniał.

Pomaga zogniskować moc i wyraża szacunek dla jej źródła. Ale,

oczywiście... - Z tyłu, za fotelem Mii, buchnął ogień w kominku. -

Masz rację. - Nie popisuj się - mruknęła Ripley. Mia roześmiała się i ogień przygasł. Jarzył się teraz miło i łagodnie. - Ty też masz rację. -

Pociągnęła wina i sponad kieliszka spojrzała w oczy Ripley. - Kiedyś wykazywałaś w tych sprawach większe poczucie humoru.

- A ty robiłaś mi wykłady o potrzebie poczucia odpowiedzialności.

- Chyba tak. Byłam okropnie nudna.

- Och, przestańcie sobie dogadywać - powiedziała ostro Nell. -

Wykańczacie mnie.

- Powinnyśmy były wykorzystać ją jako mediatora, wiele lat temu. - Mia znów pociągnęła wina. - Jest nas trzy. Nie da się tego zmienić, uniknąć ani zignorować. Znasz legendę - zwróciła się do Maca.

- Bardzo dokładnie. Siostra zwana Powietrzem opuściła azyl na wyspie. Poślubiła człowieka, który nie potrafił jej zaakceptować ani docenić, aż wreszcie ją zniszczył.

- To ona zniszczyła siebie - zaproponowała Nell. - Zabrakło jej odwagi, by uwierzyć we własne możliwości.

- Niewykluczone. - Mac kiwnął głową. - Ta, którą nazywano Ziemią, nie chciała pogodzić się z tym, co się zdarzyło. Zżerana bólem, w końcu użyła swojej mocy, by pomścić siostrę.

- Pragnęła sprawiedliwości. - Ripley wstała. - Potrzebowała jej.

- Ale przez to sprzeniewierzyła się Sztuce. - Dłoń Mii uniosła się odrobinę nad poręczą fotela i znów opadła. - Odwróciła się od wszystkiego, czym była i czym ją obdarzono, i użyła swojej mocy, by wyrzucić krzywdę.

- Nie była w stanie tego opanować. - Głos Ripley brzmiał niepewnie; patrzyła przez okno w mrok. - Nie mogła tego zatrzymać.

- A więc nie opanowała tego, nie zatrzymała. Zgubiła siebie i wszystko, co kochała.

- A trzecia - Ripley odwróciła się z błyskiem w oku - ta, która była Ogniem, znalazła czarodziejską fokę, która przybiera postać młodzieńca. Spał w jaskini nad zatoczką. Zabrała jego skórę, ukryła i w ten sposób związała go ze sobą.

- To nie wykracza przeciw prawom magii. - Naturalnym ruchem, który wiele ją kosztował. Mia schyliła się i wybrała z tacy kosteczkę sera. - Został jej kochankiem, mężem, ojcem jej dzieci, a potem dzieci jej zgubionej siostry. - Jedzenie miało smak kredy, ale Mia swobodnie gryzła dalej. - Oddała mu swoje serce. Ale nadszedł dzień, kiedy nie zachowała czujności i jej mąż odnalazł skórę. Choć kochał żonę, to jednak nie umiał się oprzeć pokusie i odpowiedział na zew morza. Zapomniał o niej, o ich życiu i miłości, o dzieciach, tak jakby nigdy nie istniały, i porzucił ją. Dla morza. - Mia uniosła ramiona. - Bez siostry, bez kochanka i męża usychała z tęsknoty i rozpacz. Przeklęła swój dar magii, za to, że dał jej miłość, a potem ją odebrał. I wyrzekając się go, skoczyła z urwiska do morza, które zagarnęło jej ukochanego.

- Śmierć nie jest odpowiedzią - szepnęła Nell. - Wiem o tym.

- W tamtej chwili, dla niej, była - stwierdziła Mia. - I tak po trzystu latach potomkinie Trzech Sióstr muszą przywrócić stan pierwotny, obrócić tryby wstecz. W przeciwnym wypadku wyspa, którą stworzyły, zapadnie się w morze.

- Więc czemu tu mieszkasz? - spytała ostro Ripley. - Dlaczego tkwisz w tym domu? Po co księgarnia, po co to wszystko?

- To moje miejsce i mój czas. Tak samo jak twój i Nell. Jeśli w to nie wierzysz, skąd wzięłaś się tu dziś w nocy?

Mia stłumiła narastający w niej gniew. Jej wzrok złagodniał, kiedy na twarzy Ripley dostrzegła cierpienie. Trudno było po tylu latach wyciągnąć rękę, wstała jednak i podała jej dłoń.

- Opowiedz mi. Pozwól sobie pomóc.

- Widziałam... To było bolesne, jakby mnie ktoś rozcinał od głowy do wnętrzości. Tak szybko, że w ogóle nie zdążyłam zareagować.

- Wiesz, że tak być nie musi, że nie powinnaś kojarzyć magii z bólem i krzywdą.

- Po trzykroć. - Po policzku Ripley spłynęła łza, której nie zdążyła powstrzymać. – To, co rzucasz przed siebie, powraca. Po trzykroć. Ona ich zniszczyła.

- Nie tylko ona. Wszystkie trzy ponoszą odpowiedzialność. Opowiedz mi - wytarła łzę z twarzy Ripley - co widziałas?

- Widziałam... - Jej głos uspokajał się, w miarę jak opowiadała. - Nie wiem, kim był, co przedstawiał, ale wiem, że wróci. Nikt z was nie zdołał mnie zatrzymać, ja też nie potrafiłam zatrzymać samej siebie. To był mój miecz, Mia. Mój rytualny miecz. Zabiłam nim jego i nas wszystkich.

- Nie mogłaś tego zrobić. Nie mogłaś - powtórzyła, zanim Ripley zdążyła zaprotestować. - Jesteś silniejsza.

- Chciałam zadać mu ból. Czulałam wściekłość. Nigdy nie panuję nad swoją mocą, kiedy górę biorą emocje. Dlaczego, do diabła, myślisz, że nie mogłam?

- Bałaś się? - Gniew w niej narastał. - Odwróciłaś się ode mnie, od tego, kim jesteś, ponieważ bałaś się tego, co możesz zrobić? Jesteś po prostu głupia!

Gwałtownie zrobiła w tył zwrot i krzyknęła, gdy Ripley

chwyciła ją za włosy.

- Kogo, do cholery, nazywasz głupią, ty kłamliwa, zarozumiała, egoistyczna dziwko?! - Oczy Ripley zwięziły się w szparki, kiedy Mia podniosła zaciśniętą pięść. Parsknęła śmiechem. - Taa, bardzo się boję. Spróbuj mnie walnąć, a zobaczysz, że sobie wyrządzisz większą krzywdę niż mnie. Jesteś wciąż dziewczynką, Mia.

- Ciekawostka. Ale to ty szarpiesz mnie za włosy. Ripley wzruszyła ramionami; dała za wygraną.

- Okej, remis. - Odetchnęła i zamrugła, uświadamiając sobie, że wszyscy obecni stoją. Zapomniała o nich. - Przepraszam.

Mia przyglądała fryzurę i opadła na fotel.

- Wkurzyłam cię, kiedy powiedziałam, że jesteś głupia?

- I to jak, więc uważaj.

- Lecz nie użyłaś mocy, żeby uderzyć mnie, gdy byłam odwrócona plecami. - Mia podniosła kieliszek. - Nawet nie przyszło ci to do głowy.

Chytra zołza, pomyślała Ripley z niechętnym podziwem.

Zawsze była chytra.

- Przecież mi nie odbiło.

- Owszem, odbiło - włączył się Zack i usiadł z powrotem. - Nie znosisz, kiedy ktoś nazywa cię głupią albo tchórzliwą. Mia zarzuciła ci jedno i drugie. A ty potrafiłaś tylko szarpać ją za włosy.

- To nie to samo.

- Ale prawie. - Zack wziął Nell za rękę i przyglądał się siostrze. - Są dwie rzeczy, które ciebie, Rip, na pewno nie dotyczą. Nie jesteś

tchórzem i nie jesteś głupia. Każdy z tu obecnych odpowiada za siebie. Nie znam się na magii tak jak wy, za to znam ciebie. Najwyższy czas, żebyś przestała uważać, że wszystko wisi na tobie. Nikt tu nie jest sam.

- Nie mogę znieść myśli, że was skrzywdzę, nie umiem żyć z taką odpowiedzialnością. Przecież jest mama, tata, Nell.

Odpowiedz - zażądała, zwracając się znów do Mii. - Poważnie. Co się stanie, jeśli spakuję swoje rzeczy, wsiądę na prom i po prostu opuszczę wyspę? Czy to coś zmieni?

- Znasz odpowiedź. Lecz zapytaj Maca. To jego dziedzina; jest naukowcem. przeprowadził wiele badań na ten temat. A więc, doktorze. jak brzmi pana obiektywna opinia?

- Wyspa sama w sobie obdarzona jest mocą. To pewnego rodzaju stabilny układ, pozostający w stanie równowagi tak długo, dopóki nie zostanie ona naruszona.

- W takim razie czy naruszę ją, wyjeżdżając stąd?

- To tylko zmniejszy, potencjalnie osłabi twój osobisty ośrodek energii. Niczego nie zmieni. Przykro mi. Nie ma znaczenia, dokąd pojedziesz. Ma znaczenie to, co zrobisz.

Widział, że spochmurniała, rozłożył więc ręce i usiłował wytłumaczyć swoją teorię.

- Jeżeli dla dobra naszej dyskusji przyjmiemy legendę za fakt, będziesz musiała dokonać wyboru. Zrobić coś lub nie. Jesteś tutaj.

Posłużył się serwetką, która miała przedstawiać wyspę, ułożył na niej trzy oliwki, na których widok Ripley prychnęła. Nie zwracając na

nią uwagi, Mac podniósł jedną z oliwek i odłożył na tacę.

- Wyjeżdżasz. Oznacza to tylko tyle, że zmieniasz miejsce dokonywania wyboru. Dokądkolwiek się udasz, cztery żywioły istnieją nadal, nie możesz przeciwstawić się podstawowym prawom natury. Nie zmieniasz się, wciąż jesteś tym, kim byłeś, a to, co robisz, powraca: przez Ziemię, Powietrze, Ogień i Wodę. - Stuknął paznokciem w serwetkę. - Prosto do źródła. Nieuchronnie. Pozostanie tutaj to twój jedyny logiczny wybór. Tu jesteś silniejsza, a obecność was wszystkich trzech też odgrywa istotną rolę.

- On ma rację. - Słowa Nell przykuły uwagę Ripley. - Raz już zmieniliśmy ten układ. Jesteśmy we trójkę, a przecież wcześniej byłyście tylko wy dwie. Gdyby nie ty i Mia, gdyby nie Zack - spojrzała na męża - trwałoby tak nadal. Tamten dawny krąg został przerwany w tym miejscu. Nasz nie.

- Ale za to zardzewiał. - Mia z uśmiechem sięgała po kolejną kostkę sera. - Musisz odzyskać formę, pani władzo.

Ripley chwyciła oliwkę i wepchnęła ją do ust.

- Odpieprz się.

ROZDZIAŁ 14

No i co, wyłączysz dzisiaj te maszyny? Ripley stała w progu żółtego domku. Nie chciała, żeby te przeklęte aparaty ją obserwowały, nie po takim wieczorze.

- Oczywiście. - Mac przesunął się obok niej, postawił torbę ze sprzętem i zaczął wyłączać urządzenia.

Nie spodziewał się, że przyjdzie tu z nim. Wprawdzie nie wyglądała a zmęczoną, ale Mac przypuszczał, że ma dość wszystkiego. Przynajmniej towarzystwa ludzi w ogóle, a jego, być może, w szczególności.

Najwyraźniej wróciła do starych nawyków. Do wymiany drobnych, zjadłych złościwości z Mią, jakby to, co wydarzyło się na polance, nie miało żadnego znaczenia.

Oslania się jakąś cholerną tarczą, myślał. Niemal tak samo skuteczną jak zasłona, która broniła mu dostępu do kręgu. Zastanawiał się, co czuje, gdy opuszcza tę tarczę.

- Chcesz usiąść? - spytał, gdy weszła do środka, zamykając drzwi. - Czy pójść prosto do łóżka?

- Widzę, że nie owijasz w bawełnę. Zarumienił się.

- Nie miałem na myśli seksu. Myślałem, że może chcesz się przespać.

Chyba naprawdę o to mu chodziło. Taa, jest cholernie kochany. W porządku, uznała.

- Troszkę za wcześnie na spanie. Wydawało mi się, że chcesz o czymś ze mną porozmawiać.

- Tak. Nie sądziłem, że da się to zrobić dzisiaj.

- Nie jestem zmęczona. To nie działa w ten sposób.

- Jak... - przerwał. - Pozwól, że wezmę twoją kurtkę. Cofnęła się szybko i zdjęła ją sama.

- Wiem, co masz na myśli. Powiedzieć ci, jak działa? Czuję się, jakbym wypila cysterne kofeiny. Naładowana energią - podeszła do niego i pchnęła go silnym, gwałtownym ruchem. - Spięta. - Pchnęła drugi raz. - Otóż to, chcę iść do łóżka. - Jeszcze jeden ruch i Mac znalazł się drzwiach do sypialni. - I nikt tu nie będzie spał.

- Okej. Więc... Znów go uderzyła, po czym zapaliła światło.

- Żadnych rozmów i żadnych ciemności.

- Słusznie. - Poczul się tak, jakby właśnie wpuścił do domu wygłodzoną wilczycę. Jej oczy wyglądały teraz inaczej. Intensywnie zielone, przenikały go na wskroś. Drapieżne. Krew w nim zawrzała. - Tylko... zaciągnę zasłony.

- Zostaw.

- Ripley. - Roześmiał się cicho. - Jesteśmy... co prawda na uboczu, jednak przy zapalonych światłach...

- Zostaw je. - Błyskawicznym ruchem ściągnęła sweter. - Jeżeli lubisz tę koszulę, lepiej od razu ją zdejmij. Skądinąd elegancka.

- Wiesz co - odetchnął i spróbował uśmiechnąć się bez troski - przerażasz mnie.

- To dobrze. Masz się bać. Skoczyła na niego, przewróciła na łóżko. Wygięła się nad nim jak kocica. Z jej gardła dobyła się jakiś pierwotny dźwięk, odsłoniła zęby i wbiła w jego szyję.

- Chryste! - Czuł, jak wszystko w nim się spina.

- Chcę szybko - dyszała, rozdzierając mu koszulę. - I mocno. I teraz.

Wyciągnął do niej ręce, ale chwyciła go za włosy, gwałtownie pociągnęła i spadła na jego usta. Przeszył go żar, spalił nerwy, odebrał oddech. wzburzył krew.

Zapadł się w ciemność, w porywającą rozkosz i ból. Zbudziło się w nim zwierzę; napięte do granic wytrzymałości ciało sprężyło się pod nią, ręce zaatakowały brutalnie i bezlitośnie. Szarpnął ją za włosy, odciągnął głowę do tyłu i ugryzł w szyję.

To nie było szaleństwo, lecz żądza.

Przetoczyli się przez łóżko, desperacko pragnęli swoich rozpalonych ciał.

Płoneła w obłędym pożądaniu. Rozsadzała ją dzika energia. Wbijiała się w niego paznokciami, kąsała. Kiedy poczuła w sobie jego palce, krzyknęła, a w jej głosie był triumf, ból i zachłanność. Szybciej. Pragnęła orgazmu, gwałtownego, jednego po drugim. Szalała w niej burza, światła tańczyły przed oczami jak oślepiający, srebrny deszcz.

Wśliznęła się na niego jak wąż, usiadła okrakiem.

Pochłonęła go, zamknęła w gorącym, wilgotnym żarze jak w zaciśniętej pięści. Mac oszołomiony patrzył, jak spazm rozrywa jej ciało pokryte kropelkami potu, widział jej błyszczące oczy.

Zaczęła się poruszać. Z szybkością błyskawicy. Ciemne włosy opadły do przodu, kiedy nachyliła się i wpiła w jego dolną wargę.

Uderzał w nią mocno, raz za razem, trzymając jej biodra w

żelaznym uścisku.

Odchyliła się do tyłu, doprowadzając go niemal do szczytu.

- Jeszcze nie. Jeszcze nie - wydyszała. Widział wszystko jak za mgłą, całym sobą parł do spełnienia.

Ripley wyrzuciła ramiona nad głowę, tak jak wtedy, gdy przywoływała swoją moc. Mac poczuł wstrząs, jakby przez woal rozkoszy przedarła się strzała, gładka, ostra, cudowna, która przeszła Ripley i uderzyła wprost w niego.

Leżał jak martwy, ale nie miało to najmniejszego znaczenia. W tej chwili nawet śmierć nie wydawała się zbyt wysoką ceną za to, co przeżył.

Czuł się, jakby uszło z niego powietrze. Niepokoje, troski, myśli zniknęły, istniały tylko wrażenia zmysłowe.

Bardzo możliwe, że już nigdy nie będzie w stanie chodzić, mówić ani myśleć, lecz cóż to za problem. Odejdzie z tego świata jako człowiek niezwykle szczęśliwy.

Ripley mruknęła, zadowolona. Aha, jednak słyszę, stwierdził półprzytomnie. Miła niespodzianka. Za chwilę jej usta przylgnęły do jego warg. Ciało odbiera bodźce. Coraz lepiej.

- Mac? Wydał jakiś dźwięk. Nie były to słowa, ale w końcu istnieje wiele form komunikowania się. Znajdzie coś odpowiedniego.

- Mac - powtórzyła i przesunęła dłonią w dół po jego ciele. Zacisnęła palce.

O tak, zdecydowanie dobrze odbiera bodźce.

- Uh - Chrząknął, zdołał otworzyć jedno oko. Okazuje się, że nie

oślepl. Kolejna miła niespodzianka. - Taa. Nie śpię. - Głos był zachrypnięty, ale był. Mac zdał sobie sprawę, że strasznie chce mu się pić. - Przeżyłem coś bardzo podobnego do śmierci. Nieźle było.

- No, to skoro wróciłeś z zaświatów... - Znow wśliznęła się na niego. Odebrało mu mowę, kiedy w jej oczach znow zobaczył ten sam błysk. - Jeszcze raz.

- Hej, chwileczkę. - Nie mógł złapać tchu, a usta Ripley już przesuwały się po jego piersi. - Musisz troszkę poczekać, aż dojdę do siebie. Przynajmniej miesiąc.

Roześmiała się i Maca przeszedł dreszcz.

- Nie pozostaje ci nic innego, jak poleżeć tu i poczekać. Jej usta nie przerywały wędrówki. Mac wywrócił oczy do góry.

- Cóż, jak trzeba, to trzeba.

Ripley wiedziała, że popada w kłopoty. Nigdy do tej pory nie dzieliła się mocą z mężczyzną. Nigdy też nie czuła takiej potrzeby ani ochoty. W przypadku Maca był to jakiś przymus, głębokie pragnienie powiększenia sfery intymności, związania z nim tej części jej istoty.

Nie wątpiła już, że go kocha, i nie miała najmniejszej nadziei, że zdoła to sobie wyperswadować.

Toddowie zawsze długo czekali na swoją miłość, a kiedy przychodziła, było to uczucie nagłe, szaleńcze i na zawsze. Wyglądało na to, że Ripley podtrzyma rodzinne tradycje.

Lecz co z tym zrobić?

W tej akurat chwili niewiele jato obchodziło.

A Mac? Leżał z lekka oszołomiony i nie miał żadnych

zastrzeżeń co do swojej sytuacji. Wiatr na dworze wzmógł się, uderzał w okna, ale domek wydawał się przez to jeszcze przytulniejszy. Jakby tylko ich dwoje było na całej wyspie. Dla Maca mogło to trwać wiecznie.

- O czym chciałeś porozmawiać?

- Hmm. - Bawił się jej włosami, myśląc, że chętnie pozostałby z nią w tej zmiętej pościeli do końca życia. - To może poczekać.

- Dlaczego? Przecież jesteśmy tu razem. Pić mi się chce. - Usiadła i odgarnęła do tyłu włosy. - Mówiłeś coś o winie?

- Możliwe. Na pewno masz siłę na wino i pogawędkę?

Przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się lekko.

- No jasne, chyba że wolisz coś innego. Mac był pewien - choć była to świadomość poniżająca - że nie przeżyje kolejnego ataku Ripley.

- Przyniosę wino. Śmiała się, kiedy zsuwał się z łóżka.

- Proszę. - Wyciągnął szufladę i rzucił Ripley jakiś dres. - Chyba będzie dobry.

- Dzięki. Masz coś do jedzenia?

- Zależy, co przez to rozumiesz.

- Cokolwiek, żeby się zapchać. Strasznie mi się chce jeść.

- Wyobrażam sobie - mruknął. - Mam frytki.

- Może być. - Wciągnęła spodnie, regulując sznurek, aż upewniła się, że będą się trzymać.

- Pójdę poszukać. Kiedy wyszedł, włożyła bluzę i zaczęła obwąchiwać rękawy, rozkoszując się świadomością, że ma na sobie

coś, co należy do niego. To głupie i babskie, przyznała, ale nikt poza nią nie musi o tym wiedzieć.

Wparowała do kuchni, gdy Mac otworzył już wino, wyjął dwa kieliszki i torbę frytek. Rzuciła się na frytki i padła na krzesło, gotowa do uczty.

- Może nie... tutaj - zaczął Mac. Nerwy dawały znać o sobie. Nie miał pojęcia, jak Ripley przyjmie to, co zamierzał jej powiedzieć. Była nieprzewidywalna i to go, między innymi, w niej fascynowało.

- Dlaczego? To też jest niesamowite, pomyślał. Słowo „dlaczego” mówi niemal równie często jak on.

- Bo będzie nam... wygodniej w drugim pokoju.

- W saloniku? Będziemy siedzieć na twoich aparatach?

- Ha, ha. Nie, na kanapie. Nadal tam stoi. I możemy zapalić w kominku. Nie jest ci zimno w stopy? Dać ci jakieś skarpetki?

- Nie, dobrze mi. - Ale jemu nie, stwierdziła. Był najwyraźniej zdenerwowany. Zastanawiała się nad tym, idąc z frytkami w garści do saloniku. Z trudem torowali sobie drogę do kanapy, Ripley doszła więc do wniosku, że Mac postanowił usiąść na niej po raz pierwszy od czasu, jak się tu wprowadził.

Postawił wino na podłodze i wziął się do odkładania na bok stosów książek zalegających poduszki. Ripley otworzyła usta, żeby go powstrzymać i oszczędzić fatygi, po czym zamknęła je z niemal dosłyszalnym kłapnięciem.

Wino, rozmowa, ogień w kominku. Przytulnie. Romantycznie. Wymarzona sceneria dla mężczyzny, który chce powiedzieć kobiecie,

że ją kocha.

Serce Ripley zaczęło bić szybciej.

- Czy to ważna rozmowa? - Usta jej drżały, a jednocześnie były dziwnie miękkie.

- Sądzę, że tak. - Przykucnął przed kominkiem. - Jestem trochę zdenerwowany. Nie spodziewałem się tego. Nie bardzo wiem, od czego zacząć.

- Poradzisz sobie. - Nogi jej dygotały, wołała więc usiąść. Mac ułożył drewno, podpałkę i obejrzał się na Ripley. Minęła chwila, zanim zrozumiała jego pytające spojrzenie. Spojrzenie naukowca, jak określała je w duchu.

- Tak, mogę to zrobić, nie ruszając się z miejsca - powiedziała. - Ale nic z tego.

- Tylko się zastanawiałem. Aha, tradycja głosi, że rozpalanie ognia jest podstawową formą magii, zwykle pierwszą umiejętnością, jaką się zdobywa, i ostatnią, którą można stracić. Czy to prawda?

- Chyba tak, lecz dotyczy to widocznych zjawisk i tego, co wymaga ukierunkowania, koncentracji, opanowania. - Czuła podniecenie, pożądanie; poruszyła się lekko. - Mia jest lepsza w te klocki ode mnie. Ja nie myślę... nie myślałam o tym od dawna. Ona od tego nie ucieka, przeciwnie.

- Pewnie dlatego jest zrównoważona, a refleksyjność stała się jej drugą naturą. - Zapalił długą zapałkę i przytknął ją do podpałki. - Twoja moc jest bardziej... jak by to powiedzieć... eksplozywna, a jej bardziej skupiona.

Wstał, kiedy płomienie zaczęły lizać drewno, i wytarł ręce o dzinsy na biodrach.

- Usiłuję coś wymyślić. Naprawdę nie wiem, jak zacząć. W żołądku Ripley odezwał się niepokój.

- Zwyczajnie.

- Wolę dochodzić do sedna powoli. - Uśmiechnął się nieznacznie i schylił, by nalać wino. - Całkiem nieźle to sobie wszystko ułożyłem w głowie przed dzisiejszym wieczorem. Ale kiedy cię zobaczyłem, kiedy choć w części zrozumiałem, przez co przeszłaś, co czujesz, a potem... kiedy byliśmy razem... Ripley... - Usiadł obok niej, podał jej wino, dotknął wierzchu jej dłoni. - Chcę, żebyś wiedziała, że nigdy dotąd nie było tak jak z tobą. Z nikim.

Przełknęła łyżę i po raz pierwszy w życiu wydało jej się, że mają cudowny smak.

- Dla mnie to co innego. Kiwnął głową; poczuł w sercu lekkie ukłucie na myśl o tym, że Ripley być może przeżywa ich bliskość inaczej ze względu na to, kim jest.

- W porządku. Więc, to co chcę ci powiedzieć, to ponieważ... - Przeciągnął dłonią po włosach. - Ponieważ jesteś dla mnie ważna, ponieważ to, co jest między nami, jest dla mnie ważne, cała reszta staje się nieco bardziej skomplikowana. Chyba boję się, że, zwłaszcza gdy przejdę do tej reszty, możesz pomyśleć, że znaczysz coś dla mnie tylko z racji mojej pracy. To nie tak, Ripley. Po prostu jesteś ważna.

Wszystko w niej stawało się gładkie jak jedwab pod dotknięciem kochającej dłoni.

- Wcale tak nie myślę. W przeciwnym razie w ogóle by mnie tu nie było. Nie przyszedłbym. A jednak jestem.

Ujął jej rękę i całował dłoń. Ripley czuła falę płynącą od stóp do gardła.

- Mac. - W tej chwili roztopiłaby się przy nim jak wosk.

- Początkowo zamierzałem najpierw powiedzieć to Mii, ale chcę, żebyś wiedziała pierwsza.

- Ja. Ty. Mii?

- Teoretycznie rzecz biorąc, ona jest zwornikiem. Ale tak czy owak wszystko się ze sobą łączy. Zdecydowałem, że to ty będziesz pierwsza. - Znów pocałował jej dłoń, tym razem trochę nieobecny duchem, po czym pociągnął łyk wina jak człowiek zwilżający usta przed przystąpieniem do wykładu.

Cudowny nastrój Ripley pierzchł.

- Naprawdę, Mac, ulży ci, jak to z siebie wyrzucisz.

- Okej. Każda z Trzech Sióstr miała dzieci. Jedne pozostały na wyspie, inne wyjechały i nigdy nie wróciły. Jeszcze inne podróżowały, żeniły się i wychodziły za mąż, po czym wracały na wyspę i tu wychowywały swoje potomstwo. Na pewno o tym wszystkim wiesz, a także o tym, że tak samo przez kolejne pokolenia postępowały ich dzieci, a potem dzieci ich dzieci. W rezultacie niektórzy ich potomkowie zostali na zawsze na Wyspie Trzech Sióstr. Reszta jednak rozproszyła się po świecie.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Chyba będzie lepiej, jak coś ci pokażę. Zaczekaj chwilę. Ze

zmrużonymi oczami obserwowała, jak wstaje i lawiruje między aparaturą. Zaklął pod nosem, bo uderzył się w palec, i Ripley poczuła złośliwą satysfakcją.

Sukinsyn, pomyślała, waląc zaciśniętą pięścią w poduszkę. Wcale nie miał zamiaru przyrzekać jej dozgonnej miłości, otwierać swojego serca ani błagać, by za niego wyszła. Spokojnie wrócił do swoich durnych badań, a ona siedzi tu z maślanymi oczami.

I czyja to wina? Sama wszystko pokręciła. Sama wystawiła się na cios.

Mocno zacisnęła oczy. Roztkliwiła się jak głupia i przestała jasno myśleć. Trzeba z tym skończyć.

Nie z miłością. W rodzinie Toddów takie rzeczy przyjmuje się po prostu do wiadomości. Kocha go i zawsze będzie kochać. Ale oczywiście potrafi znów podnieść głowę i odzyskać trzeźwy osąd.

Mac jest jej przeznaczony i będzie musiał się z tym pogodzić. Doktor MacAllister Brooke nie poprzestanie na badaniach naukowych nad czarownicami. Jedną z nich, do cholery, poślubi. I to szybko, gdy tylko Ripley wymyśli, jak go do tego zmusić.

- Przepraszam. - Tym razem starannie omijał swoje urządzenia. - Nie znalazłem tego tam, gdzie myślałem. Nic nigdy nie leży na swoim miejscu. - Otworzył szeroko oczy na widok jej roziskrzonego spojrzenia. - Coś nie w porządku?

- Skądże. - Poklepała poduszkę obok siebie, ale w figlarnym uśmiechu było jakieś napięcie. - Właśnie stwierdziłam, że niedobrze samej siedzieć przed kominkiem. - Gdy usiadł przy niej wsunęła

pieszczotliwie nogę na jego udo. - Znacznie lepiej.

- No więc... - Krew zaczęła krążyć w nim szybciej, kiedy Ripley nachyliła się i przejechała wargami po jego szczęce. - Sądzę, że chciałabyś to przeczytać.

- Mhm. A może ty mi przeczytasz? - Leciutko chwyciła zębami płatek jego ucha. - Masz taki seksowny głos. - Wyjęła mu z kieszeni okulary. - I wiesz, jaka jestem podkrecona, kiedy to wkładasz.

Mac wydał z siebie nieokreślony dźwięk i byle jak nasunął okulary na nos.

- To są fotokopie. Oryginał dziennika trzymam w sejfie, bo jest stary i może się rozsypać. Napisała to moja pra... no, wiele razy praprababka. Ze strony mojej matki. Pierwszy zapis pochodzi z 12 września 1758 roku i został dokonany na Wyspie Trzech Sióstr.

Ripley wyprostowała się zelektryzowana.

- Coś ty powiedział?

- Chyba powinnaś posłuchać.

Dzisiaj - czytał - moja najmłodsza córka urodziła dziecko.

Nadali mu imię Sebastian; jest krzepki i zdrowy. Cieszę się, że Hester i jej sympatyczny mąż chcą zostać na wyspie, tu założyć dom i rodzinę. Reszta moich dzieci jest teraz tak daleko, że choć od czasu do czasu spoglądam w kulę, by je zobaczyć, boli mnie serce, że nie mogę ucałować ani ich, ani moich wnuków.

Już nigdy więcej nie opuszczę wyspy.

To też ujrzałam w kuli. Mam jeszcze trochę czasu na tej ziemi i wiem, że śmierć nie oznacza końca. Ale kiedy dostrzegam piękno życia

w dziecku mojej córeczki, smutno mi, że nie będę widziała, jak rośnie.

Zaryzykował szybki rzut oka na Ripley. Patrzyła na niego, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Najlepiej czym prędzej zrzucić to z siebie, stwierdził w duchu. Odkryć karty od razu.

Żałuję, że moja własna matka nie chciała żyć - kontynuował - i pozbawiła siebie samą radości, którą ja czuję, widząc dzisiaj dziecko zrodzone przez jedną z moich córek.

Czas płynie szybko. Ten, który będzie pochodził od tego chłopca, odegra kiedyś wielką rolę, jeśli nasze dzieci będą pamiętać i potrafią dokonać mądrego wyboru...

Palce Ripley pobielały. Zapomniała, że trzyma w ręce kieliszek.

- Skąd to masz?

- Zeszłego lata przeglądałem jakieś pudła na strychu u rodziców.

Znalazłem dziennik. Wcześniej już przetrząsałem wszystko.

Doprowadzałem matkę do szału, grzebiąc bez przerwy w starych gratach. Nie wiem, jak mogłem go przeoczyć, chyba że przyjąć teorię, że nie był przeznaczony dla moich oczu aż do czerwca ubiegłego roku.

- Czerwca. - Ripley przebiegł dreszcz, zerwała się. W czerwcu na wyspę przybyła Nell... i wszystkie trzy były już razem.

Mac zaczął znów mówić, lecz uciszyła go gestem ręki. Musiała się skupić.

- Przypuszczasz, że napisał to ktoś z twoich przodków.

- Nie przypuszczam. Zbadałem genealogię, Ripley. Ona miała na imię Constance, a 15 maja 1757 roku jej najmłodsza córka, Hester,

poślubiła Jamesa MacAllistera. Ich pierwszy syn, Sebastian Edward MacAllister, urodził się na Wyspie Trzech Sióstr. Uczestniczył w wojnie o niepodległość. Ożenił się, miał dzieci, osiadł w Nowym Jorku. Pochodzi od niego moja matka, a więc i ja.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś potomkiem...

- Mam wszystkie dokumenty. Akty małżeństwa, metryki urodzenia. Można powiedzieć, że jesteśmy dalekimi kuzynami.

Patrzyła na niego, a potem przeniosła wzrok na ogień.

- Dlaczego nie powiedziałeś o tym od razu po przyjeździe?

- Zgoda, to trochę nie w porządku. - Bardzo chciał, by znów usiadła i wtuliła się w niego. Wiedział jednak, że najpierw muszą przebrnąć przez tę rozmowę do końca. - Myślałem, że posłuży mi to jako punkt zaczepienia albo atut w negocjacjach.

- Twój as w rękawie - mruknęła.

- Taa. Wyobrażałem sobie, że gdyby Mia nie chciała rozmawiać, moje informacje mogłyby przełamać bariery. Ale poszło gładko i zacząłem czuć się trochę niezręcznie. Miałem zamiar powiedzieć jej wszystko dziś wieczorem. Chcę jednak, żebyś wiedziała pierwsza.

- Dlaczego?

- Bo wiele dla mnie znaczysz. Pewnie jesteś zła na mnie, ale...

Pokręciła głową.

- Niespecjalnie. - Zaskoczona, pomyślała, lecz nie zła. -

Postępowałabym dokładnie tak samo, gdyby mi na czymś zależało.

- Nie wiedziałem, że tu będziesz. - Ripley odwróciła się. Mac patrzył na nią spokojnym, pewnym wzrokiem. - Wiesz, co mam na

myśli. Ciebie. Nie wiedziałem, że tak zaangażujemy się oboje. Moją dziedzinę określa się na ogół mianem pozbawionej logiki. Tym większe znaczenie ma podejście logiczne. Ale poza tym, prywatnie, coś ciągnęło mnie do tego miejsca przez całe życie, choć nie wiedziałem dokąd. Zeszłego lata w końcu się dowiedziałem.

- Jednak nie przyjechałeś.

- Musiałem zebrać informacje, badania, analizy, sprawdzić fakty.

- Zawsze świrnięty. Usiadła na poręczu kanapy. Mac uznał to za dobrą monetę.

- Śniła mi się ta wyspa, zanim jeszcze dowiedziałem się, gdzie jest. mało tego, nie miałem pojęcia, czy ona w ogóle istnieje. Śniłem o tobie. Wszystko to było tak silne i ważne w moim życiu, że wymagało profesjonalnego podejścia. Naukowej obserwacji.

- I co z niej wynika, doktorze?

- Stosy danych, ale nie sądzę, żeby interesowała cię ta lektura. - Potrzęsnęła głową, widząc jego pytające spojrzenie. - W porządku. I jeszcze jedno: mam wrażenie, że jestem tam, gdzie powinienem być. Odgrywam w tym wszystkim jakąś rolę. Tylko jeszcze nie wiem dokładnie jaką.

Znów wstała.

- Rolę w czym?

- W podtrzymywaniu równowagi.

- Czy naprawdę wierzysz, że tę wyspę musi pochłonąć morze?

Traktujesz poważnie jakieś klątwy sprzed paru wieków? Wyspy nie zapadają się w morze jak dziurawe łodzie.

- Całkiem spora grupa szanowanych naukowców i historyków byłaby innego zdania, przytaczając jako przykład choćby Atlantyde.

- A ty jesteś jednym z nich - stwierdziła cierpko.

- Owszem, zanim jednak zacznę cię zanudzać wykładem, pozwól sobie powiedzieć, że są jeszcze możliwe mniej dosłowne interpretacje. Huragan, trzęsienie ziemi...

- Trzęsienie ziemi? - Czuła już kiedyś ziemię drżącą pod jej stopami. Sama przecież wywołała trzęsienie ziemi. I nie chciała o tym więcej myśleć. - Jezu, Mac.

- Nie chcesz, żebym opowiadał o płytach i ruchach tektonicznych, prawda?

Otworzyła usta. natychmiast je zamknęła i tylko pokręciła głową.

- Tak podejrzewałem. Studiowałem geologię i meteorologię i rzeczywiście z łatwością bym cię zanudził. W każdym razie, upraszczając sprawę, natura to suka. która ledwie nas toleruje.

Rozśmieszył ją. Przyglądała mu się uważnie. Poważny, seksowny i niewzruszenie pewny siebie. Trudno się dziwić, że się w nim zakochała.

- Mogę się założyć, że nie jesteś tak nudny, kiedy robisz to, co lubisz.

- Przegrałabyś. - Ujął jej dłoń w nadziei, że już nie zaprotestuje.

- Niebo i Ziemia. Ripley, nie tylko utrzymują nas pomiędzy sobą. Oczekują od nas, że na to zasłużymy.

- A my musimy zdecydować, jak daleko wolno nam się posunąć.

- I to jest chyba puenta.

Ripley wydeła policzki, westchnęła.

- Coraz trudniej wmawiać sobie, że to wszystko gówno.

Najpierw Nell, potem ty i jeszcze to - dodała, spoglądając na kopie stron dziennika. - Zaczyna mi się wydawać, że ktoś dodaje kolejne pręty do klatki i coraz mniej jest szans, że znów będzie można przecisnąć się na zewnątrz.

Patrzyła ze zmarszczonym czołem na kartki i zelektryzowała ją inna myśl.

- Łączą cię z Wyspą Trzech Sióstr związki krwi. - Podniosła na niego wzrok. - A co z magią?

- Nic. Wszystko wskazuje na to, że tego mi odmówiono. Zapewne odziedziczyłem zainteresowanie nią, fascynację, ale żadnej zdolności praktycznego wykorzystania.

Odprężona opadła na siedzenie obok niego.

- No, to przynajmniej coś.

ROZDZIAŁ 15

Wiatr zacinał w okna marznącym deszczem. Mia czytała pierwszą stronę dziennika, siedząc w swoim biurze. Miała na sobie jaskrawoniebieską suknię. W jej uszach kołysały się małe gwiazdki i księżycy, które dostała od Nell na swoje ostatnie urodziny. Bawiła się nimi, trącała tak, by księżyc zderzał się z gwiazdką.

Skończyła i odchyliła się na oparcie. Przyglądała się Macowi zaskakująco rozbawionym spojrzeniem ciemnoszarych oczu.

- A więc, witaj, kuzynie.

- Nie wiedziałem, jak to przyjmiesz.

- Staram się przyjmować rzeczy takimi, jakie są. Mogę to na trochę zatrzymać? Chciałabym doczytać.

- Oczywiście. Odłożyła kartki na bok i wzięła do ręki filiżankę z kawą.

- Wszystko jest takie ładne i poukładane, prawda?

- Zdaję sobie sprawę, że to czysty przypadek - zaczął, ale Mia znów się uśmiechnęła.

- Przypadek często zaprowadza właściwy porządek. Potrafię prześledzić losy mojej rodziny wstecz, aż do jej początków na Wyspie Trzech Sióstr. Wiem, że niektórzy tu pozostali, inni rozproszyli się po świecie. Przypominam sobie teraz, że istniała gałąź MacAllisterów. Syn i trzy córki. Wyjechał z wyspy, przeżył wojnę i zaczął robić majątek. Dziwne, że wcześniej tego nie skojarzyłam. Widocznie tak miało być. A jednak poczułam coś do ciebie. Więzy rodzinne, to też jest miłe i krzepiące. A przy tym poprawia nastrój.

- Zupełnie inaczej zareagowałem, kiedy wszystko to złożyło się w całość.

- Jak zatem?

- Byłem podekscytowany. Potomek czarownicy i człowieka - foki. Odjazdowe, co? - Odłamał kawałek podsuniętej przez Mię babeczki z musem jabłkowym. - A potem porządnie się rozzłościłem, że nie dostało mi się w spadku ani trochę mocy.

- Mylisz się. - Poczzerwieniał, słysząc uczucie i podziw w jej głosie. - Twoją mocą jest umysł. Silny i otwarty, jest jak potężna magia. Tym potężniejsza, że nie zamyka twojego serca. Dla nas będzie ważne jedno i drugie. - Zamilkła na chwilę. - Ripley też będzie cię potrzebować.

Był wstrząśnięty. Mia powiedziała to tak cicho, tak zwyczajnie.

- Wyświadcz mi przysługę i nie mów jej o tym. To ją tylko wyprowadzi z równowagi.

- Rozumiesz ją, znasz jej słabe strony, mankamenty i irytujące nawyki. Ale ją kochasz.

- Tak, ja... - Urwał i odłożył babeczkę. - To było bardzo podstępne.

- Przeprosiłabym, ale nie miałam złych zamiarów. - Śmiała się zbyt ciepło i łagodnie, by mogła urazić. - Domyślałam się, że ją kochasz, ale chciałam to usłyszeć z twoich ust. Czy mógłbyś wyobrazić sobie życie tu, na wyspie?

Milczał przez chwilę.

- Przecież dobrze znasz Ripley. Nie znalazłaby szczęścia nigdzie

indziej. Więc i ja będę tutaj szczęśliwy. W końcu zawsze mnie tu ciągnęło.

- Lubię cię, bardzo. Wystarczająco, by odrobinę pomarzyć, że to ja mogłabym być przeznaczona dla ciebie. A ty - dodała, widząc lekką panikę w jego oczach - dla mnie. Lecz to tylko marzenia. Cieszę się, że możemy być przyjaciółmi. Każda z nas odnajdzie w tobie coś dla siebie.

- Chyba naprawdę bardzo ją kochasz. Spokój Mii prysnął. Na policzkach pojawił się rumieniec, co niezwykle rzadko się zdarzało. Wzruszyła ramionami.

- Tak, bardzo ją kocham i bardzo mnie irytuje. No, ale liczę, że zachowasz to w tajemnicy. Ja też nie zdradzę nikomu twoich uczuć.

- Zgoda.

- No to ją przypieczętujemy. - Wstała i odwróciła się do stojącego za nią regału. Wzięła z półki rzeźbione drewniane pudełko i wyjęła z niego srebrny wisiołek w kształcie gwiazdy ozdobiony chryzoberylem.

- Jest w mojej rodzinie, w naszej rodzinie - poprawiła się - od czasu przybycia tutaj, na Wyspę Trzech Sióstr. Podobno ta, która była Ogniem, wykuła go ze spadającej gwiazdy, a kamień wyczarowała z promienia słońca. Trzymałam to dla ciebie.

- Mia... - Pocałowała go lekko i przełożyła mu łańcuszek przez głowę. - Na szczęście, kuzynie.

Harding ponownie złożył wizytę Remingtonowi. Zaplanował już

podróż. ustalił listę zadań, ale przed wyjazdem chciał jeszcze raz spotkać się z Evanem.

Czuł, że łączy go z nim jakiś osobliwa więź. Ta świadomość oburzała go i nęciła zarazem. Remington był swego rodzaju potworem. A jednak...

Czyż w każdym człowieku nie czai się bestia? Ludzie zdrowi, cywilizowani. a Harding za takiego się uważał, powstrzymują ją. Panują nad nią.

Sądził, że tym samym inni. ci, którzy jej pobbłazają, stają się niezwykle fascynujący.

Tłumaczył sobie, że regularne wizyty u Remingtona są częścią jego pracy. Działaniem zawodowym. Ale w rzeczywistości zdawał sobie sprawę, że te spotkania ze złem zaczynają go ekscytować.

Od piekła dzieli nas tylko jeden krok, myślał, porządkując w głowie notatki, by skrócić sobie czas oczekiwania. Jedynie ucząc się od tych, którzy upadli, możemy zrozumieć, co czeka nas samych, gdybyśmy znaleźli się po drugiej stronie bariery oddzielającej zdrowych od chorych psychicznie.

Wszedł do pokoju odwiedzin; usłyszał szczęk zamka. Czy to właśnie jest ostatni odgłos, jaki słyszy człowiek, który znalazł się po drugiej stronie? - zapisał w myślach. Odbierający nadzieję trzask zasuw.

Remington nie był tym razem skrupowany pasami. Hardingowi powiedziano wcześniej, że po leczeniu i rehabilitacji pacjentowi pozwolono na pewną swobodę ruchów. Nie przejawiał agresji ani w

stosunku do innych, ani względem siebie, a podczas poprzednich spotkań okazywał chęć współpracy.

Pokój był niewielki i prawie pusty. Stół i dwa krzesła. Pasy wprawdzie Remingtonowi zdjęto, Harding dosłyszał jednak metaliczny brzęk łańcucha kajdanek na jego prawym nadgarstku. W kącie stało trzecie krzesło, zajęte teraz przez barczystego strażnika o ziemistej cerze.

Kamery ochrony rejestrowały każdy dźwięk i ruch.

Piekło, pomyślał Harding, bez względu na to, co to słowo znaczy, odbiera prywatność i źle się kojarzy.

- Dzień dobry panu.

- Evan. - Uśmiechnął się. Trudno było w tej twarzy dostrzec jakiegokolwiek oznaki szaleństwa. - Chyba już możemy zrezygnować z oficjalnej formy. Będę mówił do pana Jonathan. Jesteś jedyną osobą, która przychodzi ze mną porozmawiać. Podobno była tu moja siostra. Ale nie pamiętam. Pamiętam ciebie.

Głos był spokojny, bardzo wyraźny. Hardinga przeszył dreszcz. Przypomniał sobie, jak wyglądał i jak zachowywał się Remington podczas ich pierwszego spotkania.

Nadal był szczupły, nieco zbyt blady, włosy miał w strąkach. Hardingowi przyszło jednak do głowy, że gdyby go z powrotem ubrać w garnitur od dobrego krawca i zawieźć do Los Angeles, jego wspólnicy zapewne uznaliby po prostu, że jest przepracowany.

- Dobrze wyglądasz, Evan.

- Bywało lepiej, lecz trzeba brać pod uwagę warunki. - W jego

policzku drgnął mięsień. - To nie jest miejsce dla mnie. Moi adwokaci zawalili sprawę. Ale już się tym zająłem. Poradziłem sobie. Głupie, niekompetentne dupki. Wyrzuciłem ich. Za tydzień będę miał nowego pełnomocnika. I zaraz potem stąd wyjdę.

- Rozumiem.

- Tak sędzę. - Remington nachylił się do przodu, potem jego spojrzenie powędrowało w kierunku kamery ochrony. - Myślę, że rozumiesz. Bronilem siebie i swojej własności. - Wpatrzył się w Hardinga i w tym momencie jakby coś... ciemnego mignęło za bezbarwną wyblakłą powierzchnią oczu.

- Zostałem zdradzony i oszukany. To ci, którzy są przeciw mnie, powinni tu się znaleźć. Nie ja.

Harding nie spuszczał z niego wzroku, nie chciał zerwać tego kontaktu.

- Twoja była żona?

- Moja żona - poprawił go Remington i wyszeptał z uśmiechem:
- Póki śmierć nas nie rozłączy. Kiedy ją spotkasz, powiedz jej, że o niej myślę, dobrze?

- Słucham?

- Nie skończysz tego, co zacząłeś, nie osiągniesz celu, jeżeli nie dotrzesz do niej i do całej reszty. - Remington wolno pokiwał głową; jego wodniste oczy nadal wpatrywały się w Hardinga. - Mam mnóstwo czasu na myślenie. Potrzebuję kogoś, kto przypomni jej, że pamiętam. Kto pokaże im wszystkim, że nie wolno mnie lekceważyć. Potrzebuję agenta. Odpowiada ci to?

- Panie Remington, Evan, jestem reporterem. Pisarzem.

- Wiem, kim jesteś. Wiem, czego chcesz. Sławy, majątku, uznania. Szacunku. Wiem, jak możesz do tego dojść. Na tym polega moja praca, że zdobywam to wszystko dla innych. Ty chcesz zostać gwiazdą, Jonathanie. A ja stwarzam gwiazdy.

W jego oczach znów coś mignęło, jak rekin nurkujący w głębokim basenie. Harding wzdrygnął się, ale nie mógł oderwać spojrzenia. Czuł, jak jego ciało ogarnia chłód, coś go wciągało. Oddech stawał się coraz krótszy, a w piersi pojawił się przerażający ucisk.

- Mam zamiar napisać książkę.

- Tak, tak. Ważną książkę. Opowiesz to tak, jak należy.

Zakończysz ją tak, jak powinno to się zakończyć. Chcę, żeby zostali ukarani. - Wolną ręką ścisnął bezwładne palce Hardinga. - Chcę, żeby zginęli.

Coś trzasnęło i zaskwierczało w powietrzu, strażnik zerwał się na nogi.

- Żadnego kontaktu.

- Niech szeszna czarownice - powiedział głucho Harding. Na twarzy Remingtona pojawił się okrutny uśmiech.

- Żadnych fizycznych kontaktów - powtórzył strażnik, podchodząc do stołu. Ale Evan już cofnął rękę.

- Przepraszam. - Spuścił głowę. - Zapomniałem. Chciałem tylko uścisnąć mu dłoń. Przychodzi tu. Rozmawia ze mną.

- Pożegnaliśmy się po prostu. - Hardingowi zdawało się, że

słyszcy z oddali swój własny, blaszany głos. - Ruszam w podróż i przez jakiś czas nie będę tu przyjeżdżał. Muszę iść. - Wstał niepewnie.

Między oczami czuł ból, który rozsadzał mu czaszkę.

Remington po raz ostatni podniósł na niego wzrok.

- Zobaczymy się jeszcze.

- Oczywiście. Pozwolił się wyprowadzić. Ze zwieszoną głową, powłócząc nogami, grzecznie poszedł do swojej celi. W jego sercu, jak cuchnący kwiat, rozkwitała ponura radość. Właśnie odkrył, że szaleństwo daje moc.

Kiedy Jonathan Harding znalazł się już na promie płynącym na Wyspę Trzech Sióstr, z trudem odtwarzał w myślach ostatnią wizytę u Remingtona. Złościło go to, niepokoił się, że coś zaczyna w nim nawalać. Zawsze był dumny ze swojej zdolności zapamiętywania szczegółów. A teraz wydarzenie sprzed zaledwie ośmiu godzin jawiło mu się jak niewyraźna scena oglądana przez zamgloną szybę.

Nie pamiętał, o czym rozmawiali, poza tym, że w pewnym momencie poraził go oślepiający ból głowy. Czuł się tak źle, że musiał położyć się na siedzeniu samochodu i odczekać, aż miną dreszcze, ból i mdłości. Dopiero wtedy odważył się sięść za kierownicą.

Nawet w tej chwili wzdrygał się na to wspomnienie. Nie poprawiło mu samopoczucia wzburzone morze i ostry, marznący deszcz. Skulił się w samochodzie i ssał tabletki przeciw chorobie morskiej.

Śmiertelnie się bał, że będzie musiał biec w tym okropnym

deszczu i wymiotować za burtę.

Na wszelki wypadek znów położył się w poprzek fotela, starając się oddychać powoli i równomiernie. Zaczął liczyć minuty dzielące go od chwili, gdy znowu poczuje pod stopami stały ląd.

Musiał chyba zasnąć.

Śniły mu się węże wślizgujące się pod skórę, pełzały w nim, a ich dotyk był lodowaty.

Kobieta o niebieskich oczach i drugich złotych włosach krzyczała boleśnie i błagalnie, kiedy uderzał ją laską, raz za razem.

Teraz jest spokojna. Cicha. Nasienie szatana.

Błękitna błyskawica jak strzała wypadła z nieba i uderzyła go w serce.

Śnił o strachu, zemście i nienawiści.

O pięknej kobiecie w białej sukni. Płakała, wijąc się po marmurowej posadzce.

O ciemnym lesie pod księżycem w nowiu. Stał tam, trzymając nóż przy gładkiej, białej szyi. A kiedy go nacisnął i trysnęła krew. świat eksplodował. Rozstąpiło się niebo, morze rozwarło szeroko i pochłonęło wszystkich, którzy wystąpili przeciw niemu.

Krzyk uwiązł mu w gardle - obudził się, bijąc się po ciele, jakby chciał zabić coś, co pełzało gdzieś w nim. Przez ułamek sekundy patrzył z przerażeniem w lusterko wsteczne.

Spoglądały na niego obce, wodniste oczy.

W tym momencie syrena obwieściła ostrym rykiem, że prom przybił do przystani na Wyspie Trzech Sióstr. Harding wyciągnął

chusteczkę, żeby obetrzeć spoconą twarz. Tym razem oczy w lusterku były zaczerwienione, udręczone i niewątpliwie jego własne.

Po prostu drobna infekcja, uspokajał się. Ciężka praca, ciągłe podróże i zbyt częste przekraczanie stref czasowych. Zrobił sobie dzień czy dwa odpoczynku, żeby organizm doszedł do siebie.

Pokrzepiony tym pomysłem, zapiął pas i włączył silnik. Zjechał z pochylni na Wyspę Trzech Sióstr.

Szalała wichura. Drugiego dnia sztormu Mac wynurzył się spomiędzy swoich aparatów i rozejrzał wokół siebie. Przysłano mu kolejną partię książek i części zamienne do kilku urządzeń. Cały niewielki stół kuchenny zawałony był częściami miernika. Na bufecie stał uszkodzony monitor, z którego Mac powyciągał, co się dało.

W kuchni wciąż unosił się zapach przypalonej rankiem jajecznicy; musiał przyznać, że nie należało jej robić, kiedy umysł zajęty był czymś całkiem innym.

Rozbił też szklanę. I porządnie rozciął sobie piętę, gdyż w roztargnieniu nie od razu zmiotł potłuczone szkło.

Zamienił cały domek w laboratorium, co wcale nie było takie złe. Ale nie mając asystentki, która by po nim sprzątała, doprowadził go do opłakanego stanu.

Absolutnie nie przeszkadzało mu, że w takich warunkach pracuje, natomiast z pewnością trudno tak mieszkać.

Domek jest zbyt mały, by przez dłuższy czas służył mu za mieszkanie i pracownię, tym bardziej więc nie wystarczy dla...

Ripley, pomyślał natychmiast. Nie był jeszcze gotów użyć słowa „żona”. Nawet w duchu.

Nie, żeby nie chciał się z nią ożenić, bo przecież chce. I nie dlatego, żeby wątpił, czy Ripley się zgodzi. Postanowił tylko czekać, aż sama do tego dojrzeje. Będzie równie cierpliwy, jak ona jest uparta.

Ale wszystko w należytej kolejności.

Kiedy mężczyzna postanawia osiąść gdzieś na stałe, musi znaleźć odpowiednie miejsce. Mały domek się do tego nie nadaje, bez względu na to, jak bardzo go polubił. Poza tym najprawdopodobniej Mia nie zechce go sprzedać.

Wstał i udało mu się nie tylko nadepnąć na śrubę, ale stanąć na nią akurat skaleczoną niedawno piętą. Klął i kuśtykał w poszukiwaniu butów, które, jak mu się zdawało, już dawno włożył na nogi.

Znalazł je w drzwiach do sypialni, gdzie najwyraźniej ulokowały się cichaczem, w nadziei, że potknie się o nie, przechodząc.

Trzymając je w ręku, zajrzał do sypialni. Skrzywił się.

Raczej nie był niechlujem. Okej, przyznał, raczej chciałby nim nie być. Tak po prostu wyszło.

Zapomniał o butach i podwinął rękawy. Posprząta sypialnię i wykorzysta pracę fizyczną, by odświeżyć umysł. Musi pomyśleć o domu.

Powinien być dość duży, by aparatura nie zawadzała, albo przynajmniej w minimalnym stopniu. Oczywiście, konieczna będzie pracownia.

Nie całkiem pewien, kiedy ostatnio zmieniał pościel, postanowił

wykazać nadmierną staranność i ściągnął powłoczkę.

Dobrze byłoby znaleźć pomieszczenie na sprzęt do ćwiczeń. Zbierając skarpetki, koszule i bieliznę, doszedł też do wniosku, że i Ripley będzie chciała mieć jakieś miejsce dla siebie. Coś, dokąd będzie mogła uciec, kiedy on zacznie doprowadzać ją do szału.

Matka nazywała taki swój kątek lukim ratunkowym, przypomniał sobie z rozbawieniem i pomyślał, że musi zadzwonić do domu.

Zawłókł pranie do małego schowka za kuchnią; po drodze omal nie nadepnął na tę samą śrubę i wepchnął wszystko do pralki. Wsypał proszek, po czym stwierdził, że powinien zapisać, jakie elementarne warunki musi spełniać przyszłe lokum. Zaczął szukać notesu i zapomniał włączyć pralkę.

Trzy sypialnie, co najmniej. Lepiej cztery.

Dom blisko wody. Nie znaczy to, że gdziekolwiek na wyspie było do niej daleko, ale Ripley przywykła do mieszkania tuż koło plaży, więc...

Brooke, idioto. Przecież już go widziałeś. Wiesz, że to ten, wiedziałeś o tym od razu.

Rzucił się do telefonu, a bogowie okazali mu litość, pozwalając ominąć porzuconą śrubę. Zadzwonił do informacji międzymiastowej.

- Proszę o numer w Nowym Jorku - powiedział telefonistce. - Logan i spółka.

Godzinę później, chcąc uczcić pierwszy krok na drodze do własnego domu, wyszedł, nie zważając na zawieję. Thaddeus Logan nie skakał pod sufit, słuchając jego oferty, ale też jej nie odrzucił.

Pomogło to, że Logan znalazł ojca MacAllistera. Grunt to znajomości, myślał Mac, pogwizdując pod nosem. Zamiast ryzykować jazdę roverem po oblodzonych ulicach, postanowił pójść do kawiarni piechotą.

Miał dobre przeczucia i był przekonany, że Logan zgodzi się na negocjacje. Przyszło mu do głowy, że powinien też w tej sprawie zadzwonić po radę do ojca. Jednego był pewien: jeśli czegoś za mocno chcesz, a druga strona o tym wie, sam się prosisz, żeby cię oskubano.

Postanowił zorientować się w cenach nieruchomości na wyspie i nieco nieprzytomnie klepał się po kieszeniach w nadziei, że znajdzie tam jakiś skrawek papieru do notatek.

Chodzi nie tyle o pieniądze, ile o zasadę. Wyobrażał też sobie, że gdyby dał się nabrać. Ripley by się wściekła. Byłby to kiepski początek całej sprawy.

Jutro, obiecał sobie, przejedzie się tam i na nowo, dokładnie, obejrzy ich przyszłą siedzibę.

Zachwycony tym pomysłem szedł wolno, schylając głowę przed wirującą w powietrzu obrzydliwą mieszaniną śniegu i lodu, i przed wichrem, który wył w uszach.

Jak on wygląda, pomyślała Ripley. Dookoła zawierucha, a ten maszeruje nie wiadomo po co. Nie patrzy dokąd; wybrał się na spacer, jakby to był słoneczny dzień w środku lata.

Tym facetem ktoś musi się zająć.

Chyba ona.

Ruszyła w stronę Maca, po czym, oceniając czas i odległość, stanęła w miejscu. Zgodnie z jej przewidywaniem wpadł prosto na nią.

- Jezu! - Ponieważ w przeciwieństwie do Ripley zupełnie nie był na to spotkanie przygotowany, pośliznął się. Chwycił ją odruchowo i oboje stracili równowagę. - Przepraszam. Ripley śmiała się. Kuksnęła go, lekko, po przyjacielsku.

- Ile razy średnio wpadasz na ścianę w ciągu dnia?

- Nie liczę. Rany, jesteś demoralizująco śliczna. - Znów ją chwycił, ale tym razem stał pewnie. Uniósł ją na palce i długo, ciepło pocałował.

Zrobiło się jej słodko.

- Nie tyle śliczna, ile mokra i zziębnięta. Mam czerwony nos i przemarzniete na kość palce u nóg. Spędziliśmy właśnie z Zackiem okropną godzinę na nadbrzeżu. Awaria linii wysokiego napięcia, samochody w rowach i drzewo zwalone na dach warsztatu Eda Suttera.

- Przyjemna robota.

- No. Podejrzewam, że najgorzej będzie jutro - powiedziała, spoglądając, jak wszyscy wyspiarze od wieków, na morze i niebo. Miały kolor ołowiu. - Na razie musimy zrobić porządek z tym, co już jest. Co ty właściwie, do diabła, robisz na dworze? Wysiadł ci prąd?

- Był kiedy wychodziłem. Zachciało mi się porządnej kawy. - Wskazał kierunek, z którego się wyłoniła i w którym zmierzała. - Szłaś sprawdzić, co u mnie?

- Na tym polegają moje obowiązki wobec mieszkańców naszej małej, szczęśliwej wysepki.

- To bardzo ładnie z pani strony, pani władzo. Mogę zaprosić panią na kawę?

- Z przyjemnością. Dziesięć minut w jakimś ciepłym i suchym miejscu.

Wziął ją za rękę i poszli pod wiatr przez High Street.

- Kupię trochę zupy, może coś jeszcze i wezmę do domu. Zjemy później u mnie kolację. Co ty na to?

- Słaba jest szansa, że w domku prąd będzie przez całą noc. My mamy generator. Spakuj to, co najpotrzebniejsze, i przenieś się na noc do nas.

Zerknął z ukosa; piwne oczy wyrażały nadzieję.

- Nell zrobi kolację?

- A kto?

- Będę. - Pchnięciem otworzył przed nią drzwi. Lulu jak spod ziemi wyłoniła się zza regałów.

- Powinnam wiedzieć, że to para wariatów. Normalni ludzie siedzą w domu i narzekają na pogodę.

- A ty czemu nie?

- Bo akurat wariatów jest na tej wyspie wystarczająco dużo, żeby otworzyć lokal. Kilku siedzi na górze w kawiarni.

- Też tam idziemy. Nell poszła do domu?

- Jeszcze nie. Mia ją zwolniła, ale ta się uparła. Nie wiem, po co w takim razie Peg ma przychodzić. Zamykamy wcześniej, za jakąś

godzinę.

- Cenna informacja. Na schodach Ripley ściągnęła przemoczoną czapkę.

- Zrobisz coś dla mnie? - spytała.

- Jasne.

- Możesz tu się pokręcić do zamknięcia i dopilnować, żeby Nell bezpiecznie wróciła do domu?

- Z przyjemnością.

- Dzięki. Zdejmujesz mi ciężar z serca. Powiem Zackowi, żeby się nie denerwował.

- Poproszę ją, żeby poszła ze mną do domku i pomogła mi zabrać parę rzeczy.

Ripley rzuciła mu uśmiech.

- Sprytny jesteś, co?

- Tak mówią. - Trzymał ją za rękę, kiedy podchodzili do lady.

- Zack dzwonił przed chwilą - przywitała ich Nell. - Okropny dzień, prawda?

- Taki teren. Daj mi dwie duże kawy na wynos, zaniosę mu jedną. Ten facet stawia - dodała, pokazując kciukiem na Maca.

- Dla mnie też duża, ale na miejscu. I... czyżby to była szarlotka?

- Owszem. Zjesz kawałek na gorąco?

- Z rozkoszą. Ripley oparła się o ladę, odruchowo lustrując kawiarnię.

- Lepiej będzie, jeśli cię uprzedzę, że zaprosiłam wygłodzonego Maca na kolację z noclegiem.

- Będzie zapiekanka z kurczaka. Macowi rozbłyły oczy.

- Domowa? Nell ze śmiechem nakładała pokrywki na kubki z kawą na wynos.

- Nietrudno ci dogodzić. Ripley ściszyła głos.

- Kim jest ten typ, sam przy stoliku? - spytała. - Brązowy sweter, miejskie półbuty.

- Nie wiem. Widzę go tu pierwszy raz. Wydaje mi się, że mieszka w hotelu. Przyszedł jakieś pół godziny temu.

- Rozmawiałaś z nim? Nell podniosła oczy w górę, krojąc porządny kawał szarlotki dla Maca.

- Rozmawiałam z nim bardzo życzliwie. Przyplłynął promem kilka dni temu, kiedy tak wiało z północnego wschodu. Ludzie tu przyjeżdżają, Ripley.

- Tyle tylko, że to dziwna pora dla mieszczuchów na podróże. W hotelu też nie ma żadnych zjazdów w interesach. No dobrze. - Zabrała kubki przygotowane przez Nell. - Dzięki. Do rychłego - powiedziała do Maca i obroniłaby się przed pocałunkiem, gdyby nie miała zajętych rąk.

- Uważaj na siebie. - Wyciągnął z jej kieszeni czapkę i wcisnął jej na głowę.

Harding obserwował tę scenę spoza gazety, którą przyniósł ze sobą z hotelu. Znał Ripley Todd ze zdjęć w swoim archiwum. Podobnie zresztą Nell. Jego reakcja, kiedy je zobaczył, była co najmniej dziwna.

Spodziewał się podniecenia, a może radości, gdy wreszcie uda

mu się spotkać na żywo kolejnych bohaterów wydarzeń. Tymczasem na widok obu kobiet poczuł się wręcz... chory. Kiedy stanął na szczycie schodów i zobaczył Nell urzędującą za ladą, ogarnęła go ślepa wściekłość.

Z trudem odwrócił się i przeszedł za regały, by ochłonać. Pocił się straszliwie. Wyobraził sobie, jak jego dłonie zaciskają się na jej szyi.

Przeżycie było tak intensywne, że omal nie wyszedł z kawiarni, lecz minęło równie szybko, jak się pojawiło. Poza tym pamiętał o celu podróży.

Reportaż. Książka. Sława i pieniądze.

Mógł wreszcie podejść do lady i ze spokojem zamówić lunch. Postanowił poświęcić dzień albo dwa na obserwację Nell i całej reszty, zanim spróbuje z nimi porozmawiać.

Już i tak stracił trochę czasu. Przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny pobytu na wyspie męczyła go jakaś zaraza, nie wiadomo gdzie i kiedy złapana. Mógł właściwie tylko leżeć w łóżku, dręczony wyrazistymi i niemiłymi snami.

Tego popołudnia poczuł się jednak lepiej. Prawie normalnie.

Wciąż jestem osłabiony, tłumaczył sobie. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Ale zjem coś, poćwiczę ciało i umysł, i odzyskam formę.

Zupa na pewno dobrze mu zrobiła - przynajmniej do chwili wejścia tej brunetki.

W tym momencie wróciło obrzydliwe samopoczucie. Ból głowy,

nieuzasadniona wściekłość. Zobaczył coś bardzo dziwnego - kobieta o czarnych włosach celowała w niego z pistoletu, krzyczała, a on chciał zerwać się i bić ją pięściami po twarzy.

I zaraz drugi obraz - ta sama kobieta. Wyłania się nad nim w burzy, z rozwianymi włosami, rozjaśnionymi światłem na końcach, z mieczem w dłoni, lśniącym jak srebro.

Dzięki Bogu, że wyszła i razem z nią zniknął też dziwny nastrój.

A jednak, podnosząc do ust łyżkę, zauważył, że ręka wciąż mu drży.

Zack kończył rozmowę przez telefon. Ripley przyniosła mu kawę; popijała swoją, chodząc po pokoju i słuchając jego uspokajających informacji o sztormie, postępowaniu w razie awarii i o ewentualnej pomocy medycznej.

Ktoś nowy, pomyślała. Przypuszczalnie Carterowie, którzy sprowadzili się na wyspę we wrześniu. Tylko oni mieszkają tu na tyle krótko, że mogą wpaść w panikę z powodu zimowego sztormu.

- Justine Carter - potwierdził Zack, odkładając słuchawkę. - Roztrzęsiona.

- Albo się przyzwyczai, albo będzie musiała wynieść się stąd przed następną zimą. Słuchaj, zaproponowałam Macowi, żeby przyszedł do nas wieczorem. Na pewno wyłączą prąd.

- Dobra myśl.

- I poprosiłam go, żeby posiedział w kawiarni do wyjścia Nell oraz dopilnował, by bezpiecznie wróciła do domu.

- Jeszcze lepszy pomysł. Dzięki. O co chodzi?

- Może ja też jestem roztrzęsiona. - Uśmiechnęła się niewyraźnie. - Intryguje mnie facet, którego tam widziałam. Nie potrafię powiedzieć dlaczego. Z miasta. Nowe buty, zadbane ręce, ubranie z bardzo dobrego sklepu. Pod pięćdziesiątkę. Mocnej budowy, ale kiepsko wygląda. Błady i spocony.

- Grypa o tej porze roku to rzecz normalna.

- Taa, pewnie. Chyba wpadnę do hotelu i spróbuję się czegoś dowiedzieć.

Zack ufał instynktowi Ripley, dlatego wskazał ręką telefon.

- Zadzwoń i oszczędź sobie kolejnej wyprawy przy takiej pogodzie.

- Nie, więcej zdziałam osobiście. Poczułam coś dziwnego, Zack. Facet siedział, czytał gazetę i jadł lunch, a ja dostałam dreszczy. Muszę to sprawdzić.

- Okej. Daj mi znać.

ROZDZIAŁ 16

Hipotezy, długie, staranne kalkulacje, dobrze przemyślane kroki. Nauka, nawet ta spoza oficjalnego, głównego nurtu. Wszystko to było Macowi doskonale znane. Dawało szansę nowych odkryć i świetnie wpływało na jego samopoczucie.

Po raz pierwszy od chwili, gdy wkroczył na tę drogę, stracił spokój. Podejmowanie ryzyka nigdy nie stanowiło dla niego specjalnego problemu, bez ryzyka nie da się osiągnąć żadnych wartościowych rezultatów. Ale teraz wchodził coraz głębiej w przedziwny, fascynujący świat. I nie był w tej podróży sam.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? Nell podniosła wzrok w górę, na Maca, który pochylał się nad jej głową.

- Tak.

- Nie chciałbym, żebyś czuła się do czegoś zobowiązana. - Umocował kolejną elektrodę. - Nie myśl, że powinnaś wyświadczać grzeczność pomyłonemu facetowi. Jedno twoje słowo, a zapomnimy o całej sprawie.

- Mac, po pierwsze, wcale nie uważam, że jesteś pomyłony. Po drugie, to nie jest kwestia grzeczności. Mnie to interesuje.

- To dobrze. - Okrążył kanapę, na której wyciągnęła się Nell, i popatrzył na nią. Czuł, że jest osobą otwartą. - Będę ostrożny. Ale w każdej chwili, kiedy zechcesz, zatrzymam się. Tylko powiedz.

- Rozumiem, w porządku. - Dołeczki w jej twarzy stały się wyraźniejsze. - I przestań się o mnie martwić.

- Nie chodzi tylko o ciebie. - Widząc jej pytające spojrzenie,

przejechał dłonią po włosach. - Wszystko, co w tej chwili robię, a poniekąd i to, czego nie robię, wiąże się z Ripley. W gruncie rzeczy brak w tym logiki. Ale ja to wiem. Skąd? Nie mam pojęcia.

- Wiele was łączy - powiedziała miękko Nell. - Mnie i ją także. Żadne z nas jej nie skrzywdzi. - Położyła rękę na jego dłoni. - Ale jest bardzo prawdopodobne, że oboje będziemy robić rzeczy, które ją zaniepokoją. Myślę, że musimy nad tym panować.

- Sądzę, że tak. Okej, więc... - Wykonał nieokreślony ruch dłońmi, w których trzymał dwie elektrody. - Powinienem to założyć... Wiesz, trzeba kontrolować pracę serca...

Spojrzała na mały biały plaster, a potem znów w górę, na twarz Maca.

- Ach.

- Jeśli to cię krępuje albo razi, możemy po prostu pominąć ten etap. Patrzyła badawczo w jego oczy i doszła do wniosku, że jedynym mężczyzną, któremu ufa bardziej niż temu, co to tu, w tej chwili stara się nie wyglądać na zażenowanego, jest jej własny mąż.

- Skoro się powiedziało A - stwierdziła i rozpięła bluzkę. Był szybki, sprawny i delikatny.

- Odpręż się i leż swobodnie. Zanotujemy dane w stanie odpoczynku.

Odwrócił się do swoich urządzeń, które ściągnął tu z domku. Właściwie nie zamierzał ich zabierać ani robić żadnych eksperymentów; w każdym razie jeszcze nie teraz. Ale kiedy Nell przyszła z nim do żółtego domku, zasypała go pytaniami - najpierw,

jak mu się zdawało, zdawkowymi - a później zaczęła dociekać i wdała się w szczegóły...

Zanim zdolali się zorientować, już dyskutowali o fizycznych reakcjach towarzyszących uprawianiu magii. O obrazach fal mózgowych, płatach mózgu, tętnie. I Nell zgodziła się na przeprowadzenie serii testów.

- Gdzie nauczyłaś się gotować?

- U mamy. Po śmierci taty otworzyła własną firmę cateringową.

Wtedy zaczęło mnie to interesować.

Wyregulował potencjometr i obserwował jego wskazania.

- Myślałaś o otwarciu restauracji?

- Krótko. Nie mam ochoty na dużą firmę, nie chcę żadnych ograniczeń. Lubię catering i pracę u Mii. Bawię się, kiedy wypróbuję nowe pomysły. Uważam, że powinniśmy... że Mia powinna - poprawiła się ze śmiechem - odrobinę rozszerzyć działalność. Kilka stolików na powietrzu w sezonie. Może klub kulinarny. Chcę z nią o tym pogadać, kiedy już sama wszystko dokładnie przemyślę.

- Masz głowę do interesów.

- Ach, oczywiście. - Powiedziała to bez cienia dumy. -

Zajmowałam się tym w firmie mojej mamy. Lubię pracę organizacyjną.

- I twórczą. Twoje gotowanie to praca twórcza. Dołeczki Nell znów drgnęły z zadowolenia.

- Miło, że tak uważasz.

- To talent, podobnie jak twoja moc. - Aparatura pracowała równomiernie. Mac sprawdził zapis EKG i zanotował coś szybko na laptopie. - Ciekaw jestem, kiedy odkryłaś swój dar magii. Wydaje mi się, że Mia wiedziała o nim od urodzenia.

- Tak. Mówiła mi o tym.

- Ripley też.

- Nie rozmawialiśmy wiele na ten temat, ale myślę, że w jej przypadku było podobnie. Świadomość od zawsze.

A poczucie ciężaru odpowiedzialności, zastanowił się, też od zawsze?

- Jak to wygląda u ciebie?

- Odkrycie i stopniowa nauka. Kiedy byłam dzieckiem, śniło mi się o miejsce, ludzie, których miałam spotkać. Ale nigdy nie uważałam tego za... nie wiem... wspomnienia czy przepowiednie. Później, gdy Evan... - Zaciśnęła dłonie, lecz po chwili je rozluźniła, jakby nakazała sobie odprężenie. - Zapomniałam o nich, a może zepchnęłam do podświadomości. Kiedy odeszłam, miałam tylko jeden, wyraźny cel: uciec, znaleźć się daleko. I wtedy sny zaczęły wracać.

- Bałaś się ich?

- Nie, wcale nie. Najpierw były pociechą, potem stały się potrzebne. Pewnego dnia zobaczyłam obraz z latarnią morską, klifem, domem Mii i postanowiłam tam dotrzeć. To było... przeznaczenie. Wiesz, co to znaczy odkryć w końcu miejsce przeznaczone dla ciebie?

Pomyślał o domu nad zatoczką.

- Wiem. Bardzo dobrze wiem.

- W takim razie rozumiesz, że doznałam nie tylko ulgi, ale i wstrząsu. Tamtego dnia, w czerwcu, wjechałam na prom i kiedy zobaczyłam pierwszy skrawek wyspy, pomyślałam: tutaj. Nareszcie. Tu jest moje miejsce.

- Poznałaś je.

- Coś we mnie je poznało. Poza tym po prostu tęskniłam. A potem spotkałam Mię i tak się zaczęło.

Nadal kontrolował wskazania urządzeń i choć rozmowa go wciągnęła, jego mózg beznamiętnie analizował wszystkie zmiany i zygzaki wykresów.

- To ona była twoim cicerone?

- Tak, choć oczywiście powie, że tylko mi wszystko przypominała. - Nell roześmiała się cicho i odwróciła głowę, żeby popatrzeć na Maca. Jak wspaniale wygląda, pomyślała. Spokojny, opanowany. No i głos ma ciepły, przyjazny. - Pierwszy raz, kiedy pomagała mi w czarach, poruszyłam powietrze.

- Co wtedy czułaś?

- Zdumienie, podniecenie. Tak jakbym skądś ten stan znała.

- Mogłabyś to powtórzyć teraz?

- Teraz?

- Jeżeli nie robi ci to różnicy. - Na twarzy Maca pojawił się swobodny uśmiech, ale Nell zauważyła czujne spojrzenie.

Obserwował ją. - Nic wielkiego... Nie musisz suwać meblami. Jakiś maleńki ruch dla urozmaicenia moich wyników.

- Jesteś bardzo interesującym mężczyzną, Mac.

- Słucham?

- Jakiś maleńki ruch dla urozmaicenia twoich wyników - zachichotała. - Nic dziwnego, że Ripley ma bzika na twoim punkcie.

- Co?

- Proszę bardzo. Maleńki ruch w powietrzu, odrobinka zamieszania stąd dotąd. Leciutka bryza na życzenie tego pana.

Najpierw oszalała aparatura. Mac notował wzrost tętna i zmiany w obrazie fal mózgowych. Chwilę później wszystkie odczyty osiągnęły niebotyczną wysokość. Jednocześnie zawirowało powietrze.

- Fantastyczne. Patrz na wykres! Wiedziałem. To nie tylko wzrost aktywności mózgu. To ekspansja zdolności twórczych.

Wyobraźni. Niebywałe.

Nell znów zachichotała i powietrze się uspokoiło. Już nie jesteś tak opanowany, doktorku.

- Czy o coś takiego ci chodziło?

- Jeszcze wiele wody upłynie, zanim potwierdzę moje teorie.

Mogłabyś zrobić coś jeszcze? Bardziej skomplikowanego? Nie żebym uważał, że to, co tu widziałem przed chwilą, to małe piwo - dodał szybko. - Ale myślę o czymś, co wymaga większego wysiłku.

- O czymś bardziej spektakularnym?

- Otóż to.

- Niech się zastanowię - mruknęła, zamykając oczy. Po chwili jej usta leciutko się wygięły. Chciała go zaskoczyć, dlatego w myślach wymówiła zaklęcie, słodkie, zachwycające wezwanie.

Tym razem efekt był szybszy i większy. Linia zapisu EKG miotła się szerokimi, gwałtownymi ruchami. Nagle pokój ożył od muzyki harf, fujarek i fletów. Wypełniła go cała tęcza kolorów i delikatny zapach wiosny.

Mac ledwie nadażał z rejestrowaniem zmian. Gorączkowo upewniał się, że urządzenia wszystko zapisują, sprawdzał kamerę, monitory, prawie tańczył wokół aparatury EKG.

Obiekt jego badań uśmiechał się z kanapy.

- Podoba ci się?

- Kurczę, rewelacja. O, przepraszam. Czy możesz to jeszcze utrzymać przez minutę? - Skontrolował miernik energii i spojrzał na nią. - Tak na marginesie, to jest naprawdę śliczne.

- Nie mogę się już doczekać wiosny.

- Ja też, zwłaszcza po ostatnich dniach. - Oddech przyspieszony, ale nie za bardzo. Tętno wyraźne, równe. Wysilek fizyczny wygląda na minimalny. Hmm, praca serca wraca do poziomu spoczynku. Czy uspokoiło je samo użycie mocy, czy jego rezultat?

- Rezultat - odpowiedziała. Zamrugał i popatrzył na Nell, bystro, uważnie.

- Co powiedziałaś?

- Mówiłeś do siebie, ale sądzę, że znam odpowiedź. - Zaśmiała się cicho na widok Diega, który wpadł do pokoju, próbując złapać tęczę. - To zakłęcie uspokaja. Odpręża mnie.

- Taak? - Mac, zaintrygowany, usiadł obok niej na podłodze. W powietrzu nadal unosił się dźwięk łkającej harfy. - Czy to znaczy, że

zaklęcia i czary mają wpływ na twoje reakcje fizyczne?

- Właśnie tak.

- A więc, na przykład, tamtej nocy na polanie reakcje były potężniejsze, stosownie do tego, co robiłyście... I dlatego, że byliście wszystkie razem.

- Zawsze jest to silniejsze, gdy jesteśmy we trójkę. Czuję się wtedy, jakbym mogła przenosić góry. A później jestem naładowana energią przez kilka godzin.

Przypomniał sobie, jak wyładowała swoją energię Ripley, i odchrząknął.

- Okej. Jak to się dzieje, że możesz podtrzymywać ten stan, skoro rozpraszam cię rozmową?

Oślupiała na chwilę.

- Nigdy o tym nie myślałam. Sprytnie to zrobiłeś, nie miałam pojęcia, że mnie rozpraszasz. Niech się zastanowię, może... - zaczęła.

- Nie, to nie jest dokładnie tak. Raczej jakbym mogła robić dwie różne rzeczy w tym samym czasie.

- Coś w rodzaju poklepywania się po głowie jedną dłonią i jednocześnie kręcenia kółek na brzuchu drugą.

- Nie. - Pomysł ją rozśmieszył. - Raczej... Jakbyś wstawił do piekarnika pieczeń, a sam nakrywał do stołu. Możesz pamiętać o pieczeni, żeby jej nie spalić, ale jesteś w stanie swobodnie robić w tym czasie coś innego.

- Sześć razy dziewięć?

- Pięćdziesiąt cztery. Aa, rozumiem, funkcje lewej półkuli

mózgowej. W liczeniu jestem dobra.

- Powiedz alfabet od końca. Zmrużyła oczy, skoncentrowała się. Zaczynała się parę razy, cofała, wahała, ale muzyka i kolory w pokoju nie osłabły ani na chwilę.

- Masz łaskotki? Po twarzy Nell przemknął cień nieufności.

- Dlaczego pytasz?

- Chcę spróbować zakłócenia fizycznego. - Zaciśnął dłoń na jej kolanie. Krzyknęła i szarpnęła się, dokładnie w chwili, gdy Zack i Ripley stanęli w drzwiach.

- Co się tu, u diabła, dzieje? Na dźwięk głosu Ripley Mac skrzywił się i sklął samego siebie.

Stracił rachubę czasu. Uświadomił też sobie, że wciąż trzyma dłoń na kolanie Nell, a jej mąż nosi broń. Cofnął rękę.

- Uhm.

- Na pierwszy rzut oka - odezwał się Zack, mrugając porozumiewawczo do Nell - ten facet dobiera się do mojej żony. - Schylił się i potarł łeb Lucy, która weszła do domu razem z nim, a teraz węszyła w powietrzu i machała ogonem. - Wydaje mi się, że powinienem wyprowadzić go na dwór i dać mu kopa.

- Zgadza się - wymamrotała groźnie Ripley, co uprzytomniło Macowi, że ona też jest uzbrojona.

- Ja, och... Nell zgodziła się na kilka testów - zaczął.

- To niezupełnie tak - poprawiła Nell. Mac zrobił się błydy jak ściana. Zmiana była tak nagła, a widok tak żalospny, że zachłysnęła się śmiechem. - Zgłosiłam się na ochotnika.

- Czy byłabyś łaskawa zakończyć rozrywkową część programu?
- Głos Ripley brzmiał chłodno.

- W porządku. - Nell przerwała czar i w pokoju zapanowała absolutna cisza.

- No więc... - Zack zaczął zdejmować kurtkę. - Co dostaniemy na kolację?

- Jeśli mi pomożesz... - Nell była raczej rozbawiona niż przejęta sztyletami w oczach Ripley. - Jak tylko zdołam się wyplątać z tych drutów...

- Och, przepraszam. Pozwól... - Mac wyciągnął ręce w stronę elektrod, które rejestrowały pracę serca, i cofnął je natychmiast jak oparzony. - Nikt nie strzelił mi w plecy? - mruknął do Nell.

- Mogę obiecać, że Zack nie. Drażnił się tylko.

- Jego się nie boję. - Najdelikatniej jak mógł, uwolnił ją i dyskretnie odwrócił wzrok, kiedy zapinała bluzkę.

- To było zabawne - powiedziała, wstając. - I pouczające. Zack, pomożesz mi w kuchni?

Ponieważ stał w miejscu i uśmiechał się, podeszła do niego i chwyciła go za rękę.

- Teraz!

- No dobrze. I nie zobaczę uciech scenki - narzekał, kiedy wypychała go z pokoju.

- Brooke, spróbuj wytłumaczyć mi, dlaczego nie powinnam ci przyłożyć?

- Może dlatego, że przemoc nigdy nie jest sensownym rozwiąza-

niem?

Odpowiedziała niskim, groźnym pomrukiem. Przestał wyłączać aparaty i odwrócił się do niej.

- Okej, wiem, że jesteś wściekła, i to z kilku powodów, w każdym razie tak mi się wydaje. No to zacznę po kolei. Nie było tu żadnych gierki między mną i Nell. Czysty profesjonalizm.

- Chłopcze, gdybym sądziła, że jest inaczej, ryczałbyś jak osioł.

- Och. Potrafisz naprawdę... - Urwał, widząc, jak jej oczy zamieniają się w wąskie szparki. - Nic takiego. Chcę tylko powiedzieć, że doceniam twoje zaufanie.

- Zamknij się.

- W porządku. - Zdjął okulary, żeby widzieć ją lepiej, a także uchronić je na wypadek, gdyby postanowiła posłać go na deski. - Jesteś zła, że przyniosłem tutaj sprzęt i przeprowadzałem testy z Nell.

- Bingo. Zaprosiłam cię tu, do mojego domu. To nie jest żadne pieprzone laboratorium.

- To także dom Nell - zauważył. - Nie przyniósłbym tu niczego bez jej zgody.

- Namówiłeś ją.

- Czasem namawiam, jeśli to konieczne - odpowiedział łagodnie.

- Tym razem nie musiałem. Prawda jest taka, że to ona była zainteresowana. Poznaje siebie, także w ten sposób. Przykro mi, że to cię denerwuje; obawiałem się, że tak będzie. Gdybym popatrzył na zegarek, skończyłbym przed waszym powrotem do domu.

- Ach, więc ukrywałbyś to przede mną? Coraz lepiej. Nie

wytrzymał.

- Trudno cię przekonać. Nie, nigdy nie kryłem się przed tobą ze swoją pracą i teraz też nie miałem takiego zamiaru. Natomiast staram się szanować twoje uczucia, robię to zresztą od początku.

- No to dlaczego...

Przerwał jej, podnosząc palec w górę.

- Problem polega na tym, że to moja praca i musisz sobie z tym faktem jakoś poradzić. Z drugiej strony, to twój dom, a moja obecność tutaj w takich okolicznościach cię irytuje. A więc przepraszam. Za kwadrans to zniknie, nic nie zostanie. Powiem Nell, że na kolację wpadnę innym razem.

- Och, przestań. Nie bądź taki zasadniczy. Teraz w jego oczach pojawił się błysk.

- Wiesz, Ripley, czepiasz się i wszystko komplikujesz. Odwrócił się, żeby zdjąć kamerę ze statywu. Ripley złapała się za własne włosy i szarpnęła je aż do bólu, który pozwolił jej oprzytomnieć.

- Może i tak. Nie prosiłam cię, żebyś wychodził.

- A o co?

- Nie wiem! Wracam do domu po wykańczającym dniu. Jestem zmęczona, rozdrażniona i wpadam prosto na ciebie, kiedy odprawiasz swoje zwariowane naukowe obrzędy, i to z Nell, która najwyraźniej nie tylko z tobą współpracuje, ale jeszcze jest tym cholernie zachwycona. Mam ochotę na piwo i na gorący prysznic, a nie na awanturę.

- Jasne. Mogę cię tylko przeprosić za fatalnie wybrany moment.

Co nie zmienia faktu, że robię swoje i nie ma w tym nic złego.

- Nie, nie zmienia. - Ale uzmysłowiła sobie, że naskoczyła na niego właśnie z tego powodu. I że Mac tego się spodziewał.

Po pierwsze, okazała się jędzą. Po drugie, było to do przewidzenia. Poniżająca świadomość.

- Pominąłeś jeszcze jeden powód. Pakował aparat, zamykał laptopa.

- Mianowicie?

- Chcę wiedzieć, dlaczego mnie nie spytałeś.

- Nie mogłem cię spytać, czy nie masz nic przeciwko temu, żebym przeprowadził testy z Nell, ponieważ nie było cię w domu.

- Nie, dlaczego nie spytałeś mnie, czy sama nie zgodziłabym się poddać takim próbom. - Wzruszyła ramionami, widząc, że przestał się zbierać i patrzy na nią. - Myślę, że to niegrzecznie zwracać się najpierw do Nell, a nie do mnie.

W pierwszej chwili wydało mu się, że ją uraził, ale zaraz potem pomyślał, że może zmieniła taktykę.

- Zgodziłabyś się?

- Nie wiem. - Westchnęła. - Ale zastanowiłabym się nad tym. Ty jednak nie spytałeś.

- Mówisz poważnie, czy tylko korzystasz z okazji i wykręcasz kota ogonem, żebym wyszedł na idiotę?

Nie było wątpliwości, że choć Mac czasami sprawia wrażenie świra, jego umysł pracuje jak skalpel, który jednym cięciem przecina każde krętactwo.

- Rola idioty ma pewne dobre strony. Nie powinnam była napadać na ciebie w ten sposób, no i atakować twojej pracy. Przykro mi.

- Teraz znowu przepraszasz. Muszę usiąść.

- Nie wyciągaj zbyt daleko idących wniosków, mój panie. - Usta Ripley drgnęły; podeszła do Maca i oparła ręce na jego ramionach.

- Przynieś dwa piwa i kiedy będę brała gorący prysznic, wytłumaczysz mi, do czego to wszystko służy. Może pozwolę ci wypróbować to na mnie.

- Dobrze. - Dotknął jej dłoni, zanim zdążyła je cofnąć. - Ale jeszcze o coś chcę cię spytać. Dlaczego doszłaś do takiego wniosku właśnie teraz?

- Bo jest tak, jak powiedziałeś. To twoja praca, twoje sprawy. Szanuję cię. Mac. Wygląda więc na to, że będę musiała zacząć szanować także to, co robisz.

Żadne wyrazy uznania, zawodowe czy naukowe, nie dostarczyły mu takiej satysfakcji jak to z trudem wywalczone oświadczenie. Wstał i ujął w dłonie jej twarz.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo. Nadal jesteś idiotą.

- Oczywiście. - Poczul, jak jej usta wyginają się w uśmiechu pod jego wargami.

- Nauka o zjawiskach paranormalnych...

- Zaraz, zaraz, nie nadążam, i to już na starcie - poskarżyła się.

- Dla mnie to jest prostu sprzeczność.

Siedzieli w jej sypialni; Ripley ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, Mac przy swojej aparaturze.

- Dawno temu astronomii też nie uważano za naukę. Jeśli nauka nie przekracza zaakceptowanych ram, nie szuka nowych możliwości, popada w stagnację. Stojąc w miejscu, niczego nie poznamy.

- To między innymi nauka i wykształcenie sprawiły, że magia, którą kiedyś akceptowano, została potępiona, a potem wyśmiana i zlekceważona.

- Masz rację, ale dodałbym do tego ciemnotę, nietolerancję i strach. Natomiast wiedza i wykształcenie mogą za jakiś czas odwrócić ten proces.

- Polowali na nas i zabijali. Nas i mnóstwo innych. Słyszał w jej głosie zimną wściekłość i palący strach.

- Nie możesz tego wybaczyć?

- A ty mógłbyś? - Poruszyła się niespokojnie. - Nie roztrząsam tego stale, ale warto pamiętać, czym się kończy wytykanie palcami.

- Boisz się tego, co może nastąpić, gdy ludzie z zewnątrz zaczną przyglądać się zbyt blisko?

- Ja sobie dam radę. Tak jak radziły sobie siostry. Wiesz, ile czarownic powieszono w Salem, Mac? Ani jednej - odpowiedziała, zanim zdążył otworzyć usta. - Kobiety, które tam zginęły, nie były czarownicami. To niewinne, bezbronne ofiary.

- Dlatego jesteś gliną - stwierdził. - Postanowiłaś chronić niewinnych i bezbronnych, bo podobni do nich kiedyś nie znaleźli obrony.

Chciała coś powiedzieć, lecz tylko westchnęła.

- Nie trzeba być super bohaterem, żeby utrzymać porządek na Wyspie Trzech Sióstr.

- Ale nie tylko o to chodzi, prawda? Ty chronisz, Nell żywi, a Mia kształci, sprowadzając książki. Każda z was trzech postanowiła robić co w jej mocy, by zaleczyć stare rany. Dbać o równowagę.

- To wszystko jest dla mnie trochę za mądre. Uśmiechnął się, przesunął delikatnie dłonią po jej włosach i schylił się, by podłączyć przewody. Ten zwykły, czuły gest rozluźnił ją całkowicie.

- Poddawano cię kiedykolwiek hipnozie? Znów się usztywniła.

- Nie. Dlaczego? Obejrzał się na nią. Na moment, przelotnie.

- Chciałbym spróbować. Mam doświadczenie.

- Nie robiłeś tych kretyństw z Nell.

- Pominę słowo „kretyństw”. Nie, nie stosowałem hipnozy w testach z Nell. Nie chciałem jej do tego namawiać. Ale ciebie i mnie łączą inne stosunki i, mam nadzieję, inny stopień zaufania. Nie zrobię ci krzywdy.

- Wiem. Zresztą w moim przypadku to pewnie i tak nic nie da.

- Także i to chciałbym sprawdzić. To prosta sprawa, oparta na technikach relaksacyjnych. I całkowicie bezpieczna.

- Nie boję się...

- Dobrze. Położysz się?

- Chwilkę. - Panika ścisnęła jej gardło. - A dlaczego nie chcesz zwyczajnie powtórzyć tych samych badań, które robiłeś z Nell na dole, przed kolacją?

- Mógłbym, ale chciałbym dodać kilka innych testów, jeśli się zgodzisz. Po pierwsze, ciekaw jestem, czy twoje zdolności czynią cię bardziej, czy mniej podatną na hipnozę i czy w tym stanie zdołasz zademonstrować swoją moc.

- Weź pod uwagę fakt, że mogę wtedy nie panować nad wszystkim. Kiwnął głową i lekko popchnął ją na łóżko.

- To dopiero byłoby interesujące, co?

- Interesujące. Jezu! Już zapomniałeś, jak Mia spaliła jedną z twoich zabawek, kiedy wpadła w gorszy humor?

- To było świetne. Ale nie zrobiła mi krzywdy - przypomniał jej.

- Ty też nie zrobisz. Za chwilę cię podłączę. Tłumaczyłem ci, jak działa urządzenie.

- Tak.

- Musisz ściągnąć sweter. Z pogardliwym uśmieszkiem spojrzała w kamerę.

- I potem sobie z innymi świrami oglądacie te taśmy na swoich męskich wieczorkach?

- Oczywiście. Nie ma nic lepszego jak wideo z półnągą kobietą, żeby przerwać nudę roboty w laboratorium. - Pocałował ją w czoło przed umocowaniem pierwszej elektrody. - Ale tę zatrzymam w osobistej skrytce.

- Zboczeniec.

- Kurczę, dzięki. Nie będzie ci zimno?

- Nie, w porządku. Powtarzał całą procedurę już raz przeprowadzaną z Nell.

Swobodnie zadawane pytania, kontrola i zapis funkcji organizmu w stanie odpoczynku. Drobną zmianą nastąpiła w chwili, gdy poprosił Ripley o jakieś zwykłe, proste zakłucie. Niepokój, zanotował. Nie czuła się całkiem swobodnie, otwierając się na działanie mocy.

Spełniła jednak jego prośbę i światła w sąsiedniej łazience błysnęły na moment i zgasły.

- Robiłam to, jak byliśmy mali, żeby powkurzać Zacka, kiedy stał pod prysznicem - wyznała z uśmiechem.

- Zrób coś większego, trudniejszego. Serce Ripley pracowało nieco szybciej niż serce Nell. Mac uznał to znów za dowód niepokoju. Ale obraz fal mózgowych był, co znamienne, bardzo podobny.

Stuliła dłonie i podniosła je. Zobaczył kulę światła, która wystrzeliła pod sufit. Po niej następna i jeszcze jedna. Uśmiechnął się, widząc, jak układają się w górze.

- Boisko baseballu, pole wewnętrzne, zapole, dziewięciu graczy.

- Do pałkarza - powiedziała, posyłając kolejną kulę do mety domowej. - To też robiłam w dzieciństwie. I chyba mi tego brakowało - uświadomiła sobie - kiedy nie mogłam albo nie chciałam spać.

Zobaczmy, jak mu się spodoba szybka piłka.

Małe błękitne światło wystrzeliło ze stanowiska miotacza. Rozległ się trzask, wybuch i w powietrzu rozlało się światło.

- Jest! Meta! Spróbujemy tripla. Mac, zapominając o aparaturze, usiadł w nogach łóżka i patrzył zachwycony, jak Ripley rozgrywa całą zmianę.

- Nie przerywaj - poprosił. - Ile miałaś lat, kiedy po raz pierwszy zorientowałaś się, jakie posiadasz zdolności?

- Nie wiem. Chyba były od zawsze. Dwóch wyautowanych.
Gładko idzie.

- Grałaś kiedykolwiek na prawdziwym boisku?

- Oczywiście. Korner. Mam dobry rzut. A ty?

- Nie. Byłem niezdarą. Podziel osiemdziesiąt cztery przez dwanaście.

- Wyautowany! Co podzielić? To matma. Nienawidzę matmy. -
Zmarszczyła czoło. - Nie mówiłeś, że będzie quiz.

- Strzelaj - powiedział, wstając, by sprawdzić wskazania urzędzeń.

- Przez dwanaście dzieli się beznadziejnie. Znów niecelny narzut. Pierwsza meta za darmo. To jest sześć, nie. zaczekaj. Cholera. Siedem. Siedem razy dwa jest czternaście, jeden dalej. Siedem. I co z tego?

Przebiegł go lekki dreszcz podniecenia, ale w głosie słychać było tylko rozbawienie.

- Wytężyłaś trochę swoją lewą półkulę, ale zmieściłaś się w normie.

Wyrecytowała alfabet od końca. Mac nie bardzo wiedział, co ten fakt mówi o jej umyśle i osobowości, lecz wskazania urzędzeń utrzymywały się na stałym, wysokim poziomie.

- Okej, przerwij zaklęcie.

- Ale mam właśnie zmianę.

- Później do tego wrócimy.

- Zaczynam się czuć jak w szkole - jęknęła, jednak znów otworzyła ręce i ściągnęła światła w dół. Zniknęły.

- Musisz się odprężyć. Nabieraj powietrze przez nos, wypuszczaj pomalą ustami. Wolne, głębokie oddechy.

Już zamierzała wyduć wargi na znak niezadowolenia z przerwy w zabawie, gdy spojrzała na Maca. Zobaczyła to samo, co wcześniej widziała Nell. Chłodne, spokojne opanowanie.

- Jestem wystarczająco zrelaksowana.

- Oddychaj. Ripley. Licz uderzenia serca. Powoli, głęboko, swobodnie.

Usiadł na brzegu łóżka obok niej, sprawdził tętno.

- Rozluźnij palce stóp.

- Co mam rozluźnić?

- Palce stóp. Potrzebują relaksu, uwolnienia od napięcia.

- Nie jestem spięta. - Poczul jednak skok tętna. - Jeżeli to jest twój wstęp do hipnozy, nic z tego nie będzie.

- No to nie będzie. - Obserwując twarz Ripley, przesunął palce w zagłębienie jej łokcia i z powrotem na nadgarstek. Delikatne, równomierne uderzenia. - Rozluźnij stopy. Pracowały niemal cały dzień. Pozwól im pozbyć się napięcia. Kostkom też.

Mówił cichym, łagodnym głosem. Czula na skórze cudowny, lekki dotyk jego palców.

- Rozluźnij łydki. Jakby ciepła woda przepływała przez ciało i zmywała napięcie. Twój umysł się odpręża. Usuń z niego wszystko,

niech się oczyści. Kolana są luźne, uda też. Pomyśl o miękkim, białym polu. Jest puste, przyjemne dla oka. Wzrok odpoczywa.

Wyciągnął spod koszuli wisiołek i dwukrotnie owinał go sobie wokół ręki.

- Wdychaj spokój, wyrzuć z siebie napięcie. Jesteś bezpieczna.

Po prostu unosisz się.

- Czy nie powinieneś powiedzieć mi, że robię się śpiąca?

- Cśśś. Oddychaj. Patrz na wisiołek. Tętno Ripley znów skoczyło, kiedy umieścił wisiołek na wysokości jej oczu.

- To Mii.

- Odpręż się. Skoncentruj. Jesteś bezpieczna. Wiesz, że możesz mi zaufać.

Zwilżyła usta.

- I tak nic z tego nie wyjdzie.

- Wisiołek jest na tle białej ściany. Tylko tyle widzisz, tylko to. Rozjaśnij swój umysł. Popatrz na wisiołek. Słuchaj mojego głosu. Tylko to masz słyszeć.

Usypiał ją stopniowo, delikatnie, aż powieki Ripley zaczęły opadać. Pograżyła się w głębokim śnie.

- Obiekt jest wyjątkowo podatny na hipnozę. Reakcje organizmu w normie, wskazania typowe dla transu. Ripley, czy mnie słyszysz?

- Tak.

- Pamiętaj, że jesteś bezpieczna i nie musisz robić niczego, na co nie masz ochoty. Jeżeli poproszę cię o coś, czego nie chcesz, powiedz: nie. Rozumiesz?

- Tak.

- Czy możesz poruszyć powietrze?

- Tak.

- Zrobisz to? Ostrożnie. Uniosła ręce, jakby chciała kogoś objąć, i powietrze nad nimi przepłynęło miękką falą.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Nie umiem określić. Szczęśliwa i pełna obaw.

- Obaw o co?

- Za bardzo tego chcę, za wiele chcę.

- Przerwij czar - rozkazał. To nie fair zadawać jej pytania tego rodzaju, uprzytomnił sobie. Nie wyraziła na to zgody przed hipnozą. - Pamiętasz światła? Baseballowe światła? Możesz je przywołać?

- Nie powinnam się bawić, kiedy pora spać - powiedziała; jej głos zmienił się nieznacznie, był teraz młodszy i figlarny. - A jednak się bawię.

Patrzył na nią, mniej na światła, które wysyłała w górę, pod sam sufit.

- Podmiot powrócił do przeszłości z własnej woli, bez wyraźnego polecenia. Stan ten wyzwoliła przypuszczalnie zabawa z czasów dzieciństwa.

Jako naukowiec chciał kontynuować eksperyment, ale jako człowiek nie mógł wykorzystywać tej sytuacji.

- Ripley, nie jesteś małą dziewczynką. Chcę, żebyś pozostała tu i teraz.

- Bawiłyśmy się z Mią. Gdybym nie musiała dorosnąć, wciąż

byłybyśmy przyjaciółkami. - Mówiła nadąsanym tonem, wydymając wargi, jak wtedy, gdy kazał jej przerwać zabawę światłem.

- Musisz zostać tu i teraz. Wydała długie westchnienie.

- Tak, jestem tu.

- Czy mogę dotknąć któregoś ze światel?

- Nic ci się nie stanie. Nie skrzywdzę cię. - Świetlista kula, ściągnięta w dół, drżała nad jej dłońmi.

Przesunął palcem po idealnym kole.

- Piękna - szepnął. - To, co jest w tobie, jest piękne.

- Coś ciemnego też jest. - Przy tych słowach ciało Ripley wygięło się, a światła rozprysły po pokoju jak gwiazdy.

Mac odruchowo uchylił się. Świetliste kule przenikliwie gwizdały i pulsowały krwawą czerwienią.

- Przerwij czar.

- Coś tu jest. - Miała teraz oczy szeroko otwarte, patrzyła wprost na niego. - To przybyło polować. Żywić się. - Włosy Ripley zaczęły zwijać się w niesamowite sploty. - To wróciło. Po trzykroć.

- Ripley. - Światła przepływały obok twarzy Maca, gdy rzucił się w jej stronę. - Przerwij czar. Chcę, żebyś przerwała czar i wróciła - powtórzył. - Będę liczył od dziesięciu do jednego.

- Musisz pokazać jej drogę.

- Zabieram ją z powrotem. - Mac ścisnął ramiona, które nie były już ramionami Ripley. - Ty nie masz prawa jej zabierać.

- Ona należy do mnie, a ja do niej. Pokaż jej drogę. Pokaż jej drogę. Nie może wybrać mojej, bo zginiemy.

- Ripley, skup się na moim głosie. Na moim głosie. - Musiał użyć całej siły woli, by brzmiał on łagodnie. Stanowczo, lecz spokojnie. - Teraz wracaj. Kiedy doliczę do końca, obudź się.

- On przynosi śmierć. Pragnie jej.

- Nie dostanie - wybuchnął Mac. - Dziesięć, dziewięć, osiem. Budzisz się powoli. Siedem, sześć. Będziesz czuła się odprężona i świeża. Pięć, cztery. Wszystko zapamiętasz. Jesteś bezpieczna. Wróć teraz, obudź się, Ripley. Trzy, dwa, jeden.

Widział, jak powraca, nie z głębin podświadomości, ale fizycznie. Kiedy zatrzepotała powiekami, światła zniknęły i w sypialni zapanował spokój.

Odetchnęła, przełknęła ślinę.

- Co za syf - wydusiła i w następnej chwili była już na kolanach Maca, który miażdżył ją w swoich ramionach.

ROZDZIAŁ 17

Nie pozwalał jej odejść, nie mógł wyzbyć się poczucia winy, że tak zaryzykował. Nic, co do tej pory widział, przeżył albo wyobrażał sobie, nie przeraziło go w takim stopniu jak widok Ripley, która zmieniała się na jego oczach.

- Wszystko w porządku. - Poglaskała go po plecach, poklepała, a kiedy uświadomiła sobie, że oboje drżą. zarzuciła mu ręce na szyję i mocno się przytuliła. - Ze mną okej. Potrząsnął głową i ukrył twarz w jej włosach.

- Powiniennem dostać kulę w łeb. Ponieważ delikatne metody uspokajania nie zdawały egzaminu, Ripley zmieniła taktykę, przechodząc do działań bliższych jej naturze.

- Otrząśnij się. stary - poleciała i popchnęła go. - Przecież nic się nie stało.

- Uspiełem cię i naraziłem na niebezpieczeństwo. - Odchylił głowę i wtedy w jego oczach zobaczyła nie strach, lecz wściekłość.

- Bolało cię. Widziałem. Wtedy odeszłaś.

- Nie, nie odeszłam. - Ta chwila pozwoliła jej już zastanowić się, co czuła. Skręcony żołądek. Coś przeniknęło do niej, do środka. Nie, pomyślała, to nie całkiem tak. Coś się zdarzyło. - Byłam tutaj - mówiła powoli. Sama próbowała rozwiązać tę zagadkę. - Jakby pod wodą. Nie tonęłam, tylko... unosiłam się. To nie bolało. Najpierw krótki szok, a potem już płynęłam. - Ściągnęła brwi, w skupieniu odtwarzając minione sceny. - Nie mogę powiedzieć jednak, żeby mi to przypadło do gustu. Nie podoba mi się, że ktoś inny mówi przeze

mnie.

- Jak się czujesz teraz?

- Dobrze. Prawdę mówiąc, wspaniale. Przestań już badać mi tętno, doktorze.

- Pozwól, że pozdejmuję to - zaczął usuwać elektrody, ale w tym momencie Ripley zacisnęła dłoń na jego nadgarstku.

- Zaczekaj. Co z tego wszystkiego wynika, według ciebie?

- Przestroga - wycedził. - Muszę być ostrożniejszy.

- Nieprawda. Myśl naukowo, tak jak wtedy, gdy zaczynaliśmy.

Powinieneś być obiektywny, prawda?

- Do cholery z obiektywizmem.

- Och. - Poruszyła brwiami w nadziei, że wywoła uśmiech na twarzy Maca. - Jesteś strasznie seksowny, jak się wściekasz. Ale poważnie. Nie możemy po prostu wyrzucić wyników testu przez okno. Powiedz mi. Chcę wiedzieć. - Westchnęła, kiedy na nią spojrział ze zmarszczonym czołem. - To już nie tylko twoja sprawa. Jestem osobiście zainteresowana tym, co tu się działo.

Ma rację. Dlatego zmusił się do spokoju.

- Co zapamiętałaś?

- Chyba wszystko. Przez chwilę byłam ośmioletnią dziewczynką. To było dość fajne.

- Zaczęłaś cofać się w przeszłość, sama. - Przycisnął palce do oczu. Myśl jasno, nakazał sobie. Odłóż na bok emocje. I daj jej jakąś odpowiedź. - Mógł to być stan wyzwolony zabawą - zastanawiał się. - Jeśli oczekujesz natychmiastowej analizy, powiedziałbym, że wróciłaś

do czasów, gdy nie istniał w tobie wewnętrzny konflikt.

Podświadomie chciałaś przywołać lata, kiedy wszystko było prostsze, a ty nie zapierałaś się sobie. Cieszyłaś się swoimi zdolnościami i korzystałaś z nich.

- Taa. I przez jakiś czas... Sztuką; choć ty zapewne nazwałbyś to doskonaleniem. - Niespokojnie wzruszyła ramionami. - A potem troszkę podrosłam i zaczęłam myśleć o odpowiedzialności. O konsekwencjach.

Położył rękę na jej policzku.

- I to wszystko cię trapi.

- No, sprawy nie są teraz tak proste, prawda? Dla mnie przestały być takie dziesięć lat temu.

Milczał, obserwując ją cierpliwie. Na końcu języka miała jakieś słowa, które dopiero po chwili popłynęły wartkim strumieniem.

- Widywałam w snach, co może się zdarzyć, jeżeli zrobię o jeden krok za daleko. Jeśli nie ograniczę się, nie będę ostrożna. - Mocno zacisnęła oczy. - A czasami w tych snach czułam się pysznie. Wspaniale było robić, co chcę i kiedy chcę. Pieprzyć wszystkie zasady.

- Ale nigdy tak nie postąpiłaś - powiedział cicho. - Za to skończyłaś z magią.

- Kiedy Sam Logan zostawił Mię, była wrakiem człowieka. Zastanawiałam się, dlaczego, do diabła, nie odpłaciła mu pięknym za nadobne? Niechby sukinsyn poniósł karę. Niechby cierpiał tak, jak ona cierpiała. Myślałam o tym, co ja bym zrobiła na jej miejscu. Co

mogłabym zrobić. Nikt nie skrzywdziłby mnie w ten sposób, bo gdyby spróbował... - Zadrzała. - Wyobraziłam sobie to i zanim zdołałam się zorientować, z nieba trysnęła smuga światła. Czarna smuga światła, z ostrzem strzały. Zatopiłam łódź Zacka - powiedziała z nikłym uśmiechem. - Nikogo w niej nie było, ale to przypadek. On mógł tam być, a ja nie potrafiłabym niczego zatrzymać. Zero opanowania, wyłącznie gniew.

Położył rękę na jej nodze, rozcierał ją.

- Ile lat wtedy miałaś?

- Niecałe dwadzieścia. Ale to bez znaczenia - stwierdziła ostro. - Wiesz, że to bez znaczenia. „I nikomu niech nie stanie się krzywda”. To jest najistotniejsze, a ja nie mogę być pewna, że dotrzymam tej przysięgi. Boże, Zack był w tej przeklętej łodzi kwadrans przed tym, jak to się zdarzyło. Nie myślałam o nim, w ogóle nie interesował mnie wtedy ani on, ani nikt inny. Po prostu oszalałam.

- I dlatego wyrzekłaś się swojego daru, i przyjaciółki.

- Musiałam. Jedno bez drugiego było niemożliwe. Te rzeczy są połączone ze sobą jak bliźniaki. Mia nigdy nie zrozumiałaby tego ani nie zaakceptowała... I, kurczę, nigdy nie przestałaby mnie dręczyć.

Poza tym byłam na nią wściekła, bo... - Starła łzę i głośno wypowiedziała to, do czego nie przyznawała się nawet przed sobą. - Czułam jej ból, jakby to mnie bolało, czułam go fizycznie. Jej żal i desperację. Rozpaczliwą miłość do niego. Nie mogłam tego wytrzymać. Byłyśmy sobie zbyt bliskie i nie mogłam tak żyć.

- Było ci równie trudno jak jej. Może nawet trudniej.

- Chyba tak. - Wydała z siebie długie, drżące westchnienie. -
Nigdy nikomu nie mówiłam o tym ani słowa. Proszę, niech to
pozostanie między nami.

Kiwnął głową, a kiedy dotknął ustami jej warg, poczuł ich
ciepło.

- Wcześniej czy później będziesz musiała porozmawiać o tym z
Mią.

- W takim razie później. - Pociągnęła nosem i energicznie
wytarła twarz. - Idźmy dalej, dobrze? Czy raczej do tyłu. Zdobyłeś
swoje zapisy i taśmę - ruchem głowy wskazała aparaturę. - Nie
sądziłam, że uda ci się mnie uspić. Nie doceniałam cię jednak. To było
odprężające, nawet przyjemne. - Odrzuciła do tyłu swoje gęste włosy.
- I wtedy...

- Co wtedy? - podjął natychmiast. Nie musiał zerkać na
maszyny, żeby zauważyć przyspieszony oddech i zorientować się, że
serce Ripley też pracuje teraz szybciej.

- To było tak, jakby coś czaiło się do skoku. Boże, to brzmi
dramatycznie. - Śmiała się, ale w obronnym geście przyciągnęła do
siebie kolana. - To nie była ona. To było coś... innego.

- To zadało ci ból.

- Nie, ale usiłowało. Potem ześliznęłam się pod wodę, a ono było
powierzchnią. Nie potrafię tego inaczej opowiedzieć.

- Zupełnie dobrze.

- Nie wiem, co w tym dobrego. Nie mogłam nad tym
zapanować, tak jak wtedy z łodzią Zacka. Ani nad tym, co zaczęłam

dziś wieczorem ze światłami. Jakaś część jej osobowości była we mnie... I wydawało mi się, że ona też nie potrafi nad tym zapanować. Jakby moc została uwięziona gdzieś pośrodku. Łatwa do zagarnięcia - wymamrotała i poczuła, że ciarki chodzą jej po skórze. - Nie chcę tego nigdy więcej.

- Okej, skończmy. - Wziął ją za rękę, uściskał i spojrzał w oczy.

- Wszystko się ułoży. Kiwnęła głową, lecz wiedziała, że jej nie zrozumiał. Nie chciała tego więcej. Ale bała się, bardzo się bała, że nie będzie miała żadnego wyboru. Coś nadchodziło. I ona będzie musiała coś z tym zrobić.

Otulił ją jak dziecko; nie protestowała. Kiedy przyciągnął ją do siebie, żeby pocieszyć w ciemności, udawała, że śpi. Gdy pogłaskał jej włosy, poczuła w oczach palące łzy.

Gdyby była zwykłą kobietą, jej życie mogłoby tak właśnie wyglądać, myślała z goryczą. W ciemności przytulałby ją do siebie mężczyzna, którego kocha.

Zwykła rzecz. A jest wszystkim.

Gdyby go nigdy nie spotkała, żyłaby sobie przyjemnie dalej, jak dotąd. Od czasu do czasu kilka miłych chwil z facetem, który akurat obudziłby jej zainteresowanie i fantazję. Nie wiadomo, czy jeszcze kiedykolwiek użyłaby swojej mocy. Ale jej serce byłoby wolne.

Gdy je komuś oddajesz, ryzykujesz nie tylko ty sam. Narazasz na ryzyko także tego, kto je dostał.

Jak mogła?

Znużona dręczącymi myślami, zamknęła oczy, wtuliła nos w

Maca i zapadła w sen.

Znów szalał sztorm. Siekł plażę lodowatymi biczami. Zamienił morze w huczącą, wściekłą otchłań. Błyskawica rozcięła niebo, skruszyła je jak szkło. Z jego szczątków trysnął czarny deszcz, miotany straszliwym wiatrem.

Sztorm ryczał. A ona nad nim panowała.

Przepełniała ją moc, pulsowała cudownie w mięśniach i kościach. Oto energia potężniejsza niż wszystko, co do tej pory знаła, co mogła sobie wyobrazić.

I ta siła tkwiąca w koniuszkach jej palców pozwoli na zemstę.

Nie. Na sprawiedliwość. Nie jest zemstą szukanie kary za wyrządzone zło. Ani wymierzanie jej z chłodnym, jasnym umysłem.

Ale jej umysł nie był jasny. Wiedziała o tym, mimo że ogarniał ją gniew. I bała się tego.

Przeklinała samą siebie.

Spojrzała w dół, na człowieka, który kulił się u jej stóp. Czym jest moc, jeśli nie można jej użyć, by naprawić krzywdy, powstrzymać zło i ukarać niegodziwość?

- To, co chcesz zrobić, przyniesie gwałt. I brak nadziei. Jej siostry stały w kręgu, ona na zewnątrz. W ich oczach widziała żal i smutek.

- Mam do tego prawo!

- Nikt nie ma takiego prawa. Jeśli to zrobisz, zniszczysz istotę swojego daru. Duszę tej, którą jesteś.

W oczach czuła łzy. Była zgubiona.

- Nie mogę się zatrzymać.

- Możesz. Tylko ty to możesz. Chodź tutaj i stań z nami. To on właśnie cię zniszczy.

Znów spojrzała w dół i zobaczyła, że twarz mężczyzny się zmienia. Jego rysy wyrażały przerażenie, potem radość, błaganie i wreszcie żądzę.

- Nie. To jego koniec. Wyciągnęła rękę. Piorun uderzył jak strzała, zbiegł do jej palców. Stał się srebrnym mieczem.

- Odbieram ci życie tym, co należy do mnie. By naprawić zło i zakończyć spór. W imię sprawiedliwości uwalniam mój gniew i wkraczam na drogę przeznaczenia. Z tego miejsca, od tej chwili... - Przejęta straszliwym dreszczem, uniosła miecz w górę. Mężczyzna krzychał. - Zakosztuję dojrzałego owocu mojej mocy - wołała. - Krew za krew. Niech się stanie, tak jak chcę.

Gwałtownie cięła mieczem w dół. Mężczyzna uśmiechnął się, gdy ostrze dotknęło jego ciała. I zniknął.

Noc wyła, ziemia się trzęsła. A przez burzę biegł do niej ten, którego kochała.

- Nie zbliżaj się! - zawołała. - Stój! On jednak brnął przez wichurę, wyciągając do niej ręce. Z czubka jej miecza trysnęła błyskawica i ugodziła go prosto w serce.

- Ripley, no, kochanie. Obudź się. To tylko zły sen. Szlochała, a szarpiący ból, który brzmiał w jej płaczu, zaniepokoił go bardziej niż dreszcze.

- Nie mogłam tego zatrzymać. Zabiłam go. Nie mogłam zatrzy-

mac.

- Już po wszystkim. - Ręką macał wokół nocnej lampki, ale wyłącznika nie znalazł. Usiadł więc obok niej, tulił ją i kołysał. - Już minęło. Wszystko w porządku. Obudź się. - Całował wilgotne policzki i skronie.

Ramiona Ripley obejmowały go stalowym uściskiem.

- Mac.

- Tak, kochanie. Jestem tu. Miałaś jakieś koszmary. Zapalić światło i przynieść ci wody?

- Nie, tylko... nie. Potrzyj mnie tak przez chwilę, dobrze?

- Z ochotą. To nie koszmar, myślała, ściskając kurczowo Maca. To wizja łącząca w sobie to, co kiedyś się wydarzyło, z tym, co może być w przyszłości. Rozpoznała tę twarz - twarze - mężczyzny na plaży. Jedną z nich widywała już w snach. Ten człowiek umarł trzysta lat temu. Przeklęty przez tę, którą zwano Ziemią.

Drugą po raz pierwszy zobaczyła w lesie koło żółtego domku. Była to twarz mężczyzny, który przyłożył nóż do gardła Nell.

Trzecią z nich widziała w kawiarni. Człowiek o tej twarzy czytał gazetę i jadł zupę.

Trzy części całości? Trzy kroki ku przeznaczeniu? Boże! Jak się dowiedzieć?

Zabiła ich. Na końcu zobaczyła siebie. Stała pośród burzy, z mieczem w dłoni. Zabiła, bo mogła, bo czuła przymus nie do odparcia.

A cena była przerażająco wysoka.

Widziała Maca, jak biegnie do niej w burzy. To Mac został powalony, ponieważ ona, Ripley, nie była w stanie zapanować nad tym, co w niej tkwiło.

- Nie chcę, żeby tak się stało - szeptała. - Nie chcę.

- Powiedz mi. Opowiedz, co ci się śniło. To pomoże.

- Nie. To pomoże. - Przycisnęła usta do jego warg i zatoneła w pocałunku. - Pieść mnie. Boże. Kochaj się ze mną. Chcę być z tobą. - Tuliła się do niego, aż po jej policzkach znów spływały łzy. - Potrzebuję cię.

Pocieszać, pragnąć, kochać. Ostatni raz. Wszystko, co mogłoby się zdarzyć, wszystko, na co pozwalała sobie w marzeniach, zbierze i skupi w tym doskonałym akcie miłosnym.

Widziała go w ciemności. Każdy rys, każda linia, każde miejsce były wyryte w jej myślach i sercu. Jak mogła zakochać się tak głęboko, tak beznadziejnie?

Nigdy nie wierzyła, że może być do tego zdolna, nigdy tego nie chciała. A jednak tkwiło to w niej boleśnie. Był dla niej początkiem i końcem, i nie znajdowała słów, żeby mu o tym powiedzieć.

A on ich nie potrzebował.

Pochylił się nad nią. Takiej czułości, tak wszechogarniającego uczucia nigdy wcześniej nie doznał. Oszołomiony wyszeptał jej imię. Chciał oddać jej wszystko. Serce, umysł, ciało. Ogrzać ją dłońmi i ustami. Trzymać ją tak, bezpieczną już na zawsze.

Uniosła się i przyciągnęła go. Oddychali w tym samym rytmie. Miłość była jak uczta i każde z nich delectowało się nią powoli.

Delikatna pieśczoć, miękkie muśnięćie warg. Spokojne pożąćanie, które porusza duszę.

Otwarła się, a on wszedł. Ciepło zamknięćie w ciepłe. Poruszali się razem w bezdennej ciemności, nieprzerwanie - rozkosz rozkwitała w nich i dojrzewała.

Starł wargami jej łzy, smakowały cudownie. Ich ręće odnalazły się w mroku i połąćzyły. - Jesteś wszystkim.

Słyszała jego słowa, tkliwość w głosie. Fala, która uniosła ich oboje była miękka jak jedwab.

Ripley przespała resztę nocy w jego ramionach. Bez żadnych snów.

Ranek musiał przyjść. Była na to przygotowana. Trzeba podjąć pewne kroki i postanowiła zrobić je bez wahania, a także - co samej sobie obiecała - bez żalu.

Wymknęła się z domu wcześniej. Ostatni raz rzuciła okiem na Maca, śpiącego spokojnie w jej łóżku. Przez chwilę pozwoliła sobie pomarzyć, jak mogłoby być dalej.

Zamknęła drzwi i już się nie obejrzała.

Słyszała Nell podśpiewującą w kuchni, wiedziała, że Zack wkrótce też wstanie i rozpocznie dzień. Musiała być szybsza.

Wyszła frontowymi drzwiami i pobiegła do miasteczka, na posterunek.

W nocy wiatr i deszcz ustały. Pod czystym niebem powietrze znów było zimne i szczypiące. Szron błyszczał na trawie, na drogach i drzewach. Lśniąćą osłoną pokrywał zaparkowane samochody.

Słyszała uderzenia fal. Przyplływ jest pewnie wciąż wysoki i silny, pomyślała, a woda wyrzuciła na plażę mnóstwo różnych rzeczy.

Ale dziś rano nie odbędzie długiego biegu, który zawsze dawał jej poczucie wolności.

Pod krystaliczną warstwą lodu miasteczko wyglądało jak na obrazku. Wyobrażała sobie, jak budzi się, ziewa, przeciąga i kruszy tę cieniutką powłokę jak skorupkę jajka.

Pewna, że jej dom i wszyscy jego mieszkańcy obudzą się z poczuciem bezpieczeństwa, otworzyła drzwi posterunku.

W środku było zimno, co uświadomiło jej, że działa tylko zasilanie awaryjne. W nocy wyłączono prąd i automatycznie ruszył generator. Oboje z Zackiem będą później musieli odpowiadać na mnóstwo pytań mieszkańców pozbawionych elektryczności.

Ale to później.

Sprawdziła czas i uruchomiła komputer. Bateria pozwoli jej pracować wystarczająco długo, żeby zdobyła, co trzeba.

Jonathan Q. Harding. Podwinęła rękawy i rozpoczęła poszukiwania.

Zwykle policyjne czynności uspokajały ją. Rutyna była jak druga natura. Dzięki krótkiej wizycie w hotelu zdobyła domowy adres Hardinga. A w każdym razie ten, który podał, upomniała siebie.

Sprawdzi wreszcie, kim, u diabła, jest ten facet. Dopiero wtedy będzie mogła rozwikłać zagadkę: jaką rolę ten człowiek pełni w jej osobistym dramacie.

Przeglądała dane pojawiające się na ekranie. Harding, Jonathan

Quincy. Wiek: czterdzieści osiem lat. Rozwiedziony. Bezdzienny. Los Angeles.

- L.A. - powtórzyła i poczuła lekki dreszcz, jak wtedy, gdy w recepcji hotelu podano jej miejsce zamieszkania Hardinga.

Evan Remington był z Los Angeles. Wielu innych ludzi też, skarciła samą siebie, tak jak i poprzedniego dnia. Ale tym razem nie wypadło to zbyt przekonująco.

Oczy jej się zwężiły, gdy przeczytała informację o pracy Hardinga. Reporter prasowy. Sukinsyn.

- Szukasz sensacyjnego reportażu, Harding? - mruknęła. - Nic z tego. Chcesz dotrzeć przeze mnie do Nell i...

Urwała, sapnęła i tupnęła w odruchu gniewu.

Przecież przyjeżdżali tu już inni reporterzy. Durnie, pasożyty, ciekawscy. I ona, i Zack radzili sobie z nimi bez problemów. Z tym będzie tak samo.

Wróciła do danych. Harding nie miał żadnej kryminalnej przeszłości ani kontaktów z policją. Żadnego zaległego mandatu za niewłaściwe parkowanie. Wszystko wskazywało na to, że facet należy do gatunku praworządnych.

Zamyślona odchyliła się na oparcie, bębniąc palcami po stole.

Od czego by zaczęła, gdyby była reporterem z Los Angeles szukającym materiału do takiego tekstu? Chyba najlepiej od rodziny Remingtona. Siostra, przyjaciele, wspólnicy. Główni bohaterowie, wśród nich oczywiście Nell. Co jeszcze? Raporty policyjne, zapewne. Wywiady z ludźmi, którzy znali zarówno Remingtona, jak i Nell.

Wszystko to jednak tworzy tylko tło. Nie da się dotrzeć do sedna sprawy, nie rozmawiając bezpośrednio z głównymi postaciami dramatu.

Ripley złapała słuchawkę, żeby skontaktować się ze szpitalem, w którym umieszczono Remingtona. I stwierdziła, że telefony też nie działają.

- Kurczę. Cholera jasna. - Zerwała się z krzesła i zaczęła chodzić tam i z powrotem po pokoju. Coś ją męczyło. Czy górę wzięła w niej teraz policjantka, kobieta czy czarownica, nie ma znaczenia. Musi dowiedzieć się, czy Harding widział się z Remingtonem.

- Dobra, w porządku. - Nakazała sobie spokój. Przede wszystkim bezwzględne opanowanie i kontrola sytuacji.

Od bardzo dawna nie próbowała lotu. Nie miała przy sobie żadnych narzędzi, które pomogłyby jej skoncentrować energię. I pomyślała, że chciałaby, żeby Mia, ten jeden raz, zaakceptowała fakt, że działa w pojedynkę.

Powoli, nikt jej nie pogania. Zakreśliła krąg. stanęła w środku. Otwierała się.

- Wzywam wszystkie potęgi, ześlijcie mi pomoc. Niech zawiruje wiatr, niech wesprze mnie w locie, niech wasze oczy wspomogą mój wzrok. Moje ciało tu pozostanie, ale duch uniesie się swobodnie. Niech się stanie, tak jak chcę.

Przepłynęło przez nią lekkie drzenie, coś pociągnęło ją w górę i uniosła się, pozostawiając po sobie tylko fizyczną powłokę.

Spojrzała w dół na swój własny kształt - Ripley stojącą w kręgu,

z podniesioną głową i zamkniętymi oczami.

Wiedziała, że nie może zwlekać, bo jest to równie ryzykowne, jak nadmierne upojenie lotem, dlatego skupiła myśli na swoim celu. I poszybowała w górę.

Czuła powiew wiatru, widziała pod sobą morze. Zdawała sobie jednak sprawę, że rozpierająca ją radość jest niebezpiecznym złudzeniem. Nie mogła dać się uspić tą wspaniałą ciszą i kołysaniem, dlatego pozwoliła, by do jej uszu napłynęły dźwięki.

W jej głowie zaszumiały głosy - myśli i słowa całego miasta. Niepokój, radość, gniew i namiętności wymieszały się, tworząc wspaniałą muzykę ludzi.

Ześlizgując się w dół, zaczęła je rozróżniać i znalazła to, czego szukała.

- Noc bez zmian. - Pielęgniarka podała kartę koleżance. Ich myśli łagodnie nakładały się na siebie.

Narzekania, zmęczenie, pamięć o kłótni z mężem i dręczące pragnienie zjedzenia loda.

- Mniej kłopotów sprawia w stanie śpiączki. Dziwne, jak osłabł kilka godzin po wyjściu tego reportera. Przez tyle dni stan był stabilny. Nie tracił świadomości, reagował, a teraz kompletnie co innego.

Pielęgniarki szły korytarzem; jedna z nich wzdrygnęła się, gdy minęła je Ripley.

- Wow. Mam dreszcze. Ripley przeniknęła przez zamknięte drzwi, do pokoju, w którym leżał Remington. Obserwowały go puste

oczy kamer, a aparatura rejestrowała jego funkcje życiowe.

Ripley przyglądała mu się, unosząc się w powietrzu. W stanie śpiączki. uwięziony, pod kluczem. Nie może już wyrządzić zła.

I wtedy Remington otworzył oczy i uśmiechnął się do niej.

Ukłucie w sercu, niewyobrażalnie silny i całkiem prawdziwy ból. Moc wypełniająca ją i moc wokół niej zadrżała. Ripley czuła, że za chwilę spadnie.

Myśli Evana zaatakowały jej umysł. Krwawe, zajadłe ciosy, zwiastuny zemsty, śmierci i zniszczenia. Zachłanne palce w osobliwy sposób podniecały. Kusily, by się poddała.

Nie tylko to. Kusily, by uległa.

Nie. Nie zdobędziesz ani mnie, ani tego, co do mnie należy.

Opierała się, walczyła. Zrozumiała, jak silne jest to. co przebudziło się w Evanie, i na mgnienie oka panika ścisnęła jej gardło.

Z krzykiem wściekłości i strachu wyrwała się na wolność.

Leżała rozciągnięta w kręgu, który zakreśliła na zwykłej, drewnianej podłodze posterunku.

Twarz wykrzywił jej ból. Rozdarła koszulę i z przerażeniem patrzyła na ogniste, czerwone pręgi między piersiami.

Zerwała się, pamiętając jeszcze o formule końcowej zaklęcia. Sięgała właśnie do apteczki, gdy drzwi otwarły się gwałtownie.

Jak trąba powietrzna wpadła do środka Mia.

- Co ty sobie właściwie wyobrażasz? Ripley odruchowo zakryła się koszulą.

- Skąd się tu wzięłaś?

- Myślałaś, że o niczym się nie dowiem? - Błyskawicznie, trzęsąc się ze złości, znalazła się przy niej. - Że nie poczuję? Jak śmiałaś zrobić coś takiego sama, bez przygotowania? Wiesz, czym to grozi?

- To ja ryzykuję, więc nie wtrącaj się w nie swoje sprawy i nie szpieguj mnie.

- Doskonale wiesz, że poszłaś na całość. Poza tym wcale cię nie szpieguję. Zbudziłaś mnie z bardzo pięknego snu.

Ripley przekrzywiła głowę i przyjrzała się jej uważnie. Włosy w nieładzie, nieumalowane usta i blade policzki.

- No i nie nałożyłaś na siebie swoich barw wojennych. Chyba nie widziałam cię bez makijażu od czasu, kiedy miałyśmy po piętnaście lat.

- I tak zawsze będę wyglądać lepiej niż ty, zwłaszcza w tej chwili. Jesteś biała jak ściana. Siadaj. Siadaj - powtórzyła i popchnęła Ripley na krzesło.

- Pilnuj swojego nosa.

- Na nieszczęście, muszę pilnować ciebie. Jeśli chciałaś sprawdzić Remingtona, trzeba było po prostu popatrzeć w kulę.

- Po pierwsze, odpieprz się. Po drugie, w tej dziedzinie nie dopisuje mi taki fart jak tobie. Poza tym, nie mam żadnej kuli...

- Wystarczyłaby szklanka wody, o czym również doskonale wiesz. To kretynstwo latać bez partnera, który może cię w razie potrzeby wezwać z powrotem.

- Sama dałam sobie radę.

- Mogłaś poprosić mnie o pomoc. - Głos Mii zdradzał napięcie, ale i smutek. - O rany, Ripley, czy aż tak mnie nienawidzisz?

Ripley zatkało. Opuściła ręce, stała z otwartymi ustami.

- Wcale cię nie nienawidzę. Nie mogłam...

- Co ci się stało? - Na widok czerwonych pręg Mia szybkim ruchem odchyliła jej koszulę. Już się nie gniewała. Wzdrygnęła się w duchu. - Zrobił to. Jak to możliwe? Byłaś w kręgu. To tylko człowiek. Jak zdołał pokonać zaporę i zranić twoje ciało?

- On nie jest tylko człowiekiem. - Ripley mówiła teraz zdecydowanym tonem. - Już nie. Tkwi w nim coś niezwykle silnego i mrocznego. Część tego jest tutaj. W hotelu zamieszkał pewien mężczyzna.

Opowiedziała Mii, co wie i co zamierzała opowiedzieć również Nell. Powinny być przygotowane.

- Muszę coś zbadać - stwierdziła Mia. - Pomyśleć. Znajdziemy odpowiedź. Przy okazji, masz jeszcze swój amulet, któryś z kamieni ochronnych?

- Mia...

- Nie bądź głupia, nie teraz. - Mia rozcierała skronie i patrzyła w przestrzeń, jakby tam spodziewała się znaleźć odpowiedź. - Noś go. Najpierw naładuj. I trzymaj się z dala od tego Hardinga, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej.

- Wiem. Nie zamierzam do tego dopuścić, Mia. Obiecuj mi, że użyjesz każdego sposobu, żeby mnie zatrzymać.

- Coś wymyślimy. Pokaż te oparzenia, muszę się tobą zająć.

- Przede wszystkim musisz mnie zatrzymać - powtórzyła Ripley, nerwowo ściskając nadgarstki Mii. - Jesteś silniejsza ode mnie i zdajesz sobie sprawę, co się ze mną dzieje, skoro to przyznaję.

- Zrobimy, co trzeba. - Mia niecierpliwie odsunęła rękę Ripley. - Przecież to cię boli. Dajże sobie pomóc.

- Przez moment to było podniecające. - Ripley, by się uspokoić, wzięła głęboki oddech. - Jak pokusa. Chciałam tego, pragnęłam tego, co mnie spotka.

- Na tym właśnie polega niebezpieczeństwo. - Mię oblał zimny pot lęku. - Przecież wiesz.

- Owszem, wiem. A teraz to odczułam. Ty i Nell możecie się temu oprzeć, a Nell osłania Zacka. Ale ja widziałam, co może się zdarzyć, i nie będę ryzykować. Nie wyjadę, bo to nic nie da. Dlatego Mac będzie musiał odejść.

- Nie zrobi tego - mruknęła Mia i koniuszkami palców delikatnie dotknęła pręg na piersi Ripley.

- Zmuszę go. Trzymając dłoń na sercu Ripley. Mia czuła uderzenia, w których była miłość i strach. Westchnęła współczująco.

- Możesz spróbować.

To konieczne, tłumaczyła sobie Ripley, zbliżając się do złotego domku. Muszę być twarda. Nie trzeba być jasnowidzem ani patrzeć w kryształową kulę, żeby wiedzieć, że będzie to krok bolesny. Bardziej bolesny niż świeże rany, których nawet Mia nie zdołała całkowicie usunąć z jej skóry.

Mac może ją znienawidzić, kiedy z nim zerwie. Ale

przynajmniej będzie bezpieczny.

Zapukała bez wahania i weszła do środka.

W obszarpanej bluzie i wytartych dżinsach stał w zagraconej sypialni. Przeglądał taśmy z poprzedniej nocy. Ripley doznała wstrząsu, widząc go na ekranie monitora. Spokojny, zrównoważony, siedział na łóżku obok niej, delikatnie badając puls, i przemawiał łagodnym, pocieszającym tonem.

Znów wstrząs, gdy nagle obejrzał się na nią, a skupione spojrzenie rozjaśnił uśmiech.

Zasłonił sobą monitor i natychmiast go wyłączył.

- Cześć. Gdzieś mi zniknęłaś dziś rano.

- Miałam sprawy. - Ripley wzruszyła ramionami. - Wciąż robota, co?

- Może poczekać. Kawa?

- Taa, chętnie. - Nie unikała pocałunku, ale nie odpowiedziała.

Zauważyła cień zdziwienia w jego oczach, kiedy szli do kuchni.

- Muszę z tobą porozmawiać - zaczęła. - Sporo bywamy razem.

- Bywamy?

- Uhm. Świetnie nam to idzie, zwłaszcza w łóżku. - Usiadła i wyciągnęła przed siebie nogi, krzyżując je w kostkach. - Rzecz w tym, że dla mnie to już odrobinę za intensywne. No, a ostatnia noc to naprawdę był szczyt wszystkiego. Muszę spasować.

- Spasować? - Złapał się na tym, że znów za nią powtarza; potrząsnął głową. - Zgadza się, że ostatnia noc była ciężka. - Postawił dwa kubki, nalał kawę. - Potrzebny ci odpoczynek.

- Nie nadążasz za mną. - Była rozdarta w środku, ale z uśmiechem przyjęła kawę. - Nie chodzi tylko o twoją pracę, choć muszę przyznać, że okazała się znacznie bardziej interesująca, niż sądziłam. Mózg może być seksowną rzeczą. Nigdy dotąd nie chodziłam z równie bystrym facetem. - Pociągnęła łyk, oparzyła język, lecz nadal się uśmiechała. - Słuchaj, Mac, jesteś naprawdę fajny i moim zdaniem było nam razem dobrze. Pomogłeś mi nawet zobaczyć we właściwy sposób pewne sprawy. Doceniam to.

- Taak? - Masz ci los, gapi się na nią tymi niesamowitymi złocistymi oczami, jakby była robakiem pod mikroskopem.

- Jasne. Ale zaczynam, wiesz, czuć się troszkę... uwięziona. Muszę coś zmienić.

- Rozumiem. - Głos miał spokojny, z lekka obojętny. - Dlatego mnie rzucasz.

- To przykre. - Nie zareagował tak, jak oczekiwała. Nie wyglądał na rozszłoszczonego, nie był zmartwiony, zraniony ani zaszokowany. Po prostu średnio zainteresowany. - Zostańmy przyjaciółmi i powiedzmy sobie, że było miło.

- Okej. - Oparł się o blat, krzyżując nogi w kostkach jakby w przedziwnym, zwierciadlanym odbiciu pozy Ripley, i upił kawy. - Było miło.

- Świetnie. - Maleńka zadra żalu ukłuła w serce i odezwała się w głosie. - Sądzę, że jesteś rozsądnym człowiekiem, zapewne dlatego nie całkiem w moim typie. Myślę, że jak najszybciej wrócisz do Nowego Jorku.

- Nie wcześniej niż za kilka tygodni.
- To nonsens zostawać tutaj. Ja wychodzę z gry.
- Muszę cię w takim razie poinformować, że nie jesteś pępkiem mojego świata. Mam jeszcze coś do zrobienia na wyspie.

- Nie oczekuj żadnej współpracy z mojej strony. Poza tym zastanów się, jak się będziesz czuł. To małe środowisko. Ludzie będą gadali, że cię rzuciłam. To może być dla ciebie krępujące.

- Pozwól, że sam się będę tym martwił.

- Znakomicie. To nie mój problem. - Zerwała się.

- Akurat. - Mówił uprzejmie, odstawiając kubek. Nie wiedziała, co się potem stało. W jednej chwili przyglądał się jej jakby ciekawością, a w ułamek sekundy później szarpnął ją do siebie.

Na ustach poczuła jego wargi. Jak ogień. Gorące, wściekłe, zaborcze.

- Dlaczego kłamiesz? Nie mogła złapać tchu. a jej myśli rozpierzchły się jak ptaki.

- Zabierz łapy.

- Dlaczego kłamiesz? - powtórzył, przypierając ją do drzwi lodówki.

Obojętny? - pomyślała rozjuszona. Czy zdawało jej się, że jest obojętny? Patrzył na nią tak przenikliwie, że powinien już wywiercić jej spojrzeniem dziury w głowie.

- Skąd wzięłaś te wszystkie idiotyzmy? - Potrząsnął nią. - Dlaczego mnie ranisz?

To naprawdę bolało - ostre rwanie w żołądku i narastające,

przenikliwe klucie serca.

- Nie zranię, ale zrobię to, jeśli mnie do tego zmusisz. Nie chcę cię.

- Kłamiesz. Obejmowałaś mnie przez sen.

- Nie odpowiadam za to, co robię, kiedy śpię.

- Przytuliłaś się do mnie w ciemności - nie ustępowałam. Gdzieś w głębi duszy miał wrażenie, że walczy o własne życie. - Oddałaś mi się.

- Seks jest...

- To nie seks. - Uspokoił się nagle na wspomnienie tego, czym była ubiegła noc. Dla nich obojga. Zwolnił uścisk, a gniew w jego wzroku przeszedł w rozdrażnienie. - Myślisz, że uda ci się podstępem zmusić mnie, żebym wyjechał z wyspy? Dlaczego?

- Nie chcę, żebyś był tutaj. - Próbowwała go pchnąć, głos jej się załamywał. - Nie chcę, żebyś był blisko mnie.

- Dlaczego?

- Bo cię kocham, kretynie.

ROZDZIAŁ 18

Zsunął ręce w dół, wzdłuż jej ramion, i ujął dłonie, schylając się, żeby dotknąć wargami jej czoła.

- Idiotko, przecież ja też cię kocham. Usiądź i zacznijmy od początku.

- Co takiego? - Chciała się wyrwać, uwolnić, ale Mac tylko zacisnął dłonie. - Zabieraj się.

- Nie. - Mówił łagodnie. - Nie, Ripley, nie zabiorę się i nie odejdę. I nie przestanę cię kochać. Musisz się z tym pogodzić, a potem zajmiemy się tym, co przeraziło cię tak bardzo, że chciałaś mnie stąd wygonić.

- Mac, jeżeli mnie kochasz, spakuj się i wróć na jakiś czas do Nowego Jorku.

- Niczego w ten sposób nie osiągniesz. Nie - powtórzył, kiedy Ripley otwierała usta.

- Nie bądź taki cholernie...

- „Nieprzejednany” jest określeniem, które czasami wobec mnie stosowano. Myślę, że jest bardziej eleganckie niż „zakuty łeb”. W tym wypadku jednak nie wydaje mi się, by którekolwiek z nich było na miejscu. - Przechylił głowę. - Coś cię przeraziło, o kogoś się boisz i natychmiast usuwasz się na bok. Tak samo zrobiłaś ze swoim darem magii - ciągnął mimo jej protestów. - Tak potraktowałaś Mnie. Nie pozwolę ci powtórzyć tego ze mną. Z nami, Ripley. - Podniósł ich złączone dłonie i ucałował jej palce. - Bardzo cię kocham.

- Nie. - Jej serce mogło tego nie wytrzymać. - Zaczekaj.

- Naprawdę nie lubię mówić ci: nie. Później ci to wynagrodzę. -
Pochylił się i zaczął ją całować, a ona czuła, że mięknie jak wosk.

- Nie wiem co robić, jak sobie z tym poradzić. - Zacisnęła powieki. - Nigdy mi się coś podobnego nie zdarzyło.

- Mnie też nie, ale coś wykombinujemy. Trzeba się zastanowić.

- Powiedziałam Zackowi, że wrócę za dwadzieścia minut. Nie sądziłam, że tyle czasu zajmie mi...

- Rzucanie mnie. - Uśmiechnął się do niej. - A tu niespodzianka. Chcesz do niego zadzwonić?

Przycisnęła palce do skroni.

- Nie potrafię spokojnie myśleć. Do diabła, wie przecież, gdzie jestem, jeśli będzie mnie potrzebował. - Dygotała, wszystko w niej się skręcało. A w samym środku serce lśniło jak księżyc. - Kochasz mnie?

- Do szaleństwa.

- Hmm. - Pociągnęła nosem i przytknęła kciuk do górnej wargi, spoglądając na Maca. Miał wilgotne włosy. Nie zauważyła tego wcześniej. Pewnie niedawno wyszedł spod prysznic. Stopy gołe, a podłoga zimna. Zaciął się przy goleniu, normalka.

Jest doskonały.

- Jak to się stało, że nigdy wcześniej o tym nie wspomniałeś?

- A jak to się stało, że ty nigdy nie wspomniałaś, że mnie kochasz? Zmrużyła oczy.

- Ja spytałam pierwsza.

- Zagięłaś mnie. Wiesz, możliwe, że zamierzałem... - Ścisnął jej dłoń, a potem posadził ją na krześle. - Zmiękczyć cię.

- Być może ja też.

- Naprawdę? Oznajmiając mi, że masz mnie dość? Dziwny sposób osiągnięcia celu.

- Mac. - Pochyliła się i tym razem to ona wzięła go za rękę. - Jesteś pierwszym mężczyzną, któremu to powiedziałam. To słowo trzeba traktować bardzo szczególnie. Jeśli człowiek jest nieostrożny, zbyt swobodny, traci ono swoją moc. Jesteś pierwszy i już. I dla mnie będziesz jedyny. Tak jest z Toddami. Szukamy partnera na całe życie. Dlatego musisz się ze mną ożenić.

Nagły wstrząs. Jakby cały organizm wierzgnął.

- Muszę się z tobą ożenić?

- Tak, nie masz wyjścia.

- Zaczekaj. - W oczach Maca błysnęło rozbawienie. - Nie dostanę pierścienia ani niczego podobnego? W takim razie klękaj i proś, a ja powiem: tak, albo nie.

- Bezcelnie ryzykujesz.

- Jestem szczęśliwy. Kupuję dom.

- Och. - Szarpnięcie w duszy. Żal, smutek. Zgoda. - Nowy Jork. No tak, tam pracujesz. Mam nadzieję, że potrzebują tam gliniarzy.

- Bardzo możliwe, ale kupuję dom tutaj. Myślisz, że namawiałbym cię, żebyś wyrzekła się swojego serca? Nie rozumiesz, że moje też już zawsze będzie tutaj?

Patrzyła na niego. Przez bardzo długą chwilę mogła jedynie patrzeć. Zobaczyła w jego oczach ich wspólne życie.

- Zaraz się rozplaczę. Nienawidzę tego.

- Złożyłem ofertę kupna domu Loganów.
- Domu... - Duży, piękny, blisko morza. - Nie jest na sprzedaż.

Uśmiechał się leciutko.

- Ale będzie. Jestem niezwykle uparty. Chcę mieć dzieci.
- Ja też. - Jej palce zacisnęły się na jego dłoniach. - Będzie nam dobrze. Dobrze, naprawdę, zawsze. Lecz najpierw musisz coś dla mnie zrobić.

- Nigdzie nie wyjadę.
- Czy nie możesz mi zaufać w tej jednej rzeczy?
- Nic z tego. Opowiedz, co cię tak przeraziło. Zaczynając od snu z ubiegłej nocy.

Oczy Ripley zaszczyły łzami.

- Zabiłam cię. Przechylił głowę, jak zawsze, gdy coś go zaintrygowało.
- W jaki sposób?
- Mac, czy ty naprawdę jesteś pozbawiony uczuć? Przecież mówię, że cię uśmierciłam. Koniec. Amen.
- Szybciej sobie z tym poradzimy, jeśli zachowamy spokój. Opowiedz mi ten sen.

Wstała od stołu, chodziła w kółko po kuchni, usiłując rozładować napięcie. W chwili, gdy zaczęła mówić, znów zobaczyła wszystko z taką wyrazistością, że poczuła obrzydliwy strach, jakby w jej wnętrznościach rozbiegły się pająki.

- Zabiłam cię i zniszczyłam wszystko, co ma sens - zakończyła. - To mnie przygniata, Mac. Nie mogę sobie z tym poradzić. I właśnie

dlatego odwróciłam się od tego, kim jestem. Odwróciłam się od Mii. Wydawało mi się, że to jedyne rozwiązanie. Zresztą po części nadal tak myślę.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że to nie pomoże. Że i tak będziesz musiała coś z tym zrobić.

- Chcesz, żebym narażała cię, rodzinę, przyjaciół?

- Nie, nie chcę - powiedział łagodnie. - Chcę tylko, żebyś nas chroniła.

Wpatrywała się w niego, a potem zamknęła oczy, gdy poczuła wzbierające w niej uczucie.

- O Boże, Mac, to było strasznie trudne.

- Wiem. Pomogę ci, Ripley. Myślę, że to moje przeznaczenie.

Pomóc ci i kochać cię - dodał, delikatnie otwierając jej zaciśniętą pięść. - Być częścią tej historii. Myślę, że nie przypadkiem wybrałem sobie w życiu właśnie taką pracę i nie przypadkiem siedzimy tu we dwoje, właśnie w tej chwili. Razem jesteśmy silniejsi niż każde z nas osobno. Patrzyła na ich złączone dłonie. Uzmysłowała sobie, że wszystko, czego pragnie, a także to, czego szukała, nawet nieświadomie, jest tu, w tym uścisku. - Jeśli cię zabiję, nie pozbięram się.

- Ja też - wykrzywił usta.

- Nosisz amulet od Mii?

- Noszę.

- Nigdzie się bez niego nie ruszaj. I bez tego. - Sięgnęła do kieszeni. Chyba wiedziała, czym się to skończy, skoro, idąc tutaj,

zabrała go ze sobą - srebrny pierścień o skomplikowanym wzorze, trzy złączone kręgi pokryte symbolami. - Należał do mojej babci.

Przyjął go... z pokorą, poruszony do głębi. Musiał odchrząknąć.

- A jednak w końcu dostałem pierścionek.

- Tak jakoś wyszło. Ale będzie na ciebie za mały. Noś go na łańcuszku razem z amuletem.

Wziął go do ręki i zmrużył oczy, usiłując bez okularów odczytać wyryte symbole.

- Chyba celtyckie.

- Celtyckie. Nie mruż tak oczu, bo będziesz miał zmarszczki - powiedziała. - Środkowy krąg symbolizuje sprawiedliwość, a dwa pozostałe współczucie i miłość. To mniej więcej tyle.

- Piękna rzecz. - Zdjął łańcuszek, rozpiął go i wsunął pierścionek. - Dziękuję.

Zanim zdążył go znów włożyć, Ripley chwyciła jego dłoń.

- Zahipnotyzuj mnie jeszcze raz.

- To zbyt niebezpieczne.

- Nie wciskaj mi kitu. To wszystko jest zbyt niebezpieczne. Chcę tylko, żebyś mnie uspił i dał mi w transie jakieś polecenie. Coś, co mnie powstrzyma, gdybym zaczęła tracić kontrolę nad sobą.

- Po pierwsze, w transie jesteś zbyt otwarta na inne rodzaje energii. Byłaś jak gąbka, Ripley, i wchłaniałaś wszystko, co inni wlewali w ciebie. A po drugie, wcale nie wiem, czy moja sugestia zdoła cię powstrzymać. Masz zbyt mocną osobowość, za silną wolę, by ktokolwiek tobą kierował.

- To też pewna forma obrony. Jeśli nie spróbujemy, nigdy nie dowiemy się, czy to działa. Masz szansę coś zrobić, a ja ci ufam. Proszę cię, pomóż.

- Okropnie trudna decyzja. W porządku, możemy spróbować. Ale nie teraz - dodał szybko. - Potrzebuję trochę czasu, żeby się przygotować. I chcę mieć przy sobie Nell i Mię.

- A dlaczego nie możemy sami?

- Bo nie. Mogę spróbować, ale tylko gdy utworzycie krąg. Poczekaj chwilkę. - Powiedział to tonem tak nie znoszącym sprzeciwu, że Ripley sama nie wiedziała, czy się roześmiać, czy zezłościć. Siedziała więc posłusznie, czekając na niego i bębniąc palcami po stole.

Popijała wystygłą kawę i słuchała, jak Mac kręci się po sypialni i mruczy coś do siebie.

Wrócił i podniósł ją z krzesła.

- Kupiłem to kilkanaście lat temu w Irlandii. - Odwrócił jej dłoń i położył na niej niewielki srebrny dysk, pogrubiony w środku, z idealnie okrągłymi kamieniami po obu stronach.

- Różowy kwarc i kamień księżycowy - powiedziała Ripley.

- Symbolizują miłość i współczucie. Kupiłem to na szczęście, jako coś w rodzaju talizmanu, i wożę zawsze ze sobą. Czasem nie mogę go znaleźć, w końcu jednak zawsze się pokaże. Chyba rzeczywiście przynosi szczęście. Ma z tyłu uszko, myślę więc, że był noszony jako wisiorek. Lecz możesz go po prostu trzymać w kieszeni. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, ale kupiłem go dla ciebie.

Westchnęła i położyła mu głowę na ramieniu.

- A ja przez ciebie się rozklejam.

- Nie mam nic przeciwko temu.

- Muszę wrócić do roboty i nie mogę chodzić z maślanymi oczami. Bardzo cię Kocham - szepnęła i pocałowała go. - Naprawdę bardzo.

Wyprawił ją z domu, bardzo starając się, by tak tego nie odebrała.

Miał przed sobą jeszcze mnóstwo pracy.

Nie był tak głupi, by myśleć, że nikt nie zdoła go zranić, a może nawet zabić. Traktował sen Ripley jako przepowiednię tego, co naprawdę może się zdarzyć. Rozpoczęty przed trzema wiekami cykl wciąż jeszcze nie jest zamknięty.

Ale istnieją przecież skuteczne sposoby obrony. Mac wierzył, że wiedza jest potęgą. Chciał więc zebrać jak najwięcej informacji i wzmocnić w ten sposób tarczę, która ochroni ich oboje.

Nie wystawi Ripley na niebezpieczeństwo, bezbronnej w stanie transu, jeśli wpierw nie upewni się, że nic jej nie grozi.

Sięgnął po dziennik pisany przez swoją pra, pra, pra...prababkę i znalazł stronicę, której szukał.

17 lutego

Jest wcześnie, jeszcze przed świtem. Zimno, głęboka ciemność. Zostawiłam męża śpiącego w ciepłym łóżku i poszłam pisać do mojego pokoju w wieży. Jest we mnie napięcie, troska, która dokucza jak obolały ząb.

Mgła otula dom jak całun i napiera na okna. Słyszę, jak drapie małymi kościanymi paluszkami i błaga, żeby ją wpuścić, ale zabezpieczyłam zakłębem drzwi, okna, a nawet najdrobniejsze szczeliny - tak jak uczyła mnie matka, zanim jej dusza utonęła w rozpacz.

Jak dawno to było? W noc taką jak ta wydaje się, że dopiero wczoraj. Ogromnie do niej tęsknię ~ do jej opieki, siły, wewnętrznego piękna. Kiedy chłód, jak teraz, przenika mnie do kości, potrzebuję jej rady Ale nie wolno mi się do niej zwrócić, nawet przez kryształową kulę.

Nie boję się o siebie, lecz o dzieci, dzieci moich dzieci. Widziałam w snach świat za trzysta lat. Wielkie cuda. Wielkie czary. Wielki smutek.

Cykl się powtarza. Nie widzę tego całkiem wyraźnie. Wiem jednak, że moja krew, przede mną i po mnie, powtarza się razem z nim.

Siła, czystość, mądrość, a nade wszystko miłość będą walczyć z tym, co w tej chwili skrada się wokół mojego domu.

To jest wieczne, jest zawsze. To ciemność.

Moja krew to wyzwoliła i moja krew stanie z tym twarzą w twarz. W tym miejscu i w tym czasie niewiele więcej mogę zrobić, tylko chronić to, co jest teraz, i modlić się za to, co przyjdzie.

Pozostawię po sobie tym dalekim, ukochanym dzieciom tyle daru magii, ile tylko będę w stanie.

Zło nie może być pokonane przez inne zło. Ciemność jedynie pochłonie i pogłębi ciemność. Dobro i światło to najpotężniejsza broń.

Obyci, którzy przyjdą, trzymali ją w pogotowiu i użyli jej w porę.

Pod spodem widniało napisane po gaelicku zaklęcie, które Mac już wcześniej przetłumaczył. Przyjrzał mu się jeszcze raz, w nadziei, że przesłanie z przeszłości okaże się pomocne i dzisiaj.

Harding poczuł się nieco lepiej. Przedziwne osłabienie, które go nękało w ostatnich dniach, uznał za skutek infekcji. Jego umysł znów pracował sprawnie. Był pewien, że kryzys minął.

Doszedł już do siebie i zaczął niepokoić się, że atak grypy wybił go z rytmu i pokrzyżował plany. Chcąc jak najszybciej naprawić ten stan rzeczy, zdecydował, że jeszcze dziś poprosi Nell Todd o pierwszy wywiad.

Postanowił zjeść lekkie śniadanie w pokoju hotelowym. Wypije dużą kawę, przejrzy notatki, odświeży pewne szczegóły i poduma, jak nakłonić Nell do rozmowy, którą wykorzysta w książce.

Myśl o książce, a także o dużych pieniądzach i rozgłosie, jaki miał nadzieję dzięki niej zyskać, nappełniła go zadowoleniem. Przez wiele dni nie był w stanie zastanawiać się nad nią, nie pamiętał nawet, co sobie zaplanował.

Zdawało mu się, że ktoś zamknął jego umysł za jakimiś potężnymi drzwiami, i za każdym razem, kiedy udawało mu się otworzyć je po długiej walce, był już zbyt zmęczony, by pracować.

Czekając na śniadanie, golił się przed lustrem pokrytym mgiełką wilgoci po niedawnym prysznicu. Rzeczywiście nie wygląda najlepiej. Błady, wymizerowany. z podkrążonymi oczami. Najwyraźniej stracił

kilka kilogramów, ale to nic. Natomiast ciemne obwódki wokół oczu obrażają jego próżność.

Postanowił, że część oczekiwanej zaliczki za książkę przeznaczy na drobne przyjemności i na kurację wzmacniającą w jakimś wytwornym uzdrowisku.

Musi tylko przeprowadzić wstępny wywiad z byłą Helen Remington, dokończyć konspekt książki i wysłać go do agenta w Nowym Jorku, któremu już wcześniej w ogólnych zarysach przedstawił swoją koncepcję. Wybrać szyty na miarę garnitur czy wariant swobodniejszy: spodnie i sweter? Zdecydował się na sweter, w którym, tak uznał, wyglądał bardziej przyjacielsko i bezpośrednio, wręcz jak ojciec. W przypadku Nell Todd ta wersja wydawała mu się stosowniejsza niż oficjalny, służbowy strój, w jakim pojawiał się u Evana Remingtona.

Na myśl o Remingtonie ogarnęła go fala zawrotów głowy; musiał przytrzymać się drzwi szafy i odczekać chwilę, aż dojdzie do siebie. Jednak nie odzyskał jeszcze formy. Po śniadaniu zapewne będzie lepiej.

Kolejny szok przeżył, wkładając spodnie. Były za szerokie w pasie, opadały na biodra. Stwierdził, że przez tę gripę stracił co najmniej pięć kilogramów, a może nawet więcej. Gdy zaciągał pasek na ostatnią dziurkę, drżały mu nieco ręce, ale wytłumaczył sobie, że zdoła ten niespodziewany objaw obrócić na swoją korzyść.

Postara się o odpowiednią wagę, zacznie ćwiczyć i ściślej przestrzegać diety. Będzie wysportowany i zadbany, kiedy przyjdzie

pora stanąć przed publicznością, gdy książka się ukaze.

Siadając do śniadania ustawionego przez pokojówkę na stoliku pod oknem, zdążył już wmówić sobie, że jest w doskonałej kondycji. W rzeczy samej nigdy nie czuł się równie dobrze.

Podniósł do ust filiżankę z kawą i spojrzał przez okno. Słońce świeciło jasno - chyba nawet trochę za jasno, bo raziło wzrok, odbijając się od lodu, który pokrywał błyszczącą skorupą wszystkie zakamarki. Dziwne, pomyślał, że tak jaskrawe słońce nie roztopia lodu. Uliczki miasteczka są ciche i spokojne, jakby naprawdę świat zastygł. Jak mucha w bursztynie.

Miał nadzieję, że z powodu pogody nie zamknięto księgarni. Wolał, żeby pierwsze spotkanie z Nell odbyło się właśnie tam. Sądził, że będzie się tam czuła bezpieczna i łatwiej skłoni ją do wynurzeń. Poza tym może uda mu się przy okazji umówić na rozmowę z Mią Devlin.

Devlin, która zatrudniła Nell i wynajęła jej swój dom od razu, gdy tylko ta przybyła na wyspę, może okazać się bardzo interesującą postacią dla czytelników. Ponadto uważana jest za czarownicę, co nie znaczy, że on osobiście w te głupoty wierzy. Ale tej nocy, kiedy aresztowano Remingtona, w lesie działo się coś niezwykłego, więc i wątek Mii Devlin należy zbadać dokładniej.

Błękitna błyskawica, jaśniejący krąg. Węże pełzające pod skórą. Harding mimowolnie wzdrygnął się i sięgnął po notatnik.

Może w rozmowie z Nell Todd nie będzie akcentował swojego zainteresowania i celu wizyty, lecz wyeksponuje podziw dla jej

odwagi i inteligencji. Zresztą całkiem szczerzy, przyznał w duchu. To, czego dokonała, wymagało śmiałości, zręczności i sprytu.

Pochlebi jej. Opowie, jak szedł jej śladem przez cały kraj, rozmawiał z dziesiątkami ludzi, dla których albo z którymi pracowała. Aha, pomyślał, przewracając kartkę w notesie, odwoła się też do jej poczucia obowiązku wobec innych kobiet, które również padają ofiarą przemocy ze strony bliskich, a które ona najlepiej rozumie.

Znak nadziei - bazgrał w pośpiechu. - Godny naśladowania przykład odwagi. Wzór dla kobiet. Niektórym z nich ucieczka wydaje się zbyt przerażająca, by w ogóle brać ją pod uwagę, albo przekracza możliwości ich... złamanego ducha. (Sprawdzić najnowsze statystyki dotyczące stosowania przemocy w małżeństwie, domów dla kobiet szukających schronienia, zabójstw dokonanych przez współmałżonków. Znaleźć terapeuta rodzinnego, przeprowadzić wywiad na temat najczęściej spotykanych przypadków, następstw... Wywiady z innymi. które ocalały? Ze sprawcami? Ewentualne porównania i potwierdzenia).

Był zadowolony z siebie. Jego myśli znów płynęły sprawnie i gładko. Zaczął jeść.

Istnieje koncepcja, według której ofiary tego rodzaju stanowią ogniwo pewnego cyklu przemocy. Przeszłości Helen Remington. Nell Channing Todd. jak się zdaje, to nie dotyczy. (Wrócić do badań nad okresem dzieciństwa. Sprawdzić, jaki procent ofiar przemocy nie ma takich doświadczeń w swoim wcześniejszym życiu rodzinnym). Taki cykl musi jednak gdzieś się zaczynać. Wszystko wskazuje na to, że w

tym przypadku jego początkiem i końcem jest Evan Remington.

Harding pisał dalej, ale coś zaczęło mu migać przed oczami. Zacisnął palce na długopisie, wbił go w papier.

SUKA! DZIWKI! SPALIĆ CZAROWNICĘ!

MOJAMOJAMOJAMOJAMOJAMOJA

KREW. ŚMIERĆ. ZEMSTA. ZEMSTA NALEŻY DO MNIE. DO MNIE, DO MNIE.

Gwałtownie przewracał kartki, rzucał na nie słowa. Oddychał szybko, wzrok miał nieprzytomny, oczy rozbiegane. Pióro darło papier, a to, co pisał, nie należało do niego.

Muszą zginąć. WSZYSCY muszą zginąć. A ja będę znowu żył.

Kiedy oprzytomniał, notes był starannie zamknięty. Obok leżał długopis.

Harding spokojnie popijał kawę, patrzył przez okno, planował dzień.

Doszedł do wniosku, że warto byłoby pójść na długi spacer, poruszać się trochę po świeżym powietrzu. Mógłby zebrać dane do opisu wyspy, na przykład bliżej przyjrzeć się domkowi, w którym mieszkała Nell zaraz po przyjeździe.

Z pewnością powinien obejrzeć las. Tam przecież gonił ją owej nocy Evan Remington.

Harding czuł się syty - jak się okazało, najadł się jednym jajkiem na miękko i dwiema grzankami z pełnoziarnistego chleba. Schował notes, wziął drugi, czysty, wsunął go razem z dyktafonem i aparatem fotograficznym do kieszeni i wyszedł.

Nie pamiętał ani słowa z tego, co pisał, nie pozostało też w nim żadne wspomnienie krwawej żądy, która go wówczas opanowała.

ROZDZIAŁ 19

Żółty domek stał cichy na skraju niewielkiego lasu. Nagie, czarne drzewa rzucały na ziemię krótkie cienie. Panowała absolutna cisza. W oknach domku wisiały delikatne, koronkowe firanki, a szyby w jaskrawym świetle słońca błyszczały jak lód. Ogródek przy wejściu spał pod ciemną, ochronną warstwą zimowego przykrycia.

Wszystko trwało w bezruchu. Nie drgnęło żadne źdźbło suchej trawy, żaden kruchy, brązowy liść. Zdawało się, że dźwięki przestały istnieć, choć morze było tuż obok, a miasteczko bliźniutko. Stojąc przed domem okolonym drzewami, Harding miał odczucie, że patrzy na fotografię, którą zrobił ktoś inny. Nie wiadomo dlaczego darowana mu została chwila, w której świat wokół zastygł.

Poczuł chłód, jakby dźgnął go w kręgosłup cienki, lodowaty palec. Wzdrygnął się, oddychał teraz szybko i z trudem. Zrobił niezdarny krok do tyłu; jakby uderzył w niewidzialną ścianę. Ogarnęła go nagła chęć ucieczki, nie mógł jednak nawet się odwrócić.

Wrażenie minęło błyskawicznie, równie szybko jak się pojawiło. Stał teraz na poboczu drogi, przyglądając się ślicznemu domkowi na tle lasu.

Konieczność musi pójść na badania po powrocie na ląd, postanowił, niepewnie stąpając do przodu. Najwyraźniej jest w stresie, poważniejszym niż się zdawało. Kiedy zdobędzie wszystkie informacje i skończy zbierać i porządkować materiał, wybierze się na wakacje. Tydzień albo dwa odpoczynku dla odzyskania sił przed ostatnim, ciężkim etapem pisania.

Ucieszył go ten pomysł. Ruszył w stronę lasu. Słyszał teraz miękkie, jednostajne uderzenia fal, beztroskie nawoływania ptaków, lekki podmuch wiatru między nagimi konarami drzew, podobny do szelestu tkaniny.

Pokręcił głową, maszerując ku drzewom. Jako zdeklarowany mieszczuch traktował samotność natury podejrzliwie i protekcjonalnie. Nie pojmował, dlaczego ludzie chcą mieszkać w takich miejscach.

A jednak Helen Remington tak właśnie postąpiła.

Porzuciła wielkie bogactwo, jedwabne życie, piękny dom i uprzywilejowaną pozycję. I po co? Żeby gotować dla obcych ludzi, mieszkać na skalistym skrawku ziemi i na koniec, tak sobie wyobrażał, urodzić gromadkę rozwrzeszczanych bachorów.

Głupia suka.

Zaciskał i prostował palce. Wokół stóp zauważył gęstniejącą, brudną mgłę. Przyspieszył kroku, już niemal biegł, nie zważając, że ziemia jest śliska i pokryta lodem. Widział, jak z jego ust unosi się para.

Niewdzięczna dziwka.

Musi zostać ukarana. Bolesnie. Ona i cała reszta muszą zapłacić, zapłacą za wszystko, co zrobili. Zginą. A jeśli ośmielą się przeciwstawić jego potędze, zginą w męczarniach.

Mgła toczyła się po ziemi i rozlewała na brzegach kręgu, który pulsował delikatnym, białym płomieniem. Harding czuł, że ma splekane wargi, z gardła wydobywał mu się dziki warkot.

Rzucił się w stronę kręgu i odbił z powrotem. Z koła uniosło się światło cienką, roziskrzoną, złocistą ścianą. Harding, rozwścieczony, rzucił się na nią ponownie. Jeszcze jeden raz. I znów. Poparzył się. Biały ogień spalił mu skórę i okopcił ubranie.

Wpadł w furję; to, co tkwiło w ciele Jonathana Q. Hardinga, cisnęło nim o ziemię i ze straszliwym wyciem przeklinało światło.

Nell przygotowała dwie porcje obiadowej specjalności dnia. Nuciała pod nosem, dopracowując w myślach menu przyjęcia weselnego, które miała obsłużyć pod koniec miesiąca.

Firma cateringowa okrzepla i rozwijała się znakomicie. Nell cieszyła się, że nawet podczas spokojniejszych miesięcy zimowych otrzymuje wystarczającą ilość zamówień. Nie znaczyło to oczywiście, że brakowało jej czasu na opracowanie pewnych propozycji dla Mii. Zarówno klub kulinarny w kawiarni, jak i rozszerzenie menu leżały całkowicie w granicach jej możliwości. Kiedy tylko dokładniej przemyśli szczegóły, przedstawi je Mii, tak jak kobieta interesu swojej wspólniczce.

Podawała zamówione dania i zerknęła na zegarek. Jeszcze pół godziny i obowiązki przejmie Peg. Trzeba będzie zrobić większe zakupy i odbyć dwa umówione spotkania w sprawie kolejnych zleceń dla firmy.

Będzie musiała się pośpieszyć, żeby zdążyć na czas z przygotowaniem kolacji. Wyobraziła sobie miły domowy bałagan towarzyszący zwykłym zajęciom gospodyni, stosy papierów

dotyczących spraw firmy, i uśmiechnęła się do siebie.

Nie do wiary, jaka jest szczęśliwa.

Trzeba przyznać, że poważne zadania przed nią. Dzisiejsza kolacja będzie nie tylko okazją do spotkania rodzinnego. Nell zdawała sobie sprawę, jak bardzo Mac się zaangażował, wiedziała, że musi skoncentrować swoją energię na tym, co ma nadejść. Ale przecież już stała kiedyś twarzą w twarz z tym, co najgorsze, i przeżyła.

Zrobi wszystko, by ochronić tych, których kocha, i to, co jest jej bliskie.

Wyszła sprzątnąć stół w kawiarni; wsunęła do kieszeni napiwek. Napiwki wędrowały do specjalnego dzbanuszka i były przeznaczone na przyjemności. Zarobki w kawiarni szły na konieczne wydatki, zyski z cateringu Nell inwestowała z powrotem w firmę. Ale napiwki służyły wyłącznie zaspokajaniu zachcianek. Podzwaniały radośnie w kieszeni, gdy Nell odwróciła się, żeby wynieść talerze do kuchni.

Zatrzymała się i jednym susem przyskoczyła do Hardinga. Stał przy ladzie i nieprzytomnym wzrokiem wpatrywał się w menu wypisane kredą na tablicy.

- Co się stało? Żle się pan czuje? Popatrzył na nią - przez nią, jak jej się przez moment zdało.

Oczy miał puste.

- Co? Szybko odstawiała talerze na ladę i wzięła go pod ramię.

Przeprowadziła go na zaplecze, do kuchni.

- Proszę usiąść. Kiedy opadł na podsunięte krzesło, odwróciła się

do zlewu, by nalać wody do szklanki.

- Co się stało?

- Nie wiem. - Z wdzięcznością przyjął zimną wodę i pił ją głośnymi łykami. Gardło miał suche i spalone.

- Zrobię panu herbatę. I podam rosół. Kiwnął tylko głową, przyglądając się swoim dłoniom. Za paznokciami miał piach, jakby drapał ziemię. Kciuki były obtarte, dłonie pokaleczone.

Spojrzał na poplamione spodnie i uwalane czymś buty. Do swetra przyczepiły się jakieś patyki i gałązki.

Poczuł się skrępowany. Był pedantem, więc źle znosił brud i nieład.

- Czy mógłbym... umyć ręce?

- Oczywiście. - Nell spojrzała na niego przez ramię zatroskanym wzrokiem. Pół twarzy Hardinga pokrywała czerwona plama, jak od oparzenia słońcem. Przykry, przerażający widok.

Nabrała zupy i zaparzyła herbatę. Harding stał w tym czasie przy zlewie, szorując dłonie, jakby chciał zedrzeć z nich skórę. Dotknęła jego ramienia i powiedziała łagodnie:

- Proszę usiąść. Coś panu dolega.

- Nie, ja... - Zemdliło go. - Musiałem upaść. - Zamrugął gwałtownie. Dlaczego nic nie pamięta? Poszedł na spacer do lasu w jasne, zimowe popołudnie.

I nie wie, co było dalej.

Nie protestował, gdy Nell zajęła się nim, tak jak dogląda się dzieci albo ludzi bardzo starych. Podnosił do ust łyżkę za łyżką

gorącej zupy, która koła obolałe gardło i rozgrzewała ściśnięty żołądek.

Wypił ziołową herbatę szczerze osłodzoną miodem.

I rozkoszował się pełną współczucia ciszą o jaką zadbała Nell, by mógł się uspokoić.

- Musiałem upaść - powtórzył. - Nie czuję się ostatnio dobrze. Zapachy kuchenne miło drażniły powonienie, a Nell, przyjmując i realizując zamówienia, poruszała się z taką zręcznością i wdziękiem, że niepokój Hardinga zniknął.

Wspomniał swoje poszukiwania i podziw, jaki czuł, śledząc jej ucieczkę przez cały kraj. Napisze o niej bardzo dobrą książkę. Opowie o odwadze i zwycięstwie.

Niewdzięczna dziwka. Słowa odezwały się głucho gdzieś w nim i przyprawiły go o dreszcz.

Nell przyglądała mu się z troską.

- Powinien pan pójść do lekarza. Potrząsnął głową zdobył się nawet na nikły uśmiech.

- Wolę własnego lekarza. Jestem wdzięczny za pomoc. To miło z pani strony.

- Mam coś na to oparzenie.

- Oparzenie?

- Chwileczkę. - Wyszła z kuchni i króciutko porozmawiała z Peg, która właśnie rozpoczynała swoją zmianę. Wróciła, otworzyła szafeczkę i wyjęła z niej smukłą, zieloną butelkę.

- To głównie aloes - wyjaśniła żywo. - Bardzo dobry środek.

Sięgnął dłonią do twarzy i natychmiast ją cofnął.

- Musiałem... słońce jest zwodnicze - powiedział. - Przyznam się pani, że przyjechałem na wyspę specjalnie po to, żeby z panią pomówić.

- Tak. - Otworzyła butelkę.

- Jestem pisarzem. Zainteresowała mnie pani historia. Przede wszystkim ogromnie panią podziwiam.

- Naprawdę?

- Tak. Tak, naprawdę. - Coś usiłowało wypełznąć z jego wnętrzości w górę, do gardła. Stłamsił to w sobie. - Początkowo myślałem jedynie o artykule do magazynu, ale w miarę jak poznawałem coraz więcej szczegółów, uświadamiałem sobie, jak ważne jest to, czego pani doświadczyła i dokonała. To przemawia do ludzi. Zapewne wie pani, jak wiele jest maltretowanych kobiet - ciągnął, a Nell delikatnie nabierała balsam na koniuszki palców. - Jest pani drogowskazem. Nell, symbolem zwycięstwa i wielkich możliwości.

- Nie, proszę pana, to nie tak.

- Ależ oczywiście. - Patrzył głęboko w jej oczy. Są takie niebieskie, pomyślał. Tak spokojne. Skurcz żołądka ustąpił. - Przebyłem całą pani drogę przez Stany. - Powieki Nell drgnęły tylko raz; jej palce przesunęły się po oparzonym policzku Hardinga. - Rozmawiałem z ludźmi, z którymi pani pracowała, można powiedzieć, że szedłem po pani śladach. Wiem o ciężkiej pracy, o nieustannym strachu. I o tym, że nigdy się pani nie poddała.

Oczy Nell wpatrzyły się w niego, zdawało się, że pociemniały.

- I nigdy tego nie zrobię - oznajmiła stanowczo. - Powinien pan to zrozumieć. Pogodzić się z tym. Nigdy się nie poddam.

- Należysz do mnie, Helen. Dlaczego zmuszasz mnie, żebym cię krzywdził?

To był głos Evana. Opanowany, rozsądny głos, którym mówił, gdy zamierzał ją ukarać. Omal nie spanikowała. A tego właśnie chciał, wiedziała o tym.

- Nie możesz mnie już skrzywdzić. Nie skrzywdzisz też nikogo, kogo kocham, nigdy na to nie pozwolę.

Skóra Hardinga marszczyła się pod jej palcami, jakby coś pod nią pełzało. Nell nieprzerwanie wcierała jednak balsam. Wzdrygnął się w pewnej chwili, chwycił jej nadgarstek.

- Uciekaj. - W jego oczach zakręciły się łzy, gdy wyszeptał: - Uciekaj, nim będzie za późno.

- Tu jest mój dom. - Strach usiłował wśliznąć się do jej wnętrzości, ale mówiła chłodno i spokojnie. - Będę go chronić całą sobą. Pokonamy cię.

Znów zadrżał.

- Co pani mówiła?

- Powiedziałam, że powinien pan teraz odpocząć. - Zamknęła butelkę, ogarnięta litością dla Hardinga. - Mam nadzieję, że niedługo poczuje się pan lepiej.

- Pozwoliłaś mu odejść. - Ripley nerwowo chodziła tam i z

powrotem po pokoju, szarpiąc ze złości włosy. - Po prostu poklepałaś go po ramieniu i poradziłaś, żeby się zdrzemnął?

- Ripley. - W głosie Zacka było ciche ostrzeżenie, ale Ripley potrząsnęła głową.

- Chryste, Zack, pomyśl! Ten człowiek jest niebezpieczny. Powiedziała, że coś w nim wyczuła.

- To nie jego wina... - zaczęła Nell.

- Tu nie chodzi o winę, lecz o fakty. - Ripley błyskawicznie odwróciła się do niej. - Nawet gdyby był zwykłym dziennikarzyną z manią wielkości, to i tak wystarczająco źle. Przyjechał tu, żeby cię znaleźć, prześledził całą twoją drogę przez ten cholerny kraj i za twoimi plecami rozmawiał z ludźmi na twój temat.

- To jego zawód. - Nell uniosła rękę, by powstrzymać Ripley. Rok temu wycofałaby się z takiej konfrontacji. Czasy się zmieniły, pomyślała. - Nie zamierzam go winić za to, że wykonuje swoją pracę. Ani za to, co teraz się z nim dzieje, bo nie zdaje sobie z tego sprawy. Jest chory i przerażony. Nie widziałaś go, Ripley. A ja tak.

- Nie, nie widziałam go, bo nie zadzwoniłaś po mnie. Nie wezwałaś mnie.

- Naprawdę o to ci chodzi? Że nie poprosiłam cię o radę ani o pomoc? - Nell przechyliła głowę. - A ty wezwałabyś mnie? Albo Mię? Powiedz.

Ripley otworzyła usta, a potem zamknęła je i mocno zacisnęła.

- Nie mówimy o mnie.

- Może jednak mówimy. Może mówimy o wszystkim. To w

końcu jest pewien cykl. To, co go zapoczątkowało, jest w nas. I zakończy go to, co jest w nas. Był pokaleczony - dodała, zwracając się do Zacka. - Zagubiony i zestresowany. Nie wiedział, co się z nim dzieje.

- A ty wiesz? - spytał Zack.

- Nie jestem pewna. Jakaś moc, ciemna. Wykorzystuje go.

Myślę... - Trudno było to wydusić z siebie, trudno było o tym myśleć.

- Obawiam się, że to coś wykorzystuje Evana. Jak pomost... skądś, nie wiadomo skąd, przez Evana do tego biedaka. Musimy mu pomóc.

- Musimy się go pozbyć z wyspy - przerwała Ripley. - Wziąć go za tyłek i wsadzić na najbliższy prom. I nie potrzeba do tego żadnych czarów.

- On nic nie zrobił, Rip - przypomniał jej Zack. - Nie naruszył prawa, nikomu nie zagroził. Nie mamy podstaw, by wydalić go z wyspy. Walnęła pięścią w jego biurko i pochyliła się do przodu.

- Będzie ją ścigał. Musi to robić.

- Nie zbliży się do niej. Nie dopuszczę do tego. Odwróciła się do Nell.

- On zniszczy to, co kochasz. W tej chwili to jego racja bytu. Nell potrząsnęła głową.

- Nie pozwolę na to. - Wyciągnęła rękę do Ripley. - Nie pozwolimy mu.

- Ja już wiem, kim jest i do czego jest zdolny. Czułam to w sobie.

- Wiem. - Palce Nell splotły się z jej palcami. - Potrzebujemy

Mii. Ripley westchnęła, raz, głęboko.

- Masz rację. Nienawidzę tego.

- Jesteś niesamowita, siostrzyczko. – Mia, oparta o kuchenny blat, patrzyła, jak Nell wrzuca makaron do wrzątku. - Wisi nad nami katastrofa, coś, co kotłuje się od trzech wieków. Ripley gryzie się i klnie. A ty gotujesz i serwujesz dania.

- Każdy robi to, co potrafi najlepiej. - Spojrzała na nią, energicznie mieszając makaron. - A ty co robisz, Mia?

- Ja czekam.

- Nieprawda, to nie jest aż tak proste.

- W takim razie przygotowuję się. - Mia podniosła kieliszek z winem i pociągnęła łyk. - Na to, co nadejdzie. Cokolwiek by to było.

- Widzisz to? To, co nadchodzi?

- Niezbyt dokładnie. Wiem tylko, że jest mocne i złe. Coś stworzonego... z krwi i zemsty. Pochłania to. z czego zostało zrodzone - mówiła, a jej oczy pociemniały - i potężnieje w miarę pochłaniania. Żeruje na słabości.

- Więc nie będziemy słabe. Wzrok Mii pojaśniał, gdy się uśmiechnęła.

- To coś nas nie docenia. Ale nam nie wolno popełnić tego błędu. Zło nie przejmuje się zasadami, tym, co słuszne i sprawiedliwe. Jest sprytne. Może nawet wydawać się pociągające.

- Jesteśmy teraz razem, we trójkę. Ja mam Zacka. Ripley MacAllistera. Tak bym pragnęła...

- Nie pragnij za mnie. Mam wszystko, czego mi trzeba.

- Mia... - Szukając właściwych słów. Nell wymachiwała cedzakiem. - Jeśli nawet stawimy czoło temu czemuś, to i tak pozostanie jeszcze jeden krok. Twój.

- Myślisz, że rzucę się z klifu? - Mia roześmiała się beztrąsko. - Obiecuję ci, że tego nie zrobię. Stanowczo za bardzo kocham życie.

Są też inne sposoby, żeby skończyć ze sobą, pomyślała Nell. Właśnie chciała to powiedzieć, lecz w ostatniej chwili ugryzła się w język. Na razie mają dość innych kłopotów.

Coś tu było nie w porządku. Ripley wsłuchiwała się w gwar prowadzonych przy stole rozmów, czuła aromat dobrych i pięknie podanych potraw. Swobodny ton głosów, zwyczajne słowa.

- Proszę o sól.

O Jezu!

Coś się w niej gotowało, za chwilę wzbierze i wykipi. A oni wszyscy beztrąsko gawędzą i jedzą, tak jak każdego wieczora.

Wiedziała, że to tylko pozorny spokój, czas, który trzeba wykorzystać na zebranie sił i odprężenie. Patrząc jednak na doskonale opanowaną Nell, na chłodnie wyczekującą Mię, czuła, że jej cierpliwość się skończyła. Brat nakładał sobie właśnie kolejną porcję makaronu, jakby nie zdając sobie sprawy, że wszystko, co ważne w jego życiu, zawisło teraz na włosku.

A Mac...

Przygląda się, słucha, analizuje, pomyślała z bezsilną złością. Skończony świr.

Tymczasem tam w ciemności czai się coś głodnego, coś, czego

nie da się zaspokoić obfitą, domową kolacją. Dlaczego tego nie czują?
Coś spragnionego krwi, krwi i kości, śmierci i udręki. Spragnionego smutku.

Nie wytrzymała.

- To mnie doprowadza do szału. - Gwałtownie odsunęła talerz; rozmowy się urwały. - Siedzimy tu bez sensu i pochłaniamy makaron. Jak na jakimś idiotycznym przyjęciu.

- Są różne sposoby, żeby przygotować się do konfrontacji - zaczął Mac kładąc rękę na jej ramieniu.

Miała ochotę strącić ją i zezłościła się na samą siebie.

- Przestań chrzanić o konfrontacji. To jest bitwa.

- Są różne sposoby, żeby się przygotować - powtórzył. - Na przykład wspólny posiłek. Symbol życia i jedności...

- Jaki tam symbol, to tylko strata czasu. Powinniśmy zrobić coś konkretnego.

- Twój gniew tylko tuczy to coś. - Mia podniosła kieliszek na wysokość oczu i przyglądała się purpurowemu płynowi, jakby szukała w nim jakichś obrazów.

- A więc jest już tak nażarte, że może pęknąć - Ripley poderwała się od stołu - bo jestem wkurzona maksymalnie.

- Nienawiść, gniew, żądza przemocy. - Mia z kieliszkiem przy ustach popatrzyła w oczy Ripley. - Wszystkie te negatywne emocje dodają temu siłę, a osłabiają ciebie.

- Nie dyktuj mi, co mam czuć.

- A czy to w ogóle możliwe? I tak robisz, co chcesz. Jak czegoś

nie chcesz, to albo walisz pięściami, albo odwracasz się na pięcie i odchodzisz.

- Przestańcie - fuknęła Nell. - Nie możemy się teraz kłócić.

- Oczywiście. Pogódźmy się. - Ripley wyczuła szyderstwo we własnym głosie i przez chwilę wstydziła się, że nie umie go złagodzić.

- A może kawusia i ciasteczka?

- Skończ już, Rip.

- Ani myślę. - Nie mogąc opanować rosnącego w niej napięcia, zwróciła się teraz do Zacka. - Nic nie będzie skończone, póki się z tym nie uporamy. Ale tym razem to coś gorszego niż nóż na gardle Nell, gorszego niż tamten nóż splamiony twoją krwią. Nie pozwolę mu zabrać tego, co kocham. I nie będę siedziała beczynnie, czekając, aż to coś przyjdzie po nas.

- W tym punkcie całkowicie się zgadzam. - Mia odstawiła kieliszek. - Nie zabierze nam tego, co kochamy. A ponieważ spory utrudniają trawienie, może zabralibyśmy się do pracy?

Wstała i zaczęła zbierać talerze ze stołu.

- Nell poczuje się lepiej - powiedziała, nie zostawiając Ripley czasu na złośliwy komentarz - gdy zobaczy, że posprzątałyśmy po sobie.

- Jasne. Fantastycznie. - Chwyciła swój talerz. - Bądźmy schludni. Odplynęła do kuchni. Pochwaliła się w myślach za to, że nie cisnęła talerza do zlewu. Co za opanowanie. Jaka zdumiewająca powściągliwość!

O Boże, chciało jej się wyć.

Za nią cichutko wszedł do kuchni Mac. Postawił talerze na blacie, a potem odwrócił się do niej i położył dłonie na jej napiętych, sztywnych ramionach.

- Niepokoisz się. - Potrząsnął głową, zanim zdążyła otworzyć usta.

- Wszyscy się niepokoiimy. Ale tobie się wydaje, że odpowiedzialność za to, co się stanie, obciąża ciebie. To nie jest tak.

- Chcesz mnie udobruchać. Sama wiem, kiedy robię się wredna. Uśmiechnął się.

- Nie muszę więc ci tego wytykać. Uznajmy, że mamy to już za sobą.

- Nie czujesz tego, co ja. Nie jesteś w stanie.

- Oczywiście, że nie jestem w stanie. Lecz kocham cię, Ripley, całym sobą. Rozumiem cię, a rozumieć to prawie tyle co czuć.

Rozluźniła się na chwilę. Pozwoliła się objąć i trwała w uścisku, który ją uspokajał.

- Byłoby łatwiej, gdybyśmy odnaleźli się później. Przytulił policzek do jej włosów.

- Tak myślisz?

- Mógłbyś się pojawić, kiedy wszystko znów wróci do normy.

Gapilibyśmy się sobie sentymentalnie w oczy i prowadzili uregulowane życie. Grill, małżeńskie sprzeczki, wielki seks i rachunki od dentysty.

- I o to ci chodzi?

- W tym momencie to wydaje się fantastyczne. - Głęboko

westchnęła. - Wolę wariować, niż się bać. Tak mi łatwiej...

- Ale pamiętaj, że wszystko sprowadza się do tego. - Odchylił jej głowę do tyłu i przylgnął wargami do jej ust. - I w tym właśnie – mruczał - można znaleźć więcej magii, niż się ludziom wydaje.

- Nie zwątp we mnie, nie skreślaj mnie.

- Nie ma mowy.

Wyciszyła się na tyle, na ile to było możliwe, tłumiąc w sobie niepokój i niecierpliwość. Nie chciała położyć się na tapczanie - czuła się na nim bezbronna. Usiadła więc w fotelu w saloniku, z rękami na oparciach, przy wyłączonych monitorach i kamerach.

Widok Mii i Nell, które stanęły u jej boków jak strażniczki, nie podziałał na nią uspokajająco. Czuła się po prostu głupio.

- Teraz - powiedziała do Maca.

- Musisz się odprężyć. - Przysunął krzesło i usiadł przed nią, bawiąc się wisiorkiem. - Oddychaj powoli. Wdech, wydech.

Uśpił ją. Tym razem tak szybko i bez trudu, że przeszył go nerwowy dreszcz.

- Dostroila się do ciebie - mruknęła Mia, zaskoczona łatwością, z jaką Ripley uległa. - A ty do niej. To też jest swego rodzaju moc.

Będzie im potrzebna, pomyślała, czując na skórze nieprzyjemne lodowate mrowienie. Wyciągnęła rękę ponad Ripley i chwyciła dłoń Nell.

- Jesteśmy trzy - powiedziała wyraźnie. - Dwie strzegą jednej.

Gdy jesteśmy razem, nic złego nie może się stać. - Uczucie ciepła powróciło. Mia skinęła głową do Maca.

- Jesteś bezpieczna. Ripley. Tutaj nikt cię nie skrzywdzi.

- Zbliża się - powiedziała i zadrżała. - To jest zimne i zmęczone czekaniem. - Wpatrywała się w Maca szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami. - Zna ciebie. Obserwowało i czekało. Jesteś tej samej krwi. Umrzesz przeze mnie, tego właśnie ono chce. Śmierć i moc, moc i zniszczenie. Z mojej ręki. - Ogarnęła ją bezbrzeżna rozpacz. - Powstrzymaj mnie. - Jej głowa opadła do tyłu, błysnęły białka oczu. - Jestem Ziemią.

Widzieli, jak się zmienia. Włosy skręciły się w loki, rysy twarzy zaostrzyły.

- Mój grzech wymaga pokuty, a czasu jest coraz mniej. Siostra do siostry, miłość do miłości. Nadchodzi burza, a wraz z nią ciemność. Jestem bezsilna. Zgubiona.

Po jej policzkach spływały wielkie łzy.

- Siostro. - Mia położyła rękę na ramieniu Ripley i znów poczuła zimno. - Co mamy zrobić?

Oczy, które patrzyły na Mię, nie były oczami Ripley. Wydawały się stare i przeraźliwie smutne.

- Rób, co chcesz. Rób, co potrafisz. Rób to, w co wierzysz. Ufność to jedno, sprawiedliwość drugie, a miłość bez granic trzecie. Wy jesteście te trzy. Stańcie się jeszcze mocniejsze albo wszystko przepadnie. Jeśli chcesz przeżyć, twoje serce znów zostanie złamane. Czy zdołasz to znieść?

- Będę żyła i strzegła mego serca.

- Ona myślała tak samo. Kochałam ją, kochałam ich oboje. Za

bardzo albo nie dość, to się jeszcze okaże. Oby wasz krąg był mocniejszy i wytrwał.

- Powiedz nam, jak wytrwać.

- Nie mogę. Jeśli poszukasz odpowiedzi w sobie, pytania przestaną być ważne. - Zwróciła się teraz do Nell, niemal z uśmiechem. - Ty już znalazłaś, jest więc nadzieja. Bądź błogosławiona.

Ripley głęboko westchnęła.

- Nadeszła burza - powiedziała, gdy błękitne światło pierwszej błyskawicy rozjaśniło na moment pokój.

Lampa runęła na podłogę. Wazon z kwiatami zawirował i wzbił się w powietrze, a potem upadł i potoczył się pod ścianę. Tapczan uniósł się i przeleciał przez salonik.

Zackowi, który przedzierał się ku Nell, zagroził drogę stół. Klnąc, przesadził go i chwycił ją w objęcia, próbując osłonić własnym ciałem.

- Ucisz się! - rozkazała Mia rozszalałemu, wyjącemu wichrowi. - Nell, stań obok mnie. - Ścisnęła jej dłoń, a drugą ręką podniosła bezwładne ramię Ripley. - Niech ucichnie moc i niech uspokoi się powietrze. Kto ośmieli się nam przeciwstawić?! Jesteśmy tu we trzy. Niech będzie, tak jak chcemy.

Wola przeciw woli. Magia przeciw magii. Wiatr ustał tak samo nagle, jak się zerwał. Książki, które wirowały w powietrzu, z głuchym stuknięciem upadły na podłogę.

- Ripley. - Głos Maca był spokojny, w przeciwieństwie do serca.

które łomotało coraz szybciej. - Będę liczył od dziesięciu do jednego. Kiedy powiem jeden, masz się obudzić. Powoli.

Nachylił się nad nią, muskał wargami jej policzek i szeptał zaklęcie, które odnalazł w dzienniku.

- Zapamiętasz to - obiecywał z nadzieją, że w największej potrzebie wszystko sobie przypomni. - Będziesz to słyszeć. Będziesz to wiedzieć.

Przywoływał ją, a Ripley wydawało się, że wynurza się z góry puchu. Im bliżej wierzchołka, tym chłodniej. I tym większy strach.

Otworzyła oczy i spostrzegła krew na twarzy Maca. Płynęła z jego czoła i dalej w dół, po policzku.

- O Boże! Nie zdawał sobie sprawy, że się skaleczył, dopóki nie dotknął ręką twarzy.

- Drobiazg. - Spojrzał na umazane krwią palce. - Chyba jakieś szkło. Drobiazg - powtórzył. - Po prostu skaleczenie.

- Krew. Twoja krew. - Podniosła rękę zaciśniętą w pięść. Przenikało ją poczucie winy. Ale i moc. Głód i strach.

- Bywało gorzej po goleniu. Popatrz na mnie. Odpręż się. Nell, czy mogłabyś podać Ripley szklankę wody? Powinniśmy zrobić małą przerwę, zanim porozmawiamy o tym wszystkim.

- Nie, nie trzeba. - Głos Ripley się uspokajał. - Już dobrze. Jeszcze moment. - Delikatnie dotknęła jego twarzy. - Przepraszam, nie mogłam się opanować. Tak mi przykro.

- Już wszystko w porządku. Kiwnęła głową, jakby chciała mu przytaknąć, ale idąc do kuchni wiedziała, że nic nie jest w porządku.

Nie może być w porządku.

Wiedziała też, co ma zrobić. Co trzeba zrobić. Krew na jej palcach zakrzepła, gdy tylnymi drzwiami wymknęła się prosto w burzę.

ROZDZIAŁ 20

Wybiegając w wicherę, miała tylko jeden jasny cel. Usunąć z wyspy Hardinga. I siebie. Usunąć jak najdalej od Maca. Od Nell, od Mii i Zacka. Potem będzie już jej wszystko jedno. Ale teraz trzeba oddalić bezpośrednio zagrożenie od tych, których kocha. Zagrożenie to kryje się w niej i łączy jakoś z Hardingiem. Przeląła krew Maca.

Zacisnęła w pięść palce, wciąż lepkie od krwi. Krew to moc, jedno z podstawowych źródeł mocy. Wykorzystuje ją czarna magia, żywi się nią. Odrzucała i potępiała tę myśl, tak bardzo sprzeczną ze wszystkim, w co wierzyła.

Nie wolno wyrządzać zła. Musi tego unikać. Teraz jednak najważniejsze dla niej to zdobyć pewność, że nic złego nie spotka tych, których kocha.

Niewinnie zamordowani.

Usłyszała szept tak wyraźny i donośny, że aż się odwróciła, by sprawdzić, kto za nią się skrada.

Lecz wokół była tylko noc. Ciemność i brutalna potęga sztormu.

W miarę jak oddalała się od domu, narastała wściekłość burzy i w niej samej rósł gniew. Miała być wykorzystana jako narzędzie, by zranić Maca, zaatakować Nell, zniszczyć Mię.

Raczej umrze, niż na to pozwoli.

Przyspieszyła kroku, gdy dotarła do plaży. Odwróciła się, słysząc jakiś dźwięk.

Z mroku wynurzyła się Lucy z błyszczącymi ślepiami i czujnie postawionymi uszami. Chciała odesłać ją do domu, ale się rozmyśliła.

Opuściła podniesioną już rękę i westchnęła.

- No dobrze, chodź. Lepiej choćby z psem niż samej. - Położyła dłoń na łbie Lucy i spojrzała w jej wierne oczy. - Broń mnie.

Wiatr rozwiewał jej włosy, gdy biegła z psem po piasku. Huczały fale, czarna ściana wody niestrudzenie waliła o brzeg. Za każdym razem rozpryskiwała się jak rozbita szyba, a potem znów cofała, by powrócić z nową siłą.

Huk przyboju łomotał Ripley w głowie jak uderzenia pięścią.

Jej siostra nie żyła. Zarżnięta jak owieczka za miłość, za serce. Za swój dar magii. Gdzie jest sprawiedliwość?

Wiatr niósł igiełki lodu, które przyklejały się do skóry. Płynęły skądś przejmujące wycia i skowyty, tysiące głosów pełnych udręki. Do stóp Ripley zaczęła podpełzać brudna mgła, sięgająca najpierw kostek, później łydek.

Chłód przenikał do kości.

Krew za krew. Życie za życie. Moc za moc. A ona myślała, że może być inaczej?

Mimowolnie spojrzała przez ramię. Tam, gdzie powinien stać rozjaśniony światłami dom widać było tylko brudnobiałą zasłonę.

Gęstniejąca, kłębiąca się mgła odcięła ją od domu i od miasteczka. No i bardzo dobrze. Wściekłością starała się zdusić strach.

- Chodź, sukinsynu! - Jej krzyk przeciął mgłę jak skalpel przecina gazę. - Chodź, czekam!

Pierwsze uderzenie mocy odrzuciło ją o trzy kroki do tyłu zanim

znalazła solidne oparcie dla stóp.

Kotłowała się w niej furia. Gdy wzniosła w górę ramiona, niebo i morze przeszły czerwone bicze błyskawic. Oto magia, pomyślała. Widziała siebie, a jednocześnie nie siebie stojącą w zawierusze coraz potężniejszych żywiołów. Powietrza, Ziemi, Ognia i Wody.

Lucy zadarła łeb i zaczęła przejmująco wyć.

Z mgły wynurzył się Harding - czy też to coś, co nim owładnęło.

- Rip zawsze miała napady złego humoru - powiedział Zack, starając się rozładować napięcie.

Salonik wyglądał jak pobojuwisko, a on sam. gdyby tylko wykazał mniej opanowania, jeszcze czułby podmuch sprzed paru minut.

- Strach i wściekłość, wściekłość i strach - powtarzała Mia, chodząc po pokoju. - Nie umiałabym przez to się przebić. Ripley i ten ktoś, kto przez nią przemawia... To zbyt mocne i twarde.

- Tak jak jej głowa - powiedział Mac, uśmiechając się blado. Mia westchnęła i znów próbowała odzyskać równowagę.

- Właśnie. Liczyłam, że uda nam się rozpoznać taktykę, z którą będziemy mieli do czynienia. Moglibyśmy wówczas zastanowić się, jak z tym walczyć. Lecz to chyba byłoby zbyt proste.

- Sprawiamy jej ból - mruknęła Nell.

- Wiem. - Mia delikatnie poklepała ją po ramieniu. - I jest mi z tego powodu przykro. Ale teraz powinniśmy usiąść i pomyśleć, jak wykorzystać w nadchodzących zdarzeniach te negatywne emocje. Zaklęcie ochronne wystarczyłoby w tym przypadku jedynie na krótko.

Rzadko zgadzam się z Ripley, jednak tak jak ona uważam, że powinniśmy działać. - Zamknęła oczy i potarła skronie. - Masz jeszcze niewiele doświadczenia, Nell, a to z pewnością nie będzie łatwa sprawa.

- Co nie będzie łatwe? - zapytał Mac, marszcząc brwi. - Chodzi ci o wypędzanie złego ducha?

- Jak to dobrze mieć uczonego pod ręką. Owszem. - Mia uśmiechnęła się do niego, ale był to uśmiech dość ponury. - Jest nas pięcioro. Łatwiej by poszło, gdyby było nas dwanaścioro, lecz nie mamy czasu szukać sprzymierzeńców. I niewiele go mamy na przygotowania. Trzeba więc radzić sobie z tym, co jest. Skoro... - Nagle zamilkła, a jej policzki pobladyły. - Ona wyszła. Jest poza ochronnym kręgiem. - Nie zdołała ukryć przerażenia. - Przerwała krąg.

Mac ruszył ku drzwiom, ale Mia złapała go za rękaw.

- Zaczekaj. Pomyśl. Problem polega na tym, że same uczucia nie wystarczą. Pójdziemy razem. - Rozejrzała się. - I będziemy przygotowani. Wiesz, jak to się robi?

Mac opanował panikę.

- Teoretycznie tak. Mia patrzyła na Zacka, gdy zapinał kaburę, i już chciała mu powiedzieć, że to się na nic nie zda, lecz błysk w jego oczach przestrzegł ją i skłonił do milczenia.

- Mów, co robić - powiedziała niecierpliwie Nell - i zrobmy to bardzo szybko.

Ripley stanęła pewnie w rozkroku i się skoncentrowała. Zdawała

sobie sprawę, na co się porywa. Muszę go ściągnąć, myślała. Zwabić go do siebie, żeby ocalić kochane osoby.

I zniszczyć go.

Z gardła stojącej przy niej Lucy dobywał się basowy warkot.

- Harding. Brzuchaty mieszcuch w średnim wieku - szydziła lodowato. - Nieszczególny egzemplarz, jeśli chcesz znać moje zdanie.

- Tak myślisz? - Jego głos wydawał się jej niższy i chyba bardziej schrypnięty niż zwykle. Oczy wyglądały jak ciemne jamy.

- Poznaliśmy się już wcześniej - powiedział.

- Czyżby? Pamiętam tylko interesujące znajomości.

- Wszystko, co jest w tobie, pamięta to, co jest we mnie. - Krążył wokół niej. Ripley odwracała się za nim, nie dając zajść się z boku.

Wsunęła palce za obrozę warczącej i wyrywającej się Lucy.

- Sięgnęłaś po to, co należało do mnie, i wzięłaś to jak kochanka.

Nie zapomnisz rozkoszy.

To nie było pytanie, lecz polecenie. Poczwała nagły, pulsujący dreszcz. Gwałtowny i mocny. Wspaniały. Coś w rodzaju fantastycznego orgazmu, okrutnej przyjemności, która niemal zwała ją z nóg.

Otrząsnęła się z tego, ale jakby niechętnie.

Tak, o Boże. Czy naprawdę mogłaby to przeżyć? Coś takiego byłoby warte każdej ceny. Zdrady, potępienia. Nawet śmierci.

Kiedy próbowała uspokoić myśli, coś mignęło. Zasłaniając się, upadła twarzą w zimny piach.

Czuła się tak, jakby potrąciła ją ciężarówka.

Zachichotał ubawiony, gdy czołgała się, oparta na rękach i kolanach. Lucy wyszczerzyła kły i zaatakowała - skok... I odbiła się od niewidzialnej tarczy, która zapłonęła pod wpływem uderzenia.

- Nie! Lucy, nie rusz!

- Mogę dać ci wszystko, czego zapragniesz, a nawet więcej. Ale nie za darmo. Nie za darmo, lecz łatwo. Podasz mi rękę?

Znów mogła oddychać. Pogłaskała dygoczącego i warczącego psa.

- Pocałuj mnie w dupę. Powalił ją na ziemię jednym wściekłym podmuchem wichru.

- Gdybym chciał, mógłbym cię zniszczyć. Co za strata.

Połączmy naszą moc, a będziemy panować.

Kłamca, pomyślała. Łże. I bawi się mną. Będę sprytniejsza. I podstępna.

- Kręci mi się w głowie - powiedziała słabym głosem. - Nie mogę myśleć. Muszę tylko mieć pewność, że ci, których kocham, są bezpieczni.

- Ależ oczywiście. Dostaniesz wszystko, czego chcesz. Daj mi tylko to, czym jesteś.

Wstała, opuszczając nisko głowę, jakby zabrakło jej sił. I nagle gwałtownym ruchem odrzuciła ją w górę i wystrzeliła w niego całą mocą swojego umysłu, całą nagromadzoną w sobie furią. Przez krótki moment rozkoszowała się widokiem jego zszokowanej twarzy, a potem jego ciało pchnięte uderzeniem jej gniewu poleciało do tyłu.

Poprzez snującą się mgłę zauważyła, że piasek, na który upadł,

szczerniał, jakby wypalił go ogień.

- Pośle cię do piekła - groziła. Oślepiło ją przeraźliwie jasne światło. Poczowała żar i zimno, które wybuchły w powietrzu jak niewidzialny szrapnel. Kierowała się teraz tylko instynktem. Odskakiwała, opierała się, atakowała. Czowała ostry, otępiający ból i posługiwała się nim jak bronią.

- Będziesz cierpieć. Ty i twoi najbliżsi - wycedził. - Najpierw cierpienie, a później pustka, jeszcze od niego gorsza. Zniknie wszystko, co kochasz.

- Nie tkniesz niczego, co kocham. Musiałbyś najpierw pokonać mnie.

- Tak? Słyszała jego nierówny, zdyszany oddech. Traci siły, pomyślała, więc chyba zwycięzę. W chwili, gdy zbierała się, aby zadać decydujący cios, złączył nagle ręce i podniósł je nad głowę.

Spienione niebo wypluło czarną błyskawicę, która przeszła jego dłonie i zamieniła się w lśniący miecz.

Raz i drugi przeciął nim powietrze. Szedł ku niej z triumfującym wyrazem twarzy.

Wezwała na pomoc Ziemię i poczuła jej delikatne drżenie. Przy pierwszych wstrząsach Lucy rzuciła się, by jej bronić. Ripley wydała okrzyk rozpacz, miecz świsnął.

- Wszystko, co kochasz - powiedział, stając nad leżącym bez ruchu psem - wszystko to stracisz tej nocy.

- Za to jedno - wyrzuciła rękę ku niebu, a wraz z nią całą swoją moc - zabiję cię.

W dłoni poczuła rękojeść miecza. Pasował jak rękawiczka, dobrze знаła jego kształt i ciężar. Pochyliła ostrze. Cios. Zadzwończy klingi.

Wzywała teraz burzę. Setki padających z nieba grotów siekły morze i plażę i utworzyły wokół nich ognistą klatkę. Chłonęła w siebie wściekłość i szal sztormu.

Narastająca w niej nienawiść pożerała wszystkie uczucia.

- Zabiłeś niewinne istoty. Wyszczерzył zęby w drwiącym uśmiechu.

- Co do jednej.

- Zgładziłeś moje siostry.

- Płakały, umierając.

- Zamordowałeś człowieka, którego kochałam.

- I wtedy, i teraz. Pragnienie jego krwi paliło jej gardło i dodawało siły. Spychała go w tył na płonące pręty klatki.

Gdzieś z daleka dotarło do niej wołanie. Usłyszała, a może poczuła, że ktoś ją wzywa, lecz nie zareagowała. Coraz mocniej cięła i kłuła, aż miecz przeciwnika zaczął drżeć.

Miała tylko jedno pragnienie - wbić ostrze w jego serce. Nie mogła się doczekać, kiedy zada ostatni, morderczy cios.

Wiedziała, że ten moment jest blisko, coraz bliżej. Już czuła smak tej chwili, kuszący, gorzki i mroczny.

Kiedy upuścił miecz i padł na kolana, przeszył ją dreszcz podniecenia. Jak w seksie. Chwyła miecz oburącz i wzniosła go wysoko ponad głowę.

- Ripley! Przez ryk rozlegający się wciąż w jej głowie docierał do niej ledwie słyszalny głos Maca. Zadrżały jej ręce.

- On tylko na to czeka. Nie rób tego.

- Chcę, żeby zapanowała sprawiedliwość - krzyknęła, a wzburzone włosy falowały wokół jej głowy.

- Jesteś za słaba, by mnie zabić. - Człowiek u jej stóp odchylił się do tyłu, prowokacyjnie nadstawiając gardło. - Nie starczy ci odwagi.

- Ripley, poczekaj. Spójrz na mnie. Nie wypuszczając miecza, popatrzyła przez ogniste pręty klatki.

Tuż obok stał Mac.

Skąd się tu wziął? Jakim sposobem? Obok niego zobaczyła Zacka, a z nimi Mię i Nell.

Słyszała własny, chrapliwy oddech, ciało oblewał zimny pot. W jej żyłach wciąż pulsowała żądza mordy.

- Kocham cię, Ripley - powiedział Mac. - Pamiętaj.

- Obniż barierę - głos Mii był energiczny i zdecydowany. -
Utworzymy krąg. Jesteśmy silniejsze.

- Zabiję ich. - Twarz Hardinga wykrzywiła się w szyderczym grymasie. - Będą umierali powoli i w bólach, żebyś nasłuchiwała się do syta ich krzyku. Albo ich śmierć, albo moja. Wybieraj.

Odwróciła się i odpowiedziała z uśmiechem:

- Jasne, twoja. Noc wybuchła z hukiem, gdy opuściła miecz. W jej mózgu zakłębiły się tysiące obrazów. Dostrzegła poprzez nie nieskrywaną radość i triumf w oczach przeciwnika.

W chwilę później obrazy znikły. I przygasł wzrok Hardinga.

Ostrze zatrzymało się tuż nad gardłem.

- Pomóż mi - wyszeptał. Zauważyła, że jego skóra zaczyna się marszczyć.

- Pomogę. Korzenie magii tkwią w sercu - powtarzała słowa, które Mac zapisał w jej podświadomości. - I tam rodzi się moc, której światło rozjaśnia ciemności, a radość wiedzie nas do celu. By ochraniać i bronić, by żyć. Niech się stanie, tak jak chcę.

Harding roześmiał się.

- Naprawdę myślisz, że to słabe, kobiece zaklęcie zdoła mnie powstrzymać?

Ripley skinęła głową, niemal z sympatią.

- Tak. Ale i to. - Myślała jasno i logicznie, kierując ostrze miecza ku sobie - przecięło skórę ręki, na której wciąż były ślady krwi Maca.

Amulet od Maca, który nosiła na piersiach, rozjarzył się ciepłym blaskiem.

- Jego krew - powiedziała - i moja. Teraz naprawdę ze sobą połączone. - Zacisnęła dłoń, czerwone krople spadły na skórę Hardinga. Zawył. Wył, wył i nie przestawał. - Krew z naszych serc pokona cię. Wzywam jej moc. Niech się stanie, tak jak chcę.

- Dziwka! Kurwa! - Wrzeszczał, usiłując wstać i rzucić się na nią. Charczał z bezsilnej wściekłości.

Dla Ripley nagle wszystko stało się oczywiste: nadzieja jest oślepiająco jasna. Usunęła barierę z płomieni i odwróciła się.

- Nie możemy tak go zostawić. - Owładnęło nią współczucie. -
Biedny skurwiel.

- Wygnamy to z niego - powiedziała Mia. Zbudowały krąg z soli i srebra. Uwięziony w nim Harding toczył pianę i wył jak dzikie zwierzę. Ciskał coraz bardziej plugawe przekleństwa i coraz ohydniejsze pogrożki.

Przez jego twarz przebiegały konwulsje, jakby kości przemieszczały się pod skórą.

Po niebie przetoczył się grzmot. Wiatr zanosił się upiornym, nieskończonym krzykiem.

Gdy złączyły ręce i utworzyły krąg, oczy Hardinga wywróciły się białkami do góry.

- Wypędzamy cię z powrotem w wieczne ciemności, na zawsze.
- Mia zamknęła oczy i skupiła się. Na policzku Hardinga pojawił się nieduży biały pentagram.

Harding szlochał jak kobieta.

- Wyjdź z tej duszy - rozkazała Nell. - Zgiń w pustce i w ciemnościach.

- Helen, kocham cię. Jesteś moją żoną, moim światem - odezwał się nagle głosem Evana. - Zlituj się.

I poczuła litość. Ale wyraziła się ona tylko jedną pojedynczą łzą, która spłynęła po jej policzku.

- W tym miejscu, o tej godzinie - zaintonowała Ripley - wypędzamy cię i niszczymy twoją moc. Niech się stanie, tak jak chcemy.

- Wypędzamy cię - powtórzyła Mia, a po niej Ripley i Nell, a ich słowa nakładały się na siebie, jakby mówiły jednym głosem.

Poczuły podmuch, zimny i cuchnący. Nad Hardingiem uformował się ciemny, wirujący lej, który uleciał nad morze i rozpląnął się w powietrzu.

Twarz leżącego na piasku człowieka była blada, lecz spokojna. Jęknął.

- Trzeba mu pomóc - powiedziała Nell.

- Więc na co czekasz, zaopiekuj się nim. - Ripley chciała się cofnąć, ale nieoczekiwanie ogarnęła ją niemoc i zatoczyła się.

- Już dobrze, kochanie. Okej. - Mac podtrzymał ją i łagodnie pomógł uklęknąć na piasku. - Oddychaj równo, głęboko.

- Nic mi nie jest, tylko zasłabłam. - Zdołała podnieść głowę i spojrzała na brata. - Chyba nie zamkniesz mnie za usiłowanie zabójstwa?

- Chyba nie. - Ukląkł obok niej i ujął jej twarz w dłonie. - Napędziłaś mi strachu, Rip.

- Ja też się bałam. - Zaciskała mocno wargi, usiłując opanować ich drzenie. - Będziemy mieli jutro masę roboty. Burza narobiła szkód.

- Jakoś się z tym uporamy. Wyspa jest pod opieką Toddów.

- Jasne. - Głęboko oddychała przez chwilę, aż poczuła się lepiej.

- Chyba trzeba pomóc Nell... Och, ten Harding. Biedny pajac. No, już doszłam do siebie.

Ucałował ją w oba policzki i spojrzał na podnoszącego się Maca.

- Zajmij się nią. Znów nabrała powietrza.

- Poświęć mi minutkę, dobrze?

- Nawet dwie, ale nie więcej.

- Pomóż mi wstać. Ledwie trzymam się na nogach. Delikatnie powiedziane, pomyślała, kolana jak z waty; zmusiła się jednak do wysiłku. Kiedy stanęła, odwróciła się do Mii. Natychmiast zapomniała o swojej słabości, o szoku, o wszystkim, co się wydarzyło. Mia, uśmiechając się, głaskała Lucy po głowie. Suka radośnie machała ogonem.

- Lucy! - Rzuciła się do niej i przytuliła twarz do jej futra. – Już myślałam, że nie żyje. Widziałam... - Zaczęła szukać rany.

- To było tylko złudzenie - powiedziała cicho Mia. - Iluzja miecza. Harding zastosował okrutny trik. Chciał cię rozwścieczyć i sprowokować. Nie zależało mu na twojej śmierci. Chciał tylko twojej duszy i twojej mocy.

Ripley raz jeszcze przytuliła Lucy, a potem wyprostowała się i spojrzała Mii w oczy.

- No cóż, przegrał. Prawda?

- Przegrał.

- Wiedziałaś, jak to się skończy? Cały czas?

- Częściowo. - Mia potrząsnęła głową, a z jej twarzy zniknął uśmiech. - Nie tyle, żeby mieć pewność, ale dość, żeby się niepokoić.

- Wyciągnęła rękę do Nell, która właśnie do nich podeszła. - Serce mówiło mi, że dasz sobie radę, rozum jednak kazał mi się martwić. Nigdy nie byłaś dla mnie łatwą zagadką.

- Mogłam zrobić coś najgorszego. Byłam wściekła i przerażona.
- Ripley westchnęła. - Ale czułam was w sobie, ciebie i Nell. -
Zacisnęła zakrwawioną dłoń i przyłożyła ją do piersi. - Wcale tego nie
chciałam - wyszeptała z przejęciem. - Dobrze wiecie, że nie chciałam.

- Takie jest życie. - Mia wzruszyła ramionami. - Albo grasz
takimi kartami, jakie dostałaś, albo wypadasz z gry.

- Ja wiedziałam, że wygrasz. - Nell ujęła skaleczoną rękę Ripley
i delikatnie rozchyliła palce. - Powinnaś to opatrzyć.

- Później. To nie wygląda źle. - Zacisnęła wargi. - Chcę szramy -
powiedziała. - Jest mi potrzebna.

- No więc... - Nell puściła jej dłoń. - Ja i Zack zabierzemy teraz
pana Hardinga do domu. Potrzebuje czegoś ciepłego. Jest
zszokowany, zagubiony, ale cały i zdrow. - Popatrzyła na Zacka, który
podtrzymywał Hardinga. - To zdumiewające, że wyszedł bez
szwanku. Niczego nie pamięta.

- I niech tak zostanie - postanowiła Ripley. - W porządku,
wracajmy. Wkrótce będzie po wszystkim. - Podniosła oczy w górę.
Wiatr porozdzierał i rozpędził chmury, a na tle czarnego nieba świecił
czysty, biały księżyc. - Sztorm ustępuje - mruknęła.

- Na razie - przytaknęła Mia. Ripley otworzyła usta i spojrzała
znów w stronę Hardinga.

- Może panowie mogliby go zabrać i zostawić nas tutaj na
chwilę same?

- Jasne. Powiem Zackowi. Nell podbiegła do męża, a Ripley na
widok uniesionych brwi Mii, tylko potrząsnęła głową.

Wiatr się uspokoił, przeszedł w lekką bryzę, która niosła zapach nocy i wody.

Mężczyźni i rozbawiony pies poszli w stronę domu.

We trójkę zlikwidowały krąg. Ripley wzięła do ręki swój rytualny miecz - ten był całkiem prawdziwy - i oczyściła go. Fale przy boju, znów spokojne i piękne, oblewały jej stopy.

- Kiedy uniosłam miecz, pragnęłam krwi. To było jak żądza. Wydawało mi się, że zanim go opuściłam, minęły godziny... Te szmirowate wizje to nie jest akurat moja działka. - Wywróciła do góry oczy słysząc znaczące pokastywanie Mii. - To twoja specjalność. Zwykle. Ale widziałam coś. Widziałam Maca, koło mnie. Rodziców, brata. Widziałam nas trzy, w lesie, tak jak ostatniej jesieni. Widziałam ciebie, Nell, trzymałaś dziecko w ramionach.

- Dziecko. - Nell z tęsknym westchnieniem przycisnęła dłonie do brzucha, oczy jej zwilgotniały. - Ale ja nie jestem...

- Jeszcze nie.

- Och, cudownie. - Nell śmiała się, podekscytowana i zmieszana.

- Och, cudownie, cudownie.

- W każdym razie - mówiła dalej Ripley - widziałam to. I nie tylko. Trzy siostry, w ciemnym lesie, w świetlistym kręgu. Tę, którą nazywano Ziemią, tu, na tej plaży, pośród burzy. Potem było ich dużo, bardzo dużo, pojawiały się błyskawicznie jedna za drugą, nakładały na siebie, ale każdą było widać wyraźnie. - Wciągnęła powietrze i odwróciła się do Mii. - Widziałam cię. Stałaś na urwistym brzegu, na samej krawędzi. Samotna i zapłakana. Wokół ciebie panowała

ciemność, taka, jaka uleciała dziś z Hardinga. Ona pragnęła cię, Mia. W jakiś sposób ja... To zawsze byłaś ty, przede wszystkim.

Mia poczuła chłód pełznący wzdłuż kręgosłupa; kiwnęła głową.

- Chcesz powiedzieć, że powinnam... uważać?

- Bardzo uważać. Zobaczyłam coś jeszcze, w chwili gdy zatrzymałam miecz. W ostatnim błysku. Nas trzy, w kręgu. I wiedziałam, że wszystko jest okej. To znaczy, wiem, że może być okej. Jeżeli zrobimy to, co jest naszym obowiązkiem, jeśli podejmiemy właściwe decyzje.

- Ty podjęłaś swoją tej nocy - powiedziała Mia. - Zaufaj, że i ja podejmę moją.

- Jesteś najsilniejsza z nas.

- Dobra, dobra!

- Co się stawiasz. W sferze magii jesteś najsilniejsza. To, co do ciebie się zbliża, też będzie najsilniejsze.

- Żadna z nas nie jest teraz samotna. - Nell wzięła za rękę Mię, a potem Ripley. - Jesteśmy razem.

Ripley westchnęła i ujęła dłoń Mii, żeby zamknąć koło.

- Taa. Czarownice to my.

Tłumaczyła sobie, że robi to, co należy, ale to nie znaczy, że była tym zachwycona. Obserwowała Nell, która pocieszała Hardinga. Poila go zupą i herbatą. Pozwoliła Mii opatrzeć i zabandażować sobie rękę. I unikała sam na sam z Makiem, dopóki nie wyszli razem do żółtego domku.

- Jeśli chcesz, możemy dziś popracować z twoją aparaturą.

- To może poczekać do jutra. - Nie dotykał jej. Nie wiedział dlaczego, ale czuł, że jest jeszcze za wcześnie.

- Sądzę, że Harding w końcu napisze swoją książkę.

- Ale nie taką, o jakiej myślał. Nell chyba się cieszy, że książka może dać nadzieję ludziom uwięzionym w kręgu przemocy. Niewiele ucierpiał na tym, że został...

- Poddany egzorcyzmom?

- W pewnym sensie. Mogę spytać cię o szczegóły?

- Tak. - Noc była piękna. Chłodna, świeża i przejrzysta. Trzeba się rozluźnić, powiedziała sobie Ripley.

- Skąd wiedziałaś, że krew go zatrzyma?

- Wcale nie byłam tego pewna.

- Dziedzictwo wiedzy - mruknął i poczuł dreszcz.

- Być może. To twoja specjalność. Magia jest we krwi, przekazywana z pokolenia na pokolenie. W mojej - powiedziała, podnosząc dłoń. - W twojej, choć jest porządnie rozcieńczona. - Obejrzała się, gdy się roześmiał. - Właśnie, że tak - burknęła rozdrażniona. - A krew jest prężnym, poświęceniem, wszystkim. Jest życiem.

- To nie podlega dyskusji. - Mac zatrzymał się na skraju kępy drzew, gdzie cienie były głębsze, a światło księżycy przenikało przez ciemne gałęzie. Odwrócił się. - I tyle?

- Jest jeszcze więź. Emocjonalna, chyba niezależna od intelektu, logiki, nawet od rytuału.

- Miłość. - Odczekał trochę. - Dlaczego nie możesz tego powie-

dzieć w tej chwili?

- Nigdy dotąd nie widziałeś mnie takiej - odparła szybko. –
Wszystko, co było wcześniej, to dziecinada w porównaniu z dzisiejszą
nocą.

- Byłaś wspaniała. - Widział, jak jej oczy się rozszerzają.
Zabawnie będzie, pomyślał, zaskakiwać ją takimi oświadczeniami
przez najbliższe pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt lat. - Myślałaś,
kretynko, że to, co zobaczyłem, może zmienić moje uczucie do
ciebie?

- Nie. Nie wiem. Mac, o mało nie uległam pokusie. Być może
wtedy, kiedy wyszłam, zdawało mi się, że mogę się poświęcić... I nie
mów mi, że to bzdury. Ja to przeżyłam.

- W takim razie powstrzymam się.

- Słusznie. Ale im dalej byłam od domu, od was, tym bardziej
łaknęłam krwi. Był taki moment, nawet więcej niż moment, kiedy
mogłam odwrócić się, mogłam przyjąć to, co mi podsuwano. Ta moc
była straszliwa. Olbrzymia, podniecająca, jak narkotyk.

- A jednak się nie zdecydowałaś.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bardziej pragnęłam siebie samej. Ciebie. I... To zabrzmiało
okropnie wzniosie.

- Mimo to powiedz.

- Bardziej pragnęłam sprawiedliwości. Mac położył ręce na jej
ramionach, musnął wargami czoło.

Podniósł jej obandażowaną rękę i pocałował.

- Mówiłem już, że byłaś wspaniała. Dokładnie tak. Promieniałaś światłem. Nic nie mogło go przyćmić. A teraz... Jesteś moją dziewczyną.

- Twoją dziewczyną - parsknęła. - Proszę cię.

- Cała moja - powiedział i zrobił to, co chciał zrobić od chwili, kiedy zobaczył ją z lśniącem mieczem w dłoniach: podniósł i niemal zgniatając w ramionach, miażdżył wargami jej usta. - Wyjdź za mnie. Zamieszkać ze mną w domu nad morzem.

Ripley czuła, że pieką ją oczy. Musiała mrugnąć parę razy, żeby łzy spłynęły i by mogła wyraźnie widzieć twarz Maca.

- Jasne, okej. - Roześmiał się i wtedy zarzuciła mu rękę na szyję. - O Boże, kocham cię. To lepsze niż wszystko inne, to coś więcej niż wszystko inne. Do diabła, Mac. To jest wszystkim.

- A to dopiero początek. Położyła głowę na jego ramieniu. Mac gładził jej włosy.

Błyskotliwy umysł, mocne ciało, wielkie serce. Uśmiechnęła się, myśląc: cały mój.

- Kiedy miałam w sobie, obok siebie, wokół moc, czułam się niezwyciężona, wszechmocna. To tak jakby w żyłach płynęło roztopione złoto. Wiesz, jak się czuję teraz?

- Jak?

- Jeszcze lepiej.

Ich usta znów się spotkały. W oddali miarowo, jak serce, morze uderzało o brzeg, po niebie płynął srebrny księżyc, noc rozbrzmiewała

echem czarów. I nic więcej nie było trzeba.

Koniec.